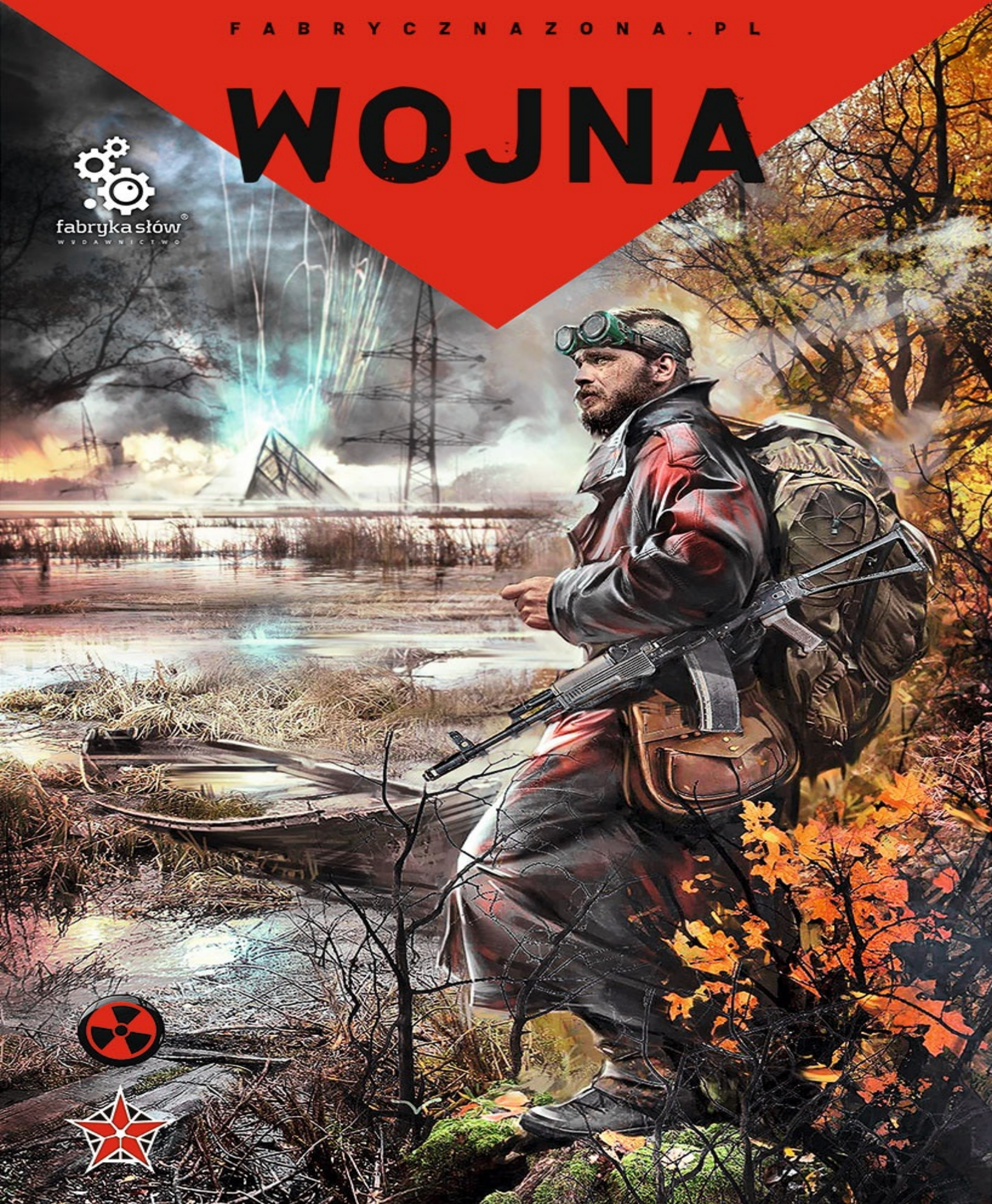


FABRYCZNA ZONA . PL

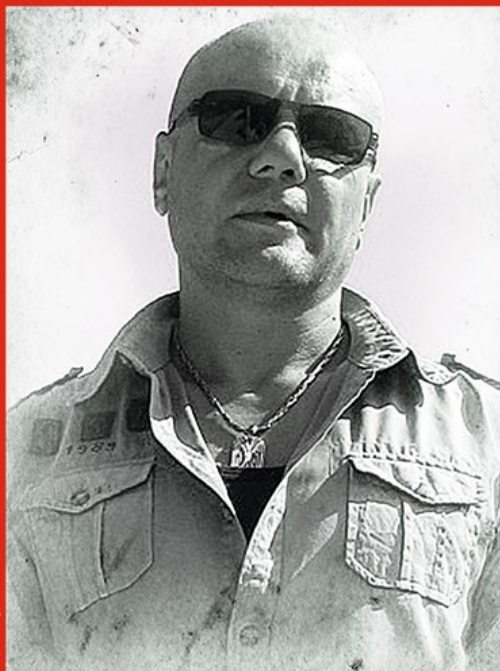
WOJNA



fabryka słów
WYDAWNICTWO



ANDRIEJ LEWICKI



ANDRIEJ LEWICKI

Swoje dzieciństwo spędził w Czarnobylu. Zdarzało mu się wielokrotnie odwiedzać teren Zony, nocował w porzuconych wsiach i miasteczkach, ukrywał się przed patrolującą Strefę ukraińską milicją. Właśnie to doświadczenie zaowocowało w trakcie pracy nad tworzeniem scenariuszy do gry „S.T.A.L.K.E.R. – Zew Prypeci” i jego obecnej działalności w projekcie Survarium.

Pisarz chętnie sięga po książki Lema i Sienkiewicza, w przerwach między oglądaniem filmów noir z lat 40. i 50. oraz słuchaniem czarnego bluesa i starego dobrego rocka.

Najlepiej czuje się w górach z laptopem i termosem kawy, pisząc kolejny rozdział następnej książki.

Spis treści

Karta tytułowa

Spis cyklu

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Fabryczna Zona

Karta redakcyjna

Okładka

ANDRIEJ LEWICKI
WOJNA



TŁUMACZYŁ
MICHAŁ GOŁKOWSKI

fabryka słów[®]
LUBLIN - WARSZAWA

Spis cyklu

Adriej Lewicki – **Wstęga**

Adriej Lewicki – **Wojna**



No i co to się tam świeci? Garsteczka stanął na kępie trawy, próbując przebić wzrokiem mgłę. Ogniki jakież? Dwie leciwie pełgające iskierki, smutne takie i przytłumione, że nic, tylko się powiesić na sam widok. Ale innych punktów orientacyjnych nie widać, więc trzeba iść, żeby nie sterceć pośrodku bagna.

Kolejna kępka okazała się początkiem długiej, wijącej się niczym wąż wysepki. Ogniki zniknęły, zasłonięte przez coś, ale pasek ziemi prowadził we właściwym kierunku, więc Garsteczka ruszył dalej.

Mgła była dziwnie ruchoma, skręcała się w wiry i płynęła pasmami. Widać było, jak ciemniejsze chmury przepływają przez jaśniejsze, mleczne opary... A tam z kolei jakby ktoś oddychał: to powierzchnia bagna dyszała parą, podnoszącą się i opadającą niczym wyrastające ciasto. Normalnie nie błoto, a sen narkomana.

Jakoś jeszcze w Tadżykistanie, z nieodżałowanej pamięci Witią, kiedyś zdecydowali, że wypróbują towar przewożony z Afganu. Okazało się, że trafili na mocną partię, a i Garsteczka był nieprzywykły. Zmogło ich konkretnie, a kiedy się ocknął, to przypomniał sobie podobne majaki: mętna mgła, w niej płyną oczy– ognie, coś się rzuca i przelewa... Kiedy doszedł do siebie z pomocą paru wiader zimnej wody, to poprzysiągł, że nigdy więcej żadnym sposobem podobnego syfu nie zażyje.

No, z pewnymi wyjątkami. Papierosy to w końcu nie narkotyki, a i człowiek nie kaktus, wypić musi. Natomiast niczego poważniejszego już nawet nie tknął i innym odradzał. Potem też nie było okazji: zostali z Witią bohaterami, pojechali do stolicy, była telewizja... A jeszcze później sprawa się rypła i trafili do Sektora.

A teraz Garsteczka był tutaj. Po uszy w bagnie.

Ogniki znów się pokazały, przy czym zauważył, że miały lekko błękitnawy odcień. Dziwadło jakież, żarzy się tak...! I mało tego, strach iść w ich kierunku. Niespokojne jakież, straszne. Co miałyby się tam żarzyć, i to takim kolorem?

A co najgorsze: naprawdę nie widać innej drogi. Niby dzień, a słońca nie ma. Wszystko tonie w zgaszonym półmroku.

I bagno, wszędzie tylko bagno. Już chyba z godzinę Garsteczka szedł przez tę pustkę i wciąż to samo: cisza, wysepki w śmierdzącej wodzie i zgniłe pnie. I nadal to samo.

Poczuł, jak narasta w nim złość. Tupnął, rozchlapując czarną maź. Dlaczego ze wszystkich akurat miejsc na planecie musiało go rzucić w to cholerne bagno?! Dlaczego nie do jakiegoś burdelu?! Do fajnej knajpy z panienką, albo chociaż do sklepu bezcłowego?!

Pomasował brzuch, który odpowiedział przeciągłym burczeniem. Zaraz mu żołądek do krzyża przyrośnię! Kamienie ma żreć, wodą popijać?!

No, z drugiej strony i tak dobrze, że nie piznęło nim prosto w głębinę, a wyrzuciło na relatywnie twardy grunt.

Przynajmniej był jeszcze teraz od kolan w górę suchy. Paradoksalnie nie czuł chłodu, a powietrze

wydawawało się nawet ciepławe. I w sumie było dość jasno, przynajmniej na tyle, żeby widzieć, gdzie się nogi stawia.

Szkoda, oczywiście, karabinu, który gdzieś mu musiał wypaść po drodze przez „port”. Szukał w pobliżu miejsca upadku, ale broń przepadła, jak kamień w wodę.

Heh, czyli co – i jego, i Chemika oszukał ten pajac Kruk? Mówił, że punkt wyjścia z anomalii jest na szczycie pagórka, że będą czarne kamienie i zbocze, a niby daleko, ale w zasięgu ręki od razu Zagubione Miasto. I że na nich będzie czekać.

I co? I co, pytam się?! Gdzie pagórek, gdzie kamienie, gdzie miasto, rozum i godność człowieka...?!

No i w końcu: gdzie sam Kruk?

Ogniki we mgłę żarzyły się coraz mocniej. Garsteczka pokręcił głową, powoli brnąc przez ciamkające i chlupoczące błoto. Oj, być może niesprawiedliwie ocenił najemnika. W końcu nie mógł wiedzieć, co się stało z siecią anomalii przestrzennych po tym, jak w jedną z nich wszedł Wiedźmak z „okiem zła”. Może artefakt włączył się, jak zepsuty silnik motorówki, a cała ta sieć się na niego nawinięła, poszarpała i porwała?

No tak, w końcu „port” na polanie przy Lotnisku też się przesunął o parę metrów. Więc logiczne, że punkt wyjścia mógł również zmienić położenie. Ale nawet nie to było głównym problemem! Mieli tu przybyć we trzech: on, Chemik i Kruk.

Owszem, w pewnych odstępach czasu, ale razem. I gdzie teraz byli tamci? Ani widu, ani słychu... Ba, nawet śladów bytności kogokolwiek!

Może jakieś błocko ich wciągnęło, a jego oszczędziło, bo już się nażarło...? E, bzdura. To musi być coś innego.

Garsteczka zatrzymał się na środku zygzakującej wysepki. W końcu znalazł w sobie siłę, żeby to pomyśleć: „port”

z polany poprzemienił ich w różne miejsca. Losowe, w anomalii jechane, miejsca! I jeden Sektor raczy wiedzieć, gdzie on się teraz znajdował.

Kiedy w końcu doszedł do końca pasma suchego gruntu, z mgły wyłonił się płaski pagórek, zarośnięty krzakami. Ogniki żarzyły się gdzieś w jego centrum, a na brzegu wody leżało ciało.

Garsteczka przeszedł przez płyciznę, wyciągając pistolet. Półnagi człowiek leżał twarzą w dół, był jakiś dziwnie nieforemny... No tak, hiper. Włochate plecy, chude nogi, sandały i skórzane spodnie. Czyżby Chemik? Martwy?!

– E, e, e, brachu! – Garsteczka złapał trupa za ramię, przekręcił... i westchnął z ulgą.

Nie, to nie był Chemik, Sektorowi niech będą dzięki. Inna twarz, to jest pysk: większy nos, niższe czoło i więcej zmarszczek. Odmienny kształt oczu, do tego wplecione w kudły kolorowe sznurki.

Gdy Garsteczka przekręcił ciało na plecy, głowa zakołysała się tak, że stało się oczywiste – z kręgosłupa w odcinku szyjnym została miazga. Do tego pierś cała podziurawiona, ale nie z broni palnej – raczej jakby ktoś dźgał ofiarę zaostrozonym prętem zbrojeniowym. Albo wąskim kozikiem.

Czyli co, Kruk był tutaj? Chociaż trudno sobie wyobrazić, żeby mały, zimnokrwisty najemnik miał tak brutalnie sprawić kogokolwiek, poza Titomirem. Nie, to nie jego styl; on by raczej uderzył raz, żeby nie trzeba było poprawiać. Tak jak z bandytą Minusem – jeden szybki sztych w ucho. A tak dziobać, jak dzieciół... No nie, nie. Mieszkańca bagien przerobił na durszlak ktoś inny.

Garsteczka przykucnął nad ciałem. W dłoni trup wciąż ścisnął zakrzywioną, półksiężycowatą kość oprawioną w drewno.

A może ość raczej? Zaostrzoną. Garsteczka wyłuskał narzędzie ze stygnących palców i obejrzał. Podobne do sierpa, albo prymitywnego kukri. Śmiertelnie niebezpieczna rzecz we wprawnych rękach... to jest łapach. Chociaż nie, hiper ma raczej „ręce”. Coś jak małpa: nie tyle brzydki, co nie do końca ludzki. Może jakby kobieta miała specyficzny gust, toby mogła z takim hiperem... Ekhem.



Garsteczka podrapał się po brodzie, odegnał ruchem ręki durne myśli. Pora się jakoś wydostać z tego paskudnego miejsca.

Wstał, obracając w ręku kościany sierp. Znow widział ogniki, ale teraz z punktów zamieniły się w plamki, obok których majaczyły ciemniejsze stożki. Gdyby nie ta mgła, już teraz rozpoznałby, co to takiego. Do centrum wysepki było już zupełnie niedaleko.

Przełączył selektor pistoletu na ogień ciągły. Starając się nie szeleścić krzakami, ruszył w kierunku środka wyspy.

Ciemniejsze stożki okazały się szałasami. I to wcale nie były jak skleconymi tymczasówkami, a starannie wyplecionymi konstrukcjami z wikliny i podłużnych liści trzciny, wyposażonymi w trójkątne wejścia.

Z jednego z takich wejść wystawały nogi.

Garsteczka podszedł bliżej. Nogi były nieco mniej włochate i zdecydowanie smuklejsze – kobiece. Hiperka leżała na plecach z rozrzuconymi rękami, a głowę miała... trudno nawet opisać. Jakby ktoś ją wetknął w gigantyczną ostrzałkę do ołówków. Został tylko nieforemny kikut. Kto mógł coś takiego zrobić? I jak?

Rozejrzał się po wnętrzu, ale od razu odwrócił głowę: pośród porzucanych rzeczy leżało jeszcze dwoje dzieci.

Błękitnymi ognikami okazały się dwa niewielkie ogniska, w których dopalały się węgle i chyba jakieś bagienne trawy, albo zioła. Razem z dymem niósł się dziwny zapach, jak gdyby lekko amoniakowy i... i jeszcze coś. Garsteczka nawet nie podchodził, żeby przypadkiem nie sztachnąć się czymś trującym. Nawdycha się i co potem? Znow kasza z mózgu.

Obozowisko składało się z ośmiu szałasów, z czego pięć było połamanych, przewróconych i zmiażdżonych. Do tego Garsteczka naliczył tuzin ciał. Kilkoro dorosłych hiperów, parę młodych, trójka starych. Wnosząc po tym, gdzie i jak leżały ciała, przeciwnik musiał zaatakować zniemacka, ale trudno powiedzieć, z której strony. Większość hiperów zginęła w przeciągu kilku sekund, paru skoczyło w kierunku brzegu.

A, no właśnie: przy wodzie leżeli też niefortunni strażnicy. Jeden ze zmasakrowaną głową, drugi z podziurawioną piersią.

Garsteczka przeszedł się w tę i we w tę, próbując zrozumieć, co się wydarzyło w obozie. Wyglądało to tak, jakby wróg nagle, zupełnie nieoczekiwanie po prostu pojawił się pośrodku wysepki. Przy czym można było odnieść wrażenie, że w kilku różnych miejscach...

Zrobił jeszcze kilka kroków, nagle złapał za pistolet, odwrócił się do szałasu i sapnął: – Oż mutancja mać...!

Samica – ta bez głowy, której nogi sterczały z szałasu, jeszcze przed chwilą martwa i nieruchoma – zniknęła!

Czerwonego Kruka wyrzuciło z gardzieli „portu” jak z procy. Upadł, potoczył się ku urwisku. Nigdy nie zdarzyło się, żeby „port” miotnął nim z taką siłą! Płaszcz zaczepił o sterczący z ziemi korzeń i tylko to uratowało go przed upadkiem.

Raptem parę metrów poniżej widać było pas ziemi, a za nim jezioro, ginące dalej w mlecznej mgłę. Kruk zadyndał plecami do skarpy, zawieszony na własnym płaszczu. Na głowę sypała mu się ziemia, złamane drzewo trzeszczało i jęczało, kawałek po kawałku wyrrywając korzeń z ziemi.

A pod nim biło się trzech facetów. Konkretnie – jeden na dwóch. Chwilę temu położył jednego, a teraz wykańczał drugiego. Walczący byli dość mocno zajęci sobą, więc chyba tylko dlatego nie zauważyli wiszącego im nad głowami człowieka.

Wysoki, kędzierzawy brunet kopnięciem wytrącił przeciwnikowi oberżniętą dwururkę i wrzasnął przeraźliwie, wznosząc maczetę. Szerokie ostrze błysnęło w świetle przebijającego się zza chmur słońca.

Przy samym brzegu wody leżał bez ruchu trzeci mężczyzna, nad którym właśnie przeleciał i plusnął w jezioro obrzyn.

– Karp, co ty wyprawiasz? Co ty robisz?! – wrzasnął drżącym głosem siwy mężczyzna, cofając się przed napastnikiem.

Nogi Kruka niemalże muskały głowy walczących. Karp rzucił się na siwego, ten odskoczył ku wodzie, próbując uderzyć pięścią, ale kędzierzawy złapał go za rękę i trzy razy wbił mu ostrze maczety w brzuch, za każdym razem wydając krótki, urywany okrzyk.

Siwy upadł na plecy. Karp rzucił się na niego, wbił maczetę w ziemię, złapał ofiarę za ramiona i nachylił się. Kruk już myślał, że tamten zaraz wbije siwemu zęby w szyję, ale nie. Zabójca chyba po prostu patrzył ofierze w oczy.

Nogi siwego zadrgały i zamarły w bezruchu.

Pień trzeszczał cicho, powoli wychodząc korzeniami z ziemi, a Kruk zjeżdżał plecami po zboczu. O, a tam leżał jego kałasz, który wrzucił w anomalie wcześniej! Karabin spoczął w płytkiej wodzie, przy samym brzegu.

Karp zachrypiał, wydając z gardła zupełnie obce człowiekowi dźwięki. Wygiął plecy w łuk, odrzucił głowę do tyłu; Kruk zauważył wykrzywioną nienaturalnym grymasem twarz i wielkie, wytrzeszczone oczy.

Zabójca wstał raptownie, wyrwał z ziemi maczetę i obrócił się do niego. Kruk podciągnął nogi w górę, zaparł się piętami w zbocze, dotykając palcami obcasów. Teraz zabójca stał przodem do niego, a plecami do jeziora.

– Coś za jeden? – zapytał zaskoczony.

Kruk zdziwił się mimowolnie, słysząc zupełnie normalny, ludzki głos. Karp walczył i krzyczał jak opętany... Albo wręcz przemieniony! Ale tamci przecież nie mówią, nie potrafią, bo ośrodki mowy im smaży jako jedne z pierwszych.

– Skąd się tu wzięłeś? – zapytał zabójca.

Kruk milczał. Nie miał zamiaru rozmawiać z tym człowiekiem, kimkolwiek tamten był.

– Ha, nieważne! Przydasz się akurat na deser. – Karp zrobił ku niemu krok, wznosząc maczetę. Wysoki, długoreki, bez problemu mógł sieknąć Kruka ostrzem po kolanach albo udach.

Czerwony Kruk szarpnął się, wyprostował gwałtownie nogi. Nad nim trzasnęło głośno pękające drewno i najemnik poleciał w dół, już ściskając w rękę pistolet z kabury na kostce. Upadając, wystrzelił dwa razy, od razu wyrzucając ręce nad głowę – za nim poleciała ziemia, kamienie i wyrwany ze zbocza pień. Kruk odskoczył na bok, przeturlał się i wstał, strząsając piach z włosów.

Karp klęczał przed nim, kiwając się w przód i w tył. Obie kule trafiły go prosto w czoło, na samej granicy włosów; wedle wszelkich praw świata, nawet anomalnych w głębi Sektora, powinien już nie żyć... Ale życie jeszcze się go trzymało. Na jego twarzy nie było ani bólu, ani gniewu, rozpaczy, zdziwienia, żadnej z tych emocji, które tak często widywał Kruk u swoich ofiar. Za to była tam ulga.

Wargi drgnęły i raczej domyślił się, niż usłyszał jedno słowo: „Dziękuję”. Potem jego niedoszły morderca przewrócił się twarzą w przód i zamarł.

Kruk wsunął pistolet do kieszeni, odcharknął piachem. Wyszczerył zęby i mocno uderzył się pięścią w biodro, a potem wykrzyknął krótko, ochryple. Tak radośnie mógł skrzeczeć drapieżny ptak, wrywający kęs mięsa z ciała ofiary. Szybkie, sprawne zabójstwo człowieka, wedle wszelkich znaków jeszcze gorszego drania niż on sam. Krew zakrążyła żywiej po ciele, napełniając go poczuciem euforii – żył! Mimo wszystko, wbrew wszystkiemu! Żył i był gotów walczyć do końca!

Przekręcił ciało Karpia, szybko przeszukał. Wyrzucił kieszonkową Biblię i poszczerbiony scyzoryk, ale zabrał latarkę, zobaczył pistolet w kaburze, więc odpiął razem z paskiem, szelkami i ładownicami spod kurtki. Poprawił, przymierzył, zapiął płaszcz.



Cały ten czas na brzegu wisiała absolutna cisza. Powierzchnię jeziora marszczył tylko leciutki wiaterek,

kołyszący porastającą płycizny trzcina. Po niebie przepływały obłoki, przeglądające się w zimnej wodzie. Drugi brzeg spowijała mgła.

Kruk zmrużył oczy, wpatrując się w dal. Tam, za jeziorem, wznosiła się jakaś konstrukcja... Odmowny, ale cienki łuk z okrągłymi zgrubieniami, a w jego centrum coś jakby oś: albo wysoki słup, albo wąska i wysoka wieża. Z takiej odległości, przez przelewającą się mgłę, nie widział szczegółów, lecz budowla wyglądała jak coś z sennych majaków. Niczym przecząca prawom fizyki konstrukcja z przyszłości.

Wzruszył ramionami, zajął się leżącym na brzegu ciałem siwego. Mężczyzna był w średnim wieku, w filcowej czapeczce z doszytym skórzanym znaczkiem: okrąg przekreślony czerwonym krzyżem. Obok w błoto wdeptana była druga, podobna czapeczka. Kruk otrząpiał znaleźisko, wsunął do kieszeni. Przyda się, jeśli zrobi się chłodniej. Popatrzył na leżące w przejrzystej wodzie karabin i obrzyn. Widać je było jak na dłoni, ale trzeba będzie wchodzić do jeziora. Woda zimna, lodowata wręcz... Nawet jeśli wyciągnie broń, to sam straci sporo ciepła, a potem trzeba będzie to wszystko rozkładać, suszyć... rozpalać ognisko. Nie warto, zbyt dużo zachodu, a dwa pistolety już miał.

Na początek trzeba się było rozejrzeć. Jak na razie miał tylko mgliste pojęcie, gdzie mógł być. Gardziel „portu” wisiała niedaleko stąd, nad skarpą, ale nikt więcej z niej nie wyszedł. Dlaczego jeszcze nie było tych dwóch: Garsteczki i Chemika?

Nie żeby ich do czegoś potrzebował, ale mieli przecież zbieżne cele, więc mogli działać zespołowo, zwiększając swoje szanse. Rozmyślili się, wystraszyli?

Albo, jak twierdził Chemik, Sektorem pokrytym siecią anomalnych korytarzy wstrząsnęła Fala i teraz ich punkty przecięcia się poprzesuwały.

Nieważne. Teraz trzeba było wdrapać się na skarpę i odnaleźć w terenie, a potem dopiero zastanowić, czy warto tu zostać, albo wyciągać broń z wody. Polesie nazywano miastem pomiędzy czterema jeziorami. Kruk nawet widział stare mapy tej okolicy, pamiętał z grubsza kontury czterech zbiorników wodnych – ale teraz nie miał pojęcia, nad którym się znalazł. No i jeszcze ten łuk z wieżą – osią po drugiej stronie! Tego z pewnością na mapie nie było.

Kruk popatrzył na zbocze, szukając punktów zaczepienia do wspinaczki. Lewe przedramię nagle zaswędziało. Dziwne, okaleczona połowa ciała nigdy nie dawała takich wrażeń. Chciał się podrapać, ale palce natknęły się na coś w okolicach nadgarstka. Zmarszczył brwi, podciągnął rękaw.

Dwa paski, mocujące do przedramienia rurkę z nożem. Rękojeść noża jak należy... A obok niej wodnisto – różowa kulka na skórze. Jak przyklejony żelek.

Kruk wytrzeszczył na niego prawe, zdrowe oko. Wewnątrz gluta trzepotał krwawy strzępek, wzdymał się i opadał, wypuszczając czerwone pęcherzyki zamieniające się potem w nitki, wnikające pod skórę. Za każdym zapulsowaniem strzępka nici zabarwiały się ciemną purpurą i jasnym błękitem.

„Krwawokwiat”.

Jeden potworny błysk zrozumienia zalał ogniem, a potem spopielił otaczającą rzeczywistość. Kruk złapał za glut ręką, spróbował oderwać. Zostawały mu raptem sekundy, żeby uniknąć losu zgotowanego mu przez największą klątwę, najpodlejszy, najstraszniejszy i najbardziej przerażający z anomalnych pomiotów Sektora. Nic z tego! Skóra tylko się naciągnęła, a ręka zabolęła, co nie zdarzało się już naprawdę dawno. Czerwony Kruk złapał za nóż, wbił pod zlepek galarety i przekreślił.

Anomalny symbiont drgnął i skurczył się, zmętniał, a krwawy strzępek zapulsował gwałtownie. Kruka zalał palący ból i najemnik z jękiem upadł na ziemię.

Chemik myślał, że pod nim będzie ziemia, ale zamiast tego spadł na beton. Na całe szczęście ciało hipera radziło sobie lepiej od poprzedniego nośnika jego umysłu, bo gdyby nie to, połamałyby sobie ręce i nogi. A tak wylądował po prostu na czworakach, zasyczał, a potem ochrypłym głosem zaklął soczyście. Syczenie było instynktowną resztką pochłoniętej świadomości hipera. Przekleństwa płynęły z głębi jego własnego serca.

Odepchnął się dłońmi, wstał. Szare niebo nad nim, szare bloki wokoło. Szary betonowy prostokąt z dwiema nadbudówkami... dach. „Port” wyrzucił go na dach! Nieduży blok mieszkalny, może czteropiętrowy. Ale gdzie jest najemnik, ten Czerwony Kruk?

Podskoczył do bliższej nadbudówki, szarpnął za żelazne drzwiczki. Zamknięte na głucho, bez łomu nie

otworzysz. Tędy nie mógł zejść, więc gdzie jest? Na polanie przy „porcie” zamienili z Garsteczką raptem kilka słów, więc Kruk powinien gdzieś tu być. Chyba że to on zabarykadował się od środka, ale dlaczego i po co? Mieli przecież działać razem, najemnik nie miałby powodu się przed nimi chować.

Czyżby? A jakie w ogóle były motywy Kruka? Jeśli pomyśleć o nich trzech, to celem Kruka było zabicie majora Titomira, uwięzionego teraz w ciele warga. On, Chemik, chciał uratować Nikę Kaufmann i nie dopuścić Wiedźmaka do miejsca, gdzie ten chciał dotrzeć z „okiem zła”, Garsteczka zaś... No właśnie, czego chciał Garsteczka?

Chemik obszedł jeszcze dla pewności nadbudówkę, po czym ruszył do okalającego dach parapetu. No tak, motywy Garsteczki też były jasne. Były wojskowy, ochroniarz z Kompleksu, przemytnik i awanturnik, słowem – wojownik.

Z gatunku tych, co setki, tysiące lat temu pływali łodziami na rozbój, pięli się po ścianach fortec, zdobywali miasta, a potem patrzyli na pędzonych w niewolę wrogów i słuchali lamentu ich kobiet. Jeśli Garsteczka czegoś pragnął, to właśnie przygód, a wcale nie pieniędzy. Cokolwiek by sam o tym myślał.

Tak, wojownik to szczególnie podgatunek samca Homo sapiens, we współczesnym świecie niemalże pozbawiony swego naturalnego habitatu. Zmuszony do migracji na cudze terytoria, coraz częściej imający się profesji albo bandyckich, albo właśnie mundurowych. Zwiadowcy pod przykrywką i terroryści, myśliwi i najemnicy. Mężczyźni w najbardziej atawistycznym, prymitywnym znaczeniu tego słowa.

Garsteczka przekonywał sam siebie, że przyszedł do Sektora po pieniądze, po pięć milionów dolarów. Mógł się oszukiwać do woli – ale tak naprawdę jego marzeniem było życie, w którym mógł czuć się sobą.

Rozmyślać można do woli, a Kruka jak nie było, tak nie ma. Co gorsza, samemu Garsteczce też nie spieszo, żeby się pojawić. Chemik wyjrzał ponad parapetem tylko po to, żeby upewnić się co do tego, co już i tak wiedział.

Był w Polesiu, w Zagubionym Mieście. Pod nim rozpościerała się asfaltowa ulica: domy, sklepy, puste ławki, martwe klomby. I cienie na ścianach. Sylwetki ludzi. Zastygłe w pół ruchu, czarne. Niczym wycięte z pomocą szablonu dziury prowadzące w pustkę.

Cienie szeptały. Ponurymi, nakładającymi się na siebie głosami, jak z pustej piwnicy pod wysiedlonym domem. I mimo że żadnego szeptu tak naprawdę nie było, głosy rozlegały się od razu pod czaszką.

Chemik potrząsnął głową. Był w Zagubionym Mieście, sam, bez broni. Na polanie przy „porcie” zebrało im się na czcze pogaduszki, a zamiast tego powinien był Garsteczkę poprosić o pistolet. Albo chociażby nóż.

Podszedł do miejsca, w którym wypadł na dach, i uniósł ręce. Te włochate, długopalce kończyny nadal wydawały mu się obce... Pomacał powietrze, ale nic tam nie było. A przecież z gardzieli „portu” powinno być czuć przeciąg, tylko że nie było nic. I wzrok hipera też nie odróżniał anomalnego świecenia. Czyli co, gardziel zniknęła?

Energetyczna burza, którą wzbudziło przeniesienie przez sieć „oka”, prawdopodobnie zdestabilizowała portale. Teraz wejścia i wyjścia mogły przemieszczać się, znikać i pojawiać, podobnie jak przyciągająca przemienionych anomalia ze słupem światła. Jeśli tak, to na jaką odległość się ta gardziel przemieściła? I gdzie wyrzuciło Garsteczkę, co z Krukiem?

Mogli być nieopodal, albo i na przeciwległym krańcu Sektora.

Chemik wrócił do skraju dachu, zerknął na ulicę i od razu przypadł do ziemi. Wyjrzał ostrożnie, żeby za bardzo nie pokazywać głowy nad krawędzią.

Z prawej, od przedmieść, ulicą szedł oddział. Prowadziło dwóch wargów. Rob i jeden z tych, którzy przeżyli jatkę pod bramą Fabryki. Za nimi, stukając swym kosturem, maszerował Wiedźmak, obok niego kuśtykała Nika. Pochód zamykał Rysiu i trzech szaroskórych.

Chemik wbił wzrok w Nikę. Zombifikowana czy nie? Nie miała związanych rąk, ale za nią szedł Rysiu, patrzący jej w plecy i kontrolujący. Tak czy inaczej, miała kontuzjowaną nogę, więc nie ucieknie; wątpliwe, żeby zdążyli wyciągnąć jej kulę z uda.

Jak gdyby czując na sobie spojrzenie, Rob uniósł głowę i od razu poderwał rękę w rękawicy bez palców, zdartej z ciała Ryżeboda, byłego wodza wargów. Chemik odskoczył w tył, przykucnął. Nastawił uszu, chcąc wyłowić przez szum wiatru głosy z dołu. Nic, na ulicy nadal było cicho.

Dokąd mogli iść? Wiedźmak był kiedyś Borysem Wiedźmakowem, dyrektorem muzeum krajoznawczego w Polesiu. Nika opowiadała, że podczas jednej z ekspedycji coś znalazł, jakiś przedmiot. Przyniósł do muzeum i zaprosił ojca Niki, profesora Kaufmanna, żeby pomógł mu w badaniach. „Oko zła” było wtedy połączone z obiektem, zapewne wciąż leżącym w trzewiach muzeum, które teraz dla wargów stało się „Ciemnym Domem”. Czyli co, Wiedźmak idzie tam, żeby znów połączyć „oko” z tym czymś?

Chemik przypomniał sobie stare plany Polesia, które miał zeskanowane w Kompleksie. Miasto z lotu ptaka przypominało okrągłą plamę, poprzecinaną siatką drobnych zaułków i uliczek, rozbiegających się od krzyża dwóch głównych, szerokich ulic. Teraz pod nim była jedna z nich, a muzeum stało na głównym placu – więc to tam siedł oddział.

Nie było żadnych szans odbicia Niki w pojedynkę. Tutaj nawet nowe ciało hipera, wyćwiczone i elastyczne, nie na wiele się zda – szczególnie z gołymi rękami. Trzeba więc zejść na dół i pójść za nimi.

Chemik przesunął się w inne miejsce i znów ostrożnie wyjrzał. Oddział minął róg domu, na którego dachu wyrzucił go „port”, i siedł dalej. Nieduży, czarny plecak na ramieniu Wiedźmaka pulsował mrokiem – to tam leżało „oko”.

Podbiegł ku drugiej nadbudówce, ale i tam drzwi były zamknięte. Zaczął chodzić po dachu, szukając drogi zejścia.

Nie miał pojęcia, co może się stać, jeśli Wiedźmak wniesie „oko zła” do muzeum i znów połączy z pierwszym obiektem.

W końcu już samo przeniesienie „oka” przez anomalię pod Fabryką zaowocowało prawdziwą burzą energetyczną. A jeśli teraz „oko”, którego odłączenie doprowadziło do pojawienia się Sektora, znów nałoży na tajemniczy obiekt... Czyżby Wiedźmak łudził się, że przeżyje nieuchronny anomalny huragan? Albo ma jakąś ochronę, albo uważa, że w epicentrum pozostanie relatywnie spokojna strefa. Takie oko cyklonu.

Oddział oddalił się w kierunku centralnego placu Zagubionego Miasta. Chemik wskoczył na parapet, już nie bojąc się, że zostanie zauważony. Zrozumiał, że zgubienie Wiedźmaka i jego ludzi nie byłoby największym nieszczęściem. Ryzykował życiem, jeśli będzie tu sterczeć przy nadejściu kolejnej Fali.



Rozdział 2

Sciskając w prawej ręce pistolet, a w lewej kościany sierp, Garsteczka skoczył ku szałasowi, stojącemu w centrum obozu hiperów. Zajrzał: samicy nie było! Wstrzymał oddech. Małe hipery leżały wciąż martwe, w tych samych pozycjach – a mamuśki nie było!

Ale przecież nie mogła wstać i sobie pójść, nie bez głowy! Czyli co, ktoś ją zabrał? I to raptem kilkanaście sekund temu, kiedy Garsteczka stał ledwie kilka kroków stąd! Bezdźwięcznie i błyskawicznie!

Obrócił się w jedną stronę, w drugą, wodząc pistoletem z boku na bok. Wyspa, mgła, krzaki... Żadnych śladów. Na wilgotnej ziemi byłoby je dobrze widać, mimo że po jakimś czasie podchodziły wodą, potem mętnym błockiem, aż w końcu znikają w ogóle. Nie wiadomo, kiedy zaatakowano obóz, ale jedno jest pewne: pod szałasem nie było żadnych świeżych śladów. Więc co się stało?!

Zrobiło mu się jakoś nieswojo. Cały ten obóz i martwe hipery, położone pokotem jak leci – wszystko to nie poprawiało humoru. Do tego jeszcze narastające uczucie nieznanego zagrożenia, mogącego pojawić się z nienacka nie wiadomo skąd.

Garsteczka pospieszył ku brzegowi, wołąc już iść dalej przez bagno. Po drugiej stronie obozu krzaków prawie nie było, leżały tam tylko dwa trupy. Jeden wciąż ścisnął w dłoni prymitywną włócznię – zastrzony kij z utwardzonym w ogniu końcem, drugi miał zawinięty wokół nadgarstka kawałek skóry, a obok leżał na ziemi okazały otoczek. No tak, proca.

Chciał cisnąć we wroga kamieniem, ale nie zdążył, dostał w pierś serię uderzeń nieznaną bronią.

Minął ciała, zastanawiając się, jak najlepiej przeskoczyć na suchą wysepkę. Nagle z tyłu coś zaszeleściło, po ziemi zatańczyły odbłyśki światła, które równie gwałtownie zniknęły. Garsteczka podskoczył, odwrócił się, wznosząc nad głowę sierp. Jego mutancia mać! Został tylko jeden trup. Dopiero co były dwa, a teraz leżał tylko jeden!

Mało tego, kiedy Garsteczka się odwracał, miał wrażenie, że coś się poruszyło tam, gdzie leżał oszczepnik. I tam, przy szałasach, też kogoś brakuje! Nie wiadomo którego ciała, ale od razu widać, że jest ich mniej!

Co się dzieje na tym bagnie?!

Nie opuszczając sierpa i celując w kierunku obozowiska z pistoletu, Garsteczka zaczął się cofać, wchodząc tyłem w wodę. Miał ochotę rzucić się precz, nie zważając na wodę, błoto i ryzyko wdepnięcia w topiel, ale powstrzymywał się siłą woli, chociaż nogi się pod nim uginały. Co to za czarna dupa kontinuum, że trupy wstają i uciekają?! Albo jakby coś lazło po obozie i je pożerało. I to w gnieniu oka...

Dopiero kiedy obóz i wysepkę skryła mgła, Garsteczka nieco się uspokoił i schował pistolet. Wytarł czoło rękawem i pomyślał sobie, że tak w ogóle to trochę zgłodniał... Przecież przez tych kilka dni od przejścia Fali mało co jadł, a głównie biegał, skakał, walczył i cały czas czymś się martwił. Swoje sto kilo już dawno na drobne pewnie rozmiął, tylko patrzeć, jak ósemka z przodu się pojawi. Dystrofia normalnie, zaraz od byle podmuchu wiatru będzie przewracać.

Ciekawe, co też mogą jeść hipery? Raczej nic szczególnie paskudnego, jednak są podobne do ludzi. Chociaż czort ich wie, mogą jakieś paskudztwa bagienne żreć, w które on nawet wdepnąć by się brzydził.

Rozmyślania przerwała mu lekka wibracja z okolic kieszeni kurtki, wyraźnie wyczuwalna przez zębra bolące jeszcze od czasu bójk – pobicia w zasadzie – na Lotniku. Było to na tyle podobne do wibracji telefonu komórkowego, że Garsteczka aż pisnął z zaskoczenia i odruchowo poklepał się po kieszeniach... Przełożył sierp do drugiej ręki, sięgnął – i wyciągnął niewielki dysk z żyłkowanego zielenią metalu.

Dysk zawibrował jeszcze raz i uspokoił się. No tak, wziął to coś z laboratorium na poddaszu wieży kontroli lotów, w trakcie ucieczki z Krukiem. Na oczku przy dysku majtała się reszka łańcuszka – pewnie to Wiedźmakowi spadło, musiał nie zauważyć w pośpiechu. Garsteczka miał pewność, że dziwny amulet należał właśnie do szamana z Lotnika. Rzecz w jego stylu.

Od tamtej pory nie tylko nie miał czasu zbadać dziwnego wisiora, ale nawet pamiętać o nim. Teraz też priorytety były inne: wydostać się z bagna, znaleźć jedzenie, zorientować się, co i jak. Przede wszystkim jedzenie! Ale taka wibracja niepokoiła: kiego czorta najpierw się trzęsie i straszy, a potem przestaje?

Zaczął obracać dysk w rękach, potem zauważył szczelinę pomiędzy dwiema połówkami. Spróbował podważyć paznokciem, potem wsunął tam krawędź sierpa i przekręcił. Z cichym szczęknięciem wieczko odskoczyło, ujawniając spoczywający wewnątrz, niczym perła w muszli, niewielki kryształ. Błyszczący, jak naoliwiony. W jego bok wetknięte były dwa przewody, a nad nim sterczał czarny, podkowiasty kawałek metalu, jak magnes. Przewody ciągnęły się do zalanego silikonem obwodu scalonego.

Garsteczka przysunął urzędzono bliżej do oczu.

Kryształ był artefaktem, od razu tak pomyślał. I ktoś go połączył z układem scalonym... artefakty i elektronika? Ciekawe połączenie, ale w sumie dlaczego by nie? Skoro ktoś inny zrobił strzelbę pulsacyjną, podpinając ją pod „pustak"... Ale ze strzelbą sprawa była jasna: broń. A to?

Garsteczka przez pewien czas wpatrywał się w zawartość medalionu, a potem opuścił rękę. Coś błysnęło, więc znów ją unióś, wbił wzrok w kryształ. Jakby się trochę zaświecił, ale coś słabo.

Wyciągnął przed siebie rękę i zaczął powoli okręcać się wokół własnej osi. W pewnej chwili kryształ znów zalśnił światłem, a dysk wyczuwalnie drgnął.

Zrobił kilka kroków, a artefakt rozjarzył się. Garsteczka, idąc po kępach trawy, wyminął rozlewisko, a kiedy wrócił na poprzedni azymut, kryształ zapulsował światłem. Wyciągnął z kieszeni monetę, przyłożył do podkówki nad kryształem – owszem, magnes. Przy czym moneta to przylepiała się, to znów ześlizgiwała z niego, ale nie zdążała spaść, bo znów przywierała mocno do szczytu. Ciekawe, zmienia właściwości co chwilę? Elektromagnes? Ani uzwojenia nie widać, ani rdzenia...

Zresztą, co za różnica? Są ważniejsze sprawy, a na pewno ciekawsze. O, mgła się powoli rozrzedza, widać już granicę bagna. I jakieś kształty... domy? Ano, domy!

Garsteczka uśmiechnął się pod nosem. Ha, nie jest źle! Już prawie się udało! Normalne, zwyczajne bloki, po cztery i sześć pięter. Czyli miasto.

Przeszedł jeszcze parędziesiąt kroków, patrząc, jak artefakt lśni mocniej, jak gdyby pokazując, że kierunek jest właściwy.

Bloki były coraz wyraźniejsze, takie klasyczne czteropiętrowki czasów Chruszczowa, ZSRR z krwi i kości. A ciekawe, swoją drogą, w jakim kraju był teraz Garsteczka? Sektor rozciągał się na terytorii trzech sąsiadujących państw, a znajdował się pod formalnym zarządem ONZ przez jego agendę KSA – Korpus Sytuacji Anomalnych.



Praktycznie od razu zrozumiał: Polesie, Zagubione Miasto. Na ścianach budynków czerniały sylwetki ludzi, wżarte w ceramiczne płytki i beton. Najbliższe bloki wystawały już z bagna, a zjeżdżalnia i przechylona huśtawka niedużego placzyku zabaw stały w wodzie. Pomiędzy nimi kołysał się na wietrze

tatarak.

Tuż przy placu zabaw stał przysadzisty transporter gąsienicowy w plamiastym kamuflażu. Od strony Garsteczki ział otwarty na całą szerokość właz desantowy w tylnej części, pośrodku nadwozia sterczała wieżyczka, przypominająca przewróconą balię. Nie było to podobne do żadnego znanego mu modelu pojazdu, więc Garsteczka roboczo ochrzcił maszynę po prostu „transporterem”. Gąsienice wrosły głęboko w ziemię, wiatr naniósł na pancerz pył i liście, nawet trawa tu i ówdzie wyrosła. Widać, że stoi tak od długich miesięcy, jeśli nie lat.

Trochę elektrycznego życia musiało się jednak wciąż w tym cielsku tlić. Jakież systemy wciąż działały, ostatnie czujniki skanowały okolice – bo wystarczyło, że Garsteczka tylko podszedł bliżej, a w transporterze coś zgrzytnęło i zahuczało.

Górna część wieżyczki otwarła się i wyjechał z niej czarny, ponury karabin maszynowy, który spojrzał lufą prosto na nieproszonego gościa.

Kiedy ból minął, Czerwony Kruk usiadł. Widząc, że buty leżały już w wodzie, odepchnął się głębiej na brzeg, ale dół nogawek i tak zdążył złapać wodę. Zgiął tylko nogę, sprawdził, co z pistoletem, ale broń chyba nie zamokła.

Trzy trupy leżały na wąskim pasku ziemi pomiędzy skarpą a wodą, po której wciąż sunęły odbicia chmur. Przeciwny brzeg skrywał się w białawej mgiełce, cicho szumiały trzciny, czasem po powierzchni przebiegały zmarszczki. Nic się nie zmieniło... ale tylko pozornie.

Dla Czerwonego Kruka świat dosłownie stanął na głowie. Co miał w ogóle teraz robić, skoro do lewej ręki przyssał się „krwawokwiat”? Ostrożnie podciągnął rękaw. Nic tam nie było!

Poderwał się, zdarł z siebie płaszcz, zrolował rękawy swetra. Nadzieja aż zatykała dech w piersiach. Czyżby symbiont zniknął?! Ale to się nie zdarza! Chyba że tak? „Krwawokwiaty” są strasznie rzadkie, mało co o nich wiadomo. Może rzeczywiście potrafią po prostu odpaść?

Nie wierząc w takie szczęście, Kruk ściągnął z siebie sweter – i tu nadzieję pochłonęło gorzkie rozczarowanie. Glutek z powoli pulsującym w środku ciemnoczerwonym skrzepem przepelzł na przedramię. Jak mógł się przesuwac, jeśli był połączony z systemem krwionośnym? Zostawiał za sobą sinawy ślad, ciągnący się aż po nadgarstek niczym podłużny siniak z popękanych pod skórą naczynek krwionośnych.

Znowu ta feralna lewa połowa ciała! Czy ktoś kiedyś słyszał, żeby „krwawokwiat” zagnieździł się na tkankach wcześniej poddanych oddziaływaniu innych anomalii? Jakie będzie współdziałanie „gnojówki” i symbionta?

Ha, to już pytanie dla naukowców. Bo Kruk nagle zrozumiał: dla niego celem i ambicją jest teraz zabić Titomira, zanim sam zdechnie. Nikt zarazony „krwawokwiatem” nie pociągnął dłużej niż kilka miesięcy, maksimum pół roku. Bynajmniej nie dlatego, że bioanomalie zabijała swego nosiciela, nie. Wręcz przeciwnie, była żywotnie zainteresowana, na swoim poziomie braku świadomości, podtrzymaniem jego życia.

Nosiciela, którego starali się zabić wszyscy inni. Każdy żywiciel „krwawokwiatu” stawał się legendą Sektora, można ich było przeliczyć na palcach jednej ręki. I wszyscy byli nie tylko wygnańcami, bo prędzej czy później ogłaszano na nich regularne łowy. Niezależnie, gdzie się pojawiali, każdy od razu próbował ich zabić.

Kruk zacisnął palce na rękojeści swego szydła. Wbić nóż w symbionta, podłubać, spróbować zerwać? Ale już próbował, z marnym skutkiem. Ból był przytłaczający, a on i tak miał nienaturalnie wysoki próg.

Jego stary znajomy, Fiedka Reszotnikow, ksywa Rzeszoto, dobrze znał się na rzadkich anomaliiach i opowiadał, co dzieje się ze spryciarzem, któremu uda się pozbyć symbionta. Otóż człowiek zamieniał się albo w niemego półgłówka, albo w rzucający się w drgawkach, wymachujący rękoma i nogami strzęp czystego bólu – anomalie na pożegnanie wstrzykiwała w krew toksynę atakującą rdzeń kręgowy.

„Krwawokwiat” można było zedrzeć z mięsem tylko w pierwszych sekundach po kontakcie, a Kruk tę szansę już zmarnował.

Krzywy uśmiech prześliznął się po jego twarzy, gdy naciągając płaszcz, pomyślał, że pojawienie się na jego ciele bioanomalii jest co najmniej symboliczne. Próbuąc wyrzucić zemstę na mordercy swoich

bliskich, uczyniwszy odpłatę sensem istnienia, sam zamienił się w zabójcę. Teraz Sektor podjął jego grę, czyniąc z niego zabójcę wbrew woli i rozsądkowi.

Zabójcę– symbionta.

Wsunął nóż na miejsce. Nie będzie wyciągać z wody ani karabinu, ani obrzyna. I trupy niech sobie leżą. Co za różnica, czy dostaną się robactwu, czy padlinożercom? Zwyczajna rzecz. Zabijasz, giniesz, zjadają cię, znikasz.

Było tu jezioro, więc i Polesie niedaleko. Na pewno znajdował się wewnątrz Wstęgi. A jeżeli oddział Wiedźmaka też gdzieś tu był, to musiał jak najszybciej znaleźć i zabić Roba– Titomira. Poza tym nie było o czym myśleć. Zero wątpliwości, koniec czekania, żadnych niedociągnięć. Koniec obaw, że Titomir ucieknie. Teraz musiał tylko wyczekać na właściwy moment i...

– Stój, ręce do góry!

Głos był młody. Czerwony Kruk powoli zadarł głowę. Na skarpie widać było postać, ciemniejszą plamą odcinającą się od jasnego nieba. I skrócony karabinek w jej rękach.

– Rzuć broń!

– Jaką znów broń? – zapytał Kruk, próbując wybadać, jak długo nieznajomy stoi nad nim i ile widział.

– Chcesz powiedzieć, że poza nożem nic nie masz? Łżesz! Pozabijałeś ich!

– Nie. – Kruk powoli rozchylił poły płaszcza, pokazując pistolet w kaburze. – Sami się pozabijali, a ja tylko...

– Łżesz! – Głos zadrzał. Stojący na skarpie musiał się go bać. – Pistolet wyciągnij, odrzuć! Powoli!

Kruk tak właśnie postąpił. Stojący na górze zawołał: – Witiaż! Zachar! Ej, chłopaki! Ty! Oni naprawdę nie żyją?!

– Naprawdę. Ale nie ja ich zabiłem, tylko Karp.

– Karp... – Imię wybrzmiało razem z nutami goryczy, żalu i niechęci. – Resztę broni też wyrzucić!

– A niby dlaczego myślisz, że mam jeszcze coś?

Teraz już lepiej widział stojącego na skarpie. Pierwsze wrażenie nie zwiodło, tamten był jeszcze młodzieńki. Ostry, wąski nos, delikatne rysy twarzy, wąskie ramiona. Chudy. Krótka kurteczka z kołnierzem z baraniego futra, spodnie od dresu. Na głowie czapka... Kruk z tej odległości nie był pewien, ale domyślał się, że z boku przyszyty jest skórzany emblemat z kręgiem przekreślonym krzyżem.

Pamiętał mapy Polesia. Miasto było niemalże idealnie okrągłe, przecięte przez dwie główne ulice... Czyżby właśnie o to chodziło? Chudy ścisnął skróconego kałasznikowa ze składaną rękojeścią, tak zwaną „plujkę”, szczególnie przez Kruka poważaną, ale nie mniej śmiercionośną.

– Coś na pewno jeszcze masz! Albo palną, albo noże pochowane! – Każdą frazę nosaty chudzielec niemalże wykrzykiwał dyszkantem, a karabin bujał się i tańczył. Niezależnie jak by się denerwował, z tej odległości nie mógł nie trafić. – Płaszcz zdejmuj! I sweter też!

Kruk nie miał ochoty, żeby tamten zobaczył „krwawokwiat” na jego ramieniu. Rozłożył tylko ręce, z fałszywym uśmiechem rzucił: – No dobra, przejrzałeś mnie...

Uniósł lewą nogę, zadarł nogawkę i wyciągnął z kabury pistolet.

– Powoli!! – zapiał chudy, spiął się i szarpnął spust. Huknął strzał.

Kałaszem rzuciło, chudy prawie spadł ze skarpy. Kula wizgnęła Krukowi nad uchem, plasnęła w mokrą ziemię. A może i nie w ziemię...

– Spokojnie, idioto! – warknął Kruk, odrzucając pistolet na bok.

– Boże Przenajświętszy, zabiłem go! – wrzasnął chudy. – Zabiłem Karpia...!

– Boga do tego nie mieszaj. Ty raczej nie, już nie żył. Mała różnica. No dobrze, nie mam broni. I co?

– We... wejdź tutaj, na górę – powiedział tamten niepewnie.

– Tędy nie dam rady – uciął Kruk spokojnie. – Zbyt stromo.

– A o, tamtędy po lewej wejdź. I nie kłócić mi się tu! – Nosacz prawie krzyknął, próbując udawać pewność siebie.

Kruk przeszedł nad ciałem, zaczął powoli wspinać po piaskowym osuwisku. Chłopaczek przesunął się równolegle, wciąż trzymając go na muszce „plujki”. Patrzył z pewnym zdziwieniem na przykurzonego i nieforemnego Kruka, teraz pozbawionego płaszcza, szczególnie wgapiając się w różnokolorowe oczy i

podobną do kleszczy lewą dłoń.

– Dlaczego ich zabiłeś?

– A co, widziałeś może?

– Odpowiadaj!

– Jak się zjawilem, to jeden już nie żył, a ten siwy walczył z Karpiem. Karp zadźgał jego i rzucił się na mnie. Więc go zastrzeliłem.

– Ale on przecież... ty nie... – Chudy przygryzł wargę, ale zreflektował się i spróbował pokryć nieostrożność grymasem, robiąc minę rzekomo doświadczonego twardziela. Wyszło, jak wyszło. – To skąd wiesz, jak Karp miał na imię?

– Siwy tak na niego zawołał. – Kruk wzruszył ramionami.

Nagle jęknął i westchnął, patrząc na kogoś stojącego najwyraźniej za chudzielcem, i zrobił krok w tył. Ten drgnął, rzucił przerażonym spojrzeniem przez ramię... a Kruk skoczył ku niemu, przykurczoną ręką złapał za karabinek, a drugą co siły walnął nosatego w szczękę. Tego aż obróciło, zerwało mu pas nośny z ramienia, a potem padł jak długi.

Kruk już zamachnął się, żeby wyrzucić broń do jeziora, ale zmienił zdanie. Lepszy karabin w ręku niż dwa pistolety na brzegu.

– Sztuczka stara i prymitywna, a nadal działa – mruknął, lekko pukając chudego w żebra czubkiem buta. – Jakbym wrzasnął: „Ach, któż to taki?!”, pewnie byś się zorientował, że to kit. A tak... reakcje organizmu szybsze, niż mózg się włącza. No już, powstań.

Tamten podniósł się, patrząc przerażonym wzrokiem na jeszcze niedawno swój karabinek. Przełknął ślinę i rzucił z mieszaniną strachu i goryczy: – A mówiłem, że jesteś mordercą!

– A ty jednym z podróżników – warknął Kruk. Chłopak drgnął i mimowolnie sięgnął ku czapce, na której faktycznie widać było skórzany emblemat. – Teraz ja pytam, ty odpowiadasz. Imię?

– Nie twoja sprawa!

Kruk westchnął i dźgnął chudego lufą prosto w nos. Tamten jęknął, znów upadł na ziemię, krwawiąc.

– Chusteczkę masz? – zainteresował się Kruk. – To wyciągnij i se przyłóż. Następnym razem w oko dźgnę, a potem kula w kolano. To dopiero boli. Jeszcze raz: imię?

– To... Tosza – burknął chudy przez szybko nasiąkającą krwią brudną szmatkę. – Tosza Mściciel.

– Jesteś z klanu podróżników. Nie sądziłem, że jeszcze istniejecie. Tamci trzej też byli wasi. No, dwaj na pewno. Zgadza się?

Nie powtarzał pytania, nie podnosił głosu. Kiedy Tosza nie odpowiedział, po prostu złapał go za włosy i zamachnął się karabinkiem. Wystarczyło. Zza szmatki rozległo się: – Tak, tak! Jesteśmy podróżnikami! No i co z tego? Co ci do tego, ha?!

– Nie drzyj się. Skoro tak, to o co tamtym poszło? – Kruk znał już odpowiedź, ale nie chciał się z tym zdradzić. Tosza nie mógł mieć nawet cienia podejrzenia co do tego, co się stało z „krwawokwiatem”. – Widziałem przecież, jak Karp zabijał siwego. Ten pierwszy już wtedy stygł. O co im poszło?

Tosza zadarł głowę, pociągnął nosem. Wytarł krew z brody. Rzucił szmatkę na ziemię i odezwał się: – Siwy to Zachar, ten drugi Witiaż. Karp też był nasz, ale... gdzieś się zaraził... No, przyczepił się do niego „krwawokwiat”!

– A, czyli tak! – pokiwał Kruk. – No proszę. I co?

– I... – Tosza patrzył na karabin celujący mu prosto w brzuch. – I nie od razu się zorientowaliśmy, bo nie powiedział.

Karp myślał, że mu Pan Bóg pomoże. Zachowa od szatańskiego pomiotu. Trzymał się, ile dał radę, a potem... potem się rzucił. Zabił Mańka. To był jeden z naszych, dzieciak zupełnie jeszcze.

– Sam jeszcze jesteś dzieciuch.

– Mam dwadzieścia lat! Prawie.

– No to mówię przecież.

– Maniek nawet szesnastki nie miał. On był... z seminarium, no diakonem. Jego nasz ojczulek, Prorok, sam przyprowadził. A Karp jego, Mańka, to jest, zabił i... – Tosza westchnął spazmatycznie. – I wypił. A potem uciekł. Karp, on w głębi duszy był dobry, tylko że pod „krwawokwiatem” nie mógł pewnie inaczej. I

wtedy ojczulek mówi: „Trzeba dogonić i duszę na spoczynek wysłać. Dla jego dobra własnego, bo jak nie, to Karp jeszcze innych wypije”. Panu Bogu niemiłe są te... ludzie– symbionci... diabelskie nasienie. Zachar i Witiaż poszli szukać Karpią, ja chciałem, ale Prorok nie puścił. No więc ja po ich śladzie...

– Dobra, dość – przerwał Kruk. – Teraz zejdziesz na dół, pozbierasz moją broń i w zębach tu przyniesiesz. Dwa pistolety, za lufę dwoma palcami masz trzymać. I płaszcz weź. Ruchy.

– Ale jak to... dlaczego mi rozkazuje? – zdziwił się Tosza.

– Bo teraz ja mam karabin. No już, ruchy! – Kruk pokazał ruchem lufy. Nosacz nabzdyczył się, ale poszedł. – Ilu was teraz zostało w klanie? – zawołał Kruk, patrząc z góry, jak Tosza, omijając Karpią szerokim łukiem, zbiera płaszcz i broń.

– Nic ci nie powiem! Jesteś szpiegiem!

– A ty chyba niedorozwinięty. Kogo mam szpiegować, dla kogo?

– Mamy... wielu wrogów! Każdy chce się dowiedzieć, jak trafić do Miasta!

– Dzieciaku, ale ja już tu jestem! – Kruk pokazał na siebie ręką, czując, że traci ciepłowość. – Broń za lufę... o tak. Płaszcz na ramię narzuć. I z powrotem. Którędy stąd do Zagubionego Miasta?

– Tam – odburknął Tosza ponuro, kładąc płaszcz i pistolety przed Krukiem i pokazując ruchem głowy wzdłuż brzegu.

Ze skarpy było widać, że jezioro wygina się długim łukiem, na którym stoi ruda od rdzy barka z przypominającą archaiczną pogłębiarkę konstrukcją na dziobie.



– „Tam”, czyli którą? Daleko stąd do Polesia?

– Dwa kilometry może. Ale za tą zatoką jezioro się zamienia w trzęsawisko, lepiej obejść. Czyli ze cztery w sumie.

– Gdzie wasz obóz?

– A po co ci to wiedzieć?

– Odsuń się. Dwa kroki.

Tosza niepewnie odsunął się, a Kruk podniósł pistolety. Wsunął jeden do kabury na nodze, drugi zapiął w szelkach pod pachą. Poprawił płaszcz, znów wziął chudego nosacza na muszkę kałasza i odezwał się: – Kiedyś byliście ludźmi Wiedźmaka. To on założył klan podróżników, żeby szukać drogi do Polesia. A wy ją znaleźliście...

– Wiedźmak to apostata, przeklęty zdrajca! Przez Boga i ludzi potępiony! Nie człowiek już, a demon, demon w ciele ludzkim! – zdenerwował się nagle Tosza, jak gdyby imię byłego lidera klanu włączyło w nim tryb fanatyka.

– Sam przeklęty jestem – mruknął Kruk. Ciekawe, dokąd dopełzył już „krwawokwiat”? – pomyślał. Prawie go nie czuł pod ubraniem. Na głos powiedział tylko: – Słyszałem, że podróżnicy się z Wiedźmakiem dawno już pokłócili, a dla mnie on też jest wrogiem. Dlatego chcę się widzieć z waszym Prorokiem, to on u was rządzi, tak? Możemy połączyć siły. Ilu was zostało, gdzie obóz, pytam?

– Siedmiu nas jest, wszyscy teraz w obozie! Obóz... na skraju bagna. Tam dalej, za łąką, gdzie ziemia jeszcze jest miękka, ale już nie grzęzawisko. Straże stoją i jeśli się im nie spodobaś, to...

– I dlatego mnie tam poprowadzisz – przerwał mu Kruk. – No już, ruszaj przodem, Tosza. I żadnych głupot. Nie strugaj bohatera, bo dostaniesz kulkę.

– Ale... ale przecież ich pochować trzeba!

Popatrzyli obydwaj na ciała w dole.

– Co, masz ochotę jeszcze raz szczęścia spróbować, obok Karpią przejść? – zapytał Kruk. – Jeśli nie wiesz, to ci powiem: „krwawokwiat” po śmierci nosiciela od razu szuka nowego. A przemieszcza się naprawdę szybko, jeden taki mi mówił, że podobno na krótkich dystansach teleportuje.

– Ej no, to przecież bzdury – zasepił się Tosza. – Dobra, ale Zachara i Witiazia, przynajmniej ich...? Czy jak...?

– Jak wrócisz, to pochowasz. Ale już sam – uciał Kruk i szturchnął jeńca lufą w plecy. – Dalej, idziemy!

– Ty bydlaku!

– Kruki są ptakami, jeśli już. No dalej, podróżniku. Muszę się z waszym Prorokiem rozmówić, dopóki Wiedźmak ze swoimi ludźmi nie odeszli daleko.

Stanąwszy na betonowym nawisie ponad balkonem najwyższego piętra. Chemik popatrzył w dół. Przykucnął, odwrócił do ulicy plecami. Spuścił nogi za krawędź, prześliznął się ponad barierką, wylądował na balkonie i od razu poderwał.

Szkło w drzwiach było wybite, więc wsadził rękę i przekręcił klamkę, ale najpierw zerknął jeszcze w dół. Oddział Wiedźmaka minął przecnicę przy jego bloku i miarowo szedł coraz dalej. Nawet stąd widać było otoczoną czarnym wichrem dymu dziurę w przestrzeni tam, gdzie na plecach łysego przewodora powinien być plecak z „okiem zła”. Poprzez ciemność przeświecał przemieszczający się skokami jasny punkt „udar”, tkwiącego w rękojeści kostura czarownika.

Chemik popchnął drzwi i wszedł do niedużego, dwupokojowego mieszkania. Przystanął. Miał wrażenie, że nie jest tam sam. W pokoiku stała porwana kanapa, stół i krzesła, meblościanka, w rogu tkwił antyczny telewizor. Wyglądało to tak, jakby gospodarze wyszli tylko na moment z zamiarem powrotu lada chwila: w ciemnym korytarzu na wieszaku wciąż tkwił płaszcz i dwie kurtki, odbijające się w zakurzonej lustrze. Pusto. Cicho. Mrocznie... A mimo to wydawało się, że gdzieś obok, w sąsiednim pokoju, ktoś jest.

Wrażenie obecności nie było może groźne, ale tak wyraźne i sugestywne, że Chemik dosłownie schował się z korytarza do pokoju obok.

Poustawiane na półkach zabawki, mały stolik i krzeselko, do szafy poprzyczepiane rysunki kredkami. A na ścianie...

Chemik już, już miał wyjść, ale zamarł. Nad dziecięcym łóżeczkiem czerniała sylwetka – zupełnie mała, jak plama sadzy na tle tapety w niedźwiadki i zajaczki. Jak gdyby dziecko siedziało na łóżku plecami do ściany i nagle zniknęło, a cień został. Widać było nawet wijące się wokół głowy loczki... Dziewczynka? Albo kędzierzawy chłopczyk.

Nie mogąc oderwać wzroku od sylwetki, zrobił dwa kroki do tyłu. Sam był przecież racjonalistą do szpiku kości, wojującym ateistą i lewackim sceptykiem, nie wierzył w żadne mistyczne brednie ani nawet bioenergoterapię, ale to...

Jakimi prawami fizyki, chemii czy biologii można było wyjaśnić to?! W jakim nieznanym wymiarze się znalazł? Przecież to wymykało się ziemskiej nauce!

Podobnie jak głuchy szept, który nie opuszczał go od chwili, gdy znalazł się na dachu. Odległy, mruczący szmer wielu głosów. O czymś takim mówił Garsteczka, a teraz zamknięty w ciele hipera Chemik sam to słyszał i czuł.

Przyłapał się na tym, że kiedy tylko przestaje się poruszać, wstrzymuje oddech i zamiera, czując, jak wzbiera w nim panika. Całe to miejsce, to miasto... wciągało w siebie, niczym wir. Z pozoru niegroźny, cichy i milczący. A tak naprawdę pełen upiórów.

Chemik otrząsnął się, sięgnął do wieszaka. Szybko przejrzał ubrania, powyciągał szuflady z komody w rogu. W najniższej oprócz szmatek i szczotek znalazł solidne robocze spodnie, powycierane i połatane, ale w miarę czyste. Przyłożył do talii i naciągnął na wierzch skórzanych szortów, narzucił na ramiona lekką kurtkę. Ciało hipera praktycznie nie traciło ciepła, a mimo to chwilami było mu po prostu zimno.

Otworzył drzwi na klatkę schodową. Po raz ostatni omiół wzrokiem milczące mieszkanie duchów przeszłości, a potem wyszedł.

Schody też były puste i ciche. Chemik zbiegł w dół, ale na kolejnym półpiętrze stanął jak wryty. Na zgięciu poręczy stała puszka po konserwach, przerobiona na popielniczkę, pełna petów.

Jeden niedopałek, położony na odgiętym wieczku, wciąż dymił.

Chemik chwycił się poręczy, wlepił wzrok w puszkę i zasyczał ze zdziwienia. Zorientował się, co robi, ogarnął go wstyd i przygryzł wargę.

Ktoś tu dopiero co był? Popatrzył na puste półpiętro i drzwi mieszkań na drugim i trzecim piętrze. Ktoś tu stał i palił, usłyszał jego kroki, nie zdążył zabrać papierosa i schował się do jednego z mieszkań? Niemożliwe, przecież blok był pusty!

Nie tylko blok, a całe miasto, był tu tylko on i oddział Wiedźmaka.

Gotów był przed samym sobą przysięgać – a mimo to niedopałek tlił się, strużka sinawego dymu wiła i wyginała w nieruchomym powietrzu.

Głęboka, nienaturalna cisza bloku mieszkalnego była niczym szkło. Gigantyczna masa idealnie przezroczystego szkła, w której zatopiono Chemika. I znów to odczucie, że kiedy stajesz bez ruchu, to nogi przyrastają do podłoża. Myśli ulatują, ciało nagle drętwieje, a świat gdzieś odpływa. Znika przeszłość i przyszłość, nie ma już wspomnień ani celów.

Rozpuszczasz się w tej ciszy Zagubionego Miasta i znikasz – tak samo jak zniknęli jego mieszkańcy.

Chemik obejrzał się na ścianę, oczekując, że zaraz pojawi się tam cień, sylwetka... A potem warknął, wyszczerzył kły w złości. Wiedźmak i jego ludzie byli coraz dalej! Przecież nie miał czasu, nie powinien tu tkwić i roztrzaskać nie wiadomo czego! Ruszać się trzeba, robić coś, cokolwiek, pędzić przed siebie.

Brać przykład z Garsteczki. Tak jak on zawsze rzucać się głową naprzód pod falę i wypływać na powierzchnię z uśmiechem tryumfu.

Otrząsnął się, parsknął i zbiegł na dół. Wypadł z klatki schodowej, najpierw pobiegł po ulicy, potem zwolnił do szybkiego marszu. Próbował nie oddalać się od ścian, żeby nie było go zbyt widać na ulicach, ale z drugiej strony omijał łukiem ciemne sylwetki na murze. Już najmniej miałby ochotę jednej z nich dotknąć! Nie mógł oprzeć się uczuciu, że ciemny kontur wessie go w siebie, niczym jakaś czarna dziura, i rzuci w półprzestrzeń między dwoma wymiarami. W taki międzyświat, zasiedlony tylko przez wysrane do cna wydmuszki ludzi.

Ulice miasta zasiedlały duchy. Nie widział ich, ale niemalże słyszał szum opon, stłumione głosy przechodniów, pobrzękiwanie talerzyków w kawiarni i ciche buczenie maszyny do kawy. Szum i gwar ze sklepu samoobsługowego, pisk sygnalizatora na przejściu dla pieszych. Ci ludzie, starzy i młodzi, dorośli i dzieci, byli na wyciągnięcie ręki... ale gdzieś indziej.

I właśnie stamtąd, na pograniczu postrzegania, niósł się szept z innego czasu i miejsca.

Sylwetki wargów i ludzi, prawdziwe, majaczyły w oddali. Chemik znów puścił się biegiem, tłumiąc w sobie impuls, żeby popędzić na czworaka, niczym zwierzę.

Kwadrat bloków kończył się poprzeczną ulicą, na rogu której płonęła furgonetka z namalowaną na boku zadowoloną krową. Po prostu stała sobie za rogiem i płonęła, z części ładunkowej walił czarny, gęsty dym, w którego kłębach przebłyskiwały płomienie.

Ogień strzelił długim jęzorem, dym buchnął czarną chmurą, która potem zamieniła się w koło. Chemik zamarł tak samo jak tych parę minut temu, przy popielniczce z niedopałkiem. Ludzie Wiedźmaka podpalili tę ciężarówkę, tak? Dosłownie przed chwilą? Ale po co...? Bzdura jakaś! Ponadto nie był przecież tak daleko, słyszałby już huk płomieni, albo odgłos wybuchu – cokolwiek!

Sylwetki znów pokazały się pomiędzy blokami, oddział wyszedł na otwartą przestrzeń. Chemik już chciał za nimi ruszyć, ale zatrzymał się. Kątem oka zauważył, jak ogień strzelił długim jęzorem, a dym buchnął czarną chmurą, która potem zamieniła się w koło, powoli rozwiewające się w szarą nicłość.

– Ale... jak to? – szepnął sam do siebie. – Znowu?

Samochód płonął jak i wcześniej. To znaczy: dokładnie tak jak i wcześniej. Ogień nie wzmógł się ani nie rozniósł, ale też nie osłabł. Po prostu płonął... i płonął... i płonął. I znów jęzor ognia, kłęb dymu przechodzący w koło. Jakby ktoś zapętlilił gifa.

– Pętla czasu? Czy... czy co znowu? Świat na stopklatce!

Na jego oczach wszystko powtórzyło się kolejny raz. Chemik uderzył dłonią o dłoń w bezsilnym zdziwieniu. Co za miasto! Nie było widać ani jednej anomalii, brak artefaktów, wydawało się, że nie ma też mutantów. Za to samo miasto...

to miasto mutowało!

Polesie przypominało gigantyczny organizm. Miasto– mutant. Przedziwny, niespotykany, zadziwiający. Ale wszystko to nie zmieniało faktu, że Chemik chciał uratować Nikę.

Po raz kolejny otrząsnął się z dziwnego transu spowijającego miasto. Jak gdyby zatrzymując się na chwilę, sam mimowolnie stawał się częścią zaburzonego kontinuum miasta, a czas i przestrzeń krystalizowały się wokół niego twardą, szklistą masą. I powoli oblepiały, jak muchę w żywicy.

Chemik trzasnął się dłonią w pysk. Podświadomość zareagowała na uderzenie rozbłyskiem pierwotnego gniewu.

Intrygujące, swoją drogą: pierwszą odruchową reakcją na uderzenie była chęć oddania ciosu, ale komu? Samemu sobie?

Nie było czasu na analizę i syntezę reakcji jego pod- ani nadświadomości, przeplecionej teraz ze znikającym umysłem hipera. Zerwał się z miejsca, pobiegł, ale od razu zwolnił. Zbyt gwałtowny ruch w tym mauzoleum niepotrzebnie przyciągnie uwagę tych, za którymi chciał niepostrzeżenie iść.

Przed nim widać już było okrągły plac. Po prawej stały budynki centrum handlowego, po lewej – skwerek z drzewami i ławeczkami. Pośrodku betonowy okrąg fontanny z potłuczoną rzeźbą na szczycie, a za nią, po drugiej stronie, przysadzisty budynek z kamiennym gankiem i kolumnami. Pod szyldem, na którym trzymały się jeszcze tylko trzy litery, ...EUM, widniały otwarte na oścież, podwójne drzwi.

Wargowie zatrzymali się przed wejściem i z bronią w gotowości okrążyli Wiedźmaka i Nikę. Chemik obserwował to, zgięty wół. Wiedźmak zdjął plecak z ramienia, Rysio wszedł po schodkach, ale od razu wrócił. Rob zarzucił karabin na plecy i przechadzał się po podeście.

Chemik powoli przesuwiał się naprzód, skryty za wysokim brzegiem fontanny. To muzeum... to właśnie tutaj kiedyś pracował Wiedźmak, wtedy jeszcze jako Borys Grigoriewicz Wiedźmakow. A wewnątrz spoczywało to, co odnalazł podczas ekspedycji w okolicach Polesia. „Obiekt”, z którego profesor Kaufmann zdjął „oko zła”, co doprowadziło do przejścia pierwszej Fali.

Aż ciężko było patrzeć w tamtą stronę, bo muzeum pulsowało. Cały budynek falował, niczym odbicie w tafli wody, a Chemik wyraźnie to widział wyczulonymi oczami hipera. Ciekawe, jak by to wyglądało, gdyby pozostał w ciele człowieka? Hiper najwyraźniej dysponował narzędziami postrzegania, których człowiek po prostu nie posiadał, no chyba że był szamanem.

Wnosząc po tym, jak przestępował z nogi na nogę Rysio, on też czuł ciśnienie płynące z wnętrza muzeum. Wargowie nie pokazywali po sobie nic.

Wiedźmak wszedł kilka stopni wyżej, ciągnąc za sobą kulejącą Nikę. Tymczasem Chemik, powstrzymując się siłą, żeby nie zacząć skradać się na czterech, dotarł do fontanny i przycupnął za jej brzegiem.

Szaman rzucił plecak na ziemię i podniósł „oko zła” wysoko nad głowę. Dla Chemika artefakt wyglądał jak plama ciemności, niczym nieduża dziura, w której tonęła pięść byłego handlarza.

Nika chciała się odsunąć, wargowie obejrzel się, a Rysiu schował za kolumną. Górujący nad pozostałymi Rob zawołał coś do szaroskórych, a ci znów odwrócili się przodem do placu. Twarz wodza-olbrzyma pozostawała niewzruszona; kto jednak chował się za tymi spokojnymi oczami? Wojownik Arhar czy major Titomir? Czy też ci dwaj nieodwracalnie zamienili się w kogoś trzeciego, w człowieka- wargę Roba?

Wiedźmak popchnął Nikę ku drzwiom i ruszył za nią, wznosząc „oko” nad głowę. Poły długiego palta kołysały się ciężko, kostur z pobłyskującym artefaktem głośno stukał o stopnie. Widać było, że łysy szaman zamierza wejść do muzeum!

To mogło sprowadzić kolejną Falę, więc Chemik obejrzał się nerwowo, szukając potencjalnej kryjówki. Żeby się nie ujawnić, mógł tylko cofnąć się przez plac, tą samą drogą. Możliwe, że trzeba będzie na ulicy nurkować do którejś z piwnic pod blokami...

Rob uniósł głowę, popatrzył w kierunku fontanny. Żwawym krokiem zszedł z ganku. Doniósł się głos Rysia: „Co tam?”, w odpowiedzi przywódca wargów zrobił tylko gest, pokazując, żeby reszta została na pozycjach. Mógł albo zauważyć obserwatora, albo poczuć, że coś jest nie tak!

Chemik zaczął pełznąć na kolanach w tył.

Wiedźmak po raz kolejny popchnął Nikę ku drzwiom, ta zapiszczała, spróbowała go uderzyć, ale potem pokuśtykała wzdłuż ściany. Wiedźmak szedł za nią, w dowolnej chwili gotów złapać za ramię.

Chemik pełzł coraz dalej i szybciej. W pewnej chwili Rob skoczył naprzód, wdrapał się na brzeg

fontanny od strony muzeum. Machnął ręką w rękawicy, na wierzchniej stronie coś błysnęło. „Asur”, przypomniał sobie Chemik, tak tę rękawicę nazwał wcześniej jeden z ludzi Wiedźmaka.

„Asur” zamigotał, a od nadgarstka rozwinęła się długa, falująca linia. Rob zamachnął się, jak do uderzenia długim batem, i szarpnął ręką w tył. Końcówka linii pomknęła ku Chemikowi i trzasnęła w murek fontanny, za którym się ukrywał.

Huk był ogłuszający. W twarz sypnęły mu się drobne kamyki, Chemik odskoczył i upadł, przetoczył się na bok i zerwał na nogi. Zobaczył, jak Rob pędzi po murku potężnymi susami, wznosząc rękę do drugiego ciosu, rozpalając wypływający z rękawicy bat, i zrozumiał, że po prostu nie zdąży uciec.

W miejscu, gdzie smagnął plazmowy bat, murek przestał istnieć. Asfalt w jego najbliższej okolicy też, łącznie z kawałkiem podziemnej rury doprowadzającej do fontanny wodę.

Rysio krzyknął, ruszyli się wargowie. Wiedźmak złapał chcąc uciec Nikę, pociągnął z powrotem ku drzwiom.

Przeplływające po muzeum fale nabrały intensywności.

Rob jeszcze w biegu machnął ręką, wyprowadzając drugie uderzenie. Chemik miał jedyną szansę na ratunek: zamiast uciekać dalej przez pustą przestrzeń i robić z siebie idealny cel, zawrócił w miejscu i skoczył do dziury.

Upadł na potężną rurę, rozpląszczył na niej jak naleśnik. Rzucił się w bok, zjechał i zawisł plecami do dołu, trzymając się samą brutalną siłą rąk i nóg. Wykręcił głowę w tył, próbując dojrzeć, co też znajduje się pod nim. Chyba studzienka kanalizacyjna...

Gdy nad nim zadudniły kroki, Chemik po prostu rozluźnił chwyt i poleciał na łeb na szyję w dół.



Wielka, czarna lufa popatrzyła wprost na Garsteczkę, a ten zrozumiał: no, jak zaraz pierdyknie...! I będzie koniec, nieodwołalny koniec byłego narkokuriera i handlarza artefaktami Pawła, zwanego Garsteczką, porządnego i nieco zbyt porywczego ziomka.

Kryształ w otwartym tytanitowym dysku mignął światłem, a sam dysk zawibrował krótko. Jakby przekazał sygnał.

Chociaż, dlaczego „jakby”? Chyba tak właśnie było. Wóz pancerny znów zawarczał i zabuczał, a karabin wjechał z powrotem. Wieżyczka zamknęła się. Zapadła cisza.

– Job waszu mać! – Garsteczka splunął na ziemię. – I co dalej?

Kryształ powolutku przygasał. Garsteczka powoli ruszył ku transporterowi, trzymając kościany sierp pod pachą, a w ręku ściskając pistolet. Jeśli maszyna znów ożyje, to on chyba... Ale nie stało się nic. Najwyraźniej dysk z mikroczipem był czymś na kształt klucza zbliżeniowego. Wymienił się teraz z elektroniką transportera sygnałem „swój– obcy”, po czym Garsteczka został uznany za część załogi, a gąsienicowa pokraka pokochała go całą swą na wpół usmażoną elektroniką, już teraz szykując się na przyjęcie go w swe stalowe objęcia.

Idąc przez plac zabaw, potknął się o czaszkę. Ludzką. Do połowy wrośniętą w ziemię, patrzącą pustymi oczodołami.

Potem coś błysnęło na skraju piaskownicy, więc Garsteczka podszedł bliżej i zobaczył kości. I jeszcze dwa czerepy w piasku. Bogu dzięki, nie dziecięce, bo aż mu się nieswojo w pierwszej chwili zrobiło. Nie, normalnej wielkości, dorosłe.

Pogrzebał czubkiem buta w piasku, wyciągnął karabinek– jedną z wersji amerykańskiej emki. Broń przeleżała tutaj nie wiadomo ile i nie nadawała się już pewnie do niczego, to w końcu nie kałasz... Ale mieć, a nie mieć? Garsteczka otrzepał karabinek, zarzucił na ramię. Się wyczyści, się zobaczy.

Tytanitowy dysk zrobił swoje, teraz siedział cicho, więc Garsteczka zamknął go i schował do kieszeni. Machając sierpem, obszedł transporter dookoła i przyjrzał się maszynie. Nie robiła ona, szczerze mówiąc, wrażenia jakiegoś cuda obcej technologii, jak co poniektóre rzeczy w Sektorze. Zwyczajny transporter gąsienicowy, chociaż nieznanego modelu i najpewniej samoróbka – tyle tylko, że nie sklepana w garażu, a złożona przez zawodowych mechaników, na zasadzie unikatowego egzemplarza.

Co prawda, wieża się otwierała, ale chyba tylko od środka, więc Garsteczka postanowił skorzystać z otwartego luku desantowego. Zanim jednak zanurkował do wnętrza, rozejrzał się po okolicy, na którą wcześniej nie zwrócił uwagi. Obok placu zabaw grząska, błotnista ziemia ustępowała już miejsca asfaltowi. Mocny, zauważalny kontrast, bo z jednej strony krzaczory i mgła, z drugiej już ulica wbiegająca prosto w miasto. Domy, klatki schodowe, witryny sklepów...

I ciemne postaci wypalone na ścianach, jak plamy sadzy w kształcie ludzi. Dorosłych i dzieci.

Zgasałe, milczące, wymarłe miasto. Żadnego ruchu jak okiem sięgnąć. Smutne i straszne. Nie miał wątpliwości, że przed nim rozciągało się właśnie Zagubione Miasto, bo cienie na ścianach były niczym

podpis malarza na płótnie obrazu.

Tylko gdzie byli Chemik i Kruk? Może włóczą się między domami, wołają jeden drugiego, szukają siebie nawzajem i jego przy okazji?

A jeszcze do tego Wiedźmak i jego ekipa. Też nie wiadomo gdzie.

Garsteczka zazwyczaj, gdy natykał się na wszelkie miejscowe dziwactwa albo nieznane urzędnienia czy niezrozumiałe sytuacje, szybko zaczynał się złościć. Teraz też miał ochotę splunąć na to miasto i jego cienie, po prostu się odwrócić i pójść w cholerę. No i co to ma być w ogóle? No ja się pytam co?! Na ten przykład zarzucony na ramię stary karabinek.

Pewnie brudny, pordzewiały i pozacinany, ale przynajmniej logiczny. Zaprojektowany i działający wedle normalnych zasad normalnej fizyki i chemii. Każdy się tego w szkole uczył. I kulami strzela normalnymi pewnie, ludzi zabija jak trzeba.

Wszystko jak należy.

A to, co to za cholerne kalkomanie poprzyklejane do murów?! Skąd się toto wzięło, po co i jak? Aż złość człowieka bierze, uch...!

No dobra, idziemy dalej. Garsteczka odłożył sierp na gąsienicę, poprawił chwyt na pistolecie i przez właz wsunął się do wnętrza transportera.

I od razu włożył broń do kabury, zataił radośnie ręce. Sufit był niziutko, trzeba było nie tylko się zgiąć, lecz niemalże czołgać, ale to było nieważne. Ważne były skrzynki stojące w półmroku przedziału bojowego. W jednej, po lewej, leżała amunicja i pudełeczka z nabojami, po prawej stało około tuzina kartonowych pudełek charakterystycznego kształtu.

Bez oznaczeń, bez napisów, bez zapachu, ale ślina napłynęła sama do ust. Garsteczka złapał jedno pudło, rozerwał karton... mamy kontakt! Kontakt z żarciem!

W środku leżała plastikowa łyżka i widelczyk, butelka z wodą, kilka puszek konserw, paczka herbatników, trójkącik ciasta, trzy paczuszki kawy, trzy herbaty... no i wszelakie różności. Znalazła się też jednorazowa grzałka na suchy spirytus, i chusteczki, i nawet szczoteczka do zębów... O, i buteleczka z alkoholem! No normalnie, po ludzku, jak trzeba.

Co prawda, nie wiadomo po jakiemu ludzku, bo nawet napisy były dziwne, nie po rosyjsku. Złapał za pierwszą puszkę, zaczął czytać.

Pasztet z dziczyzny.

Terrine of venison.

Le pate de venaison.

Polski, no to jeszcze, potem angielski, a to ostatnie pewnie hiszpański, albo włoski jakiś. I wszędzie tak samo, na każdej paczce trzy napisy i nic więcej: ani daty przydatności do spożycia, ani producenta, żadnych oznaczeń, logotypów, nic. Ot, ciekawostka.

Tak sobie myślał Garsteczka, wydłubując z dna puszki resztkę pasztetu, który wciągnął po prostu w mgnieniu oka, na bezdechu. Odkręcił butelkę, zajrzał. Coś bladoróżowego, mocno pachnącego owocami. Nie do końca to, co lubił, on by się wódki napił, albo łąskaczyka, ale darowanemu nie zagląda się w zęby. Obydwie butelczyny osuszył z przyłożenia, zagryzając wpychanymi do ust herbatnikami.

Rozerwał następny kartonik, wyciągnął kolejną butelkę owocowego paskudztwa. W drugą rękę wziął dla pewności solidny kawał migdałowego ciasta i tak uzbrojony ruszył na eksplorację głównego przedziału transportera.

Tutaj sklepienie było nieco wyżej, ale i tak nie dało się w pełni stanąć prosto, więc szedł zgięty jak paragraf. Na półce znalazł ledową latarkę, przy której mdłym światełku mógł jako tako się rozejrzeć.

Nietypowy przedział, praktycznie same monitory i ekrany. Garsteczka przyzwyczał się, że transportery wojskowe to raczej takie brzęczące, skrzypiące i jęczące góry poskręcane złomu, niemożliwego do popsucia nawet przez żołnierza piechoty. Pachnieć powinno rozgrzanym smarem i metalem... A tutaj były trzy fotele opływowych kształtów, otwarte półeczki, dźwignie, dżojstiki, nowoczesne panele sterowania. Wszędzie guma, szkło, plastik i poliwęglan.

Normalnie jak w kabinie promu kosmicznego, a nie w pudełku na gąsienicach.

W suficie były dwa włazy, jeden pewnie do wieżyczki, techniczny, żeby grzebać w mechanice

karabinu. Drugi bliżej dziobu, nieduży i okrągły, z rączką zamka.

I ani żywej duszy. Nawet ciał, nawet kości. Załoga musiała wyjść na zewnątrz, ale już nie wróciła – została na zawsze w piaskownicy w postaci rozrzuconych kości. Czy zabili ich ci sami sprawcy, którzy rozgromili obóz hiperów? Ale mieszkańcy bagna zginęli dopiero co, niemalże przed samym przybyciem Garsteczki, a ten transporter stoi tu już długie lata.

No dobrze, stoi to stoi. A czy da radę ruszyć? I w ogóle na co jeździ?

Garsteczka dojadł ciasto, wlał w siebie trzecią buteleczkę likieru i popatrzył jeszcze raz na martwe monitory i pulpity.

Przesunął zasłonkę szczeliny obserwacyjnej, wyjrzał przez pancerne szkło. Placyk zabaw, bloki Polesia, na nich ciemne sylwetki... nic nowego.

Zatem agregat napędowy musiał mieścić się pod podłogą, tak? A przecież nie pachniało ani benzyną, ani dieslem, niczym. Jeśli transporter jeździł na prąd, to akumulatory dawno już zdechły. Chociaż jego latarka jeszcze się paliła, ledwo, ledwo, ale mimo wszystko.

I znów ciekawostka: żadnych napisów ani oznaczeń nie ma, tylko cyfry i sygnatury umowne, zrozumiałe pewnie wyłącznie dla załogi. Wszystko zrobione tak, żeby nikt nie był w stanie określić pochodzenia ani maszyny, ani narodowości obsady. Z drugiej strony, karabinek był amerykański, czyli co – jednak jankesi?

E, bzdura. To tak jakby znaleźć kałasza i krzyknąć: „Rosjanie”!

Więc kości na zewnątrz należą do członków załogi. Jechali sobie spokojnie po bagnie, a potem skręcili i wbili się w plac zabaw, jakby kierowca prowadził po pijaku. Ludzie wyskoczyli na zewnątrz i praktycznie od razu zginęli.

Niejasne, ale nic innego nie przychodziło do głowy. Chemika by tu wpuścić, wszystko by obwąchał, obejrzał i na pewno wygłosił jakąś Bardzo Naukową Teorię.

Garsteczka odłożył latarkę na półkę i klapnął na fotel. Popatrzył na pulpit, na próbę przesunął w tę i we w tę kilka dźwigienek. Puknął w klawisze. Potem zobaczył u dołu krzywą dźwigienkę z plastikową poprzeczką, niewiele myśląc, pociągnął. Dźwignia z początku nie chciała ulec, aż w końcu szarpnął mocniej i przełożył w drugi koniec.

Pod podłogą zahuczało, na rufie szczęknął zamykający się właz. Przedział wyczuwalnie zadrżał. Oho! Czyli ruszyło, ale skąd bierze moc? Przypomniał sobie karabin z wieżyczki: broń była gotowa odpalić, jeszcze zanim włączył się napęd. Czyli wszystkie systemy były sprawne przez te długie miesiące, albo i lata? Nie do wiary!

No chyba że wszystko było związane na artefakty takie jak jego „pulsar”. Albo coś jeszcze mocniejszego.

Garsteczka uniósł głowę, bo dwa monitory zamigotały. Niewygodnie mu było w fotelu, więc zsunął się na podłogę i podkurczył nogi. Zrzucił karabinek z ramienia, ale zaczepił łokciem o krótką, pękatą wajchę, podobną do plastikowego kręgla. Ta szczęknęła i przeskoczyła na drugą stronę – na skraju pulpitu zapalił się mały, kwadratowy moniterek.

Garsteczka przyjrzał się wygiętym liniom, siatce koordynat... oho, mapa!

Proszę, proszę. Te plamy tutaj to jeziora, okrążające Zagubione Miasto w centrum Wstęgi. No, tak się mówi: „w centrum”. Tak naprawdę nie wiadomo, co i jak jest za Wstęgą, a tym bardziej gdzie. Siatka koordynat wariuje, śmigłowce i drony rozbijają się albo znikają, ludzie albo nie wracają, albo jakimś cudem omijają to miejsce i wychodzą gdzie indziej. Po prostu mijają Polesie, jak gdyby go nie widząc.

Chemik coś tam mówił o jakiejś wstędze Möbiusa, że niby takim zawinięciu czasoprzestrzeni, jak papier toaletowy czy coś. I niedoszli odkrywcy łążą po tym papierze w tę i z powrotem, niby widzą Miasto, ale nie mogą do niego dojść.

Tymczasem Polesie sobie stoi, gdzie stało. Więc okazuje się, że to nie ono jest Zagubionym Miastem, a raczej ludzie się gubią.

Na mapie widać było wytyczony białymi kropkami szlak, bardziej wyraźny niż inne linie. Biegł sobie do samego centrum miasta, gdzie kończył się małym prostokątem, a zaczynał u brzegu plamy, w której rozmywały się pozostałe linie. Czyli co, ten prostokąt to transporter? Możliwe, chociaż nie wiadomo, skąd jechał. No i jakim cudem tak równo, jak od linijki? Tak samo przez łąd, rzeczkę i jezioro.

Garsteczka pobawił się pokrętłami przy monitorze, usłyszał szum. Rozejrzał się, ale głośnika nigdzie nie było widać. Hm, czyżby mieli radiostację? Ale gdzie jest przełącznik kanałów, gdzie skala? Niczego takiego nie było widać, ale Garsteczka i tak odchrząknął, powiedział na próbę: – Halo, jest tam kto? Mówi Garsteczka!

Zbyt długo już wokół niego była tylko cisza, a on nie słyszał nic poza własnymi myślami. Miał ochotę trochę pogadać.

Wraz z jego słowami obok pokrętła skakała zielonkawa skala. Garsteczka odkaslnął i odezwał się głośniej: – Tu szeregowy Paweł Nowickij, odbiór! Czy ktoś mnie słyszy? Halo, odbiór!

Słupek potencjometru rósł i opadał, ale poza tym nie działał się nic. Czyjego słowa w ogóle idą w eter?

Garsteczka wstał, opierając się łokciem o fotel. Trzeba byłoby się dobrać do karabinu w wieżyczce, żeby zobaczyć, co za śmiertelna zabawka się tam kryje. Obejrzeć, doprowadzić do porządku, pomyśleć, co dalej. Coś jeszcze przegryźć i dygnąć buteleczkę – dwie likieru.

A potem się przespać.

Plan działania wytyczony, przyjęty, zatwierdzony. Przystępujemy do wykonania.

Ale z wykonania nic nie wyszło – przykryte siatką zagłębienie na pulpicie nagle ożyło głosem: – *Who's there?! Oh my God, captain Marduk, it is you?![1]*

– Hee... – zająknął się Garsteczka. – Aj em jor grendpa... Że co?

– *Ez Wil Kyssl Captain Marduk... Nem, nem Marduk! Ert engem?!*

Głos był rozchwiany, rwany. Albo przerażony, albo dziko szczęśliwy, trudno powiedzieć. Przeszkadzało jeszcze to, że z początku ktoś odezwał się w języku Szekspira, który Garsteczka znał raczej z filmów dla dorosłych, a potem w ogóle cholera wie po jakimu. Nie dało się odcyfrować ani emocji człowieka, ani nawet jego wieku. Ponadto dźwięk płynął i przelewał się, na zmianę narastając i cichnąc, jakby ktoś bawił się potencjometrem.

– Nie rozumiem cię! Nie – ro – zu – miem! – wyskandował Garsteczka głośno i wyraźnie. – Nie jestem żaden Marduk! Po rusku gadasz? Ruski!

– *Russian? Orosz? Nem tudom, az orosz nyelvet! Ki vagy te?!*

„Ki wagi te”... Coś jakby pytał: „a ty kto?”. A ja, kurwa, kto, co?! I co mu powiedzieć? Garsteczka westchnął, powiedział: – A ty niby kto? E, czekaj... Chuj ar ju? Chuj, się pytam, ar ju?

– *Senior assistant Wil Kyss![2]*

– Senior? – zdziwił się Garsteczka. – Jaki znów senior? Hiszpan czy co?



– *I'm not Spanish![3] Nem Olasz! Magyar! Nem Willie! Wil!*

– Nie Hiszpan, okej. I nie Willie, a Wil? Wil Kyss... No już, już, rozumiem, nie nerwuj się. Madziar, Madziar... Że niby Węgier? Egeszege buroki, tak? No już, już, nie drzyj się, węgierku ty mój! – Garsteczka machnął ręką, kiedy jego rozmówca kilka razy przeskoczył pomiędzy różnymi językami. – No i patrz no, a mnie uczyli strzelać do celu, a nie po angielsku szprechać. Wil Kyss, ta – ak... No to witam, towarzyszu Kyss. Kys maj es, he, he... A ja Paweł jestem. Paweł Nowickij aj em! Ale reaguję na Garsteczka.

– Paweł?

– Maj nejm yz Paweł, tak. Słuchaj, Madziar, a gdzie ty jesteś? Kurde, czekaj, jak to po waszemu, z wódką by łatwiej poszło... Łer ar ju? Łer ar ju, brader Willie?

Głos „bradera Willie” opadł do szeptu, niemalże ginącego w szumach zakłóceń: – *It's a maze ofpyramid worlds.[4]*

– Że co?

– *I am above pyramid worlds. A piramis a vilag! Ark! Here is terrible and wandering monsters! Nightmarish worms! Red water, red water![5]*

– Tfu, cholera, powoli! Przecież cię nie rozumiem! – Garsteczka klasnęła dłońmi. – Ark? Jaki znów ark, do cholery?

Piramidy? Coś ty, do Egiptu cię miotnęło? Ty mi powiedz lepiej, czy transporter przyjechał z tego miejsca, gdzie ty teraz jesteś? Koordynaty możesz podać? Daj, to ja cię znajdę, mam przecież mapę z siatką. *Coordinates tofuckyour mother!*

No, już!

Wil Kyss coś odpowiedział, ale jego głos odpłynął i zanikł. Przez eter przetoczyła się fala dudnień i pisków, która zupełnie pochłonęła transmisję. Potem coś pisnęło w pulpicie, nad głową zahuczało i załomotało. Garsteczka chwycił za pistolet, zerwał się, krzyknął jeszcze: „Czekaj, coś się dzieje!” i szarpnął dźwignię zamka na włązie. Otworzył, wyjrzał.

Wieżyczka była otwarta, karabin wysunął się na zewnątrz. Garsteczka wychylił się dalej i zadarł głowę, patrząc, jak dokładnie nad nim przesuwają się owalna w przekroju lufa karabinu. Tak, pulsar! Bardzo podobny, tak samo opływowy i czarny jak jego strzelba.

Karabin ustawił się w kierunku Polesia i zahuczał, ładując się do strzału. Dźwięk był inny niż w pulsarze, o wiele głębszy i donośniejszy. Karabin? Ha, raczej działko. Anomalna haubica, jej mać.

Tylko na kogo albo na co zareagowała?

Garsteczka odwrócił się w kierunku Zagubionego Miasta, zmrużył oczy. Na ulicy za płacykiem zabaw pojawiła się, niczym spod ziemi, jakaś sylwetka.

Tosza szedł przodem po skraju skarpy, która stopniowo schodziła coraz niżej, powoli zamieniając się w zwykły, płaski brzeg.

– Dlaczego ptak? – odezwał się.

– Co?

– Dlaczego tak o sobie powiedziałaś?

– Bo tak mnie wołają, Czerwony Kruk.

Nosaty obejrzał się, zdziwiony. Było jasne, że taką ksywę słyszy pierwszy raz w życiu. Albo młody włóczęga bardzo słabo orientował się w tym, co działo się w Sektorze, albo podróżnicy już tak długo mieszkali po tej stronie Wstęgi, że nie znali wieści z ostatniego półrocza – odkąd Kruk stał się na tyle niesławny, że mało kto nie życzył mu śmierci.

– Kruki czerwonopióre, przecież są takie, prawda? – Tosza nadal wypytywał. – Rzadkie, tak słyszałem, na inne ptaki polują. Masaj tak mówił, a on się znał na lokalnej zwierzynie. Mówił, że w Sektorze jest unikatowy ekosystem.

– Zamknij się.

Szli wzdłuż łąchy, płynnie wyginającej się w lewo, powoli zbliżając ku pogłębiarce. Kruk jako pierwszy zauważył lekkie bulgotanie wody przy brzegu, jakby ktoś wsadził tam grzałkę.

– Znamię! – jęknął Tosza. – Uważaj, to przecież znamię! Nie było go tutaj, kiedy ja... Dopiero się pojawiło!

– Jakie znów znamię? Zwykły „czajnik”, anomalia. Odsuń się po prostu od wody.

– Piętno diabelskie! Znamię szatana na świecie naszym doczesnym.

– Co ty pieprzysz? Prorok wam takie rzeczy opowiada?

– Nie. – Tosza potrząsnęła głową, omijając ostrożnie bulgoczący mocniej „czajnik”. – Masaj o tym mówił. A ty jak sądzisz, czym są te znamiona diabelskie?

– Anomalie zwykłe. Każdy wie przecież.

– I niby czym są? – podniósł głos nosaty młodzik. – O, mówią ludzie: „anomalia”! A cóż to znaczy niby? A– no– ma– lia...

hę?! Jak gdyby coś to mówiło, powie ktoś: „anomalia” i wszystko jasne, tak? A to tylko słowo, puste słowo. Nic nie znaczy!

– Tak samo twoje znamię, czy tam piętno. Też słowo.

– To słowo, które zawiera w sobie cząstkę istoty! Wskazuje na prawdziwą, niewidoczną czasem naturę. A co to niby „anomalia”?! Nic! Tylko słowo, które ukrywa prawdę! Nic nie wyjaśnia.

– Naukowcy niech wyjaśniają, im za to płacą – uciął Kruk. – No już, naprzód.

Byli coraz bliżej pogłębiarki. Tosza ucichł, popatrując na barkę. Kruk puścił karabinek, który zawisł lufą w dół na pasie nośnym. Szedł jak zawsze, mówił jak zawsze. Wszystko robił jak zawsze, a przy tym czuł, że nic nie jest jak zawsze.

„Krwawokwiat” nadal tkwił na jego przedramieniu, powoli wsączając w krew toksynę i odmierzając pulsacją długość życia. Długość czasu, jaki pozostał, nim nosiciel będzie musiał zabić, żeby samemu żyć dalej.

Barka stała dziobem do brzegu, na rufie sterczały trójkątne podpory koryta i gumowego pasa transmisyjnego. Statek siedział nisko na wodzie, z brzegu widać było brudny, dziurawy pokład, wyciągarke i zapieczone w jedną rdzawą masę sploty stalowej liny. Na pokład prowadził kratownicowy trap.

Na ile Kruk się orientował, w tym miejscu jezioro wbijało się w ład długą zatoką, a dalej brzeg ostro skręcał w prawo.

Zaraz potem znów zaczynało się bagno, nad którym wisiała mleczna mgła, skrywająca przed oczami postronnych domy Polesia.

Oczywiście, o ile nosaty dzieciuch nie skłamał i miasto naprawdę było właśnie tam.

– No i gdzie ten wasz obóz? – zapytał Kruk.

– Przecież że dalej – mruknął Tosza i zwolnił jeszcze bardziej.

Kruk, czując, że coś jest nie tak, chciał doskoczyć do niego i złapać za ramię, ale nie zdążył. Od strony pogłębiarki rozległ się mocny, dudniący jak przez megafon głos: – Cokolwiek żeś umyślił, człowiecze, nie czyn tego!

– Ojczy! – zawołał Tosza radośnie. Kruk stanął w miejscu. Nawet nie próbował sięgać po pistolet ani chwytać karabinka.

– Ojczy, wybacz mi!

– Zali nie rzekłem: tutaj zostać? Zachar i Witiaż sami naznaczonego dopadną!

– Nie żyją obaj, ojczy! Karp... to jest, naznaczony, ich zabił. A ten tutaj włóczęga, on Karpia zabił. No i mnie, to jest, złapał... – Tosza rozłożył bezradnie ręce.

Kruk nie mówił nic, czekając na ciąg dalszy. Myślał, że mówiący z pogłębiarki chowa się gdzieś wśród wsporników, ale potem na płaskim dachu sterówki poruszył się i wstał masywny brodac z sztucerem w rękach. Oho, winchester! Rzadka broń w takich miejscach.

Brodacz ciężko zeskoczył na pokład, wziął Kruka na muszkę.

– Ani drgnij, człowiecze! – zadudnił basem. Ubrany był w czarny płaszcz z matowymi guzikami, niebieskie jeansy i koszulę w kratę. – Ani drgnij, jako żeś nieświadom zamiarów twoich, nie zawaham się życia twego odebrać, jakkolwiek niemiłe może to być w oczach Pana!

– To ty jesteś Prorok – skwitował Kruk. – Chcę z tobą pomówić.

– Wasilij Prorok, tak mnie wołają, tak. – Brodac ruszył powolnym krokiem po skrzypiących deskach. – A ty czemu brata mojego uciskasz?

– On... nawet nie uciskał, ojczy. – Słowa Toszy były cokolwiek niespodziewane dla Kruka, przekonanego, że nosaty młodzik będzie chciał się jakoś mścić. – To zwykły włóczęga, wołają go Krukiem Czerwonym. On Karpia naszego... to jest, naznaczonego, zabił.

– Czerwony Kruk? – Trap aż jęknął, kiedy noga w potężnym buciorze opadła na pierwszy stopień. – Imienia człowiek nie dostaje ot tak, po prostu. A drugie imię, którym chrzci go Sektor, jeszcze większą ma wagę. Człowieka, co takim mianem się nazywa, bać się trzeba, braciszku młody.

– A jak się ktoś nazywa Prorokiem? – zapytał Kruk.

– Wtedy słuchać i słowa przyjmować! – odparował brodac, uśmiechając się pod gęstym wąsem. Duży, mięsisty nos znaczyły plamki popękanych naczynek krwionośnych, spojrzenie ciemnych oczu było zarazem poważne i przenikliwe.

Stanął na brzegu, opuścił lufę winchestera. Kruk pomyślał sobie, że teraz zapewne zdążyłby wyszarpnąć pistolet i strzelić, jakkolwiek przywódca podróżników zapewne da radę jeszcze odpowiedzieć ogniem.

Nie, nie miał zamiaru strzelać. Przywykł do pracy w pojedynkę, już dobry rok nie miał nawet towarzyszy, chyba że takich przygodnych, jak Chemik i Garsteczka, którzy też gdzieś przepadli. Ale czemu

by choćby tymczasowo z kimś nie połączyć sił? Dwaj podróżnicy siedzieli za Wstęgą o wiele dłużej niż on, na pewno dobrze znali okolice.

– Tosza, zabierz jego broń, dopóki wszystkiego nie wyjaśnię – odezwał się Prorok, gładząc broń.

– Nie ma szans. – Kruk potrząsnął głową. – Nie ma powodu, żebyśmy obaj...

Winchester bardzo szybko spojrzał mu w twarz.

– Nie przecz mi, człowiecze. Tosza! Rób, jakem rzekł.

Nosaty niepewnie podszedł do Kruka. Ten pozwolił mu wsunąć rękę pod płaszcz i prawie dotknąć pistoletu – a potem uderzył kantem dłoni w zgięcie ramienia. Jednocześnie lewą ręką złapał Toszę za kołnierz, szarpnął w bok, a potem odepchnął, wlepiając jeszcze soczystego kopniaka. Pas nośny „plujki” ześliznął się z ramienia, karabinek poleciał na ziemię.

Tosza zatoczył się ku Prorokowi, a Kruk przypadł na kolano. Jego prawa ręka skoczyła błyskawicą ku nadgarstkowi lewej, a potem w przód...

Wasilij Prorok odepchnął Toszę i zrobił krok naprzód. Zamarli obaj. Kruk na jednym kolanie z zadartą głową, wódz podróżników nachylony nad nim, na szeroko rozstawionych nogach i z kolbą dociśniętą do ramienia. Wylot lufy niemalże dotykał czoła Kruka.

– Zrobisz tak, jak rzekłem, człowiecze – zadudnił Prorok z atłasową groźbą w głosie.

– Nie sądzę – odpowiedział Kruk.

– Ojczy... – jęknął Tosza.

– Zamilcz.

– Ojczy, on ma...

– Milcz, chłopczy. Włóczęgo o dziwnym imieniu, co miałoby przeszkodzić mi w rozniesieniu ci głowy śrutem?

– To samo, co powstrzymuje mnie przed nanizaniem twoich jajec jak na szaszłyk – warknął Kruk.

– Ojczy, ona ma w ręku sztylet!

Prorok powoli spojrzał w dół. Sztych długiego, matowo pobłyskującego noża – szydła naciskał na szew naciągniętych w kroku spodni.

– Ach... – Pokiwał głową ze zrozumieniem. – No cóż zatem, co ci przeszkadza?

Kruk zamyślił się, formułując odpowiedź, po czym odparł: – Świadomość tego, że możemy sobie nawzajem pomóc.

– Nie dasz rady przeciąć moich portek – prychnął Prorok.

– Tyle co splunąć.

– Dżinsy solidne. Mocny materiał. Gruby, potrójny splot. Twardy.

– Dobra stal. Jak brzytwa.

– Nie masz pozycji do uderzenia. Jeśli weźmiesz zamach, to...

– Wymoczona w „syropie”. Szkło nią tnę.

– Ojczy! – wykrzyknął dyszkantem Tosza. – On z ojca eunucha zrobi!

Te słowa rozładowały napięcie, wiszące nad brzegiem. Prorok zadarł brodę, głośno podrapał ją palcami, pokręcił głową i uśmiechnął się, opuszczając broń. Kruk wstał, w ramach gestu dobrej woli kopnął karabinek w kierunku Toszy.

– Jak zatem mielibyśmy sobie nawzajem pomóc? – zwrócił się do niego Prorok.

Kruk schował swoją brzytwę do pochewki, powiedział do Toszy: – Mówiłeś, że siedmiu was jest. Gdzie reszta?

– Siedmiu było – zasepił się tamten, podnosząc broń. – A ja tak powiedziałem, żebyś się bał. Ojczy, ojciec niech mu powie.

Prorok wsunął winchestera pod pachę. Kruk popatrzył na jednego, potem na drugiego, pokręcił głową.

– Coś niepodobni jesteście. On naprawdę jest twoim synem?

– Sierotą jestem! – wypalił Tosza. – Ojczy, ojciec posłucha, on mówi, że przybył tutaj, żeby zabić Odstepcę.

Lufa winchestera drgnęła, Wasilij Prorok wbił badawczy wzrok w Kruka.

A tego nagle zaswędziała ręka. Cała ręka! Nadgarstek, łokieć, przedramię. Cały pas, po którym

przepelzył wcześniej symbiont, jak gdyby zmieniała się skóra pod jego wpływem. Na chwilę – raptem na mgnienie oka – dwaj stojący obok ludzie stali się dla Kruka zwierzyną. Zwierzyną łowną. To był tylko impuls, atawizm nagle wyciągnięty z otchłani podświadomości: rzucić się na nich, zabić. Wyssać.

Przelotne, ale potężne i wszechogarniające pragnienie. Tak silne, że Kruk ledwo się powstrzymał.

Zaczęło się, zrozumiał. Już się zaczęło. I za każdym razem atak będzie tylko silniejszy. Najważniejsze teraz to zdążyć.

– Czemu chcesz śmierci Wiedźmaka, człowiecze? – zapytał Wasilij Prorok.

– Nie jego. Jednego z jego oddziału. Warga.

– Szaroskóre diabły! – podskoczył Tosza.

– O diabłach nic nie wiem. Ten warg... teraz wołają go Rob. Rok temu wymordował moich ludzi, zamęczył na śmierć moją kobietę. Po niego tu przyszedłem. Przez „port”. Jest w oddziale Wiedźmaka, razem z nim siedmiu albo ośmiu innych.

– Gdzie?

– Gdzieś tutaj. Po tej stronie Wstęgi.

– Wstęga to nie tylko ziemia, ale też cały świat. Jak znaleźć tych niegodziwców?

– Jedno jest pewne, Wiedźmak zdobył „oko zła” i niesie je do Polesia. Do muzeum. I to właśnie tam go trzeba...

– Klucz! Klucz od Wrót powróci! – westchnął Tosza, a Kruk urwał. Powtórzył: – Klucz?

– To, co prości włóczędzy nazywają w niewiedzy swojej „okiem” – powiedział ponuro Prorok. – Klucz do Wrót piekiel.

Kruk skrzywił się, słysząc coś takiego. Wódz podróżników odezwał się głośnie: – Prawdą to jest, Kruku Czerwony!

– Sam wiem, że „oko” jest źródłem energii. Dla artefaktów, więc może i dla czegoś więcej, o czym wie tylko Wiedźmak.

No i możliwe, że wy też.

– Nazwy mogą różne być, istota ta sama pozostaje. „Oko zła” wniesione do Ciemnego Domu, jak zwał go szaroskóre diabły, otworzy przejście do krain pod światem, a wtedy piekło na wieki zatopi ziemię całą. Wiedzieliśmy, że prędzej czy później ten, kogo wy nazywacie Wiedźmakiem, a my Odstępcą, odnajdzie Klucz i przywlecze go tutaj. Dlatego też, nie wiedząc, z której strony go wypatrywać, podróżowaliśmy po ziemiach wokół Wstęgi.

– Czyli co, wasi znaleźli drogę przez Wstęgę, przeszli tutaj, ukrywając się przed wszystkimi, i czekali na Wiedźmaka? – Kruk spojrział w kierunku bagna. – A to nie prościej było przy muzeum się zacząć?

– Ale przecież Ciemny Dom stoi w Polesiu, w samym centrum! – zamachał rękoma Tosza. – Ty wiesz, jak tam jest ciężko? Kilka godzin można się utrzymać, ale nawet na noc nie zostaniesz!

– Bo niby co?

– Bo tam... znika się! Jeden z naszych, Makar, tak zniknął właśnie. Ojczulka nie posłuchał, powiedział jak ty: „Głupio tak się włóczyć po okręgu całymi miesiącami! Przepuścimy Odstępcę w końcu, a tak w mieście na niego będziemy czekać.

Tam trzeba, przy Ciemnym Domu, obóz urządzić i czekać”.

– I co?

– I nic. Więcej Makara nikt nie widział. Miasto mamy do siebie, a potem wciąga, jak grzęzawisko. Przepadasz po prostu.

Kruk przyjął opowieść do wiadomości. Popatrzył jeszcze raz na jezioro, na bagno. Posumował krótko: –

Wiem tyle, że Wiedźmak i jego ekipa gdzieś tu są. Trafili tu przede mną, a Wiedźmak prze do miasta. Dlatego też ja tam idę. Teraz, już, nieodwołalnie. A wy róbcie, jak chcecie.

1 Kto tam?! O mój Boże, kapitanie Marduk, to pan?! (ang.)

2 Starszy asystent Wil Kyss! (ang.)

3 Nie jestem Hiszpanem! (ang.)

4 To labirynt światów piramid, (ang.)

5 Jestem nad światem piramid. Arka! Tu jest straszne i łązące potwory! Koszmarne robaki! Czerwona woda, czerwona woda! (ang.)



Garsteczka nie od razu zrozumiał, że człowiek, który pojawił się po drugiej stronie placyku zabaw, naprawdę wychodził spod ziemi. Konkretnie z dziury w asfalcie. Okrągłej studzienki kanalizacyjnej. O, nawet i dekiel obok leży.

Wystająca z pancernej wieżyczki haubica elektromagnetyczna buczała i drżała coraz wyraźniej. Człowiek wyszedł na powierzchnię cały, stanął na czworakach, rozejrzał się po biegnącej nie wiadomo dokąd ulicy. Poderwał się i popędził ku transporterowi.

Wtedy do Garsteczki dotarło: hiper! Mać jego mutancka dzika, to był hiper w czarnych spodniach roboczych i kurtce, więc bardziej podobny do człowieka niż mutant. I co to się dzieje, że takie tępe bestie potrafiły nie tylko założyć normalne ubranie, ale nawet zapiąć suwak i guziki?

No... hiper pewnie by nie dał rady. Ale włoczony w jego ciało człowiek już tak. Bo to Chemik tam biegł, plaskając podszewkami sandałów o asfalt! A działko transportera buczało coraz groźniej, gotowe rozmaścić jego ziomala, Chemika, na papkę!

– Nie wolno rozmaścić ziomali! – wrzasnął Garsteczka i złapał za lufę obiema rękami, próbując odsunąć ją na bok.

Chemik pędził co sił w nogach, oglądając się i jak gdyby wypatrując pogoni całego stada wściekłych mutantów.

Garsteczka zauważył w głębi ulicy jakiś ruch, jak gdyby od centrum miasta płynęło coś mętne.

Zanurkował z powrotem do wnętrza transportera, zaczął uderzać palcami w klawisze i przekładać dźwignie, szarpnął dźwostik, klepnął otwartą dłonią w dwa pulpity naraz.... I chyba trafił w końcu w coś, co odłączyło system obronny, bo buczenie umilkło. Coś zadudniło i zajęczało, widoczna przez właz lufa odjechała na bok i znikła.

– Ha! – krzyknął radośnie i znów wychylił się na zewnątrz, pomachał do Chemika. Ten tymczasem dopadł do palcu zabaw, wskoczył na zjeżdżalnię i zleciał z drugiej strony, zanurkował pod resztki łańcuchów wiszących z ramy huštawek.

Garsteczka wlepił wzrok w coś, co najwyraźniej goniło jego przyjaciela. Jak gdyby wielka, przezroczysta ściana, od góry wygięta... Co to jest, kopuła? Jak bańka mydlana, która zamiast pęknąć, przykleiła się do podłogi i drży, mieniając się kolorami tęczy. Tylko taka megawielka.

Bańka nadal pełzła w kierunku transportera, jak gdyby gnana skądś z centrum Zagubionego Miasta, przemieszczając się bezszelestnie i wciąż rosnąc, nakrywając coraz to większą połać okolicy. Wchłonięte w nią samochody i budynki drgały i mętniały, a ściana przemieszczała się coraz szybciej, rosła i wznosiła się nad głową, niemalże dotykając już placu zabaw.

Chemik jednym sussem przesadził piaskownicę... A Garsteczka wytrzeszczył oczy, widząc, co dzieje się z cieniami ludzi na ścianach domów. Kiedy bańka zakryła kolejny budynek, ciemne sylwetki zaczęły podrygiwać i poruszać się – jakby tańczyć, idąc nie wiedzieć dokąd.

Chemik w ciele hipera zdążył dobiec do transportera, kiedy dotarła do nich fala zakłóceń. I wtedy

Garsteczka to zobaczył.

Przez miasto przebił się obraz czegoś zupełnie innego: szczyty wież, sterczące z pustynnych wydm. Pomiędzy nimi wąska, ledwo widoczna szczelina, a w niej postać. Ktoś jedzie na niskim, włochatym koniku. Wicher niesie ze sobą piach, siecze jeźdźca w bok, szarpie płaszcz, targa długą sierść wierzchowca. Wędrują tak, człowiek i koń, odwracając oczy od wiatru, jeździec przytrzymuje ręką kapelusz z szerokim rondem...

Chemik wpadł na transporter i rozpląszczył się na pancerzu w tej samej chwili, w której tęczowa ściana przesunęła się po maszynie.

W głowie Garsteczki jak gdyby wybuchł wulkan, ale chyba nie stracił świadomości, złapał Chemika i zaczął wciągać przez właz do środka. Coś kapnęło mu na rękę... krew. Krew z nosa. Z oczu lecą strumieniami łzy. I szczęka wisi, jak nie swoja, nie da się zamknąć ust. Nawet językiem nie mógł poruszyć, pól biedy, że stał na nogach i zwieracze nie puściły.

Zabełkotał coś, schował się do środka i pociągnął za sobą przyjaciela.

Dopiero wtedy pomyślał: a po co Chemik, tak prawdę mówiąc, tutaj biegł? Po co on go wciąga do środka? Obydwaj naraz zdecydowali, że transporter ich ochroni przed radia... eee... falą uderze... no, przed tym czymś, okej... ale czemu, na podstawie czego? Przecież to tylko metal i plastik, zwykły pancerz. Od kuli może uratuje, no od słabego granatu – ale nie przed anomalnym cholera wie czym, którym nagle rzygnęło na nich Polesie.

Fala przeszła... i nic się nie stało. W głowie zaczynało się przejaśniać, krew Garsteczka wytarł rękawem. Wyjrzał przez wizurę – plac, ulica, domy, wszystko w normie. Żadnych gór z piasku ani wież, na pewno nikt nie jedzie konno.

I w środku wszystko jak było, tak jest. Tyle tylko, że w fotelu siedzi Chemik w ciele hipera, coś mamrocze i nieskładnie się porusza, nie otwierając oczu. Dochodzi do siebie, znaczy.

– Spokojnie, ziomuś – poradził Garsteczka. – Wygląda, że wszystko okej. Ty tu poczekaj, ja się rozejrzę.

Chemik usłyszał, bo poruszył głową, powieki mu zatrzepotały. Garsteczka znów wysunął głowę przez właz, rozejrzał się.

Hmm...

Tak.

No cóż...

Coś się jednak zmieniło. Rozłożył tylko schowane w transporterze ręce, nie mogąc nawet znaleźć słów, żeby opisać swoje emocje. Pomilczał, przywykając do nowego obrazu świata. Zajrzał we właz i rzucił: – Chemiś, ziom, kojarzysz już? Halo, Ziemia do Chemika!

– Ahhrrrr... – zachrypiął tamten. – Ż- że co?

– No już, ocknąłeś się? Popatrz, cienie zniknęły.

– C- co? Jakie cienie? – Głos już bardziej kojarzący.

– No te figury ze ścian. Nie ma ich. Ta bańka je jakby zmyła. W ogóle zniknęły, o ile widzę. Pierdolca można dostać, co nie? I to tak po całości od tej anomalności tutejszej. Chociaż ja to się już przyzwyczaiłem, powiem ci. Prawie się nie dziwię.

Garsteczka na wszelki wypadek zamknął właz, a potem przykucnął przy fotelu. Za to Chemik podniósł się, wyjrzał przez szczelinę obserwacyjną.

– Fakt... – szepnął z niedowierzaniem. – Widzę.

– Ty, i co to były za cienie? Tak naukowo?

– Nauka, mój Garsteczko, w ramach odpowiedzi... – powoli powiedział Chemik – rozkłada bezradnie ręce i idzie się upić ze wstydu.

– Oho, nadal cię gniewa. No nic, odpocznij jeszcze.

Chemik przysiadł pod ścianą, wyciągnął przed sobą nogi. Przez chwilę milczał.

– Mógłbym... Nie, nawet inaczej, kusi mnie. Kusi mnie, żeby zacząć się mądrzyć na temat śladów energetycznych mieszkańców Polesia, albo, hm... projekcji ich macierzy cielesnych, które odbiły się na strukturze materialnej miasta podczas przejścia pierwszej Fali. Miasta, które wypadło z ogólnego

kontinuum strumienia czasoprzestrzennego... Ale słuchaj, tak serio? To będzie pseudonaukowe pieprzenie obłąkanego ezoteryka. Żałosne, bezradne pieprzenie. Nie masz czegoś do picia?

Garsteczka przyniósł z przedziału transportowego dwie plastikowe butelki z wodą, jedną wziął sobie, drugą oddał Chemikowi. Zaczęli pić, chciwie zadzierając głowy. W końcu Garsteczka zakrzuszył się i opluł, a Chemikowi woda pocięła stróżką po zarośniętej szczecinie szyi.

– No dobra, kto pierwszy? – zapytał Garsteczka, zakręcił butelkę i nawet nie czekając na odpowiedź, zaczął mówić: – No dobra, to ja, bo aż mnie rozdyma od pytań. O sobie potem, na razie mi powiedz, co to było?! Co to, anomalna twoja mać, było, hę?!

– Mówisz o erupcji? – Chemik rozglądał się w roztargnieniu po wnętrzu maszyny. Na chwilę zatrzymał się nad monitorami, pochylił nad mapą z migającą kreską trasy.

– Erupcja, bańka, nie wiem! Kula tęczowa...!

– Nie mam pojęcia, co to było. Ale zostało wywołane, jak sądzę, nałożeniem przez Wiedźmaka „oka zła” na obiekt.

– Jaki obiekt?

– Przecież mówiłem wam, tobie i Krukowi, jeszcze przy Fabryce. Obiekt to przedmiot albo urządzenie, które kiedyś znalazł Wiedźmakow. „Oko zła” jest jego częścią, może głównym systemem, albo elementem napędowym... no, akumulatorem, nie wiem. Można tylko zgadywać.

– Ej no, zaraz, czekaj. Ty go widziałeś? Wiedźmaka i jego czeredę? I naszego najmusa?

– Tak. Z dachu. – Chemik przesunął dłoń nad pobliski pulpit, przeciągnął palcami po wygiętym poliwęglanie. – Mnie tam wyrzuciło, na dach bloku. Kruka nie widziałem, a Wiedźmaka i jego ludzi tak. Nikę też. Szli do muzeum, ja za nimi. Potem Wiedźmak chciał wejść do środka, a mnie zauważył Rob... no, były major Titomir.

– Aha. Nie przesadzaj z didaskaliami, pamiętam. Tak, wiem, czym są didaskalia. Dawaj dalej.

– No więc Rob uderzył czymś... Garsteczka, jaką on ma broń! No czysta fantastyka! Oparta chyba na tej samej zasadzie co strzelby pulsacyjne, bo część ofensywna ma zbliżone działanie, prowadzi do chaotycznego rezonansu w wiązaniach molekularnych, co z kolei... No, sam wiesz. Tylko że ta broń Roba to bardziej jak bat. – Chemik podrapał gęstą brew szerokim i płaskim paznokciem. – Długa, elastyczna wiązka siłowa. Jak na nich wpadniemy, to o tym pamiętaj.

– „Jak” w sensie „kiedy” czy „jeżeli w ogóle”?

– „Kiedy”. Jestem pewien, że raczej prędzej niż później.

Garsteczka pociągnął jeszcze łyk wody, nalał trochę na dłoń i przetarł twarz. Parsknął i powiedział: – To coś, co z miasta przyłazło, to bardziej nie do Fali było podobne, a raczej tych ciemnych błysków... Pamiętasz, mówiłem ci, jak jechałem w Sektor na drezynie? I jeszcze, jak doszło do nas, to coś zobaczyłem.

– ...?

– No, takie coś. Trudno opisać.

Chemik wzruszył ramionami. Bardzo po ludzku, hiper by tak raczej nie zrobił.

– Oczywiście, że nie była to Fala w zwyczajowym rozumieniu. Zupełnie nie. „Ciemny błysk”... no nie wiem, inaczej bym to nazwał.

– Sam sobie zobacz pierwszy, wtedy będziesz nazywać. A ja tak nazwałem.

– No dobrze, już. Ale to coś innego było. Miałem takie uczucie, że jedna rzeczywistość nakłada się na drugą, pokrywa ją.

Pokrycie, rozumiesz? Tak bym to nazwał.

– Dziwne słowo. Z hodowlą krów się kojarzy. Już lepiej: zakłócenie.

– No niech ci będzie, zakłócenie. No więc, te wcześniejsze zakłócenia, jak by to ująć... Miały miejsce dlatego, że obiekt w muzeum na odległość czuł „oko”. Może reagował na eksperymenty, które przeprowadzał Wiedźmak, albo na ładowanie w nim artefaktów. Wcześniej „oko” było gdzieś ukryte, zapewne ekranowane, a teraz się aktywowało, zaczęło pobudzać obiekt. Im bliżej było, tym mocniejsze erupcje– zakłócenia. A jak weszli z nim do muzeum, to musiało walnąć po całości.

– I tak dobrze, że mózgowi nam na mączkę nie przetarło.

– No, to ja na twoje pytania się pomądrzyłem. Teraz moja kolej. Co się z tobą działo? I co to za

transporter, zdążyłeś go zbadać?

Garsteczka po prostu upuścił pustą butelkę na podłogę i zaczął opowiadać. O bagnach, o napadniętym przez nie wiadomo kogo obozie hiperów, o znikających ciałach i tytanitowym dysku. Chemik mocno się tą częścią zainteresował, poprosił, żeby mu pokazać i potem długo obracał w rękę, cmokał i kręcił głową nad kryształem z magnezem i obwodem scalonym. Wskazawszy pulpity z monitorem i mapą, Garsteczka zakończył opowieść słowami: – I ten gościu nazywa się Wil Kyss. Tyle zrozumiałem, a potem w ogóle umilkł.

– Po jakimu mówił?

– Po ludzku ani słowa, poza tym po angielsku i po węgiersku chyba. Albo po hiszpańsku, bo coś o seniorze asystencie mówił.

– Czeka, a ty co tak mało rozumiałeś?

– A jak tu rozumieć...

– No nie żartuj, że angielskiego nie znasz.

Garsteczka poczuł się urażony w swej samczej dumie.

– W ryj za to umiem dać – obruszył się. – Pokazać panu lingwiście?

– Spokojnie, szeregowy, bez nerwów. – Chemik zatrzasnął wieczko medalionu, poruszał łańcuszkiem i przyklęknął nad pulpitem. – Ja też z angielskim nie za bardzo... To jest, kiedyś nawet dobrze znałem, ale potem zardzewiało. A jak udało ci się tego Wiła wywołać, dasz radę powtórzyć sekwencję? Bo on mógłby nam sporo powiedzieć. Co to za maszyna, skąd...

Przecież tak niczego nie idzie wyrozumieć. Ten wisior, tak jak mówisz, to element rozpoznawczy „swój– obcy”...

– No, coś w ten deseń.

– ...a wcześniej miał go Wiedźmak?

– Na to wychodzi. I zgubił, jak uciekał z wieży.

– Zatem Wiedźmak wie o transporterze. No, skoro nosił to przy sobie... Może nawet ma jakieś plany z nim związane?

I skąd miałyby to w ogóle mieć? To raz, teraz dwa: transporter jest w zasadzie normalnym pojazdem. Ale jest uzbrojony w działko pulsacyjne, sprzężone w dodatku z pokładową elektroniką i mechaniką. Nie uważasz, że to intrygujące?

– No...

– Otóż to. Co do mapy natomiast wychodzi na to, że przyjechali stąd. – Chemik puknął w skraj monitora. – Tam musi być baza albo obóz, z którego wyruszyli. I tam też zapewne siedzi twój Wil Kyss. Ale tam, to znaczy gdzie?

– A z mapy nie widać? Przecież lepiej ode mnie znasz Sektor.

Chemik postukał w monitor kostkami palców.

– Nie, nie aż na tyle. Nawet nie wiadomo, jaka to skala, i kontury mocno przybliżone. Jeśli to działko z transportera zrobili ludzie... ale kto, kiedy mógłby się tego nauczyć? Kto na tyle dobrze zna technologie anomalne?

– Pewnie ktoś w jakimś tajnym laboratorium, gdzie badali takie tematy. W bazie naukowej.

– Ech, może tak. Tyle tylko, że nie słyszałem nawet o bazach naukowych w Sektorze, poza tymi, które finansowały nasze struktury. Z drugiej strony nigdy tam szychą nie byłem, naprawdę utajnionych mogę nie znać.

– A właśnie! – Garsteczka pstryknął palcami, wyciągnął spod fotela karabinek znaleziony w piaskownicy. – Patrz, co samo wpadło mi w ręce. Leżało sobie razem z kościotrupem, tak pomyślałem, że musiało należeć do załoganta.

Chemik obejrzał karabinek, popatrzył na Garsteczkę pytająco.

– To ten, no... em szesnaście?

Jak się już człowiek na czymś zna, to zawsze lubi pokazać innym swoją wyższość, więc i Garsteczka wyjaśnił łaskawie: – No coś ty? To przecież karabinek Stonera, i to nietypowy. Zmodyfikowany pod inny nabój.

– Aha...

– No zobacz przecież, o, magazynek od naszego rodzimego kałasza. Podobno w Afganie takie robili w limitowanych seriach, żeby strzelać sowiecką amunicją.

– No i? – Chemik nadal nie łapał myśli.

– No i przecież o to chodzi. W Sektorze siłą rzeczy przeważa stara, radziecka amunicja. Więc logiczne, że nie– do– końca– jawne oddziały państw trzecich chcą używać broni swojego systemu, ale na ogólnodostępny nabój.

– Okeej... – mruknął Chemik. – Rzeczywiście, to ciekawe, ale mało o czym świadczy. To znaczy, że broń jest amerykańska, tak?

– Aha. Ale zauważ, że żołnierze kontyngentu pokojowego wokół Sektora mają raczej broń europejską, belgijską, albo rosyjską, jeśli nasi. Takiej typowej emki to na Kordonie ani razu nie widziałem, a tym bardziej w takiej modyfikacji.

– Więc...?

Chemik ewidentnie czuł się w roli mniej wiedzącego, jak na obcej ziemi.

– Więc miejsce, skąd przyjechał tutaj transporter, muszą trzymać właśnie Amerykańcy. Ale coś mi mówi, że ONZ czy zarząd kontyngentu tam nie ma nic do powiedzenia. I to na pewno nie Ruscy, ani Polacy czy Białorusini, ci już na pewno by się ze stonerami nie wozili.

– No dobrze, przyznaję, ciekawa teoria – powtórzył Chemik i dopił resztkę wody. – A próbowałeś z tego strzelać? Jesteś w stanie określić, jak długo to tu leżało? Bo jeśli to faktycznie broń załogi, informacja może być ciekawa.

Garsteczka poobracał karabinek w rękach.

– Jeśli amunicja nie zamokła, to nic jej nie będzie. Dobrze zakonserwowana broń potrafi i pół wieku przeleżeć, ale jeśli ktoś zdążył strzelić, to w mechanizmie jest nagar i powoli zżera go od środka. Rozebrać trzeba, sprawdzić, szczególnie sprężynę powrotną. Raz na pewno walnie, ale potem może się zaciąć. A to nie kałasz, żebyś pięścią zamek dobił. Zapieczętuj, ruchome części staną i koniec. Widziałem kiedyś, jak Amerykaninowi po strzale z brudnej broni po prostu wypadł język spustowy, a tutaj...

– Dobra, jasne, rozumiem. Trzeba spróbować połączyć się z twoim Wilem Kyssem. Ten „senior asystent” to po angielsku „starszy laborant”, żadnych Hiszpanów tam nie ma.

– Kontakt radiowy to dobrze. Żarcie, jeszcze lepiej – skwitował Garsteczka, otwierając właz. – A może się napić chcesz?

W sensie, że wody. Tam są racje żywnościowe w pudełkach, całkiem niezłe, i nawet likier w komplecie. Tyjesz normalnie czy jakieś korzonki i robale podgryzasz?

– Na razie nie było czasu sprawdzić – powiedział Chemik. – Alkoholu nie zaryzykuję na ten układ trawienny, a co do jedzenia... Trzeba ostrożnie popróbować. Głodny jestem już od dawna.

– No to ty próbuj, a ja pójdę siknąć.

Garsteczka odstawił karabinek pod ściankę i wygramolił się na pancerz, zeskoczył. W piaskownicy nadal białą kości, czerep patrzył się na niego pustymi oczodołami. Głupio jakoś tak odlewać się na piaskownicę– grób, więc Paweł odszedł na bok, schował się za krzaki. Rozsunął rozporek, zadarł głowę z błogim wyrazem twarzy.

Przed nim były pierwsze domy Polesia, niemalże nagie bez plam czarnych sylwetek. Wrażenie pustki, panującej w całym mieście, było jeszcze bardziej wyraźne.

Garsteczka już kończył, gdy nad asfaltem błysnęło. I znów, a potem nieco z boku. Wyciągnął pistolet, dopiero potem zapiął rozporek i zaczął powoli iść w tył.

W powietrzu rozbłyskiwały i od razu gasły okrągłe, białawe plamy. Pojawiały się i od razu znikły, ale kilka zawisło na dłużej i Garsteczka zdołał coś dojrzeć: w podobnym do świecącego wiru przebłysku coś się poruszyło. Wygięte, ostre, wysunęło się i od razu schowało. Jak gdyby patrzył na miękką ziemię, pod którą coś łąziło! Zaczynało się wykopywać, robiło dziurkę, wyglądało i znikło.

Ostatnia plama znikła. Na chwilę zapanował spokój.

– Oho, co tym razem? – warknął Garsteczka ponuro.

Zdążył się przyzwyczać do miejscowych cudów i dziwów, nie wywoływały one u niego już takiego

zaskoczenia jak na początku. Pojawiły się świecące plamy nad asfaltem, no i potem se znikły – i co z tego? Sektor przecież. Niech idą szukać ludków ze ścian, co też poznikały. Nie takie rzeczy się widziało!

Idąc ku transporterowi, usłyszał donoszące się z niego przytłumione głosy, szum i skrzypienie zakłóceń w eterze. Więc jednak Chemik wszedł na łącze z jego braderem Williem! No i dobrze, niech się wreszcie coś wyjaśni.

Garsteczka wdrapał się na pancierz, ale nie wchodził jeszcze do wozu. Zerknął w biegnącą pomiędzy blokami ulicę, zawołał niegłośno: – Chemiś!

– *Where are you, mister Veel?*[6] – z dołu słyhać było głos Andrzeja. – *Speak louder, I can't hear almost anything!*[7]

– Ej, Chemik!

– No czekaj, zajęty jestem. Obydwaj nie do końca sobie po angielsku radzimy. Szczerze mówiąc, taką sieczkę uprawiamy, że...

– Cicho bądź i tutaj popatrz!

– Co?

– Mówię przecież, chodź tu! Wyjrzyj!

– *Sorry, Veel...*

Niezadowolony Chemik wyjrzał przez właz. Garsteczka pokazał mu kierunek i obydwaj wbili wzrok w oddział idący po ulicy. Na przedzie szedł rosły warg, zapewne Rob– Titomir, za nim czterech szaroskórych coś niosło. Pochód zamykali Nika Kaufmann i Rysiu.

– Co oni tam mają? – Garsteczka uniósł się na nogach. Pakunek był zawinięty w brezent, widać było podłużny, opływowy kształt. – Ten twój obiekt z muzeum? I po co go niosą?

Chemik drgnął, złapał przyjaciela za rękę.

– Wiem! Wiedźmak chciał... Po to mu był dysk! Połączył „oko” z obiektem, a teraz chce przewieźć je oba gdzieś dalej!



– Dokąd? Tam, gdzie siedzi mój brader Willie? Do tego laboratorium tajnego, czy co tam jest? To znaczy, że ta łysa pała o nich wie, że jest z nimi jakoś powiązany!

Wtedy właśnie Rob obejrzał się na Wiedźmaka i pokazał ręką w kierunku transportera. Rozległy się głosy – oddział zauważył naszych bohaterów.

Okazało się, że Tosza okolicę nie to, że zna, a czuje. Taki miał talent: zawczasu wyczuwał niebezpieczeństwo i ciężkie do przejścia odcinki. Tutaj, w centrum Sektora, w pobliżu Zagubionego Miasta, podobno anomalii nie było. Tak przynajmniej twierdzili dwaj podróżnicy, konsekwentnie nazywający je „diabelskimi znamionami”. Mutantów podobno też nie, za wyjątkiem hiperów.

Podróżnicy traktowali mutanty jako „przeklętych wysłanników szatańskich”, ale wobec hiperów, paradoksalnie, nie żywili złych uczuć. Uważali ich owszem, za dzikusów, ale ani dobrych, ani złych; po prostu za nieszczęśliwie rozgarniętych.

Hiperów było po tej stronie Wstęgi niewiele, przemieszczali się chaotycznie po bagnach w paru grupkach, losowo nawiązując i zrywając sojusze. Atakowali tylko wtedy, gdy ktoś naruszał ich terytorium, czego podróżnicy starali się nie robić.

Co ciekawe, ostatnimi czasy mieszkańców bagien praktycznie nie było widać.

Tosza szedł jako pierwszy, okazjonalnie próbując grunt przed sobą długim kijem. Czerwony Kruk maszerował zaraz za nim, a nad jego ramieniem miarowo mamrotał Wasilij Prorok: – Nie wierzysz mi, człowiecze? Logice uwierz. Wiedźmak zamyślił sobie, że Wrota prowadzą do ogrodu rajskiego.

Dlatego chce Wrota otworzyć, dlatego tyle lat Klucza poszukiwał, a teraz powrócił tutaj. Raj, myślisz? Ha! Spójrz wokół!

Zali podobne to do przedsiónek ogrodu wiecznej szczęśliwości? Wszelki stwór, co w Sektorze mieszka, wszelka istota jako mózgownik, pijawką skrzydlatą zwany, wszelki zwierzę przemieniony...

– I człowiek temu podobnie – wtrącił Tosza.

– I człowiek – zgodził się Prorok. – Anomalie, ich ciemne znamiona, bryzgi smoły piekielnej na czystym płótnie ziemi naszej... Podobneli one do owoców rajy?

Czerwony Kruk milczał, wpatrując się w plecy idącego przed nim chłopaka. Znow go brało, chyba mocniej niż poprzednio. Pałaca chęć, aby rzucić się na Toszę, powalić na ziemię...

– A ty nie milcz, człowiecze, skoroś sam już temat poruszył – naciskał Prorok. – Skoro „oko” do rajy otwiera drogę, to czemu „okiem zła” je wołają? I skąd tutaj te stwory nieczyste? Zali nie przeniknęły tutaj...

– Poprzez szczelinę – znow wtrącił się Tosza, skręcając nieco w bok, żeby ominąć grzęzawisko. – Szczelinę pomiędzy skrzydłami Wrót. To taka, naturalnie, przenośnia.

– Czyli co, gdyby za Wrotami był raj, a nie piekło, to zamiast biegających mutantów by śmigały tutaj pierzaste aniołki? – w końcu złapał myśl Kruk.

– Otóż to! – odparł Prorok. – Nareszcie pojąłeś, włóczęgo. Anioły Pana nie robiłyby ludziom tych potworności, nieprawdaż? Prawda, jako żywo! I za Wrotami leży domena szatańskiej grozy, skąd i biesy przychodzą. A zaślepiony pychą Wiedźmak chce przejście tam uczynić. Kiedy przejrzałem jego zamysł, to nazwałem go tym, czym jest! Przeklętym Odstępcą, przeciw któremu każdy rękę podnieść winien. I braci moich zwróciłem twarzą ku zwierciadłu prawdy.

– Czyli podburzyłeś podróżników do buntu przeciwko poprzedniemu szefowi. I mówisz, że Wrota są w Polesiu? – upewnił się Kruk.

– Tako nam się to widzi. W muzeum, na centralnym placu Miasta Zagubionego.

– „Się widzi”? – Kruk obejrzał się na Proroka. Ten szedł w swoim czarnym płaszczu szerokim, kołyszącym krokiem. – To co, ani razu żeście tam nie byli? I ile już tak na Wiedźmaka czekacie?

– Już rok będzie. – Tosza pokręcił głową.

– Cały rok się bujacie po tej stronie Wstęgi, zcaicie na Wiedźmaka... I nie przyszło wam do głowy sprawdzić, gdzie to ustrojstwo leży?

– Tam się nie da wejść. Wiesz, jak na podejściu ciśnie?

– Co ciśnie?

Tosza nie odpowiedział. Kiedy Kruk obejrzał się pytająco przez ramię, znowu odezwał się Prorok: – Potęga Wrót tak na nasz świat naciska. Nieludzka moc świata za nią. Jak tylko się zbliżyć, to czuć, jak mózg jęczy i skrzypi, wygina się... A już przy samych drzwiach muzeum ściska jak naleśnik.

– A nasz ojczulek przecież silny Panem jest – dodał Tosza. – Mimo to nie dał rady pokonać mroku Wrót.

Dla Kruka cała ta gadka o bramie piekieł, szatańskim mroku i drodze do rajy zdawała się być paplaniną nawiedzonych pomyślników, ale mimo wszystko chciał pojąć logikę otaczającej go rzeczywistości. Dlatego też pytał dalej: – Ale przecież Wiedźmak mógł się po prostu obok was prześliznąć. Nawet teraz, gdybym ja się nie zjawił, tobyście nie wiedzieli, że przekroczył Wstęgę. Może właśnie teraz wchodzi do muzeum?

Tosza machinalnie przyspieszył kroku, a Prorok odparł: – Jest ziarno prawdy w twych słowach, człowiecze, ale nie więcej. Po pierwsze, w większości przy granicy miasta pozostawaliśmy, stróżując na głównych ulicach. Po drugie, nie mógłby Wiedźmak po prostu gdzieś się pojawić.

Ledwie trzy szlaki wiodą poprzez Wstęgę, a otwierają się i zamykają o różnych porach roku.

– Ale ja na was wpadłem nad jeziorem, kawał drogi od Polesia.

– Tam odejść musieliśmy – rzekł Prorok ponuro. – To przez nieszczęśnika Karpia, do którego pomiot diabelski przywarł.

Zamilkł, kiedy Tosza podniósł głowę.

A Kruk przyłapał się na tym, że prawą ręką dotyka pochwki z nożem, schowanym w rękawie. I w myślach wyobraża sobie, jak wbija utwardzoną przez anomalie stal w kark podróżnika. Od tyłu, dokładnie pod podstawę czaszki. Od razu obraca się, wyrывa z kabury pistolet i strzela Prorokowi w pierś. Właśnie w pierś, nie w głowę, nie w gardło. Strzela tak, żeby nie zabić od razu, żeby mieć jeszcze kilka chwil, podczas których zdoła wpić się zębami w jego szyję. Bo przecież Prorok jest o wiele większy i silniejszy niż nosaty

chłopczek. Na pewno jest aż po brzegi przepelniony życiodajną energią.

Kruk poczuł się jak alkoholik, siedzący przy stole z dwiema butelkami wódki. Już, już wyciągnął rękę po jedną, już odkręcił, w nos już uderzył ostry zapach gorzałki...

Czoło zrosił mu pot. Czerwony Kruk przeciągnął po nim dłonią, a potem zatrzymał się w pół kroku, niemalże wpadłszy na stojącego nieruchomo Toszę.

– Co... co się stało? – wybełkotał przez ściśnięte gardło.

Chłopak zsunął czapkę na tył głowy, podrapał się po karku. Prorok też stanął.

– Czujesz coś, chłopcze? – zapytał półszepem.

– Tam coś się... – zaczął Tosza.

Jego słowa przerwało echo serii z karabinu.

6 Gdzie pan jest, panie Veel? (ang.)

7 Proszę głośniej, nie słyszę prawie nic! (ang.)



Rozdział 5

Zawinięty w płachtę brezentu przedmiot przypominał kształtem niedużą trumienkę. Czterech niosących go wargów stanęło, obok nich zatrzymał się Wiedźmak. Rysiu odepchnął Nikę do tyłu, wyprzedził ich i odezwał się do Roba.

Nie patrząc na człowieka, szary olbrzym ruszył w kierunku transportera. Rysiu pospieszył za nim. Obydwaj starali się trzymać za pokaźnym krzakiem, wyrastającym z pęknięcia w asfaltowej nawierzchni.

Haubica nad głowami Garsteczki i Chemika klasnęła głośno, jakby ktoś mokrym prześcieradłem plasnął o żelazną beczkę. W kierunku centrum Polesia pomknęła półprzezroczysta, migocząca kula.

Nie leciała jak pocisk z karabinu, ale i tak bardzo szybko. Rob jako pierwszy wyczuł niebezpieczeństwo, odepchnął Rysia, a sam zanurkował w bok. Rozpląszczyli się obaj na asfalcie, gdy pocisk siłowy najpierw przeorał krzak, a potem zamienił sporą połąć asfaltu w kruszonkę.

Rysiu wrzasnął coś, zerwał z ramienia karabin i zaczął strzelać na oślep. Rob zawołał na niego, zaczął czołgać się w tył.

Chemik schował się głębiej we włazie, tak, że teraz wystawały z niego tylko oczy i górna część głowy. W samą porę, bo o pancerz zagrzechotały kule.

– Ożeż ty bydlaku jeden! – Garsteczka poderwał pistolet, puścił krótką serię. Nie przywykł do takiej broni, niewygodnie się celowało! Odrzut niby niewielki, a lufa lata i skacze, jak wesz na patelni.

Rzecz jasna, nie trafił – ale też się nie starał. Bo i po co? Przecież jego starszy żelazny braciszek zaraz się pozbiera i spuści wszystkim frajerom na podwórku wpierdol! O, już zamach bierze! Garsteczka popatrzył z dumą i czułością na lufę działka, buczącą coraz donośniej przed kolejnym strzałem.

Rysiu odpełził śladem Roba. Chciałoby się, żeby działko pierdyknęło jeszcze raz swoją tęczową kulką – rezultat był co najmniej imponujący – ale nie złożyło się. Pobuczało sobie jeszcze, a potem, gdy obydwoj intruzi wyszli poza strefę czujników, coś w nim kliknęło i automat umilkł.

Wystająca z włazu głowa Chemika przechyliła się w zdumieniu. Garsteczka przekręcił się na bok, zadowolony, też patrząc na działko. Haubica wyjechała kawałek dalej, opływowa lufa uniosła się, potem coś zaterkotało, całość schyliła się, złożyła jak scyzoryk i wjechała w wieżyczkę. Stuknęły zamykające się połówki, a potem cisza. Działko popracowało, działko poszło spać.

Chemik spojrział na Garsteczkę wielkimi oczami.

– Aleśmy dali czadu – wyszczerzył się Garsteczka, dumny, jakby to on osobiście strzelał.

– Typ trzeci... – jęknął hiper. – Jakże sprawnie nauczyli się manipulować energią i polem!

– Że co znowu?

Chemik wysunął się z włazu, oparł łokciami o pancerz.

– Widziałem już bezpośredni, prosty strumień cząsteczek, tak strzelał twój pulsar. Widziałem idący po linii krzywej, czy raczej krzywych, to ten bicz Roba. Jakim cudem ten jego „asur” tak zagina wektory, to samo z siebie jest... A teraz sfera!

Obszarowe zagęszczenie cząsteczek, taki kokon, nie wiem! Biała dziura! Dynamiczne naruszenie

kontinuum! Chyba że...

zimna plazma? To się w głowie nie mieści! A gdzie tamci, uciekli?

– Za winkiel boku się pochowali. O, wygląda któryś. No i niech! Tutaj nasza kwoka nas nie da ruszyć.

– Jaka znów... – Chemik obejrzał się na wieżyczkę. – Ach, tak. Tak sobie myślę, wiesz, staruszek Ciarke miał rację. Jak bardzo miał rację!

– Nie znam typu. Twój kolo? Wołaj go tutaj, niech flaszkę złapie po drodze, bo bym zapił czymś ten likier. Rzygać mi się chce od słodkiego. – Garsteczka odczołgał się w tył, usadowił za wieżyczką, żeby go ktoś przypadkiem nie postrzelił. – Słuchaj, a Rob to ma długiego? W sensie, o ten bat się pytam.

– Parę metrów. Nie sięgnie, jeśli tego się boisz.

– Phi! Teraz się niczego nie boję.

– Dobra, dobra. Sir Arthur Ciarke, Paweł, to pisarz taki. Sformułował pewną myśl... Potem obracali ją na wszystkie strony i odmieniali przez wszystkie przypadki, ale raczej nie rozumiejąc istoty. Tylko dlatego, że ładnie to ujął.

A powiedział, że technologia na odpowiednio wysokim poziomie nie różni się od magii.

– Czego jeszcze? Chyba naprawdę za kołnierz twój Ciarke nie wylewał. Mówię przecież, niech flaszkę przynosi.

– Nie żyje już od dawna, spóźniłeś się. A ja bym jego myśl pociągnął dalej: dowolna rozwinięta technologia jest magią dla tych, co stoją nieporównanie niżej na drabinie rozwoju względem społeczeństwa, które tę technologię wytworzyło.

– Jak dla mnie to wcale nie uprościłeś. Idź na dół, likieru sobie jednak chlapnij.

Chemik podniósł głos: – A jak, twoim zdaniem, dzikus będzie patrzył na telewizor? Magiczne pudełko, w którym siedzą... nie wiem, chochliki!

I zaczęłyby się do nich modlić.

– Słuchaj, do czego pijesz?

– Ano do tego, że dla mnie broń energetyczna tej generacji to już magia! Strzelba pulsacyjna, no to jeszcze. Ale elastyczna wiązka? Nawet na moim poziomie znajomości fizyki kwantowej nie wiem, jak to ugryźć! Czysta magia! Tak samo dzikusowi nie wytłumaczysz, jak działa lodówka! Dla niego pudełko, które robi lód, to rzecz niepojęta! Nawet dziś mało kto wie, że zwykły klimatyzator nie tylko chłodzi, ale też jednocześnie grzeje...

– Serio? – zdziwił się Garsteczka.

– ...i dla mnie czymś tak niepojętym jest elastyczny strumień! I boję się, że to dopiero początek tego, co zobaczymy. Już bardziej fiction niż science. Wręcz fantasy! Ale to przecież tak naprawdę nie magia, a technologia. Techno– magia.

– Pewnie, do świata bajek trafiliśmy – zgodził się Garsteczka. – Zobacz, jaki baśniowy parlamentariusz do nas idzie z armii króla szczurów. No? Ty, ale autentycznie, chyba chcę rozmawiać.

Chemik popatrzył. Rzeczywiście, zza rogu wyglądało kilka głów, a w ich stronę szedł z nietęgą miną Rysiu, wymachujący szarawą szmatą na kiju.

– Gacie zdjęł czy co? – burknął Garsteczka. – Ja z nim idę gadać czy ty?

– Ja – zdecydował Chemik. – Chociaż nie, czekaj. Na mnie działko zareaguje?

– Amulet przecież wzięłeś, nie? Wyjmij, otwórz. Jak zawibruje i zamiga, to znaczy, że się haubica odłączyła. Jak nie, a zacnie zamiast tego buceć, to ile pary w nogach wracaj. Słuchaj, a może ja jednak?

– Działko swoją drogą, a ty lepiej strzelasz jakby co. Trzymaj go na muszce.

Chemik chwycił kościany sierp, wygramolił się z transportera i powoli ruszył wokół placyku zabaw, trzymając otwarty medalion na wyciągniętej dłoni. Po kilku krokach rzucił przez ramię: – Krysztal mignął. I dysk jakby się poruszył, a potem ucichł.

– Działko spokojne – odpowiedział Garsteczka. – Wieżyczka też milczy. Dojdz do miejsca, gdzie był ten krzak, ale nie dalej, jasne?

Chemik skinął głową, a wtedy Garsteczka zawołał: – Ej tam, Rysiu! Rysiu, stój, ani kroku dalej! Bo jak nie, to rozsmaruje cię po asfalcie, jak nutellę!

Rysiu stanął kilkanaście kroków przez dziurą w asfalcie. Powiedział coś do Chemika. Garsteczka nie

słyszał, ale też nie słuchał. Niech sobie tamci gadają, a oni, to jest on i haubica, będą ubezpieczać.

Przesunął się za wieżyczkę i prawie nadział tyłkiem na gruby, żebrowany pręt, sterczący z pancerza. Tfu! Wcześniej go nie widział. Ni to antena, ni to... ekhem. Nie no, do niczego przyzwoitego niepodobne. Materiał taki sam, z jakiego zrobiono jego dawny pulsar i haubicę, nie wiadomo, czy kamień, czy matowe szkło.

No i se sterczy, rozumiesz. Po co tak sterczy cholerstwo? Pewnie jakaś część konstrukcji transportera. I niech se sterczy.

Uklęknął na jedno kolano, położył łokcie na wieżyczce i wycelował w Rysia, jednocześnie mając na oku róg domu.

Chemik zatrzymał się, wsunął talizman do kieszeni. Zaczęli rozmawiać. Wysłannik Wiedźmaka pomachał kijem, parę razy stuknął nim o asfalt. Chemik nagle skoczył ku niemu, łapiąc za sierp, a Rysiu odskoczył.

Słychać było raptem urywki słów, ale miało się wrażenie, że Chemik był zły, nawet wściekły. Potem jego głos znów ścichł. Rysiu jeszcze coś dodał, potem popukał palcami w nadgarstek, jakby dając do zrozumienia, że czas leci. Odwrócił się i poszedł z powrotem. Chemik też zawrócił ku transporterowi.

Nie wytrzymał – puścił się biegiem, przeleciał przez plac zabaw. Niepotrzebnie, pomyślał sobie Pasza. Po co pokazywać wrogom, że się zdenerwował? Tylko obnaża słabość.

Wskoczył na pancerz i odezwał się, ze zdenerwowania kalecząc głoski jeszcze bardziej niż zwykle: – Jeśli nie oddamy wozu, zabiją Nikę!

– Jakie warunki? – zapytał rzeczowo Garsteczka.

– Ten tam mówi, że Wiedźmak równo za trzy minuty ma ją uderzyć swoim kosturem w kolano. Artefaktem, w sensie.

Jak nic zmiażdży jej rzepkę, a wtedy Nika już nigdy nie będzie chodzić. Po kolejnych trzech minutach druga noga, a potem ją posadzą pod ścianą i...

– I...?

– I w głowę.

– O cholera.

– Rysio powiedział... Pewnie mu tak Wiedźmak kazał powiedzieć, żeby było bardziej obrazowo. Powiedział, że za dziesięć minut wymalują ścianę jej mózgiem.

– Uff... – Garsteczka pokręcił głową, wychylając się zza wieżyczki. – Ale ty wiesz, że to bluff?

– Najpewniej tak. – Chemik przysiadł na dziobie transportera, nawet nie myśląc o tym, że stanowi łatwy cel. – A jeśli nie?

– Przecież to bez sensu! No zabiją ją, no! Sory, że tak brutalnie, ale posłuchaj. No wzięli i zabili. Co im to daje? Nic! My wtedy już za nic nie odpuścimy, sytuacja patowa. Możemy tutaj siedzieć do usrania przecież, konserwy są, woda jest, działko wali jak złoto. Jak będziemy chcieli, to w ogóle odpalimy transporter i zaczniemy ich ganiać. Nie ma szans, Wiedźmak jej nie tknie!

– A jeśli tak? Możesz mi dać gwarancję, że Wiedźmak czegoś nie zrobi?

– Wiedźmak ma we łbie nasrane – zgodził się Garsteczka. – Pewnie, że nie mogę. Ale przecież jak oddamy transporter, to tracimy wszystkie karty przetargowe!

– Owszem. A minuta już minęła.

Garsteczka popatrzył na pysk hipera, na garbaty nos i wąskie usta. Nieludzkie, niemalże zwierzęce rysy, krzywiące się dziko, bo siedzący za oczami mutanta Chemik odczuwał teraz czysto ludzkie emocje, których mimika hipera nie była w stanie oddać.

– Słuchaj, ty ją kochasz.

– Kocham... kurwa mać, „kocham”! – Chemik najwyraźniej próbował wziąć się w garść. Wysokie czoło co rusz się marszczyło, krzaczaste brwi chodziły w górę i w dół. Wyciągnął zza pasa sierp, stuknął raz i drugi o pancerz. – Ech. Sam nie wiem, czy kochałem kiedykolwiek. Teraz, kiedy upłynęło tyle czasu... Chyba tak, kiedyś na pewno. Dawno temu.

Krótko.

– Więc po co ci ona teraz?

– Po to, że dużo nas łączyło. Dużo i... dziwnie. Tyle tylko, że krótko. – Chemik obejrzał się na blok, za którym trzymali Nikę. Zaczął mówić szybciej: – Zaczęło się w Sektorze, podczas ekspedycji. Wpadliśmy na bandytów, prawie nas pozabijali. Nika dwóch wciągnęła w „gnojówkę”, ja trzeciego zastrzeliłem, herszt uciekł. Czysty fart. Cudem uniknęliśmy śmierci, emocje, euforia... Sam wiesz, jak to działa. I w oboju jakby się obudził wulkan. Jebaliśmy się tam, w Sektorze, jak króliki. Maraton wyczynowy. Potem w drodze powrotnej, potem w Kompleksie... I po dwóch miesiącach zgasło, podczas kolejnej ekspedycji, w Sektorze znowu. I teraz nie ma nic, zostało po niej tylko wypalone miejsce. Ale wiem, że jeśli ona tu zginie, to ja... ja sobie nigdy nie wybaczę.

– Więc...?

– Więc idę im oddać dysk. A ty jak chcesz, to strzelaj mi w plecy.

Odwrócił się, gotów zeskoczyć na ziemię. Garsteczka poderwał się, złożył dłonie przy ustach i krzyknął: – Ej, wy tam! Zgadzamy się!

Zza rogu wyjrzał Rob, potem pokazał się Wiedźmak, trzymający Nikę. Okucie laski niemalże wbijało się dziewczynie pod brodę, po twarzy tańczyły rzucane przez „udar” blaski.

I nagle Garsteczka zrozumiał. Zrozumiał zupełnie nieoczekiwanie, zupełnie jasno i klarownie, aż sam się zdziwił, że wcześniej na to nie wpadł! Tylko że teraz nie czas i nie miejsce było omawiać to z Chemikiem, więc uzasadnienie przedstawi partnerowi potem. Teraz pora na wykonanie.

Dokładnie tak zrobił – schował myśl do tylnej kieszeni spodni i odezwał się znowu: – Warunki trzeba ustalić! Halo! Słyszam mnie tam?!

Rozległ się równy, wyprany z emocji głos Roba: – Słyszemy! Mów.

– Nie podejdziecie do bryczki bez pilota, a pilota mam ja! Ale jak oddamy, to pewnie nas zastrzelicie! A z dziewczyną o kulach daleko od was nie odejdziemy!

Rob zerknął na swego pana i władcę. Wiedźmak pomyślał, po czym pchnął Nikę w ręce wychylającego się zza węgła Rysia. Zrobił krok naprzód i zadudnił, jak betoniarka pełna kamieni: – Ani wy, ani wasz los mnie nie obchodzi. Córka Kaufmanna również. Nie znacie i nie rozumiecie mojej drogi. Nie wiecie, co chcę osiągnąć. Możecie iść, dokąd oczy poniosą. Zapomnę o was, jak tylko znikniecie mi z oczu!

– Nożeż, ty kutasiarzu jednooki... – burknął Garsteczka, a głośniej odpowiedział: – Wiedźmak, bracie, też cię kocham 1

szanuję jak popaprany! Czyli tak: teraz wy wszyscy grzecznie stamtąd wyłazcie! Broń na asfalcie ułożyć! Jeden karabin damie na ramię, do kieszeni magazynek. A ty, wielkoludzie szary, też zdejmujesz swoją rękawiczkę i kulturalnie jej oddajesz! Potem my odchodzimy na bok, w te krzaki. Wy puszcacie do nas damę, a jak ona będzie w połowie drogi, ja wam rzucam pilota! O, tam, na klomb!

– Nie zgadzam się! – ryknął Wiedźmak.

Rozległ się tak samo obojętny głos Roba: – „Asura” nie oddam.

Targować się można tak długo i bezowocnie, sensu ani pożytku nie było w tym żadnego. Dlatego też Garsteczka odkrzyknął: „No to trudno!”, podniósł pistolet i dał ognia. Kula trafiła w ścianę, niedaleko od miejsca, gdzie stała Nika i trzymający ją Rysiu; poleciały kawałki cegły i betonu, Rysiu odskoczył i wrzasnął: – Co robisz, debilu?!

– Gaarssteczkaaaa...! – zasyczał Chemik, kuląc się przed dziobem transportera.

– Cholera, nie trafiłem! – wykrzyknął Paweł. – Słuchaj, jednooki, weź mi pozwól tę suczkę osobiście kropnąć! Niech ją twój człowiek puści, będzie mi łatwiej celować. Ja mam ją w dupie, a tylko mi się partner przez nią miota! Jest baba, jest problem, nie ma baby, koniom lżej! A ty, włochata dupo, spokojnie mi tutaj!

Musiał wypalić jeszcze raz, w pancerz przed Chemikiem, który już, już gotów był się na niego rzucić. Kula zrykoszetowała z hukiem i wizgiem, poleciały iskry. Człowiek– hiper zasyczał, ale mimo wszystko zdołał się powstrzymać.

Dzikie, przepełnione zwierzęcym obłędem oczy wpiły się w Garsteczkę, a ten szepnął półgębkiem: – Spokojnie, Chemiś! Ja tu swoje robię, nakręcam ich, a ty mi bajerę psujesz, idioto!

Chemik rozpląszczył się na pancerzu, popęzł na brzuchu w tył – jak gdyby walczyły w nim dwie namiętności, hiperska i ludzka. Jego intelekt musiał rozumieć, że Garsteczka w coś gra, ale instynkty nie były w stanie się z tym pogodzić.

– Ej no, niedorozwoje, szybciej tam myśleć! Bo mi się zwierzątko niepokoi! – krzyknął Paweł. – Dziewczyny szkoda, pewnie, bo nawet jej nie zdążyłem przelizać! Ale siebie lepiej znam, więc i bardziej szkoda! Przecież jak wam dać i bicz, i wózek, to żywi z tego nie wyjdziemy, to jasne! Łysy, dawaj! Decyduj, bo skoro naprawdę taki kozak jesteś, to czemu cię dupa boli oddać karabin i bacik? Ha?!

Garsteczka był pewien, że major Titomir w życiu by się na taką wymianę nie zgodził – był żołnierzem, a jeśli wierzyć Chemikowi, taki bicz pulsacyjny to broń marzeń. Natomiast Rob bezpośrednio rozkazowi Wiedźmaka nie mógł się sprzeciwić.

I rzeczywiście – niezadługo i Garsteczka, i Chemik czekali spokojnie w zaroślach, jakieś piętnaście metrów od transportera, a od strony ulicy kuśtykała ku nim Nika Kaufmann. Wargowie ze swoim ładunkiem stali obok Wiedźmaka, Rysiu i Titomir – Rob wystąpili naprzód.

– Zakneblowali ją! – zasyczał Chemik, skubiąc paznokcie i przestępując z nogi na nogę.

– Ano – mruknął Garsteczka. – Ciekawe, po co?

Nie tylko usta, ale też ręce Niki skrępowali za plecami, tak że dziewczyna nie mogła nawet podpierać się laską i co krok prawie że upadała. Na szyi majtał się jej karabinek szturmowy, jedną kieszeń kurtki dociążały magazynki, z drugiej wystawała rękawica.

Nika kuśtykała, potykała się, przewracała oczami i jęczała, jak gdyby próbowała coś powiedzieć.

– Rzucaj! – zawołał Rob.

– Chemik, teraz uważaj – szepnął Garsteczka. – Jak ja wezmę zamach, ty od razu biegniesz po dziewczynę.

– Tamci broń mają w gotowości.

– Dokładnie tak. Dlatego ja rzucam, ty ją chwytasz i od razu dzida w krzaki. Sam widzisz, że ten amulet z nadajnikiem to nasza jedyna rękojmia. Dopóki go mamy, działo nie strzeli. Ale jak wyrzucę... ja się nie tamtych boję, a transportera.

Radiostację załatwiłeś? Żeby tamci z moim kumplem Madziarem nie zaczęli gadać.

– Głośnik wyrwałem, ułamałem gałkę. Na więcej czasu nie było.

– Rzuć! – zaryczał Wiedźmak, unosząc swój kostur.

– Poszedł! – zakomenderował Garsteczka, biorąc zamach.

Nika potrząsnęła głową. Chemik rzucił się ku niej, ona zaskamlała głośno, gdy złapał ją na ręce i poniósł. Jedną ręką chwycił karabinek, oglądając się w biegu, machnął lufą w kierunku miasta.

Garsteczka rzucił amulet. Jak najdalej, z całej siły, ale nie w kierunku klombu, a bardziej w prawo. Tytanitowe puzderko błysnęło w powietrzu, Wiedźmak coś zawołał. Rob skoczył z miejsca. Poruszał się pięknie: ogromny, smukły, chyży.

Z początku biegł, potem skoczył szczupakiem, niczym bramkarz broniący strzału w okienko.

Złapał. Przycisnął do piersi, potoczył się po asfalcie.

A Garsteczka co tchu popędził w zarośla trzciny.

Aż dziwne, że nikt do nich nie strzelał, w ogóle nic, żadnych gwałtownych ruchów. Może i naprawdę Wiedźmakowi było to wszystko tak bardzo obojętne, a interesowała go wyłącznie jego własna misja?

Nika rzucała głową i coś bełkotała, gdy niosący ją Chemik przedzierał się z trzaskiem i chlupotem przez trzciny. W końcu wyskoczyli na polankę, popędzili głębiej w kierunku bagna. Przecięli usianą mętnymi bajorkami łąkę, przelecieli przez rzadkie, pożółkłe zarośla. Pod nogami coraz bardziej ciamkało, ziemia zamieniała się w błocko.

Gęstniała też mgła, dobrze. Chemik zaczynał dyszeć ciężko, Nika nadal się szamotała, nie chciała uspokoić. Kolejne pasmo trzciny, pagórek, rozlewisko, kępy trawy, kolejna górka... Dopiero tam stanęli. Mgła była już jak mleko, po transporterze i przedmieściach Polesia nie było ani śladu.

Garsteczka dogonił ich, odebrał od Chemika broń. Nika znów rzuciła głową, a Chemik postawił ją na nogi, rozwiązał knebel – chyba tę samą szmatę, którą Rysiu przyczepił do kija. Odwrócił tyłem, zaczął rozwiązywać pęta na rękach – ale dziewczyna zachwiała się, poleciała na niego, potem bujnęła w drugą stronę i upadła na Garsteczkę. Gdyby jej nie złapał, byłaby w ogóle się przewróciła.

Paweł przypadkiem dotknął jej ręki, aż się zdziwił: zimna, jak lód.

– Andrzej... – szepnęła Nika, próbując się przekręcić – Andrzej, oni...

Była sinoblada, skóra jak cieniutki pergamin, usta sinobiałe... Iskrzące się srebrem?

– Andrzej...

Garsteczka ostrożnie ułożył Nikę na ziemi, nachylili się nad nią.

– Jestem tutaj, Nika! – szepnął Chemik. – Co się stało?!

– Wiedźmak... on...

– Co?!

– Otruł... Otruł mnie, zanim do was...

– Jak, czym?! – rzucił się Chemik.

– Nie wiem. Coś... wlał, zmusił, żebym... I teraz jak kawałek lodu w środku, rośnie...

– Wyciąg ze „śnieżki” – jęknął Chemik martwym głosem.

– Słuchaj... – szepnęła Nika. Nachylili się obydwaj. – W muzeum, tam jest obiekt, Wiedźmak mówi, że to Latarnia... On doszedł do wniosku, że kiedy dziesięć lat temu... Kiedy ojciec wyciągał „oko”, Latarnia dostroiła się do jego psychomacierzy. Dlatego mnie wzięli, żebym to ja weszła do środka. Ten sam, podobny psychotyp. Dlatego mnie nie hipnotyzował, nie chciał nic zmienić. Żeby mnie Latarnia rozpoznała, żeby ją zabrać.

Chemik milczał, sapał tylko głośno. Garsteczka sam zapytał: – Po co to Wiedźmakowi? Co chce robić dalej?

– Ja... nie wiem – szepnęła dziewczyna, przy tych słowach z jej ust uleciał obłoczek zimnej pary. – Mówili coś o czerwonej wodzie. I o Arce. Że oni... że Latarnia zainicjuje...

– Wil też coś o jakichś „łoterredach” gadał, kiedy... – zaczął Garsteczka, ale Chemik wbił mu palce w ramię.

Nika nadal mamrotała, ledwie poruszając wargami, na których osiadał szron: – Mówił jeszcze... uważać... nowe stwory. Bestie z sieci. Transprzestrzeń... sieć anomalna. Andrzej, musisz... znajdźcie Północnika! On wie, gdzie jest Arka! – wyrzuciła z siebie, owiewając ich twarze lodowatym tchnieniem.

– Wiedźmak na pewno ma antidotum! – Chemik poderwał się, wyszarpnął Garsteczce karabinek.

– Nie żyje – powiedział Paweł, patrząc na leżącą z otwartymi szeroko oczami dziewczynę. – Chemik, nie żyje. Mówię, nie żyje, stój!

Ale hiper już zbiegał ze wzgórza i pędził z powrotem w kierunku miasta.

– Stój! Stój, mówię! – wydarł się za nim Garsteczka.

Szklane oczy Niki patrzyły w niebo, usta zbieleły. Od ciała wiało chłodem, jak z uchylonej zamrażarki.

Garsteczka pociągnął nosem, wyciągnął z kieszeni kurtki lekko oszronione magazynki i rękawicę. Obejrzał. Mocna, wyprawiona skóra, kilka sprzączek do regulowania. Na wierzchniej stronie przyszyty metalowy owal, w nim osadzony kamień, podobny do samorodka bursztynu. W kamieniu zatopiona pokaźna „śnieżka”, jaskrawosrebrna pajęczynka.

Wszystko to pokryte plecionką ze srebrzystych nitek, a po wewnętrznej stronie trójkątne łuski, przylegające do skóry.

Garsteczka zostawił ciało na pagórku, a sam ruszył śladem Chemika. Rękawicę naciągnął na dłoń, ale nie poczuł nic szczególnego – no dobra, a jak takim siurem, czy tam asiurem, kierować? Te łuski pewnie reagują na sygnały z ciała, ale jakie? Bez wódki nie ogarniesz.

Chemika znalazł w trzcinie, wyglądającego ostrożnie na przecinkę. Ten usłyszał kroki, ale nawet się nie odwrócił, tylko uniósł ostrzegawczo rękę. Kiedy Garsteczka podszedł, odezwał się: – Już się uspokoiłem. Prawie.

– No, dobrze mieć ten, no... logiczne podejście – powiedział Garsteczka. – Ja bym tak nie umiał.

– Jesteś pewien, że ona...

– Yup. Zimna, jak pół litra z zamrażarki.

– Kurwa mać, Pasza! Co to za porównanie...!

– Sory.

– Otruł ją. Otruł wyciągiem z artefaktu anomalii termicznej. Tego samego, który kiedyś jego pokaleczył, dlatego teraz sam w palcie zakutany chodzi. Nie do zatrzymania... A ty popatrz, co tam się dzieje.

Garsteczka przykucnął, wyjrzał ostrożnie.

Transporter stał tam, gdzie wcześniej, w pobliżu nie było nikogo. Jeśli się tam wszyscy zmieścili, to chyba musieli się upakować jak śledzie w beczce, szczególnie gdy wziąć pod uwagę gabaryty Roba i Wiedźmaka.

Żebrowany pręt z tyłu wieży wyjechał w górę i rozłożył się na podobieństwo parasolki. Odwrócone w dół końcówki niby– anteny zamigotały, a maszynę oplotła najpierw sieć, potem kopuła z lśniącej pustki. Niemalże niewidocznej, niematerialnej, ale coś Garsteczce przypominającej...



– Och w mordę, anomalna ich mać! – zaklął. – Dlatego trasa na mapie była prosta I Bo oni tu wcale nie przyjechali, tylko komputer połączył dwa punkty, a transporter się tutaj...!

Maszyna zrobiła się półprzezroczysta, zamigotała, na chwilę zawisła w powietrzu – i zniknęła.

Sfera utrzymała się w powietrzu może sekundę, a potem pękła, zniknęła. Trzasnęło falą uderzeniową ciśnienia, gdy powietrze wypełniło próżnię, powiał wiatr. Zapachniało ozonem.

Przez chwilę dwaj przyjaciele gapili się tępo na puste miejsce. W końcu Chemik wyprostował się.

– Teleportowali się. Otwierany na zawołanie „port”. – Odwrócił się i ruszył z powrotem na wzgórze. –

Po Sektorze rozrzucona jest sieć anomalii transportowych, i ktoś nauczył się otwierać w niej przenośne drzwiczki.

– „Ktoś”? W sensie kto? – Garsteczka po prostu poszedł za nim. Chemik przyspieszył kroku. – I co ta twoja Nika tam mamrotała? Może to takie majaki były? Jakieś arki, bestie z sieci, coś... Ty! A może to te bestie pogryzły hiperów w obozie? A ja potem widziałem takie świecące się dziury w powietrzu, jak poszedłem się odlać!

Chemik szedł coraz szybciej. Widać już było pagórek.

– Ano, jeszcze jeden nius jest – dodał Garsteczka. – Słuchaj, nie widzę już anomalii. Słyszysz mnie, dupo włochata?

Chemik znów nie odpowiedział, ale Paweł konsekwentnie ciągnął: – Dopiero niedawno się kapnąłem, wcześniej jakoś nie było czasu. Ta cała Latarnia, „oko”... Przecież powinienem je widzieć przez brezent, jak wargowie nieśli! I artefakt na kosturze też się tylko zwyczajnie świecił, jak żarówka, żadnych nitek ani nic. I to odkąd wypadłem z „portu” na bagnie, nic nie ma. Skończyło się szamanowanie. Jakby ktoś wajchę przełożył.

– Może to faktycznie skutek przejścia przez „port”? – zaciekawił się Chemik. – Fala w Kompleksie obudziła jakieś atawistyczne ośrodki postrzegania u ciebie w głowie, a potem, jak przeszedłeś przez Wstęgę, to znów je zgasiło. Możliwe.

Chyba.

– No, trudno. Teraz nawet jakoś tak głupio i pusto. Patrz, a na początku się tego bałem, nie podobało mi się, że coś tam jeszcze widzę... Ten „asur” na przykład, jak ty go widzisz?

Chemik odwrócił się do niego, więc Garsteczka uniósł rękę. Chemik obejrzał rękawicę, z zastanowieniem odpowiedział: – Rękawica płonie ogniem, a nad kamieniem krąży świetlisty wir. W kamieniu świeci bardzo złożona struktura. Piękna.

– Heh, a ja nic nie widzę. Może dlatego nie umiem go włączyć?

– No to chodź, zamienimy się – zaproponował Chemik, oddając mu karabinek.

Tak też zrobili. Chemik naciągnął rękawicę, Garsteczka zawiesił karabinek na ramieniu. Gdy poszli dalej, przypomniał sobie: – Słuchaj, dziewczyna coś o jakimś Północniku mówiła. Gdzieś to już słyszałem...

– Artysta malarz.

– O, dokładnie! Ten, co graffiti po całym Sektorze maluje, ten od postapokalipsy. Na Lotnisku był jego

bazgroł. Słuchaj, ale co nam po malarzu? Przecież... o, cholera! Ożyła?!

Na szczycie pagórka ktoś stał, ale po chwili Garsteczka zrozumiał, że to nie nieumarła Nika Kaufmann, a ktoś inny.

Poderwał karabinek, gdy obok pierwszej sylwetki pojawiły się jeszcze dwie.

A potem jedną z nich rozpoznał.

Wysoki brodacz w czarnym płaszczu przeniósł wzrok z leżącego na ziemi ciała na Chemika w ciele hipera i zadudnił, pokazując winchesterem: – Znam ją. Córka Kaufmanna, jednego z trójki tych, co przeżyli. A to dzikus w ludzkich szatach.

– Dziw to jakiś, ojcie. A czemu on taki... ubrany jest? – zapytał stojący za brodaczem chłopak w spodniach od dresu, trzymający w rękach skróconego kałasza.

– Bo to człowiek – odparł pochylający się nad dziewczyną Czerwony Kruk.

Kiedy Garsteczka i Chemik wspięli się na pagórek, skinął im głową, ale nie powiedział nic. Na jego twarzy też nie było widać ani śladu emocji. Mimo że Paweł przywykł już do małomówności Kruka, znów i tak się zdziwił. No, co za typ!

Kruk dotknął twarzy martwej dziewczyny, przejechał palcem po ustach i powiedział: – Zamarzła.

– Wyciąg ze „śnieżki” – wyjaśnił Chemik.

Na jego głos nosaty chłopaczek achnął i aż podskoczył, a brodacz strzelił na człowieka– hipera oczami, warknął: „Wielki Boże w niebiesiech!” i wycelował w mutanta ze swego sztucera.

– Ojcie, mówi on! Dzikus bagienny, a gada! – odezwał się chłopak teatralnym szeptem.

– Mówiłem przecież, że człowiek – powiedział Kruk, wstając.

– Zatem znasz i tych dwóch, włączęgo? – zapytał brodacz, z wyraźną niechęcią opuszczając broń.

Kruk wzruszył ramionami. Garsteczka zauważył, że lewa połowa jego ciała nie była już aż tak wykręcona, a najemnik stał niemalże równo.

– Wszyscy trzej tu szliśmy. Razem. Oni też mają z Wiedźmakiem porachunki. Ten tutaj to uczony w ciele hipera. Drugi to żołnierz.

– Jestem naukowcem z Kompleksu – odezwał się Chemik. – Moje stare ciało umierało, a Wiedźmak przelał moją świadomość w hipera, którego trzymał w niewoli.

– Przełał, powiadasz... – powtórzył Prorok.

– Tak, wbrew mojej woli. Chociaż zapewne uratował mi tym życie.

– Ale... to się tak da? – zapytał chłopaczek, rozkładając ręce w niedowierzaniu.

– Najwyraźniej tak, przy pomocy odpowiednich artefaktów.

Chemik wziął na ręce ciało dziewczyny, popatrzył po pozostałych.

– Idę ją pochować. Sam.

Odwrócił się i szedł ze wzgórza w kierunku miasta.

– Ej, a czym będziesz kopać? – zawołał za nim Garsteczka. – Może jednak ci pomóc?

Chemik nawet się nie obejrzał.

– Sam, mówię. Dam sobie radę.

Odprowadzili go wzrokiem. Dzieciak przetarł oczy, jak gdyby wciąż nie wierząc: bagienny dzikus w ludzkim ubraniu, zachowujący się jak człowiek!

– Kochali się – powiedział Garsteczka. – Kiedyś tam, dawno. Ale serce boli. Rozumiem go.

– Kto ją zabił? – zapytał Kruk.

– Wiedźmak, a kto...

– Odstępca był tutaj?! – zawołał chłopak. – Gdzie jest teraz?

– Odstępca? Że niby taki łysy, wielki, kulawy, bez oka? Wiedźmak? No, to teraz już daleko, tak sobie myślę.

Brodaty zainteresował się.

– Poszedł do miasta?

– Zaraz, powoli. – Garsteczka podniósł ręce. – Coś widzę, chłopcy, że jakiś burdel komunikacyjny zaczyna się robić. Do tego wszyscy z palcem na spuście, a to wprowadza nerwową atmosferę.

– Mów za siebie, ja się nie denerwuję – odparł Kruk. – Powiedz lepiej, gdzie Wiedźmak, gdzie Titomir?

– Panowie, zrobimy tak. – Garsteczka przykucnął. – Chodźcie, usiądziemy sobie, ziemia nie jest taka znów mokra.

Usiądziemy w kółeczku, po turecku, i wymienimy się informacją roboczą. Ja odpowiadam na pytanie, potem ktoś z was, potem znów ja. Tak? I wszystko po kolei wyjaśnimy. Ja pierwszy. Kruk, ciebie gdzie „port” wyrzucił i co to za jedni z tobą?

– To dwa pytania... – mruknął chłopak, ale brodacz dał mu kuksańca w bok.

Czerwony Kruk nie miał przy sobie nic, dwaj pozostali zaś nieśli po ciężkim plecaku. Teraz zrzucili pakunki na ziemię, brodacz zarzucił w tył płaszczem i też przykucnął na piętach, szeroko rozstawiwszy potężne kolana w powycieranych dzinsach. Plecak ułożył przed sobą, oparł o niego sztucer – delikatnie, jakby było w nim coś bardzo cennego.

Chłopaczek usiadł pod drzewem, wyciągnął przed siebie nogi.

Czerwony Kruk nawet się nie poruszył.

– Wyrzuciło mnie nad jeziorem – odezwał się najemnik. – Tam natrafiłem na tych dwóch, podróżników.

– Hm... – mruknął Garsteczka. – Coś mi to mówi. Klan jakiś stalkerski, tak?

Teraz odezwał się brodacz. Mówił dziwnie, jakby czytając Pismo Święte w cerkwi, i Garsteczka pomyślał sobie, że naprawdę jest w nim coś mnisio–księdzowego. Taki lokalny święty, normalnie Battle Pop. Zanim wrócił Chemik, zdążyli się porządnie rozmówić i co nieco przegryźć – Garsteczka przezornie ukraść z transportera trzy racje żywnościowe, a i podróżnicy mieli swoje zapasy. Poza tym wspólne jedzenie zawsze uspokaja nerwy.

– No i jak? – zapytał Paweł Andrzeja, kiedy ten ciężko usiadł obok. Wszyscy umilkli, patrząc na człowieka–hipera, przez twarze dwóch podróżników znowu przemknęło niedowierzanie.

„Dzikus” wbił wzrok w ziemię, powiedział: – Nijak. Pochowałem ją, krzyż z desek zbiłem. Imię wydrapałem. Przywalałem płytami chodnikowymi, żeby zwierzęta nie wykopały.

– Tutaj zwierząt nie ma – zauważył Prorok. – A że krzyż postawiłeś, to słusznie. Tak należy.

– Tak się robi, i tyle! – syknął Chemik niemalże z wściekłością. – A ja jestem niewierzący!

– Ojcze! – odezwał się znów Tosza. – A co na to Pan Bóg, że ludzka dusza w zwierzęcym ciele przebywa? Chyba że, jeśli on nie wierzy, to tak właśnie dobrze?

– Niezbadane są wyroki Pańskie, jednakowoż... – zaczął Prorok, ale Kruk mu przerwał: – Nie traćmy czasu na próżne gadanie. Gdzie może być teraz Wiedźmak i reszta? Titomir?

– Rob, jeśli już – zauważył Garsteczka. – Przecież mówiłem, przez „port” skoczyli, przenieśli się. Dokąd? Nie wiadomo.

Prorok pokiwał głową.

– Dziwna sprawa, jako żywo. Rok wokół tej maszyny chodziliśmy. Nie dało się nawet zbliżyć, raz spróbowaliśmy, ledwośmy z życiem uszli. Ot, stanął sobie pojazd żelazny, niechajże stoi. Atu okazuje się, że to kolejna droga przez Wstęgę!

– Macie jakieś teorie w tym temacie? – zapytał Chemik. – Skąd się wziął, dlaczego tam stał?

– Nie. Ale z tego, co mówicie, to właśnie do niego chciał dotrzeć Odstępca?

– Ano tak. Od samego początku tak zamyslił, że wejdzie do muzeum, a transporter będzie biletem powrotnym. – Chemik zamknął oczy, przejechał dłońmi po twarzy.

– Uwaga, teraz uczona głowa będzie wnioski wyciągać! – z pełną powagą ostrzegł pozostałych Garsteczka, pokazując na Chemika niczym treser na dobrze przyuczoną małpkę. – Uwaga. Teraz usłyszymy wykład. Ciężki, ale to dlatego, że każde słowo będzie w nim złotem.

Chemik opuścił ręce, popatrzył na nie tępych wzrokiem. Odezwał się: – Słuchajcie, ja to widzę tak. Myśmy do tej pory byli przekonani, że centrum wszystkiego jest Zagubione Miasto.

Muzeum. Obiekt, znaczy się, Latarnia. Czymkolwiek jest, to w nim upatrywaliśmy... źródła wszystkich wydarzeń.

– Wrota – dorzucił swoje Tosza. – Nie żadna Latarnia, a Wrota szatańskie!

– ...I myśleliśmy, że jeśli Wiedźmak połączy „oko” z Latarnią, to wydarzy się coś strasznego.

– Wrota do piekieł się otworzą, a piekło zaleje ziemię całą! – ogłosił nosaty z ponurym zadowoleniem.

Chemik zmilczał, potem odezwał się znowu: – Albo, inaczej mówiąc, kolejna Fala, jeszcze potężniejsza. Sektor rozleje się, być może na całą planetę. Też tak mi się wydawało. I co? Owszem, Wiedźmak chciał tu dotrzeć, ale nie tylko po to, żeby połączyć dwie części jednej całości.

Wiedział, że stoi tu teletransporter, miał do niego klucz i chciał skoczyć dalej. I dopiero tam coś zrobić. Wykonać tę swoją misję, o której słusznie mówił, że nie mamy pojęcia...

Garsteczka pociągnął nosem, chciał coś powiedzieć. Rozmyślił się, machnął ręką. Chemik mówił dalej: – I teraz okazuje się, że Polesie jest dla niego tylko punktem przelotowym na drodze do czegoś większego. Czy macie chociaż w przybliżeniu pojęcie, co to może być?

Prorok pokręcił głową, rozłożył swoje łapska.

– Doprawdy, przekracza to zrozumienie nasze. Coś musiał takiego Odstępcą wiedzieć, co przed nami jest skryte.

– A skąd szedł ślad na monitorze? – ponuro zapytał Czerwony Kruk, świdrując Chemika wzrokiem.

– Nie wiem.

– Muszę dopaść Titomira.

– Roba – poprawił ponownie Garsteczka.

– Dla mnie to jest, był i będzie Titomir! Jego chcę dorwać!

Oczy stojącego nad nim Kruka błysnęły dziko, twarz nagle nabrała drapieżnych rysów. Przez krótką chwilę zdawało się, że to nie człowiek w płaszczu, a dziwaczny stwór ze złożonymi na plecach czarno-czerwonymi skrzydłami... Garsteczka i Chemik popatrzyli na najemnika, zaskoczeni, Tosza westchnął, Wasilij Prorok obejrzał się przez ramię, zmarszczył brwi.

I potem wrażenie prysło. Przed nimi nadal stał ten sam konus – najemnik w brezentowym płaszczu.

– A wy? Chcecie dogonić Wiedźmaka czy nie? – Omiótł ich spojrzeniem różnokolorowych oczu. – Mówcie, każdy! Niech się inni dowiedzą!

– Cokolwiek wymyśli, ja za nim idę – powiedział Chemik.

Garsteczka potwierdził: – Łysemu w ogóle się we łbie poprzewracało, ktoś mu musi wstawić kij w szprychy. Cholera wie, co może odstawić.

– Odstępcę nam powstrzymać trzeba – zadudnił basem Prorok. – Rozmyślałem teraz nad słowami... –

Poruszał szczęką, pokazał ruchem ręki na Chemika. – Rozmyślałem nad słowami twymi, człowiecze w zwierzęcym ciele. I zgadzam się z nimi. Wrota do świata diabelskiego nie w muzeum się kryją, a tam, skąd wóz żelazny przybył. Latarnia to Klucz, a „oko”

było jego ostatnią częścią. Odstępcą ma go teraz w ręku, więc musimy pospieszyć się, nim dokona swych sprawek czarnych.

Tosza pokiwał głową, patrząc na ojczulka z zachwytem.

– I dobrze – podsumował Kruk. – Zatem wszyscy są za. Dokąd idziemy? Ona... – pokazał w kierunku, gdzie Chemik zaniósł Nikę – zdążyła coś powiedzieć?

– Tylko o jakimś Nocniku... nie, Północniku mówiła – rzucił Garsteczka, obserwujący uważnie Kruka.

– O kim?! – Tosza poderwał się, a Prorok aż złapał się za brodę.

A Paweł cały czas przyglądał się Krukowi. Odkąd zobaczył najemnika na wzgórzu, ten zachowywał się nietypowo. Ot, chociażby teraz: pokazał kierunek lewą ręką i od razu na nią tak dziwnie spojrzał. Uniósł dłoń, wyprostował palce, mruknął coś pod nosem. I ta mina, jakby udęczona.

Poza Garsteczką, nikt tego nie zauważył. Chemik zainteresował się reakcją podróżników na wspomnienie o Północniku, zapytał: – Mówimy o tym samym człowieku? Malarzu z Lotniska?

– A jakże – zgodził się Prorok. – To znany artysta, bez mała pół Sektora wymalował.

– Kiedyś tam czytałem jego dossier. Imienia i nazwiska nie pamiętam, ale to podobno prawdziwa legenda?

– Jeszcze żyje – skrzywił się Tosza.

– Jedno drugiemu nie przeszkadza. Północnik jest jednym z trzech, którzy przeżyli pierwszą Falę w muzeum. Kaufmann, Wiedźmakow i on. Pracował tam u nich, wystawy robił.

– To fakt – zgodził się Prorok. – Północnik wiele wie, wiele widział. Zali może tak być, że zna i miejsce, dokąd Odstępcą teraz ruszył? Najwyraźniej. I potrafi od podszewki wyjaśnić, co się naprawdę

dzieje. Po cóż by jeszcze o nim Kaufmannowa córka mówiła?

Poruszył krzaczastymi brwiami, pogładził brodę i odpowiedział sam sobie: – Tak, może i tak być. Nie wiadomo, co w tym wszystkim Północnik robi... Ale był tutaj, kiedy wszystko się zaczynało.

– Zaraz, to w końcu jak? Jest ważny czy nie? I jak go znaleźć? – zapytał Garsteczka.

– Jest w Cudoparku. – Tosza potrząsnął głową. – Ojczy, ale jak dostać się do niego?

– Cudopark? – powtórzył Chemik.

Prorok pokazał kciukiem za siebie: – To miejsce za jeziorem. Jeszcze zanim uchyliły się Wrota Piekielne, plunąwszy w świat Boży ciemnością, na drugim brzegu jeziora powstał...

– No tak, miejscowy lunapark! – zrozumiał Chemik. – Garsteczka, nie słyszałeś o nim? Ogromny kompleks rekreacyjny, bardzo drogi projekt. „Cudopark” – tak się nazywał, faktycznie! Kilku poważnych inwestorów, subsydia państwowe, i to w projekcie transgranicznym. Chcieli zainwestować w gospodarkę regionu, zrobić zagłębienie turystyczne. Ledwo zdążyli otworzyć, jak poszła Fala. I co, Północnik tam mieszka?

– Łuk – odezwał się Kruk nagle i wszyscy spojrzeli na niego. – Jak mnie tutaj wyrzuciło, widziałem łuk we mgle. I wieżę.

Albo wysoki słup. Prorok, co to?

– Nie łuk, a koło. – Przewodnik klanu podróżników, chwilowo zredukowanego do raptem dwóch członków, klepnął się w kolana i wstał. Tosza też się poderwał, złapał plecak. – To, co widziałeś, włóczęgo, to koło diabelskiego młyna, co stoi w Cudoparku. Zaiste, niebywałej wielkości konstrukcja.

– Słyszałem, że było drugie albo trzecie na świecie – zauważył Chemik.

– Niewykluczone. I wiele innych dziwów w parku jest, i Północnik się tam chowa. Widywaliśmy go parę razy nad jeziorem, nawet za nim próbowaliśmy iść. Znaczą popłynąć. Tutaj niedaleko stara przystań jest, ale to dawno było. Od tamtej pory nie próbujemy. No cóż, włóczędzy, ciemno się robi, pora nam z bagna uchodzić. Przenocujemy na pogłębiarce, tam bezpiecznie jest, a rano...

– Dlaczego nie próbujecie? – przerwał mu podejrzliwie Garsteczka.

– Ano, dlatego... – odpowiedział Prorok, podnosząc plecak – żeśmy za jeziorem czterech braci stracili. Od tamtej pory zabroniłem towarzyszącom moim chadzać w tamte miejsca. Ale cóż, nadeszła pora, by znów z Cudoparkiem się zmierzyć.

– Tam dzicy mieszkają – dodał Tosza, narzucając plecak na ramiona. Jako że ograniczył się tylko do tego. Chemik doprecyzował: – Istoty jakieś, tak? Mutanty?

– Nie, ludzie.

– Przemienieni?

– Też nie. No, może i przemienieni, ale nie tacy, a... No, dzicy i tyle. Dzikie stado, tak ich wołamy. Gorszi niż mutanty. Jak zwierzęta dzicy, ale też i mądrzy, rozumiesz? Coś się z nimi w Cudoparku stało i teraz jak nie ludzie, ale też i nie bezrozumni zupełnie. Jakby myśleli, ale inaczej. Dzikie. Dziwni są, co tu dużo mówić.



Rozdział 6

Czerwony Kruk siedział na dziobie, Chemik na rufie, a Garsteczka robił wiosłami. Na ochotnika, żeby poćwiczyć.

Człapał już rytm i teraz wiosłował szybko i równo, niemalże bezgłośnie chowając drewniane pióra w wodę.

Wstawał świt. Matowa, nieruchoma tafla jeziora przypominała arkusz blachy, rozcinany teraz ostrym dziobem długiej, drewnianej łódki. Przed nimi płynęła pękata szalupka, w której siedziało dwóch podróżników. Wiosłował młody Tosza, zagarniając wodę pojedynczym wiosłem to z jednej, to z drugiej strony.

Chemik, patrząc ponad ramieniem Garsteczki, przysiadł się do niego bliżej. Nachylił się i szepnął: – Najemnik jest jakiś inny. Zauważyłeś?

Nastroszony Kruk postawił kolnierz, chroniąc się przed przenikliwie zimnym powietrzem, przypominając teraz wielkie, ponure ptaszysko.

– Mhm... – zgodził się Garsteczka, czując nosem zapach hiperskiego ciała. Nie odrażający, ale i nie ludzki. Jak w stajni, inny i ostry. – Coś się nam Kruk zbiesił.

– Nie, to coś więcej. Po pierwsze, wyprostował się, już go prawie na bok nie skrzywia. Kilka godzin i takie zmiany, no...

To co najmniej nietypowe. Po drugie, ręka. Zwróciłeś uwagę?

– He, jeszcze wczoraj. Też prawie normalnie wygląda, porusza nią też dużo lepiej. I co najlepsze, przyłapałem go, że sam jest tym zdziwiony. Tak mi się widzi, że sam nie ogarnia, co się z nim dzieje.

– Ani ja nie rozumiem.

– A może to Wstęga tak zrobiła? No, że przez nią przeszedł. Mnie szamaństwo minęło, jak ręką odjął. Może i jego napromieniowało i wyleczyło?

Garsteczka ukradkiem obejrzał się przez ramię. W tej samej chwili Kruk obejrzał się na nich. Oko błysnęło... a na twarzy na okamgnienie jakby pokazał się głód.

Paweł poczuł przemożną chęć huknięcia najemnika wiosłem w łeb. I jeszcze raz, od góry, a potem za burtę.

I odepchnąć, byle jak najdalej, bo coś mocno złowieszczy się zrobił. Kruk nawet pomimo swego wzrostu wyglądał, no... na niebezpiecznego. Jak jego ukochany scyzoryk. Człowiek, zeszlifowany prawie do zera i wyostrzony jak brzytwa.

Ale teraz było w nim coś prawdziwie drapieżnego. W tym nieludzkim, strasznym słowa znaczeniu.

– Już lepiej widać – powiedział Chemik równym, spokojnym głosem, wyprostował się i popatrzył w przód, jak gdyby nigdy nic.

Kruk jeszcze chwilę świdrował ich wzrokiem, potem też odwrócił się szybko. Garsteczce wydawało się, że najemnik zrobił to z wysiłkiem, niechętnie. Jakby walczył sam ze sobą.

Cudopark rozłożył się na dużym, głęboko wcinającym się w jezioro cyplu. Łódki sunęły powoli w

szarówce przedświt; niebo jaśniało, więc coraz mocniej odcinał się na nim czarny ogrom diabelskiego młyna, górującego nad całą okolicą.

– Przecież... ono się kręci! – Garsteczka obrócił się na ławeczce. – Ale jak to? Kiego diabła to diabelskie koło się kręci?!

Łódka płynęła coraz wolniej, samym rozpędem. Szalupa podróżników zaczęła się oddalać.

– Czego hamujesz? – zapytał go Kruk. – Wiosłuj, skoroś chciał.

– Dlaczego się kręci? Ej tam, Prorok! Brodaty, weź słuchaj no!

Głos niósł się po wodzie daleko, więc mimo że Garsteczka zawołał półgłosem, to płynący przodem usłyszeli. Tosza przestał wiosłować, Prorok odwrócił się ostrożnie, ale łódeczka i tak bujnęła się na boki. Popatrzył złym wzrokiem spod gęstych brwi, przyłożył palec do ust: cicho! Garsteczka pokazał na diabelski młyn, machnął ręką, zakreślając okrąg i zrobił pytająco– zdziwioną minę.

Szef podróżników pokazał mu tylko gestem: teraz wiosłuj, potem wyjaśnię. Odwrócił się z powrotem, Tosza znów uniósł wiosło.

Popłynęli dalej. Z mgły wyłonił się brzeg półwyspu, z którego wychodziły w wodę trzy pomosty z zacumowanymi na wpół zatopionymi łódkami. Dalej widać było podłużny budynek przystani, skrywający przed nimi widok na park rozrywki.

Tosza przeskoczył na pomost, zrzucił stamtąd Prorokowi zardzewiały łańcuch. Zanim Garsteczka zdążył przycumować, obydwaj szli już ku przystani, trzymając broń w gotowości.

Robiło się nieco jaśniej, na lądzie nie panowało też tak przenikliwie zimno. Widać było otwarte na oścież drzwi i powybijane okna. Nie mówiąc ani słowa, pięciu włóczęgów weszło do środka.

Połamane meble, gruba warstwa kurzu. Za oknami gęstwina zarośli. W pokojach utworzyła się już podściółka z butwiejących liści, na której wyrastała trawa.

– No dobra, proponuję zwolnić – odezwał się Garsteczka. – Trzeba się rozejrzeć, bo chyba nie mamy pojęcia, co jest dalej i jak iść. Czy może wy coś wiecie, panowie?

– Niezbadane są drogi – mruknął basem Prorok. Tosza ściągnął plecak, wyjął ze środka lornetkę.

– Ja na górę.

Nie czekając na odpowiedź, wdrapał się po drabinie ku kłapie w suficie.

– Ej, tylko ostrożnie tam. Teren sprawdź, ale sam się nie pokazuj! – pouczył go Garsteczka.

Czerwony Kruk podszedł do okna, wyjrzał. Potem poszedł sprawdzić sąsiednie pomieszczenia.

I niemalże od razu rozległ się jego okrzyk.

Garsteczka i Chemik od razu rzucili się ku niemu. Prorok załomotał buciorami po podłodze, unosząc sztucer. Mimo że Garsteczka zareagował szybciej, to Chemik jako pierwszy dopadł uchylonych drzwi; szybkość jego ruchów była wręcz niewiarygodna. Paweł wpadł do pokoiku, gotów dać ognia do wszystkiego, co tylko żyje, albo i nie żyje, ale i tak się rusza...

Tylko że nic tam nie było. Kruk zastygł w pół kroku pośrodku pomieszczenia, Chemik też stanął.

Nie było tu mebli, w ogóle nie było nic. Ktoś bardzo się przyłożył, starannie sprzątając śmieci – a potem wszystko wymalował.

Czym się coś takiego robi, aerozolem jakimś? Cała panorama: ciemnopurpurowe chmury na suficie, na dalszej ścianie pole, szare betonowe megality i budynek z wysokim, pasiastym kominem. Na pierwszym planie stał stwór z przysawkami na pysku, za nim wyrysowane krzewy – a wyrastające przez popękana podłogę prawdziwe krzaki zdają się być częścią kompozycji. Jakby do innego świata wejść, wszystko jak prawdziwe!

Na ścianie po lewej namalowano sinoszary wir, a kwadratowe okno i zarośla za nim stanowiły integralną część kompozycji. Jak gdyby to okno miało być portalem, gotowym wessać cię i przerwucić nie wiadomo dokąd.

Po prawej zaś, gdzie patrzyli Kruk i Chemik, widać było samego Czerwonego Kruka. Garsteczka aż świsnął przez zęby.

Najemnik stał na tle kłębiącego się dymu, nad jego głową był znak radioaktywności, w rękach trzymał karabin. Stał i patrzył prosto na nich: różnokolorowe oczy, płaszcz, wykręcona lewa ręka... Jak żywy!

Garsteczka zerknął z ukosa na najemnika. Lewa powieka Kruka zadrgała.

– Co to znaczy? – zapytał Chemik.

Najemnik zrobił krok naprzód, nadepnął na krzak i odwrócił się do swego portretu. Znow mieli wrażenie, że stoi przed nimi nie człowiek, a ktoś obcy, drapieżny i mroczny.

Kruk zgarbił się, potrząsnął głową i wymamrotał: – Nie rozumiem...

– Ejże, zaraz, panowie – powiedział Garsteczka. – To przecież Północnik malował, tak? Ten, którego szukamy?

– Najpewniej – zgodził się Chemik.

– Kruk, to ty jego znasz?

– Nie – odpowiedział ten, raz jeszcze popatrzył na wizerunek i ruszył ku wyjściu. Garsteczka odsunął się, wypuścił go – ale za nim stał jeszcze Prorok.

– Daj przejść – rzucił Kruk, stając przed nim.

– Dziw to zaiste, włóczęgo – Prorok ani drgnął – skądże malowidło takie, skąd cię Północnik zna?

– Nie zna. Ani ja jego, w życiu go nie widziałem. Daj przejść.

Prorok nie poruszył się. Garsteczka już był przekonany, że podróżnik nie ustąpi, i co wtedy? Najemnik mu wbije nóż pod brodę? Prorok był potężny, Kruk wyglądał przy nim jak kruszyna... Ale Prorok zrobił krok w tył, pozwalając mu wyjść.

Garsteczka i Chemik wymienili się spojrzeniami, popatrzyli jeszcze raz na graffiti i też ruszyli za nim.

Czerwony Kruk przysiadł na parapecie, patrząc w okno. Garsteczka pomyślał sobie, że ten jakby celowo unikał towarzystwa. Nawet nocując na pogłębiarce, poszedł spać na pokład, na zewnątrz. Co się mogło dziać z konusem? Trzeba go pilnować, bo w ogóle do końca zdziwaczeje.

Tosza szurał i skrzypiał, łażąc po dachu. Chemik przeglądał zawartość otwartego sejfu, pełnego starych papierzyk i kurzu. Garsteczka przysunął się do Proroka.

– No to dawaj, opowiadaj o tej karuzeli.

Podróżnik odpowiedział, co rusz spoglądając na zastygłego na oknie Kruka i przesuwając palcami po swoim sztucerze: – Tajemnicą jest, czemu kręci się koło diabelskie. Od zawsze tak było, odkąd tylkośmy za Wstęgę przeszli i pierwszy raz je zobaczyli.

– Ale dlaczego? Przecież musi być jakieś wytłumaczenie.

– Może jakaś anomalia tam jest. Grawitacyjna, albo siłowa – zaproponował z głębin sejfu Chemik.

– Tajemnicą jest! – powtórzył Prorok twardo.

– Zali wždy, niezbadane wyroki Boże odnośnie do karuzel porzuconych – parsknął Chemik.

Prorok odwrócił się do niego, zaskrzypiały ciężko przesycone wilgocią deski.

– Widzi mi się, włóczęgo, że mocno różnią się nasze spojrzenia na świat doczesny.

– Mnie się podobnie widzi. – Chemik wzruszył ramionami. – I nie jestem włóczęgą.

– Zaiste. Zwierzem teraz bezbożnym jesteś, a nie stworzeniem Pańskim.

Garsteczka po takich słowach od razu łałby w ryj i patrzył, czy równo puchnie. Chemik tylko westchnął ciężko, wrzucił z powrotem porwaną teczkę do sejfu. Spojrzał na Proroka i powiedział spokojnie: – To, że jesteście człowiekiem wierzącym, Wasilij, nie daje wam prawa do plecenią trzy po trzy. Jestem świadomością człowieka, która przez anomalne zawirowania Sektora trafiła w ciało istoty humanoidalnej nieznanego pochodzenia. I nie jestem ani włóczęgą, ani niczym stworzeniem, a doktorem nauk ścisłych. Dziękuję.

Prorok podszedł do niego, zajrzał w twarz. Zmrużył oczy, pokiwał i zadudnił: – Zaprawdę, dostrzegam błysk rozumu w ślepiach zwierzęcych. Jednakowoż mdły on i niepewny.

– Cieszę się, że widzicie fakty, Wasilij – odparł Chemik. – I proszę, żebyście sobie dobrze zapamiętali: świadomość hipera niemalże już przestała istnieć, ale nadal we mnie jest. Podobnie jak i nie do końca moje instynkty. Dlatego wolałbym, aby mnie nie obrażano. Nie chciałbym zostać sprowokowany.

– Zali mnie uszy myślą, grozić mi się zamysłiles? – zdziwił się brodac, zaciskając palce na sztucerze.

– Bynajmniej. Dokładnie to robię.

Dopiero wtedy Garsteczka zauważył, że hiper trzyma w prawej dłoni kościany sierp, który nosił w samorobnej pochwie, zmontowanej z kawałków brezentu, sznurka i pasków. A na lewą miał naciągniętą rękawicę bata plazmowego... Nie wiadomo, czy Chemik potrafiłby posłużyć się „asurą”, ale to zawsze

argument.

I kiego czorta tych dwóch nagle skoczyło sobie do gardeł? Wczoraj wszystko było w porządku, jakoś dawali radę koegzystować. Może się coś w nich zbierało? Chociaż bić się chyba nie będą, tylko mówią podniesionymi głosami.

– Lepiej dla ciebie, byś mi nie groził – odezwał się powoli Prorok.

Chemik odpowiedział, patrząc mu prosto w oczy: – W ciele hipera jest o wiele więcej białych włókien mięśniowych niż u człowieka. Białe, to tak zwane krótkie włókna.

Widzieliście, Wasilij, jak jaszczurka siedzi na kamieniu, a potem w okamgnieniu znika? Układ mięśniowy hipera działa podobnie. Próbowałem już, kiedy uciekaliśmy Wiedźmakowi przy Fabryce. W razie zagrożenia, gdy ciało zareaguje instynktownie... Przepraszam, ale wtedy nie ręczę za siebie.

– Jam człowiekiem wiary. Tyś miłośnikiem nauki – uciał Prorok. – Nie jest nam pisane znaleźć wspólny język.

– Niewykłuczone, że nie. Za to mamy wspólny cel i możemy działać razem. Nawet w ramach diametralnie odmiennych macierzy.

– Heee... Macierzy, ziomuś? – wtrącił się Garsteczka. – Jakich macierzy? To coś jak całki, nie? Ty pamiętaj, że to nie wykład tutaj masz, tylko realne życie... no, raczej botanika i fizjologia niż chemia i fizyka.

Chemik odwrócił do niego głowę, nadal patrząc na Proroka.

– Macierz, Paweł, to inne określenie na percepcję. To, jak odbierasz otaczającą rzeczywistość. Dla pana tutaj ścigamy teraz Odstępcę, który chce otworzyć Wrota do piekła, a znajdujemy się w tegoż piekła domniemanym przedsionku. Ja twierdzę, że znajdujemy się w sferze pogranicza zakłóceń związków przyczynowo– skutkowych, która utworzyła się na styku światów Everetta.

– Co? Jakiego, twoja mać, styku? Z kim?

– Mam na myśli celowo sprowokowane bądź zupełnie przypadkowe współoddziaływanie kilku różnych odgałęzień multiwersum, ze wszystkimi wynikłymi w naszym wariacie rzeczywistości skutkami pobocznymi. Na poziomie kwantowym, mikro oraz makro... – Chemik rozłożył ręce. – Jak w danym przypadku.

Garsteczka pokręcił głową z dezaprobatą.

– No to teraz wszystko jasne, panie psorze.

Zarówno Prorok, jak i Kruk, który aż odwrócił się od okna, słuchali tego naukowego bełkotu, jak gdyby mieli szansę cokolwiek z niego zrozumieć.

– Można by o tym mówić długo – podsumował Chemik. – Ale na poziomie czysto praktycznym wniosek jest prosty: mamy z panem Wasilijem odmienne macierze postrzegania, dlatego też działamy w pozornie odmiennych uwarunkowaniach, jakkolwiek w rzeczy samej widzimy i czujemy dokładnie to samo.

– No dobrze, brachu. To jak jesteś taki mądry, to powiedz, czego chce i o czym myśli Wiedźmak? Bo dla Proroka to jest jasne. Chce otworzyć bramkę i zalać nas imigrantami z piekła. A w twojej uczonej macierzy? Czego chce ten świr?

– Transformacji kontinuum. Albo w ogóle jego naruszenia, zniszczenia. A może chce wykrzywić nasze odgałęzienie multiwersum i doprowadzić do połączenia z innym?

– Okej, no i co? Jak sam mówisz, w praktyce co się stanie? Słońce się zatrzyma, niebo spadnie nam na głowy?

Chemik pokręcił głową.

– Zbyt mało informacji wejściowej. Księżyc raczej nic do tego nie ma, ale... kolejna Fala, tym razem globalna? Implozja rzeczywistości? Nie mam pojęcia. Brak danych wsadowych.

– Już dobrze wiesz, gdzie sobie te dane wsadź. W dupę kontinuum, która się nad nami otworzy, ot co! Wiedźmak wlezie we wrota piekielne, da w mordę twojemu Everettowi i spuści świat w kiblu. – Garsteczka połączył obie macierze po swojemu, popatrzył na Proroka. – Co ojczulek sądzi o takiej opcji?

Prorok milczał. Z góry rozległy się kroki Toszy i skrzypienie desek.

– Ot, co sądzę – zadudnił w końcu brodac. Garsteczka spojrział na niego, mocno zdziwiony. Przywódca

podróżników kogoś mu chyba przypominał... – Słowa włóczęgi– naukowca pełne są mętnej mgły.

– Ha! No patrz, lepiej bym sam nie ujął.

– Ale i ziarno prawdy w nich się skrywa. Jakkolwiek wroga ludu człowieczego nazywać, czy to Szatanem, czy Everettem innym, możemy siły połączyć dla wspólnego dobra. I dlatego... – Umilkł na chwilę. Pogładził brodę, potem podszedł do Chemika i wyciągnął prawicę. – Dlatego też na ten czas będziemy braćmi.

Chemik zawahał się, ale w końcu też podał mu rękę. Wąska łapa hipera niemalże utonęła w ogromnej dłoni brodacza.

Powiedział: – Everetta do tego już nie mieszajmy. To wielki uczoney. Wysunął kiedyś hipotezę, w myśl której... ech, nieważne.

A potem się zapił na śmierć.

– Nie dziwota – skomentował Garsteczka. – Jak się zacznie o tym wszystkim myśleć, to *bież wódki nie razbieriosz*.

Trzeba mniej o głupotach myśleć, a więcej o prostych, przyziemnych radościach.

– I co, ty dla takich prostych radości zostawiłeś po drugiej stronie „portu” pewną walizeczkę i polazłeś tutaj, w oko cyklonu? – zdziwił się Chemik.

– O czymże mowa, bracia? – zapytał Prorok.

– A o niczym, proszę księdza. Takie nasze chłopięce sprawy. – Garsteczka machnął ręką.

Chciałby jakoś godnie się Chemikowi odszczeknąć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. No bo faktycznie – dlaczego, po co? Nawet jak się zastanowić, to od chwili, kiedy trafił na bagna, ani razu nie pomyślał o schowanej w starym samolocie walizce pełnej pieniędzy. O przepustce do swojego marzenia, o białym żaglu kołyszącym się na falach lazurowego morza.

Sektor złapał go, zawrócił mu w głowie, a on dał się porwać. Dziewczyny w bikini, drinki z palemką... phi! Mutanty, bagna, zagubione miasta, kontinuumy, podróżnicy i cudoparki – o, to było życie! To mu się podobało.

Garsteczka rozejrzał się jak człowiek widzący dane miejsce po raz pierwszy. No, do diaska, podobało mu się! Mimo że było niebezpiecznie jak w Czelabińsku nocą, i bardzo łatwo było rozstać się nie tylko ze zdrowiem, ale i życiem. Ale nie miał wcale a wcale ochoty stąd uciekać.

I ciekawość: a po co, a dlaczego? A jak to jest, że kręci się diabelski młyn? Co to za stado dzikusów? Kim jest Północnik, dokąd polazł Wiedźmak, o co chodzi z dziwnym zachowaniem Kruka?

Do tego jeszcze transporter. I Wil Kyss, z którym trzeba się wódki napić. Dopytać o „czerwoną wodę” i terribelne monstersy.

Nie ma mowy. Nie odejdzie, dopóki wszystkiego nie wyjaśni.

Aż uderzył pięścią o dłoń, tak był pewien tej myśli. Chemik rzucił mu pytające spojrzenie.

Kruk przykucnął na parapacie i mruknął: – Za długo w jednym miejscu siedzimy. Trzeba iść.

Akurat z klapy w suficie pokazały się nogi Toszy i chłopak zeskoczył na podłogę.

– Nic a nic nie widać! – ogłosił, zadowolony z siebie. – Dżungla wszędzie. Tylko krzaki i drzewa, osty i inne łopiany.

A burzan, o! Chyba mojego wzrostu. Jeszcze widać dróżki, tam nie do końca zarosło, i placyki, ale ledwo, ledwo. I karuzele różne, porzewiałe wszystko, ale wielkie, że oho...! Te, no, kolejki górskie, tam po prawej. I ten młyn diabelski z przodu, ale daleko. Kręci się cały czas. I coś skrzypi jeszcze, tak miarowo.

– Co skrzypi? – zjeżył się Garsteczka.

– A nie wiem. – Tosza wsunął lornetkę do plecaka i zarzucił go na jedno ramię. – Nie od młyna, ale skądś bliżej. To co, idziemy?

– I nawet w przybliżeniu nie wiecie, gdzie może być Północnik? – dopytał Chemik. – A jeśli go tu w ogóle nie będzie? No dobra, potrzebujemy wybrać jakiś kierunek, żeby zacząć, a potem metodycznie przeszukamy całe to miejsce. Ruszajmy.



Za niedużym, wyasfaltowanym placykiem znów rozciągały się krzaki, to gęstsze, to rzadsze. Kruk szedł na szpicy, przy czym maszerował, jak na gust Garsteczki, nieco zbyt szybko. Jakby coś go gnało przed siebie. Ale bynajmniej nie biegł, uważnie obserwował okolicę, najpierw ostrożnie wyglądał na puste miejsca... Generalnie robił wszystko jak należy.

Dwaj podróżnicy pilnowali boków, na tyle, na ile pozwalała bujna roślinność.

Garsteczka w końcu nie wziął amerykańskiego karabinka, zostawił nie do końca wyczyszczony na pogłębiarce, a teraz ścisnął w rękę pistolet z przełącznikiem ognia w pozycji automatycznej.

Chemik niósł sierp w pochewce, a teraz często unosił rękę w rękawicy, poruszał nadgarstkiem, zginał i prostował palce.

– Oswoiłeś się już? – zagadnął Garsteczka półgłosem. – Bo chyba jeszcze nie próbowałeś włączać?

– Na razie chcę wyczuć – odpowiedział Chemik z namysłem. – „Asur” jest jak... jak ciepły kompres. Mogę go myślami mocniej rozgrzać, jeśli wysyłam taką jakby falę. Jeśli chcę. On wtedy zaczyna świecić jaśniej, pojawia się przy nim taki język jakby dymu i roślinie. To właśnie ten bicz. I trzeba go jeszcze „wystrzelić”... Ech, trudno opisać słowami.

– Nie, ja tam rozumiem. Też tak miałem, że fale, dym i zawirowania, a potem po prostu wszystko zniknęło. Dobra, baw się, badaj. Przyda się, jak ogarniesz.

– Oczywiście, ale powinienem poćwiczyć na żywo.

– I...?

– I przy podróżnikach jakoś wolałbym nie. Kto wie, jak zareagują?

– Najpewniej, że „asur” to ogon samego diabła, a ty jesteś jego bratem ciotecznym. Albo że to skakanka z włosa anielskiego, a tobie polecono zorganizowanie nowej krucjaty – parsknął Garsteczka.

Tosza nie kłamał, półwysep rzeczywiście zarósł dokumentnie. Miejsce przypominało Lotnisko – taki sam labirynt ścieżynek i drózek pośród zieleni, tylko że tutaj pomiędzy nimi wznosiły się nie wraki samolotów, a karuzele, beczki śmiechu, huśtawki i zjeżdżalnie. No i ten młyn... prawdziwie diabelski!

Teraz było go widać o wiele lepiej: powoli, jakby z wysiłkiem obracająca się potworność daleko przed nimi, na obwodzie kilkunastoosobowe kabiny, pomiędzy nimi niewielkie łódeczki dla odważnych par. Rozszerzające się ku dołowi podpory tonęły w morzu zieleni.

Garsteczce nagle zatkało uszy. Potrząsnął głową, skrzywił się. Aż boleć zaczynało, jak wtedy, kiedy zbyt głęboko sobie wsunąć w ucho pałeczkę z watą. Potem ból przeniósł się na skronie, a on zaklął z cicha. I rozumiał, że pozostali też coś czują. Chemik syczał i rzucał głową, Prorok mamrotał coś pod nosem, Tosza pojękiwał. Kruk stanął w miejscu, uniósł ręce ku skroniom. Jak gdyby skądś sączył się bezdźwięczny sygnał... I nagle wszystko się urwało.

Garsteczka rozejrział się, a Chemik powiedział: – Żadnych anomalii w pobliżu nie ma. Zauważyłbym przecież.

– Podobne do „uchodłubki” – zadudnił Prorok. – Jest w sektorze klejmo szatańskie, które tak zwą.

Kruk ruszył dalej, więc i oni poszli za nim. Cokolwiek to było, nie powtórzyło się już.

Po kilkunastu krokach Chemik zauważył: – Słyszę skrzywienie. Już dłuższy czas. Nie od młyna, skądś bliżej.

– Aha, skrzypi coś – zgodził się Garsteczka. – Teraz wyraźniej. Co on tam pokazuje?

Czerwony Kruk stanął przed trzema drzewami, których korony sploły się w jedną całość. Pokazał pozostałym gestem, żeby poczekali, i prześliznął się pomiędzy pniami.

Podróżnicy szli obok siebie. Prorok ciężko tupał, Tosza poruszał się niemalże bezszelestnie. Chłopak w ogóle miał zadatki na dobrego tropiciela, tylko że jeszcze mocno naiwny był i Proroka swojego uwielbiał niemalże bałwochwalczo.

Kruk wyjrzał, machnął ręką: chodźcie!

Za drzewami otworzył się placyk, na którym stała karuzela. Wysoki słup, na nim poziome koło, od obwodu biegingy w dół długie łańcuchy. Na co niektórych wciąż kołysały się plastikowe siedzenia – a na jednym wisiał człowiek.

Koniec łańcucha zaplątany miał wokół szyi, głowę przekrzywioną na bok. Ręce związane rzemieniem za plecami.

W powiewie lekkiego wietrzyku ciało kołysało się z boku na bok, łańcuch poskrzypywał.

Tosza szepnął przez ściśnięte gardło: – To przecież Masaj... Ojczy, dzikie stado naszego Masaja powiesiło! Co mu z nogami zrobili?!

– To ktoś z waszych? – zapytał Chemik.

– Toż to podróżnik! Stary Masaj, sługa Pański! Już miesiąc będzie, jak zniknął. Nie wiedzieliśmy, że tutaj poszedł. Myśleli wszyscy, że tak po prostu przepadł. Na polowanie poszedł, może go zwierz jaki rozszarpał czy coś... Pochować go trzeba!

– Chłopaczek chciał podejść bliżej, ale Prorok położył mu ciężką dłoń na ramieniu.

– Nie wolno. – Pokręcił powoli głową.

– Ależ, Ojczy! Witiazia, Zachara i Karpia nie pogrzebaliśmy, leżą teraz przy brzegu, zwierzowi dzikiemu na pożarcie.

Godzi nam się i Masaja zostawić?

– Czy ty naprawdę nie widzisz? – odezwał się Kruk. – Przecież go nad „muszardą” powiesili.

Garsteczka gapił się na nogi Masaja, które spływały w dół, jak kawałek wosku w upalny dzień. Stopione w jedną całość, zlepiły się w jednolitą masę i straciły normalny kształt. Nawet teraz odrywały się od nich ciężkie krople i bezdźwięcznie spadały w kałużę podrygującego, gęstego żelu koloru sraczkowatego brązu. Nad kałużą wisiała ni to mgiełka, ni to dymek, nawet z pewnej odległości robiący niepokojące wrażenie, bo samo powietrze jak gdyby topiło się nad anomalią.

Wokół „muszardy” stały ustawione w pięciokąt słupki z potrzaskanych płyt chodnikowych, na każdym powiewały na wietrze kawałki taśmy magnetofonowej i leżały jakieś strzępki, a na szczycie leżały czaszki. Jedna ludzka, kilka zwierzęcych, mniejszych i większych, w tym jedna o długich, niemalże krokodylich szczękach i cofniętym, wąskim czole.

Garsteczka zapytał: – Co oni, udekorowali go? No co za zryte posrańce! Tortura taka, ofiara z człowieka? Że niby w Sektorze przez anomalię...?

Na piersi i brzuchu nagiego Masaja widniał wykonany czarną smołą rysunek: wąski trójkąt, na jego końcu koło – ot, taki prymitywny symbol diabelskiego młyna.

– Szatański rytuał. – Prorok splunął na ziemię i zwrócił się do Toszy: – Zbaczęścili ciało brata naszego, lecz duszy w nim już nie ma. Nie Masaj to już, a skorupa pusta jeno. Dalej nam iść trzeba.

– Aha, i to jak najszybciej – zgodził się Garsteczka, nie mogąc oderwać wzroku od kolejnej kropli, spływającej z trupa.

Czerwony Kruk już zaczął obchodzić placyk dokoła, skrajem zarośli. Chemik, wciąż patrząc na „muszardę”, rzucił: – Tak swoją drogą, te wstążki pomiędzy kamieniami to skóra. Chyba nie ludzka, zwierzęca raczej. Wasilij, Tosza, co to w ogóle za stado? Ludzie w ogóle? Bo tak zbyt już... – pokazał sierpem w kierunku anomalii, przekształconej w ołtarz – psychologia nieludzka. Może to coś pokroju wargów, albo hiperów?

– Z wyglądu jak ludzie – zaprzeczył Prorok. – Gołowąsy.

– O, to, to! Jak ludzie wyglądają, bo to ludzie są! – rozemocjonował się Tosza jak zwykle. – Młodzi, tak, nie wiemy dlaczego, ale młodzi wszyscy. I dziwnii...

– Cicho tam! – syknął Kruk.

Teraz szli już bardzo ostrożnie, wszyscy trzymali broń w gotowości. Za plecami monotonnie poskrzypywał łańcuch z podwieszonym podróżnikiem, w ciszy Cudoparku ponury dźwięk niósł się daleko po okolicy.

Spomiędzy krzaków pokazały się ławeczki i kiosk z dziurawym dachem, przez który wyglądały wyrastające ze środka drzewka. Dalej stał duży, otwarty pawilon dla gokartów: daszek, burty do pasa, gładka podłoga i kilkanaście samochodzików na prąd.

– Klasyczny autodrom – uśmiechnął się Garsteczka. – Słuchaj, mały, daj no lornetkę. Rozejrzę się jeszcze raz, bo jakoś na chybił trafił idziemy.

Tosza popatrzył na Proroka, ten skinął przyzwalająco. Chemik wsiadł do jednego z samochodzików, zaczął kręcić skrzypiącą kierownicą. Kruk przeszedł przez tor, obejrzał się na towarzyszy, niezadowolony z kolejnego przystanku.

Garsteczka wziął lornetkę, zarzucił na ramię i sprawnie wspiął się na budkę biletera. Daszek autodromu był w najlepszym razie chybotliwy, więc nie próbował nawet wychodzić na środek. Po co ma się zawalić? Ostrożnie przeszedł skrajem, przysiadł na rogu i zwiesił nogi. Uniósł lornetkę do oczu.

Przeszli raptem trzecią część drogi do diabelskiego młyna. Przez lornetkę doskonale widział puste gondole i zardzewiałą oporę, wyrastającą spomiędzy koron drzew. Ogromne koło powoli kręciło się, stanowiąc jedyny element ruchomy w nieruchomym pejzażu Cudoparku.

Garsteczka zrozumiał, że coś było nie tak. Przyjrzał się obwodowi koła, popróbował wyregulować ostrość. Rzeczywiście, nie wydawało mu się – prawą połowę diabelskiego młyna było widać gorzej. Całość obracała się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, gondole powoli unosiły się ku górze po lewej stronie, potem w prawo... I gdy mijały najwyższy punkt, znikają za zasłoną z mgły.

Całą prawą połowę diabelskiego młyna zasłaniał lekko mleczny filtr. Kabiny zamieniały się w ciemniejsze plamy, ledwie widoczna konstrukcja była tylko szarym łukiem. Dopiero u dołu, nad samymi koronami drzew, wszystko znów nabierało ostrości.

No naprawde, diabelski młyn! Mutancki, anomalny. Co za cholerstwo...? Garsteczka dobrą minutę po prostu gapił się na powoli pełznącą maszynię, dopiero potem przesunął okular dalej, lustrując okolicę.

Daleko po prawej było widać kolejkę górską, a mniej więcej w połowie odległości pomiędzy diabelskim młynem a autodromem stał budynek z kolorowym, wyblakłym szyldem: WESOŁY CYRK.

Pokręcił regulatorem ostrości. Front budynku był niski i długi, w podcieniu biegły wąskie tory, niknące z obu stron w ciemnych bramach. Na torach stały rzędem wagoniki z fotelikami. Ściana powyżej wymalowana była w kościotrupy, zębate wiedźmy, czerwonoookie potworki, żywe trupy niosące w rękach ludzkie głowy i temu podobne paskudztwa o wątpliwej estetyce.

A nad wszystkim tym, na poziomie dachu, wznosiła się wielka głowa klauna. Nie tyle malunek, a raczej płaskorzeźba z dmuchanego plastiku. Ogromna, wypukła, paskudna. Czerwony kapelusz z tańczącymi po rondzie szkieletami, pyzata morda o wymalowanych na czerwono ustach, małe, wredne ślipka. Purpurowy, okrągły nos, odstające uszy – w jednym kolczyk z trupią czachą. Klasyczny klaun z horroru.

Garsteczka już, już przesunął lornetką dalej, ale naraz szarpnął z powrotem.

W szerokiej, ciemnej mordzie klauna, niczym w wejściu do pieczary, stał człowiek. Jasna kurtka, wypačkana kolorowymi plamami, podobnie ubrudzone spodnie. Długie, siwe włosy, wielkie czarne okulary i fajka w zębach. I twarz też dziwnie jasna, niemalże biała, zwrócona prosto na autodrom. Prosto na Garsteczkę.

Bez cienia wątpliwości: Północnik we własnej osobie. Ten sam, co laził po Sektorze i rysował wszelkie bohomy na ścianach. Z własnej nieprzymuszonej woli mieszkający w nawiedzonym parku rozrywki, po sąsiedzku z dzikim stadem nie wiadomo czego. Ten, co przeżył pierwszą Falę i na własne oczy widział, jak pojawia się Sektor.

Jak miałyby wyglądać? No przecież, że nie zwyczajnie! A taki idealnie pasował do roli i wyobrażenia o

artyście– włóczędze.

Patrzyli tak jeden na drugiego. Północnik pyknął fajkę, pokazał ręką w lewo – dla Garsteczki było to w prawo. Złożył ręce na krzyż, jak gdyby pokazując, żeby tam nie iść. Machnął ręką ku sobie, zapraszając, ale przyłożył od razu palec do ust.

I nagle gwałtownie odwrócił się w kierunku, na który dopiero co pokazywał. Wbił w coś wzrok. Machnął znów Garsteczce, po raz kolejny pokazał w tę samą stronę, a potem zrobił krok w tył i zniknął w ciemnościach.

Garsteczka popatrzył w swoje prawo. Tam, dość daleko, widniała kolejka górską. Wysoko ponad zaroślami i drzewami widać było stromy łuk, za nim drugi, mniejszy i jeszcze mniejszy, potem zakręt, gdzie tory skręcały w przeciwną stronę od autodromu. Dobrze widać było miejsce, gdzie wagoniki zaczynały swą drogę: placyk na podwyższeniu, obok podłużny barak, teraz szary i wyblakły.

A po placyku szło dwóch ludzi. Garsteczka przesunął regulator ostrości, ale nieznajomi akurat weszli do domku i nie zauważył nic ponad to, że obydwaj byli w długich płaszczach.

W okienku baraku mignęła sylwetka, ale jednocześnie zaczął kropić deszcz. Woda zaszumiała na liściach... Garsteczka patrzył w tamtym kierunku uporczywie jeszcze jakiś czas, ale nie stało się nic więcej. Północnik też nie wyglądał z paszczy złowieszczonego klauna, więc Paweł zaczął schodzić na dół. Zeskoczył z budki, zawołał: – Panowie, zbiórka! Słuchajcie.

Chemik, Prorok, Tosza i Kruk podeszli bliżej, mimo że ten ostatni wyraźnie starał się trzymać na osobności. Garsteczka opowiedział wszystko, co widział, a Prorok spytał tylko: – Siwy, okulary?

– Wielkie, że nie można nie zauważyć – potwierdził Garsteczka.

– To na pewno Północnik! – ucieszył się Tosza. – O, jak szybko żeśmy go znaleźli! Czyli do niego idziemy, tak?

Garsteczka zaoponował: – Jeśli pójdziemy po prostej, to tamci z kolejki górskiej nas przyuwają. Nawet jak się będziemy chować. Pewnie mają tam punkt obserwacyjny... Lornetek mogą używać?

– Pół biedy. Gorzej jeśli mają chociażby termowizory – zauważył Chemik. – Przecież nic o nich nie wiemy.

– Czyli bez zwiadu dalej nie idziemy. Autodrom zarósł na gęsto, tutaj można urządzić obóz. Nie zauważą nas.

– Ja pójdę – zgłosił się Kruk.

Zdjął płaszcz, wyrzucił na lewą stronę. Podpiął poły specjalnie wszytymi guzikami. Okazało się, że druga strona podszyta jest materiałem w bladzielonym kamuflażu, więc teraz charakterystyczny strój najemnika zamienił się w doskonałe maskowanie.

Kruk wyjął z kieszeni czapkę z naszytym skórzanym emblematem. Okrąg, na nim czerwony krzyż.

Tosza aż drgnął, a Prorok zamruczał:

– Skąd to wzięłeś, włóczęgo?

– Znad jeziora – odpowiedział Kruk, sprawdzając pistolet w kaburze. I znów Garsteczce rzuciło się w oczy, że znacznie poprawiła mu się motoryka lewej połowy ciała. – Jednego z waszych była, co go Karp zabił. Siwego.

Podróżnicy zmilczeli, mimo że widać było: czapka nieodżałowanej pamięci brata na głowie niemalże obcego człowieka robiła na nich złe wrażenie.

– Coraz mocniej pada – zauważył Chemik.

Czerwony Kruk, idący już ku wyjściu z autodromu, rzucił przez ramię: – Niech pada, w szumie mniej słychać.

– Ej, a ty na pewno sam chcesz iść? – zawołał za nim Garsteczka. – Na zwiady lepiej we dwóch!

– Przyzwyczailem się – mruknął tamten. – Czekać.

Kropki szumiały w gęstwinie, spływały po gałęziach. Kruk szedł ostrożnie, ale dość szybko. Nie mógł pozwolić sobie na zwleknięcie, bo głód gnał go w poszukiwaniu ofiary.

Po nocy na pogłębiarce, nad ranem, myślał już, że nie da rady. Co chwila targały nim mroczne popędy, ledwo powstrzymywał się przed myślami o zabójstwie. Na łódce celowo usiadł z przodu, tyłem do nich... a

mimo to dwa razy mało się na Garsteczkę i Chemika nie rzucił.

Nie chciał skończyć jak Karp. A mimo to wiedział, że się wyda. Raczej prędzej niż później. Pozostali już teraz popatrywali ze zdziwieniem, a Prorok z wyraźną podejrzliwością.

Dlatego też oderwał się od nich przy pierwszej sposobności.

Przekradając się przez krzaki, Kruk czuł pulsujący w rytm kroków „krwawokwiat” na lewym boku. Symbiont pulsował, niczym drugie serce, tyle że szybciej i mocniej, pompując w żyły przepuszczoną przez siebie krew.

„Krwawokwiat” był głodny. A jedynym pożywieniem, jakie tolerował, były życia innych ludzi.

I to już, teraz, zaraz. Dopóki Kruk może się jeszcze kontrolować, zanim z człowieka nie zamienił się w istotę powodowaną tylko i wyłącznie głodem. Karp musiał zbyt długo próbować walczyć, zamiast poszukać przygodnej zdobyczy. W rezultacie pozabijał swoich... a tego Kruk nie chciał.

Jeszcze.

Coś zaszeleściło, Kruk od razu wyciągnął pistolet. Mało brakowało, a byłby wypalił, dał radę powstrzymać się w ostatniej chwili – bo z zarośli wyskoczyło wielkie, czarne cielsko, jak gdyby utkane z dymu... Pies! Dymowy pies.

Zaskoczony Kruk zatrzymał się. Już widział tego zwierza, gdy niedaleko od stacji biegł obok rannego Garsteczki. Czy go ścigał, czy zwyczajnie przemieszczał w tym samym kierunku... Wtedy, po wystrzale, pies zniknął.

Ślepią stwora żarzyły się niczym węgle, półotwarty pysk przypominał purpurową szramę. Pies zahamował, zwrócił się ku Krukowi. Potężny, szeroki łeb tworzyły kłęby wijącego się mroku.

Stwór i człowiek zamarli, mierząc się wzrokiem. Ten pierwszy szczyrzył kły, drugi celował z pistoletu. Sylwetka psa zdawała się płynąć, od dymu odchodziły na boki wijące się pasma. Ciężko było na niego dłużej patrzeć, oczy zaczynały łzawić, a w głowie szumiało...

Kruk zauważył wgłębienie po lewej stronie łba, tuż nad okiem, czerwoną plamkę, stałą i niezmienną pośród kłębów chaosu. Ślad po postrzale. Czyli materialna kula potrafi mu coś zrobić? Przypomniawszy sobie, że wtedy widział przez celownik karabinu coś w rodzaju sakw na grzbiecie zwierza, a teraz nic takiego nie było.

Nagle pies zadarł łeb, zastrzygł uszami, jakby słysząc czyjeś wołanie. Jednocześnie Kruk poczuł, jak coś ściska go za skronie, w uszach pyknęło zmieniające się ciśnienie... To samo było przed karuzelą z powieszonym Masajem!

Zwierz wyszczerzył się jeszcze bardziej, złowieszczo uśmiechając do człowieka, a potem odwrócił i skoczył bezgłośnie w krzaki, zostawiając za sobą tylko pasemka ciemności, szybko rozwiewające się w wilgotnym powietrzu.

Kruk trwał tak jeszcze chwilę, ale pies nie wrócił. Ktoś go odwołał.

Ruszył znów ku kolejce górskiej, ale po kilkunastu krokach znów stanął w miejscu. Drogę zagroził mu mniejszy, dziecięcy wariant kolejki. Tutaj też były górki i doliny torów, kolorowe wagoniki w kształcie rakiet, wyścigówek, smoków i uśmiechniętych zwierzątek.

I w każdym wagoniku ktoś siedział. Kruk ruszył wokół instalacji, nie podchodząc bliżej. O, w maleńkiej otwartej kabinie siedzi człowiek, odrzucił w tył głowę i patrzy w niebo niewidzącymi, podkrążonymi oczami. Jeden z podróżników? Tych dwóch, nosaty i brodacz, mówiło, że nie tylko Masaj zniknął w głębi Wstęgi.

W drugim wagoniku martwy hiper, w trzecim zmasakrowany warg. Za nimi truchło niedźwiedzia, potem jakiś stwór, podobny do wielkiej jaszczurki.

W sumie siedem ciał. A wokół całej kolejki stały potężne słupy z kawałków betonu i kamieni. O wiele wyższe niż wokół karuzeli, też z czaszkami i kawałkami skóry.

Deszcz padał coraz mocniej, cała konstrukcja powoli tonęła w szarej mgiele, ale Kruk dostrzegł, że w jej centrum migocze tęczowa bańka nieznanej mu anomalii. Dotykające jej krople od razu wyparowywały z cichym sykiem, całość spowijał obłok pary. Więc ci w wagonikach to też ofiary dla Sektora, jak Masaj?

Niebawem doszedł do podstawy jednej z opór, trzymających tory dużej kolejki. Nad nim piętrzyło się rusztowanie, płynące falami w górę i w dół, zakręty i zawijasy... Kruk upewnił się, że w pobliżu nikogo nie

ma, podszedł do schodków wejścia technicznego. Zaczął się wspinać, jedną ręką przytrzymując poręcz, a drugą celując w górę z pistoletu.

Garsteczka twierdził, że widział na platformie dwóch ludzi. Mogli mieć tam punkt obserwacyjny. Skoro tak, to pewnie nadal tam są, bo on sam wyszedł z autodromu niedługo po rozmowie, a dotarł tu szybko.

Był mniej więcej w połowie schodków, wychodził już ponad zarośla i znajdował się na wysokości koron drzew, gdy nagle stanął. Uderzyła go myśl, tak niespodziewana i zaskakująca, że aż straszna. Płomieniówka! Już drugi dzień nawet o niej nie pomyślał!

Przez rok nie zdarzyło się to ani razu. Potrafił, owszem, nie wyjmować puzderka przez czterdzieści godzin. Jednak pod koniec tego czasu był słaby jak dziecko. Lewa ręka trzęsła się jak w febrze, drżała cała lewa połowa twarzy, nie mógł mówić... A teraz przez myśl mu nie przeszło zażywanie czegokolwiek! Ani wczoraj na bagnach, ani nocą na barce. Nawet teraz, w Cudoparku.

Nie miał wątpliwości, że to „krwawokwiat” go leczył.

Symbiont zapulsował na lewym boku, a Kruk znów pospieszył na górę. Zalała go fala gorąca, pole widzenia zwęziło się do wąskiego korytarza, poza którym płynęła purpurowa mgła. Zaczął biec, przeskakując po dwa stopnie. Myśli zniknęły, został tylko głód i żądza zabijania.

Na podeście, przykrytym od góry daszkiem, wyrwał z pochewki nóż. To tutaj stał domek, w który wjeżdżały tory.

Zajrzał do środka.

Na torach leżał przewrócony wagonik z wyprutymi siedzeniami. Pod dalszą ścianą dostrzegł dwóch ludzi w długich płaszczach: jeden siedział na taborecie, drugi stał przy oknie. Obydwaj plecami do niego. Jedyna broń, jaką było widać, to maczugi skręcone z kawałków rur, pod ścianą stał łuk i kołczan ze strzałami.

Gdy Kruk zobaczył ludzi, potworny atak głodu dosłownie wymiół mu z głowy jakiegokolwiek inne myśli. W normalnych okolicznościach i stanie najemnik przeanalizowałby sytuację, przyjął jakąś taktikę... Ale teraz to nie on sterował własnym ciałem, a ciało nim.

Rzucił się przed siebie, przeskoczył przez tory i z całym impetem wpadł na stojącego przy oknie. Uderzenie rzuciło tamtych na popękana, posklejana szybę; kaptur ześliznął się z głowy, zaczepił o szkło, mężczyzna wrzasnął i do wtóru brzęku szyby poleciał na zewnątrz i w dół. Mignęła jeszcze poszarzała, chuda twarz, wbita w dolną wargę agrafka, wąski nos przekłuty kawałkiem zagiętego z dwóch stron drutu – tylko tyle Kruk zdążył zobaczyć. Może to była kobieta? Bez różnicy.

Odwrócił się do siedzącego na stołku i nawet nie myśląc, wbił mu swój nóż prosto w otwierające się usta. Kopniakiem w pierś posłał na ziemię i rzucił się w kierunku korytarza, skąd dudniły kroki uciekającego trzeciego obcego... Bo był trzeci, było ich trzech!

Na skraju podestu, zaraz przed miejscem, gdzie tory zaczynały biec w dół, stała samorobna drezyna: szeroka decha na platformie z kołami. Kruk wybiegał z pawilonu, kiedy biegnąca przed nim kobieta – dziewczyna w zasadzie! – skoczyła na wagonik. Drezyna skrzywnęła i ruszyła, uciekiniarka złapała za rzemienne pętle, zapierając się nogami o ramę. Kruk skoczył ile sił w nogach, ale nie zdążył. Pojazd potoczył się w dół, nabierając tempa.

Wyszarpnął pistolet, ale zdecydował, że dźwięk będzie zbyt donośny i słyszalny, nawet w lejącym deszczu. Przyklęknął, wyjął z kabury na kostce mniejszy pistolet.

Wagonik pędził w dół. Daleko pod nimi było morze zieleni, uginające się teraz falami pod naporem deszczu.

W najniższym punkcie wygięcia tory zniknęły pomiędzy gałęziami drzew, rosnących niemalże przy samej kolejce. Drezyna wpadła pomiędzy nie, na chwilę zniknęła, a potem znów pokazała po drugiej stronie, jadąc pod górę i powolutku tracąc impet.

Była szansa, że w ogóle nie dojedzie do kolejnego szczytu, mimo że ten był zdecydowanie niższy. Wszystko zależało od tarcia, od łożysk, ale jeśli osie były dobrze nasmarowane, to...

Kruk powoli uniósł broń, czekając i nie chcąc spudłować. Łatwo było spudłować w tym deszczu.

Dziewczyna na drezynie odwróciła się, naciągając cięciwę łuku.

Kruk nawet nie poruszył się, nie myśląc o ukryciu. Strzał z takiej pozycji, z ruchomej platformy nie

mógł się udać.

Przesuwał pistoletem za swym celem, a wagonik jechał coraz wolniej, coraz mozolniej wspinając się na górę. Zew „krwawokwiatu” był coraz silniejszy, symbiont kazał mu rzucić wszystko i dopaść do leżącego w pawilonie bezwładnego ciała.

Dziewczyna zwolniła cięciwę, a strzała przeleciała półtora metra od Kruka. Jadący już całkiem powoli wózek dotarł do najwyższego punktu torów, sylwetka uciekinierki odcięła się wyraźnie na tle zarośli. Kruk dał ognia dwa razy, dziewczyna szarpnęła się i upadła w tył. Wagonik przetoczył się przez szczyt i zniknął, jadąc z hurgotem dalej.

Wcisnął pistolet do kabury i popędził do pawiloniku. Nie miał już sił walczyć dalej. A jeśli tamten już się wykrwawił?

Przy tej myśli „krwawokwiat” aż ścisnął się boleśnie. Kruk dopadł do ciała i z ulgą zrozumiał, że człowiek wciąż żył – poruszał się słabo, leżąc przy przewróconym taborecie. Pod kapturem widać było młodą twarz, też lekko popielatą, chudą, z przygaszonymi oczami.

Nieznamy dał radę wyszarpnąć nóż z gardła, teraz szydło leżało obok w gęstej, ciemnej kałuży. On sam trzymał się rękoma za krtani, kasłał i krztusił krwią.

Kruk napadł na niego, niczym drapieżny ptak. Usiadł na nim, złapał za ramiona, nachylił się i zajrzał w oczy.

Nie wiedział, co stało się dalej. Jak gdyby coś przepłynęło przez powietrze pomiędzy nim a jego ofiarą. Na mgnienie oczy zasłoniła mu czerwona mgła, w głowie coś przeskoczyło – jak wtedy, gdy nadejdzie Fala, a człowiek nie dość głęboko się schowa. Serce ścisnęło się, zatrzepotał „krwawokwiat”, posyłając w żyły uderzenie słodkiego, kojącego bólu... Szary, deszczowy świat nagle eksplodował barwami i dźwiękami, Czerwony Kruk wygiął się w pałąk i zajączał ochryple.

Jęk umilkł, a on powoli opuścił głowę. Człowiek, na którym siedział okrakiem, był martwy. Kruk nie ruszał się kilka chwil, a potem wstał szybko. Zwinnym, sprężystym krokiem przeszedł się wzdłuż torów, wyjął wbitą w deski strzałę. Obejrzał, wsunął za pasek, pokaże pozostałym na autodromie.

Podniósł nóż, wytarł starannie. Mimo że zahartowane w „syropie” ostrze nie bało się ani brudu, ani rdzy, dla niego był to element codziennego rytuału. Wsunął broń do pochewki na przedramieniu, szybko obszukał trupa.

Każdy jego ruch był precyzyjnie wyliczony, idealnie ekonomiczny. Pewny. On sam czuł się... spełniony. Pełny. Jakby syty, gdy człowiek naje się ile trzeba, ale nie za dużo. „Krwawokwiat” uspokoił się. Kruk praktycznie go nie czuł. I nie było też żadnych śladów obecności czegoś obcego w postrzeganiu świata, zero impulsów. Nic. Nic, co mogłoby popchnąć go do mordy.

W kieszeniach zabitego nie znalazł nic godnego uwagi. Jediną bronią były cztery zespawane pręty zbrojeniowe, okręcone w miejscu chwytu wyprawioną skórą. Wszystkie cztery zaostrzono, trzy były wygięte na podobieństwo pazurzastej łapy. Ni to taki trójząb, ni to egzotyczna buława... Do rękojęści doczepiono rzemienneą pętlę.

Uniósł tego dziwnego drapaka, machnął na próbę kilka razy. Odszedł, cisnął w trupa. Dwa pazury weszły z młasniciem pod żebra, rękojęść stuknęła o podłogę.

Kruk zdecydował, że zabierze broń ze sobą. Wyszarpnął z ciała, zawiesił przy pasie. Wyciągnął jeszcze raz strzałę, obejrzał, w końcu wyrzucił. Ot, strzała jakich wiele, z jednej strony lotki z piór, z drugiej niby-grot ze starego gwoźdźca.

Jeśli Garsteczka miał rację, a dzikie stado miało tu punkt wartowniczy, to należało liczyć się z tym, że przyjdą tu zmiennicy tych trojga. Pora więc stąd zniknąć – tym bardziej że nie wiadomo, co może być na końcu torów. Przecież trasa nie jest zapętlona, czort wie, dokąd pojechał wózek z łuczniczką i kto może ją zobaczyć, żywą lub martwą.

Wyszedł z pawilonu i stanął, bo do głowy przyszła mu nowa myśl. A po co miałby wracać? Czy w ogóle potrzebował innych ludzi? Przecież wie, gdzie szukać Północnika. Potrafi tam dotrzeć. Ponadto oszczędzi tym, których jeszcze uważa za „swoich”, trudów przedzierania się przez miasto.

I konieczności obcowania z czymś, co teraz w nim żyje.

Na ile wystarczy energii wyssanej z pierwszej ofiary? Kilka dni? A może tylko kilkanaście godzin?

Może nawet jeszcze krócej. Na razie musiał nauczyć się siebie samego na nowo.

Zdecydowawszy, że nie będzie wracać na autodrom, zaczął schodzić po żelaznych schodach. Zrobił raptem kilka kroków, przystanął. Lewą ręką, o wiele bardziej wrażliwą nawet od wczoraj, wyraźnie wyczuwał lekkie drżenie poręczy.

Ktoś szedł na górę.

Przykucnął, zajrzał w szczelinę pomiędzy stopniami, zerwał się, przechylił przez poręcz i odskoczył. Zrugął się w myślach za powolność, wbiegł z powrotem na podest. Po co tyle czasu tu zmarnował?!

Po schodach piął się ku niemu cały oddział.



Rozdział 8

Zdecydowali, że wartę na dachu będą trzymać dwójkami, więc jako pierwsi wdrapali się tam Chemik i Prorok.

ZGarsteczka miał co prawda pewne obawy co do tej pary. Istniało ryzyko, że zostawieni sami znów zaczną sobie skakać do oczu, ale na górze było cicho. Najpewniej zrobili tak, jak im zaproponował, i od razu poszli w dwa przeciwległe końce. Położyli się, żeby nie rzucać się w oczy, odwrócili jeden do drugiego dupskami kontinuum i tak leżeli. I dobrze. Mniej kłótni, mniej problemów.

– E, mały. Weź no, zjemy coś – zaproponował Paweł. – Wyciągaj, co tam masz.

– Nie jestem mały – zachnął się Tosza, ale mimo to sięgnął do plecaka. – Mam imię. I nawet przydomek.

– No...?

– Mściciel.

– Oho, mocna rzecz. A na kim się mścisz, że taki Mściciel? Czy tak ogólnie, bez różnicy?

– Na heretykach, którzy wiarę Pańską splugawili – wyrecytował chłopak nieszczególnie pewnie.

Garsteczka wzruszył ramionami.

– Mściciel to Mściciel, jak powiesz. Jak dla mnie możesz nawet i Proktologiem się nazywać, byle byś był porządny ziomek. No już, wyciągaj żarło, bo przecież moje racje w plecaku masz. Ty, a właśnie, czemu Wasilij swój plecak na górę zabrał? – Popatrzył na górę i szepnął: – Pewnie ma tam coś szczególnego, nie? I podzielić się nie chce.

Tosza nie odpowiedział, uciekł wzrokiem. Wyciągnął kartonik z resztkami jedzenia, otworzył. Garsteczka przysiadł na masce gokarta, zajęli się podwieczorkiem.

– A czemu ty Garsteczka jesteś? – zapytał Tosza. – Dlaczego tak właśnie?

Paweł dożył, połknął. Uniósł buteleczkę likieru w toaście.

– No, to *Deus vult*, na pochybel twoim heretykom. Dawno to było, jeszcze w internacie. Filmy nam wieczorem puszczały stare, a ja westerny lubiłem, szczególnie te z RFN... Ech, stare dzieje. No i był taki jeden, „Za garść dolarów”, te sprawy.

Zacząłem opowiadać kiedyś chłopakom, co nie oglądali, i Witia... mój przyjaciel taki był... mi tę ksywę przyszył. I tak już zostało. Ha! – Uniósł oczy ku niebu, wspominając Witę. – Nawet kapelusz miałem, jak kowboj prawdziwy, tylko że taki w kamuflażu. Nieregulaminowy, ale i tak nosiłem. I patrz, jak się ułożyło teraz, co? Ani kapelusza, ani regulaminu, ani Witii nie ma... Ech. A ty skąd jesteś, koleżko?

– Z Białorusi.

– He, no to się słyszy z akcentu. Inaczej zapytam: kim byłeś wcześniej, zanim do Sektora trafiłeś? Czy co, od małego tutaj?

– Wcześniej w seminarium byłem. Duchownym.

– Uch ty! A Prorok co, wykładowcą twoim, czy jak to się tam mówi? Przecież on zakonnikiem jest, nie?

– Miał w okolicy gdzieś cerkiew swoją. No, w miejscu, co potem w Sektor trafiło. I tutaj się poznaliśmy, dwa lata już będzie.

– Mnie to on kogoś z twarzy przypomina. Nie mogę skojarzyć, ale gdzieś już kogoś podobnego widziałem. No i jak się poznaliście? Jak trafiłeś do podróżników?

– Ojczulek mnie z bandy wyratował. – Tosza zasępił się. – Dawno to było, nie lubię wspominać. Tak wyszło, że z seminarium odszedłem. Uciekłem. I trafiłem do... do niedobrych ludzi. Młody jeszcze byłem, głupi...

– No tak, rzeczywiście. Nie to, co teraz. Ale mów, mów dalej.

– Banda mnie zgarnęła. No i robiło się złe rzeczy, głupie. Kradliśmy dużo. Psy nas zaczęły szukać, to poszedłem do Sektora. I tutaj druga banda. Zupełnie bym przepadł, z kretesem. Ojczulek uratował.

– Uratował, mówisz... – powtórzył Pasza.

– Gdyby nie on, tobyśmy teraz nie rozmawiali. Życie mu zawdzięczam, wszystko w ogóle. On mnie i uratował, i drogę słuszną pokazał. Od tamtej pory jestem przy nim.

– Oddany mu jesteś – zauważył Garsteczka. Sam takiej ślepej wiary w cokolwiek czy kogokolwiek nie popierał, ale postarał się to powiedzieć mocno, po prostu. Bez osądzania. Tosza jednak musiał coś usłyszeć i zaoponował: – Ja tylko Panu naszemu Bogu oddany jestem! A ojczulek, ojciec Wasilij... On po prostu silny jest. I sprawiedliwy.

– Silny i sprawiedliwy. No, niech ci będzie.

– I ty też taki... dobry chyba jesteś – dodał Tosza, zerkając na Garsteczkę spode łba.

– No coś ty? Klawo, połechtałeś mnie.

– Nie, ja poważnie. To jest... no, Kruk... Kruk dziwny jest. I straszny czasami. A Chemik to przecież ateista w ogóle. Niby taki mądry, o macierzach opowiada, a sam biega w ciele zwierzaka, jak durny. A ty... ty wyglądasz na taką nie do końca zagubioną jeszcze duszę.

– Chemika mocno podczas Fali poszarpało, a że w ciele hipera siedzi, to wcale nie dlatego, że jest głupi.

– Garsteczka poczuł się do obrony przyjaciela. – Chociaż... W sumie to masz rację. Mścicielu. Z naszej ekipy to pewnie ja jestem najprzystojniejszy i najfajniejszy.

Deszcz nadal padał równo, cichy szum niośł się po całej okolicy. Podjedli, popili, Tosza zaczął pakować resztki.

Garsteczka zapytał go: – Słuchaj, ja bez zegarka. Którą na osi mamy?

Nie doczekał się odpowiedzi, bo zza skraju dachu pojawił się łeb hipera.

– Ej tam! Coś Kruka nie ma długo, nie podoba mi się to. Czemu to tyle trwa?

– Mógł na dzikie stado się natknąć – podsunął Tosza.

Głowa kiwnęła.

– I ja tak myślę, że go zauważyli. Albo złapali, albo zabili. Myślisz, że trzeba zmienić bazę?

– Bezwarunkowo. – Garsteczkę aż dreszcz przeszedł. Nie miał ochoty tak od razu po jedzeniu się spinać, ale sam poczuł niepokój. – Wołaj dziada borowego, idziemy stąd.

Głowa schowała się z powrotem.

Po chwili na górze stuknęło, po czym pojawiła się znów. Tym razem jednak oczy były półprzymknięte, jak gdyby Chemik zemdłał i zwiesił się za krawędź. Garsteczka ledwo to zobaczył, od razu zerwał się i złapał za pistolet.

– Co się dzieje?! – zawołał Tosza.

Na górze rozległ się okrzyk Proroka, potem znów głośno skrzypnął dach.



Garsteczka miał szczęście: kątem oka zauważył ruch i rzucił się szczupakiem w bok, więc przeznaczona dla niego strzała tylko świsnęła mu nad głową.

Tosza chwycił swoją „plujkę”. Nad głową zadudniły kroki Proroka, dwa razy krótko, urywanie szczerknął winchester, w krzakach gwizdnęły kule.

Garsteczka popędził przez autodrom, puszczając w biegu serię na oślep. Z tyłu zaterkotał kałasznikow, ale prawie od razu ścichł. Dopadł do burty toru, wyrwał z kieszeni zapasowy magazynek – i dokładnie wtedy dach jęknął, trzasnął i pękł.

W chmurze pyłu i kawałków konstrukcji na dół zleciał z ochrypłym wrzaskiem Wasilij Prorok.

– Ojczulku! – zawył Tosza.

Garsteczka zdekoncentrował się, oglądając na nich przez ramię – och, niepotrzebnie. Źle wyliczył, przeskakując przez bandę, zaczepił nogą, upadł prosto na pysk.

I nawet nie zdążył się podnieść. Uniósł tylko głowę i zrozumiał, że jest za późno.

Był otoczony.

Kruk ześlizgiwał się w dół po stromej szynie, szybko odpychając się rękoma od wąskich podkładów. Jego nowa broń majtała się przy pasku, zaczepiała i w ogóle przeszkadzała... Zdołał pokonać około trzeciej części drogi w dół, gdy ludzie, których zauważył na schodach, dotarli do punktu startowego wagoników.

Tory biegły w czymś na kształt śliskiego, metalowego korytka, więc Kruk miał już pomysł, jak na wszelki wypadek przyspieszyć drogę w dół. Na razie jednak spełzał powoli, to ślizgając się na brzuchu, to czasami unosząc na czworaki.

Deszcz wciąż mżył, metal był śliski, ale ręce znajdowały mocne oparcie na drewnianych podkładach.

Popatrzył w dół, próbując ocenić, ile drogi mu zostało. Potem znów w górę – i wtedy nad skrajem platformy pokazały się dwie głowy w kapturach.

Rozległy się głosy. Jeden z ludzi wysunął się dalej i pochylił, opierając dłońmi o kolana. Kruk nie widział jego twarzy, tylko ciemny owal kaptura. Drugi zniknął z pola widzenia, po chwili pojawił się znów w towarzystwie trzeciego – wysokiego, w podbitej miśkiem kurtce, szerokiego w ramionach. Też w kapturze. Ten ostatni w rękach trzymał włócznię, stojący obok unosił podobny do kuszy drewniany samostrzał.

Kruk przesunął się na bok, wciskając pomiędzy podkłady a burtę żelaznej rynienki. Podciągnął nogi pod brodę, odepchnął od torów i zaczął zsuwać w dół.

Płaszcz zadarł się do tyłu, jeden ze szponów broni ukłuł w bok. Z góry brzęknęła cięciwa, ale bełtu Kruk nawet nie zauważył. Zacisnął tylko powieki, wlatując w gęstwinę liści; gałęzie uderzyły go po twarzy, zastukały o podeszwy butów.

Zaczął hamować piętami, w końcu zatrzymał się w najniższym punkcie spadku. Poderwał się, otrzepał płaszcz.

Drzewa niemalże zakrywały podest na górze, chociaż nawet teraz Kruk był parę metrów nad ziemią. Przesadził burtę, złapał się solidnego, okrągłego dźwigara i ześliznął po nim na ziemię. Buty zapadły się w miękką warstwę ściółki, liści i trawy... Z góry znów dało się słyszeć głosy, miał wrażenie, że po żelaznej konstrukcji łomczą pospieszne kroki.

Po zabiciu swej pierwszej ofiary Kruk czuł się wręcz doskonale – i fizycznie, i psychicznie. Gotów był walczyć z każdym, z całym światem... ale wiedział, że to złudne. A co, jeśli ruszy za nim całe to dzikie stado? Jakkolwiek szybki i doświadczony, sam jeden przeciwko wielu nic nie wskóra. Tym bardziej że był na ich terytorium, a miał blade pojęcie o topografii.

Lepiej jednak wrócić na autodrom. W grupie łatwiej się obronią, a potem... potem się zobaczy.



Puścił się biegiem. Minał minikolejkę z ciałami w wagonikach, przedarł się przez krzaki i wyskoczył, widząc już autodrom.

Zatrzymał się. Nikogo tu nie było.

Podszedł do bandy, zajrzał. Nie było krwi, więc zawołał: „Hej!”. Odpowiedziała mu tylko cisza. Popatrzył na dziurę w dachu, na śmieci, liście i kawałki żelaza pod nią. Powoli przeniósł wzrok tam, gdzie nad całą okolicą górował powoli obracający się diabelski młyn.

Gdzie podział się Garsteczka i pozostali? Dorwało ich stado? Może tak, a może i nie.

Został mu tylko jeden wariant: dojść do Wesołego Cyrku i odnaleźć tam Północnika.

W uszach dudniła krew. Głęboki, rozchodzący się echem rytm. Człowiek... człowiek tak nie miewa. Obca krew, obce ciało.

Chemik otworzył oczy, zamrugał. We łbie huczało mu jak w fabryce odkurzaczy.

Był niesiony– tak jak w starych filmach przygotowanych nosi się schwytych białych odkrywców: przywiązanych za ręce i nogi do długiego kija. Taszczyło go dwóch typków w nylonowych płaszczach. Deszcz już ustał, więc zrzucili kaptury, odkrywając nieznaną grzebienia kudły.

Chemik przekręcił głowę, popatrzył w młodą twarz jednego z tragarzy. Zaraz za nim para dzikusów niosła Garsteczkę (zawzięcie zresztą klnącego na swoich oprawców), następnie Proroka i Toszę. Procesja szła wąską ścieżynką, wijącą się przez zarośla.

Podciągnął się, ostrożnie dotknął przedramieniem pokaźnego guza na czole. Boli jak cholera... Nieźle go ktoś huknął z procy, nie ma co. Z krzaków przy autodromie ktoś tak sieknął, że mało brakowało, a byłby spadł z dachu. Cud, że wszyscy żyją... tylko z Krukiem nie wiadomo co się dzieje.

Kiedy jeniec poruszył się na kiju, idący przodem odwrócił się, popatrzył na niego. Ma nie więcej jak dwadzieścia lat, pomyślał Chemik. Też blade, jak i ten drugi. Może taki klimat tutaj, że słońca mało? Poza tym twarz normalna, tylko oczy... jakieś puste. Nie to, że nieobecne, ale skoncentrowane. Zwrócone do wewnątrz.

Wiedźmak podobnie patrzył na ludzi. Tylko że jedyne oko tego obłąkańca czasami potrafiło błysnąć szaleństwem, a na twarzy odmalowywało się poczucie swojej ważności i pogardy dla innych. Tymczasem tutaj nie było nic, tylko nielicująca z wiekiem powaga.

Garsteczka nadal pomstował, opluwając katów do kilku pokoleń naprzód i wstecz, żądając „żeby go teraz, zaraz zdjęli z tego jebanego drąga!” i grożąc, że „głowy wszystkim w dupę kontinuum wsadzi”. Dokładnie dlatego Chemik milczał.

W nieznanym miejscu, z nieznanymi ludźmi, przemyślenia i obserwacje natury wydalniczo–fizjologicznej lepiej zachować dla siebie. Niech jego elokwentny kolega ściga uwagę, a on będzie obserwować i analizować.

Wkrótce Paweł się doelokwencił. Widząc, że wrzaski nic nie dają, zaczął się rzucać i bujać, wykręcając rezonujący drąg tragarzom. Do tego wywrzaskiwał jeszcze: „Kto nie puści, ten z Wiedźmakiem, hop, hop, hop!”. W końcu idący z przodu zrzucił z kija z ramienia, a Garsteczka zarył nogami w ziemię. Od razu spróbował się wyprostować, ale dzikus podskoczył do niego i puknął w łeb maczugą.

Chemik widział to tylko pod skosem, wykręcając mocno głowę. Wydało mu się, że maczugę zrobiono z zespawanych prętów zbrojeniowych, dociążonych na końcu śrubą. Uderzenie może i nie było silne, ale celne, prosto w skroń.

Garsteczka zmiękł i zwiśł, zamknął się – chyba ku zadowoleniu wszystkich. Tragarz wsunął maczugę za pas, podniósł swój koniec kija i oddział ruszył dalej, tym razem z nieprzytomnym i milczącym Garsteczką.

Do końca drogi nikt więcej nie odezwał się ani słowem.

Doszli daleko za kolejkę górską, chyba aż na sam koniec półwyspu. Wnosząc po tym, że przeniesiono ich za bramę w betonowym płocie, zaczynało się tutaj terytorium służbowe parku rozrywki.

Duży plac był oczyszczony w zarośli, na nim stały lub leżały w bezładzie żelazne budki– kioski. Co poniektóre pokryte skórą, pewnie dla ocieplenia, w dachach porobiono dziury, by uchodził nimi dym. Paliło się kilka ognisk. Nad jednym zawieszono na żelaznej rurze kocioł. Obok siedziało w kucki dwóch dzikusów, patrząc, jak dziewczyna w podartych dżinsowych ogrodniczkach, za dużych butach i prymitywnym płaszczu miesza strawę.

Polewkę konkretnie. Na mięsie. Chyba dzik... Hiperskie nozdrza Chemika aż zadrgały.

Naliczył około tuzina dzikusów. Jeden obrabiał kamiennym skrobakiem rozpiętą na drewnianej ramie

skórę, inny ostrzył tasak. Dwie dziewczyny prały w balii zrobionej z żelaznej beczki. Na bezładnie pozaczepianych sznurkach suszyły się ubrania, w tym kilka płaszczy z kapturami. Wszystko nylonowe, wszystko jednego koloru. Może to ubrania robocze z Cudoparku, które trafiły w ręce dzikich jako dobrodziejstwo inwentarza?

Z boku widać było budynek, wyższy od innych i ze spadzistym dachem z wieżyczką w kształcie cebuli. Chemik zdecydował, że to pewnie gabinet luster. Po dachu przechadzał się wysoki chudzielec z łukiem. Zatrzymał się, popatrzył na procesję, a potem zszedł na dół po dostawionej drabinie.

Miejscowi odrywali się od zajęć, patrzyli za nimi. Skoncentrowane, poważne twarze nastolatków. Nie było w nich nienawiści ani złości... ale niczego dobrego też nie wróżyły.

Garsteczka zamamrotał coś, dochodząc powoli do siebie. Na drodze procesji pojawiło się dwóch dzikusów z noszami, na których spoczywała dziewczyna – przynajmniej na to wskazywały rozsypane w nieładzie włosy, chociaż tutaj większość mężczyzn nosiła długie kudły.

Obok noszy truchtała zupełnie młodzianka pannica: nóżki jak zapałki w skórzanych bryczesach, zbyt duża koszulina, włosy koloru słomy i pyszczek z ostrą bródką. Dziewuszka narzekała, pochlipywała, zaglądała w twarz rannej na noszach, gładziła po dłoni i w ogóle zdawała się przeżywać całą sobą. W końcu schyliła się, objęła raną, przeszkadzając sanitariuszom. Jeden odepchnął ją, pokazał na jeńców i coś powiedział. Słysząc było tylko: „Lita... to ci...”. Dziewczyna potrząsnęła głową, oczy błysnęły, a usta wygięły grymas złości. Rzuciła się ku Chemikowi, wyrwijąc zza paska nóż.

Nie mógł nic zrobić, rzucił się tylko w pętach. Tragarze krzyknęli ostrzegawczo, nóż świsnęła i przecięła powietrze. Chemik w ostatniej chwili podciągnął się na rękach, wczepił w drąg. Ostrze drapnęło po kurtce.

Chemik zobaczył przed sobą twarzą dziewczęcą fizjonomię, teraz wykrzywioną przez wściekłość na podobieństwo pyszczka małego, ale drapieżnego zwierzaka. Nienawistne spojrzenie dźgnęło go prosto w oczy, a potem tragarze rzucili kij i poleciał na ziemię.

Nóż po raz drugi błysnęła w powietrzu, ale dziewczyna nie zdążyła zadać ciosu. Wysoki, chudy typ – ten sam, który stał na dachu – złapał ją, szarpnął na siebie. Krzyknęła, chciała uderzyć łokciem, ale strażnik złapał ją mocno, odciągnął w tył.

– Lita, to nie ten – powiedział spokojnie, obojętnie. – Nie ten, który zabił Mari.

– Gdzie? Gdzie tamten?! – krzyknęła dziewczyna.

– Zniknął. Na razie nie wiemy.

– Szukajcie!

– Szukamy, znajdziemy. Teraz idź stąd. Idź, mówię, bo Mentora zawołam! Znów chcesz na tydzień do jamy trafić? No już, poszła!

Tragarze podnieśli Chemika, potaszczyli dalej.

– Ej, co to było? – zapytał z tyłu Garsteczka, któremu jak gdyby ubyło zapału. – Co za bachor dziki! Na polowanie by taką wziąć. Tylko ze smyczy spuścić, zębami lisa zagryzie.

Po drugiej stronie obozu był jeszcze jeden płot: jakieś dziesięć metrów od siebie z ziemi sterczały dwa z grubsza ociosane pnie, na których ułożono belkę ze ściągniętych rzemieniami żerdzi. Do belki umocowano górną część splecionej z suchych gałęzi ściany, a całość pewnie mogła się podnosić, jak drzwi uchylne do garażu.

Przed płotem stało jeszcze kilka pni z łańcuchami, na których wisiały cztery klatki, tylnymi ściankami niemalże dotykające plecionej ściany. Po co tak to ogradzać? Trudno powiedzieć, ale Chemik miał wrażenie, że wszystko to nie jest postawione na darmo. Klatki były kiedyś gondolami z karuzeli, ale po co ktoś je zdemontował, potem przyciągnął tutaj...

To przecież sporo roboty, jeśli nie ma się dźwigu, albo chociaż wózka widłowego.

W dwóch klatkach siedziały hipery. W jednej tłoczyła się młoda parka, w drugiej chodził w tę i nazad zgarbiony, siwiejący samiec z długimi, chudymi łapskami. Miejsce wręcz emanowało melancholią i rezygnacją, strachem. Kiedy jeńców przyniesiono bliżej klatek, stary hiper złapał za pręty i wbił w nich wzrok. Młode osobniki z początku obojętnie podniosły głowy, ale ożywiły się, widząc Chemika.

Jego nozdrza poruszyły się, wychwytyjąc nowe, ale doskonale znane zapachy. Powonienie mówiło rozumowi to samo co oczy: samica i dwa samce. Ona młoda, jeden z nich stary i słaby, zły, ale bezsilny.

Ale ten młody samiec, niemalże jeszcze szczeniak, ale już konkurent!

Chemika wrzucili do klatki, zaraz za nim wleciał tam Tosza. Szczęknięty zamykane drzwi.

Woń hiperów sprawiała, że górna warga sama z siebie uniosła się i zadrżała. Chemik zawarczał groźnie, patrząc na sąsiednią klatkę, skąd patrzyła na niego parka biologicznych krewniaków... A potem zacisnęła pięści i zamknęła oczy, myślami zaganiając stwora z bagien z powrotem na dno świadomości. Nie potrzebował tej samicy! Młody samiec w niczym mu nie zagrażał. Spokojnie, tylko spokojnie.

Do kolejnej klatki wciśnięto wspólnie Proroka i Garsteczkę, nawet nie zdejmując im pęt. Zabroniwszy samemu sobie nawet patrzeć w kierunku hiperów. Chemik siadł na kratownicy podłogi. Podczas gdy Tosza dopadł do prętów i rozmawiał z Prorokiem, on zaczął metodycznie rwać krepujące dłonie więzy. Lina okazała się stara i zetłała, więc z łatwością radziły sobie z nią ostre zęby hipera. Uwolnił ręce, wziął się za nogi.

Tosza najpierw zerkał na niego spode łba, potem sam spróbował sił z własnymi pętami. Nie dał rady, poprosił: – Pomożesz?

– Dawaj ręce – powiedział Chemik, wstając.

– Ej, brachu! – rozległ się głos Garsteczki. – Gdzie my jesteśmy? Wszystko mi zabrali, nawet ułamany nożyk do masła!

– Aha, a ja bez rękawicy jestem – mruknął Chemik, przegryzając linę na nadgarstkach Toszy. – Jak się ocknąłem, już jej nie było.

– Rękawica? – zdziwił się Tosza. – Co ci po niej? Broń nam odebrali, plecaki. To jest problem!

– Plecak mój! – zawarczał Prorok ponuro. – Nie ma go... niedobrze, bardzo źle.

– A co się tak nim przejmujesz? – zaciekawił się Garsteczka. – Patrz no, tam leżą nasze manele, pod ścianą tamtego okrągłego domku. I plecak twój też. Nawet nie wypatroszyli, tylko tam pizgnęli. Dziwaki, naprawdę.

Doskonale widzieli stąd diabelski młyn, powoli kręcący się na tle szarego nieba. Z sąsiedniej klatki rozległo się piśnięcie, Chemik mimo wszystko popatrzył w tamtym kierunku. Samiczka, miniaturowa i zjeżona, ubrana w zszyte skóry, znów zapiszczała, a potem mruknęła prosząco, patrząc na niego smutnymi ślepiami.

Młody samiec odepchnął ją od prętów, zawarczał, ostrzegając: moja! Za nimi, w ostatniej klatce, mamrotał coś i pokrzykiwał stary hiper, podskakując i próbując wyjrzeć nad głowami młodych.

Chemik odwrócił się od nich i zobaczył, że od okrągłego domu idzie ku nim trzech ludzi.

– O! – ucieszył się Garsteczka. – Ten okularnik to pewnie lokalny szef, co nie? E, kolego? Cho no tu!

Nie było potrzeby wołać, bo „lokalny szef” i tak szedł do nich. Po lewej od niego maszerował masywny typ w futrzanej kurtce i spodniach, szeroki w ramionach, z cofniętym czołem i małymi oczkami. Samą głowę miał bardzo dużą, jakby wręcz ciężącą ku ziemi, więc szedł przygarbiony. Trzecim był już wcześniej widziany strażnik z dachu, trzymający prymitywną kuszę.

Stanęli przed klatkami. Chemik kątem oka patrzył na szefa. Trudno było z pomarszczonej, bladej twarzy odgadnąć jego wiek, ale musiał mieć ponad czterdzieści lat. W odróżnieniu od pozostałych był nawet ostrzyżony, chociaż nierówno, i ogolony. Lewe szkło okularów było pęknięte, oprawka skrzyta drutem.

Dwaj pozostali stanęli po bokach. Ten krępy oparł się o włócznię, ale zaraz zmienił pozycję, przestąpił z nogi na nogę, sapiąc. Całym sobą sprawiał wrażenie niebezpiecznego, a hiperski instynkt podpowiadał: nie wiadomo, co taki robi.

Stary hiper ucichł, samiczka zaskamlała cicho. Młody samiec syknął na nią.

Zapadło milczenie. Obojętne spojrzenie okularnika prześlizgiwało się z jednego jeńca na drugiego.

– Który z was zabił Mari? – zapytał w końcu.

– Że kogo, proszę? – odszczeknęła Garsteczka od razu. – Ty tu rządysz? Weź no każ swoim brudasom, żeby nas wypuścili.

Kto to słyszał, żeby ludzi do klatek sadzać? Co my, zwierzęta jesteśmy?

– Nie słyszeliśmy o żadnej Mari – odezwał się Tosza.

Herszt jeszcze raz zmierzył ich po kolei wzrokiem i odwrócił się, gotów odejść. Wtedy Garsteczka nie

wytrzymał i wydarł się: – E, dokąd polazł?! Mordo czterooka, do ciebie mówię! Po cholere nas tu wsadziliście, palanty kudłate?!

Wódz dzikiego stada stanął, obejrzał się – jak gdyby patrzył na puste miejsce w przestrzeni.

– I czego na mnie mrugasz, fiucie?! – rozkręcił się Garsteczka. – Podejdz tu bliżej, ja ci zaraz mrugnę!

Ponurak z włócznią zawarczał, skoczył naprzód i wyrzucił przed siebie drzewce broni. Grot prześliznął się pomiędzy prętami, niemalże dźgnął Garsteczkę w piersi; ten ledwo odskoczył, wpadł na Proroka i wrzasnął: – Ha, mało tępa, w dupę sobie wsadz swoją dzidę!

– Spokojnie, Bo – powiedział człowiek w okularach.

– On źle mówi o tobie – zawarczał ponurak. Głos był niewyraźny, słowa zlewały się w jeden bełkot. Jakby niedźwiedź mówił.

– Kto mówi źle o innych, o sobie daje świadectwo. Pamiętaj o tym, Bo.

Tamten zaburczał w odpowiedzi coś zupełnie już niezrozumiałego, odsunął się i oparł włócznię o ziemię. Chemik zauważył, że w krzakach po lewej mignęła twarz Lity. Dziewczyna przeszła go wzrokiem, jak gdyby już planując, gdzie dźgnie go nożem.

– Macie rację, Mentorze – odezwał się chudy z kuszą. Ten z kolei miał dość ładną, dumną twarz, wyglądał jak asystent przy swoim ministrze. – Ale i tak należałoby ukarać tego... tę plugawą duszę za bezczelność.

– Wkrótce pożre ich Otchłań, Robinie. Czyż nie jest to karą? – zaproponował Mentor.

– Kuźwa, co z wami jest, ludzie?! – Garsteczka chwycił się za głowę. – Ten Prorok, tamten znów Mentor, jak firma ochroniarska! Tutaj Wrota piekieł, tam znów jakieś dusze... Chemik, brachu, to Sektor jest, czy radio cerkiewne?

– Cerkwi do tego nie mieszaj, włóczęgo – zadudnił Prorok, do tej pory milczący ponuro.

Mentor popatrzył na niego uważniej. Zdjął okulary, wyciągnął z kieszeni szmatkę i zaczął przecierać szkła.

– Mienisz się człowiekiem Bożym? – zainteresował się, po raz pierwszy zdając się zauważać jeńców.

Chemik przysiadł w kucki, słuchając i obserwując. Tosza też zamarł bez ruchu. Garsteczka odsunął się na bok, tak, że Prorok i herszt dzikiego stada stali twarzą w twarz.

– Niczym i nikim mienić się nie musi ten, co żyje zgodnie z wolą Bożą – odparował Prorok twardo.

– No i gdzie twój Bóg? – Mentor rozłożył ręce. – Gdzie, powiedz mi?

– Bóg jest wszędzie! – nie wytrzymał Tosza. – Wokół i w nas!

Wódz nałożył okulary, odwrócił się do klatki.

– Wokół? Zatem to, co nas otacza, to twój Bóg? Te skażone ziemie i nienazwane stwory to też Bóg? Twój Bóg?! – Popatrzył na Toszę z pogardą. – Jaki zatem musisz być zgniły i plugawy od środka, jeśli twój Bóg jest czymś takim? Wiedz, duszo plugawa, Bóg odszedł.

– Odszedł! – powtórzył Robin z powagą, tupiąc nogą.

– Odszedł Bóg! – wybełkotał Bo, uderzając tyłcem włóczni w ziemię.

Stojący nieopodal mieszkańcy obozowiska podłapali słowo, zaczęli powtarzać je i nieskładnie tupać.

– Brachu, weź posłuchaj – Garsteczka zwrócił się do Chemika. – To on trzeci będzie, co ma swoją prywatną macierz, tak? I to patrzę, że nie jest sam, a ma całą ekipę takich... macierzystych.

Nie zwracając na niego uwagi, Mentor mówił dalej: – Ile tysięcy, ile eonów już składamy martwych do ziemi? Ileż ciał ona pochłonęła? Teraz sama ziemia, nasza rodzicielka, przepełniona jest padliną! Miliony! – Podniósł głos, jego obojętność zniknęła. – Miliardy trupów!

Pogrzebanych pod ziemią, nasączających naszą planetę trupim jadem przez niezliczone wieki.

Garsteczka i Chemik wymienili się spojrzeniami. Mentor, jak to się mawiało w rodzinnym mieście Paszy, trochę odpłynął.

– Do czegoś dążysz? – zapytał Prorok, zdziwiony nie mniej niż oni.

Wódz dzikich pokiwał głową z pogardą, po czym wyjaśnił: – Wiedźcie, dusze wy plugawe, teraz nadeszła na świecie Martwa Era. Wszystko, co widzimy, wszystko, co nas otacza – to Martwa Era właśnie. Obumieranie świata, porzuconego przez Boga.

– Herezja! – wydarł się Tosza.

– Robinie, wyjaśnij im – poprosił Mentor.

„Asystent” zdjął strzałę z łożyska kuszy, spuścił cięciwę i odezwał się nauczycielskim tonem: – Przepelniona ziemia zaczyna zwracać dusze umarłych. Wyrzuja je z powrotem, ale spaczone i skrzywione. Stąd właśnie pochodzą potwory.

– Zarówno zwierzęta odmienne, jak i ludzie złamani – dodał Mentor.

Robin uprzejmie skinął głową i mówił dalej: – I będzie to trwać tak długo, aż świat przepelni się powstałymi z martwych w ich ohydnych, nowych formach. Nie ma sensu zabijać ich, bo splugawione dusze, powracając do ziemi, odradzają się w coraz gorszych monstrach i armia ich rośnie w siłę. Kiedy w końcu zajmą całą planetę, Martwa Era dojdzie do punktu zawieszenia i trwać będzie na zawsze.

Chemik zdecydował, że pora włączyć się do rozmowy. Wyprostował nogi i zapytał: – Zatem waszą misją, zadaniem grupy, jest powstrzymanie tego?

Robin i Mentor spojrzeli na mówiącego hipera, jak gdyby nie takie cuda już widywali.

– Jeden tylko jest sposób, by udaremnić wieczne trwanie Martwej Ery – odpowiedział herszt. – Ubijając potwory nie zwykłą bronią, ale poprzez pełne rozcieleśnienie ciała i duszy, aby nie powróciła ona do kręgu ich inkarnacji.

– No, i niby jak?

– Wielka Otchłań nam w tym dopomaga.

– Zara, chwilunię. Jaka znów otchłań? – wtrącił się Garsteczka. – Już drugi raz o niej gadasz.

Zamiast odpowiadać, Mentor pokazał za klatkę ze starym hiperem. Powiedział coś do swoich przybocznych, głośniej rzucił: – Otchłani poświęcamy!

Odwrócił się i ruszył z powrotem ku gabinetowi luster, nie interesując się tym, co będzie dalej. Za to grupa tubylców wyraźnie się ożywiła, ludzie zaczęli szeptać między sobą. Najpierw jeden, potem drugi i kolejni zaczęli tupać nogami, aż wkrótce wszyscy podjęli rytm. Szum głosów zamienił się w falujące mamrotanie: „Otchłani poświęcamy... Otchłani poświęcamy...”.

Robin dał znak, na który dwóch dzikusów podeszło do skraju plecionego ogrodzenia, a ponury Bo zbliżył się do klatki ze starym hiperem. Ten zaniepokoił się, coś zabełkotał po swojemu, błagalnie wysunął łapę przez klatkę. Bo zrobił krótki ruch włócznią i ten odskoczył, ssąc zranioną dłoń.

Rozległo się skrzywienie kołowrotu, plecionka zaczęła się unosić.

– Oho! – powiedział Garsteczka. – A to co znowu?

Rytm przyspieszył, głosy nabrały siły. Do klatki starego hipera podeszedł też Robin. Kiedy ściana uniosła się odpowiednio wysoko, Tosza aż jęknął. Prorok mruknął coś basem, Garsteczka zaklął, ale przekleństwo zamarło mu na ustach.

Tak jak przypuszczał Chemik – byli na samym skraju półwyspu, ale jeziora nie było widać. Za niewysokim wałem ziemi rozciągała się za to „gnojówka”.

Przywarł do prętów klatki, wbił wzrok w jedną z najbardziej przerażających i niezbadanych anomalii Sektora. Jaka ogromna! Chemik nie miał pojęcia, że potrafią osiągać takie rozmiary, najczęściej miały raptem kilka metrów średnicy.

Szkarłatna substancja, w dużej mierze pokryta brązową, marszczącą się skórą, wypełniała szeroki jar.

Wyglądała niczym jezioro magmy, tylko że nie czuło się gorąca. Chemik słyszał teorie o tym, że „gnojówka” to tak naprawdę zimna plazma, ale zakładał w cichości serca, że nikt nie może mieć o tym nawet przybliżonego pojęcia.

– Otchłani poświęcamy! Otchłani poświęcamy! – skandował tłum, do którego przyłączyli się teraz Robin i Bo. Dwaj pomagierzy szefa złapali klatkę za spód i pociągnęli ku otwartej bramie. Zaskrzypiały łańcuchy, klatka przechyliła się, stary hiper wrzasnął.

Stanęli nad samym skrajem anomalii, na szczycie nasypu. Robin szarpnął zawleczkę, dno otwarło się; hiper zakwicział, złapał się jedną ręką klatki, ale Bo dźgnął go włócznią pod żebra, a potem huknął tyłcem w łeb. Stary mutant jęknął i zjechał po ścianie, prosto w „gnojówkę”.

Otrzeźwiał błyskawicznie, znów zaskamlał i spróbował wykaraskać się z anomalii, ale substancja była nazbyt gęsta i lepka. Do chudych rąk przywarły ciągnące się, czerwono- żółte włókna, „gnojówka”

rozjarzyła się szkarłatem. Powietrze zapachniało ozonem i kwasem, poniósł się zapach siarkowodoru, jak od zgniłych jaj. Stary hiper rzucił się, zawył i zaczął tonąć.

Rytm uderzeń stóp o ziemię przyspieszył, ochryple głosy skandowały: „Otchłani poświęcamy!”. Siedząca w klatce samiczka zapiszczała i wtuliła się w samca, ten objął ją i przyciągnął do siebie.

Robin i Bo zamknęli dno i puścili klatkę, która ze szczękiem łańcuchów bujnęła się z powrotem. Stary hiper zdołał przekręcić się na brzuch i teraz na wpeł płynął, na wpeł pełznął do brzegu, ale coś działo się z jego ciałem – zaczęło przełamywać się i pękać w kilku miejscach naraz, wykrzywając pod dziwnymi kątami. Jak gdyby pod powierzchnią „gnojówki” coś poruszało się niezgrabnie i przewalało, wykrzywając wszystko w niej... A potem substancja zamknęła się nad głową hipera, jego krzyk urwał się i umilkł. Tylko ledwo zauważalny, czerwony dymek unióś się nad miejscem, gdzie zniknęła ofiara.

Coś po raz ostatni poruszyło się pod brązową powłoką, która od razu zaczęła pokrywać anomalię, a potem wszystko zamarło. Pleciona ścianka opuściła się, skrywając „gnojówkę” przed oczami widzów. Okrzyki ścisły, rytm stracił swą siłę.

– Wielka Otchłań przyjęła go! – ogłosił Robin. – Dusza plugawa rozcieleńniona została, porzucając krąg potwornych odrodzeń.

– No to żeśmy wpadli jak śliwka w kompot – jęknął Garsteczka i pociągnął nosem jak niepocieszony nastolatek. – Albo i gorzej. Normalnie koszmar Kruka, przecież jego też do „gnojówki” ciepnęli. Tylko że wyciągnęli od razu, a nas tylko kijem dopchną. A tak w ogóle, gdzie on się podział?



Czerwony Kruk zatrzymał się przez ogrodzeniem okalającym Cyrk, zrobionym z wbitych w ziemię długich kijów Ci kości udowych. Na każdą z nich nadziano czerep, zwierzęcy lub ludzki... Do oczodołów przychepione były długie paski skóry, zwisające ponuro w bezwietrznym, wilgotnym powietrzu.

Wątpliwe, żeby było to dziełem samego Północnika, coś takiego raczej mogło zrobić dzikie stado. Kruk nie przejmował się tym szczególnie, kopnięciem przewrócił kilka kości i poszedł dalej.

Panowała cisza, ogromna morda kłowna patrzyła na niego złym wzrokiem z góry. Czerniał otwór rozwartych ust, nieruchomo wisiał szkielet– kolczyk.

Kruk wyminął płaski kamień, na którym stał kociołek z wystygłą kaszą, a obok leżało parę pomarszczonych jabłek i kiść dzikich winogron. Ołtarz z darami? Najwyraźniej.

Wszedł w podcienie, którymi biegły tory z wagonikami, i wstąpił w ciemną czeluść korytarza. Przed nim z sufitu zwisały się gumowe paski, zasłaniające wjazd w trzewia Wesołego Cyrku. Przystanął, zastanowił się, czy po prostu wejść. Północnik niby nie jest mu wrogiem, ale też nie wiadomo, jak reaguje na nieproszonych gości. Niewykluczone, że gospodarz Cyrku widział go już i wie, że przyszedł – a Kruk nie ma pojęcia, co na niego czeka. Niedobrze. Nie można tak otwarcie się pchać w paszczę nieznanego.

Cofnął się i wyszedł na zewnątrz. Zeskoczył z podwyższenia, prześliznął się wzdłuż ściany i za róg, ku węższej ścianie budynku. U góry widać było samotne okienko, pod nim parapet, a powyżej gzyms. Wcześniej Kruk nie zaryzykowałby wspinania się po takiej ścianie, ale teraz... Uniósł lewą rękę, potrząsnął nią, zacisnął i rozluźnił palce. Wciąż była słabsza od prawej, ale już nadawała się do użytku.

Kruk zapiął płaszcz i zaczął pięć się po ścianie.

Gdy dotarł do zakurzonego, zasnutego pajęczynami okna, zobaczył przez nie pusty, zaśmiecony pokoik z niskim sufitem.

Przejdźcie, za nim korytarz, nic więcej. Co w ogóle powinno być na piętrze takiego domu strachów, pod salą– labiryntem, po której jeżdżą wagoniki? Chyba jakieś pomieszczenia techniczne, może coś dla personelu?

Okazało się tylko, że okna nie da się otworzyć bez narobienia hałasu – trzeba by wybijać szybę. Kruk ruszył dalej.

Odzyskana na nowo sprawność dawała mu czystą przyjemność fizyczną, więc delektował się każdym ruchem palców i obrotem nadgarstka.

Wspiął się na gzyms, przeszedł po nim do węgła, wyrzął. Oceniał odległość, skoczył i zawisł na uchu kłowna. Omal nie spadł, ale szarpnął nogami i przeturlał się na wysuniętą w przód, odchyloną dolną wargę plastikowego potworka.

Podniósł się ostrożnie, stojąc na tym balkoniku bez barierek.

Za plecami miał wyasfaltowany plac z kamieniem– ołtarzem, a przed sobą pustkę gardła kłowna – niewielki korytarzyk z drzwiczkami na końcu. Czubkiem głowy prawie sięgał do grubej, górnej wargi

gigantycznej maski. Powiał wiatr, zakołysały się przypięte za plecami poły płaszcz. Kruk zrobił parę kroków naprzód, odpiął poły i pozwolił im znów opaść swobodnie. Wyciągnął pistolet i podszedł do drzwi.

Przepierzenia dzieliły poddasze na kilka pomieszczeń. Zajrzał do jednego, potem drugiego: kuchnia. Piecyk na drewno, szafka ze stosikiem książek zamiast nóżki. Na stoliku kilka brudnych talerzy, resztki skórki chleba, słoik ogórków, butla z wodą i szklanka. W rogu kolejne drzwi.

Kruk podsunął się do nich, pociągnął za klamkę i wsunął lufę pistoletu w szczelinę. Zajrzał, popchnął skrzydło i wszedł.

Przez okienko w dachu wlewało się światło dzienne, oświetlające duże pomieszczenie. Pośrodku rozstawiono samorobne sztalugi z przyczepioną płachtą szarego kartonu, przed którymi przechadzał się teraz człowiek. Siwe włosy spływające na proste, chociaż chude ramiona, jeansowa koszula. W rękę taca ze stertą kawałków kolorowej kredy.

Kiedy Kruk wszedł, mężczyzna zrobił zamaszysty ruch, dodając kolejną kreskę na kartonie. Rysunek przedstawiał wieżę z czaszek, na jej szczycie powiewał proporzec, obok stała masywna postać z dużą, szyszkowatą głową.

Pod nogą Kruka skrzypnęła deska, Północnik zamarł w bezruchu. Odłożył tacę na krzesło i odwrócił się, błysnął przeogromnymi okularami słonecznymi.

Patrzyli na siebie dłuższą chwilę, a potem gospodarz odezwał się: – To ty. Nie sądziłem, że kiedykolwiek cię zobaczę. Chociaż... czemu by nie?

– Północnik – skwitował Czerwony Kruk. – Ja ciebie nie widziałem, zapamiętałbym. I ty mnie raczej też nie. Ale na przystani mnie namalowałeś. Dlaczego?

Włodarz Cyrku zrobił ręką nieokreślony gest. Kruk powtórzył, nie odpuszczając: – Skąd wiedziałeś, jak wyglądam? Dlaczego mnie namalowałeś?

– A skąd mam wiedzieć, jak wygląda to? – Północnik uśmiechnął się niewyraźnie, pokazał na sztalugi. – Nigdy tego miejsca nie widziałem, przynajmniej nie na własne oczy. Podobnie jak i ciebie. Większości tego, co maluję, nie widziałem.

– I co? – Kruk podniósł głos, czując irytację. Podobnie jak Garsteczka nie lubił tych wszystkich niedopowiedzeń i półtajemnic, mimo że Sektor był ich pełny. – Mów jaśniej!

– Nie potrafię. Nie umiem wyjaśnić. Po prostu widzę... – Kolejny ruch ręką, Północnik dotknął okularów, pokazał przed siebie dwoma palcami. – Widzę różne rzeczy. Często. Halucynacje, duchy, nazywaj to, jak chcesz. Miejsca, czasem ludzi, inne istoty. Całe światy. Po prostu przychodzą do mnie, napływają z wiatrem. Zaczęło się niedługo po pierwszym zakłóceniu, kiedy zacząłem tracić wzrok i...

– Nie widzisz? – przerwał mu Kruk. – W takim razie jak...

– Ani trochę. Ale u mnie jest inaczej niż z większością niewidomych. Światło dnia mnie pali. Przez oczy dostaje się do środka.

Północnik dotknął dłonią czoła. Kruk zauważył, jak bardzo delikatne ma przedramię, jak długie i ruchliwe palce. Przez pergaminowo cienką skórę ręka wyglądała, jakby należała do trupa.

– Nie znoszę światła dnia – mówił dalej gospodarz. – Dlatego zawsze malowałem nocą, jeszcze gdy podróżowałem po Sektorze.

– Stąd właśnie „Północnik”... Dobrze, a teraz powiedz mi, dokąd poszedł Wiedźmak. Chcę go dopaść, ale razem ze swoimi ludźmi skoczyli na transporterze, który stał przy Polesiu. Myślę, że ty będziesz wiedzieć. I teraz powiesz.

Raczej wyczuł, niż usłyszał ruch – odwrócił się, podnosząc pistolet, a wtedy na jego przedramieniu zacisnęła się dymiąca paszczyka. Kruk poczuł ucisk, szarpnięcie – dymny pies szarpnął łbem, wyrwał mu pistolet i odskoczył w tył. Błysnęła i zniknęła szkarłatna szczelina mordy, dwoje pałających ślepiów wbiło spojrzenie w nieproszonego gościa, migocząc i drgając, niczym płomyki na wietrze.

– Wy dwaj, spokojnie mitu! – Północnik uniósł głos. – Kwint nie ruszy cię bez rozkazu, ale ty po broń już nie sięgaj!

Kruk odsunął się dwa kroki w tył. Stojący bokiem do niego zwierz powoli przekręcił kosmaty łeb. Cielsko przelewało się kłębam dymu, falując i opadając, ani na chwilę nie pozostając w bezruchu.

– Już go widziałem – powiedział Kruk przez ściśnięte gardło. – Dwa razy. Na Stacji i tutaj, niedawno.

– No cóż. Kwant znika i pojawia się w najdziwniejszych miejscach. – Północnik podszedł do ściany, podniósł pistolet.

Przejechał po nim palcami i odłożył na sztalugi. – Kiedy wypuszczam go na spacer, to biega, gdzie mu się zamarzy.

Obserwuje. Patrzy na ludzi, wydarzenia. A kiedy jest blisko, mogę go zawołać.

Sięgnął za pazuchę i wyjął drewniany gwizdek na sznurku.

– Niedawno wszystkich aż uszy zaboląły – przypomniał Kruk.

– To dlatego, że w gwizdku jest „uchodłubka”. Nieduża, ale wibruje porządnie. Dzięki temu Kwant słyszy mnie nawet z kilku kilometrów.

– Kwant – powtórzył Kruk.

Zastanawiał się, czy Północnik i jego pupil wiedzą, kto strzelał do dymnego psa na Stacji. Na kosmatym łbie psa wciąż widać było bladą plamkę szramy po kuli.

– Albo pies kwantowy – uzupełnił Północnik. – Tak go ochrzciłem. Był przy nas, kiedy Borys przywłókł to swoje urządzenie do muzeum. Latarnia... a potem błysk. Młodziutki jeszcze był wtedy mój Kwant, nieledwie szczeniak. Parę dni wcześniej się do mnie przybłąkał w lesie, jak do pracy szedłem. Nawet nie zdążyłem mu imienia wymyśleć. Kiedy Kaufmann zdjął z urządzenia „oko”, akurat łąsił mu się do stóp. Mnie wypaliło oczy, Arturowi pamięć, a Kwant... Sam widzisz.

Kruk słuchał z uwagą, rozumiejąc, że ma przed sobą jednego z trzech ludzi, którzy stali w samym epicentrum pierwszej Fali. Jeden ze świętej Trójcy w Sektorze. Wiedźmak jako Bóg Ojciec, Kaufmann w roli Syna, a Północnik... no tak, bezcielesny i efemeryczny Duch Święty.

– A co stało się trzeciemu z was? – zapytał. – Jaki los spotkał Wiedźmakowa?

Północnik rozłożył blade ręce.

– Stał się tym, kim jest teraz.

– To nie odpowiedź. Ale ważne jest co innego: dokąd zmierza?

– Zakładam że tam, gdzie w trakcie swojej ekspedycji odkrył Latarnię. Niedaleko od Polesia... w pewnym sensie. Teraz jednak to miejsce jest na tyle odległe, że nie da się tam trafić ot tak, po prostu.

– Znów zaczynasz mącić. Poza tym oddaj mi pistolet. I tak mam drugi, a nie zamierzam strzelać ani do ciebie, ani do twojego psa.

– Nie lubię dotyku metalu. Broni szczególnie. Weź sam.

Północnik odwrócił się, a Kruk miał wrażenie, że on i Kwant wymienili się jakimś bezgłośnym sygnałem. Dymny pies otrząsnął się, rozrzucając wokół drobne strzępki ciemności, rozwiewające się w powietrzu. Spojrzał na Kruka, pokazał półksiężyc paszczy i potruchtał ku drzewom.

– Wiedźmak – przypomniał Kruk, podchodząc do sztalug. – Niedawno przybył do Polesia ze swoim oddziałem, a potem ewakuował transporterem z urządzeniem teleportującym. Miał ze sobą „oko zła”. Wiesz, co to takiego?

– Serce Latarni – powiedział Północnik. – Gdybym był technikiem, a nie artystą, powiedziałbym: rdzeń energetyczny.

Bądź też lampa, jak w każdej latarni... Ale „oko” daje energię innego rodzaju.

– Czym jest ta Latarnia?

– Tego z pewnością nie rozumieli ani Artur, ani Borys.

– Dobrze, ale z jakiegoś powodu właśnie tak ją nazwali! Z jakiego materiału jest to zrobione, jak wygląda? Co robi?

Północnik powoli pokiwał głową i odezwał się: – Materiału nie znam. Coś pośredniego pomiędzy kamieniem a szkłem, może metalem nawet. Świeci od środka.

Latarnia jest czymś na pograniczu techniki i magii. Artur dał radę odczepić od niej „oko”, co zapoczątkowało katastrofę.

Kiedy się ocknąłem, Polesie było już takie jak dziś. Miasto zastygłe w półfазie.

– No dobrze, ale co z Latarnią?

– Pozbawiony pamięci Artur gdzieś poszedł, wydaje mi się, że wciąż ściskając w ręku „oko”. Musiał je gdzieś potem zgubić albo po prostu zostawić i zapomnieć. Fala pomieszała mu w głowie... nie tylko jemu,

nam wszystkim. Od tamtej pory i on, i Borys szukali „oka”. Każdy po swojemu. Wiedźmak stąd, od środka, Artur z zewnątrz, z Kordonu. Więc mówisz, że Borys je odnalazł i dotarł do transportera? Hm, to niedobrze. A może i dobrze właśnie? Przecież nie wiemy...

– Latarnia. Czym jest? – przerwał mu Kruk, chowając pistolet do kabury. – Nie mówisz mi wszystkiego, mam wrażenie.

Masz swoje podejrzenia, teorie.

Kąciki bladych, wąskich warg na kredowobiałej twarzy uniosły się w słabym uśmiechu.

– Zbyt wiele wymagasz od prostego humanisty. Nie myśl, że znam wszystkie tajemnice Sektora. Nie byłem na tamtej ekspedycji, nie badałem Latarni razem z Kaufmannem. Widziałem tylko, jak się to odbywało, bo pracowałem obok. Moim zdaniem Latarnia jest artefaktem magicznym.

Kruk z irytacją pstryknął palcami lewej ręki. Uśmiechnął się przelotnie, przypominając sobie, że znów to potrafi. I zaraz posmutniał – wiedział dzięki czemu.

– Bzdury. – Potrząsnął głową. – Co to ma znaczyć, magiczny? Co to w rzeczywistości oznacza?

– Rzeczywistość! – parsknął Północnik. – Tak jakbyś sam rozumiał to słowo! A ja mam inne słowo: magia. Artur, wybitny naukowiec, niespełna pół godziny przed katastrofą bredził o polach ezoterycznych, tunelach czasoprzestrzennych i wachlarzach światów alternatywnych. Dla niego to była nauka. Borys natomiast, historyk, przeglądał zdjęcia megalitów i kromlechów. Szukał rysunków artefaktów z czasów Atlantydy, rzekomo otwierających wejście do budowli pradawnych cywilizacji podziemnego świata. Dla niego to też była nauka, ale pół na pół z mistyką. Omszała, pradawna i tajemnicza.

I co na to powiesz? Czym są dla ciebie anomalie i artefakty? Twoja opinia o Sektorze będzie równoważna ich teoriom.

– Sektor to miejsce, gdzie mogą zabić – powiedział Kruk.

Północnik zamilkł. Potem zapytał: – Chcesz coś zjeść? Chcesz na pewno, chodź. Tamci wiedzą, że jestem wegetarianinem, więc przynoszą tylko rośliny.

I chleb, wyobraź sobie. Nauczyli się piec chleb.

– „Oni”, czyli kto? – Kruk odwrócił się, gdy gospodarz przeszedł obok niego i ruszył ku drzwiom. – Mówisz o dzikim stadzie?

– O kim? – Północnik wyszedł do kuchni.

– Tak wołają na ludzi, którzy mieszkają w Cudoparku.

– Ach, grupa Mentora. No tak, też znamienne, zwykły nauczyciel, który sam siebie mianuje Mentorem. Z drugiej strony, jakie ja, Północnik, mam prawo wyszydząć przydomki innych? Siadaj. W butelce jest woda, tutaj w miarę czysty kubek.

Mam też trochę sera, sami robią, bo mają w wagoniku parkę kóz. Kaszy nie wziąłem...

Kruk nie był głodny. Przysiadł na taborecie, wziął od gospodarza kubek z obtłuczonym uchem i siorbnął wody.

– Dzikie stado przynosi ci ofiary?

Północnik przysunął sobie krzesło, siadł na nim okrakiem.

– Można tak to nazwać. Mieszkam tu już około roku, a jak tylko trafiłem do Cudoparku, przypadkiem uratowałem samego Mentora. Prawie wciągnęła go anomalia. Rzadko się tu trafiają, ale mimo wszystko. Porozmawialiśmy, a on... nie wiem czemu, ale zabronił swoim podopiecznym mnie ruszać. Jak gdyby zdecydował, że jestem naznaczony czymś i rzekomo wypadłem z jego kręgu reinkarnacji. Znasz ich wymysły? To sam Mentor wymyślił, że planeta jest niby pełna trupów, które teraz wracają jako potwory. Dziwna i paskudna doktryna, ale czego się spodziewać po tych nieszczęśnikach?

Kruk znów nie usłyszał ruchu, ale poczuł go. Odwrócił się – do kuchni bezszelestnie wśliznął się Kwant, błysnął ognistym uśmiechem i położył się pod ścianą. Szkarłatne ślepia zamigotały i zgasły, kłębiący się ciemnością łeb pies umościł na przednich łapach.

– Tamci długo już tu mieszkają? – zapytał Kruk. – Skąd w ogóle się wzięło to dzikie stado?

– Są tutaj od samego początku, od pojawienia się Sektora. Wyobrażasz sobie? Dziesięć lat w tym parku. Oczywiście, zdarza im się wychodzić, ale tu mają stałe obozowisko. To dzieci, sieroty z internatu w Polesiu. Po prostu dzieciaki, które przywieźli tutaj na wycieczkę po otwarciu parku. Było z nimi dwoje

pedagogów, nie wiem, co stało się z wychowawczynią, a jej pomocnik z biegiem czasu został Mentorem. Nie wiem, jak przeżyli falę i dlaczego tylko oni. Tyle lat w takim miejscu... Mentor oszalał, to pewne. A te dzieciaki w ogóle już nie pamiętają, że istniał inny świat, więc on ukształtował je tak, jak sam umiał i chciał.

– Czyli?

– Czyli na fanatyków, składających wszystko i wszystkich w ofierze anomaliiom. Najpierw jakim popadnie, ale od niedawna jest tam jedna, ogromna. Mentor od razu wpiął ją w swoją doktrynę religijną, teraz wszystkie ofiary wędrują tam. Ma swoje cykle, przygasa i aktywuje się, przeważnie nocą. Nawet stąd widać blask.

Kruk odstawił szklanę, a Północnik zapytał: – Nie przyszedłeś tu sam. Na dachu był ktoś inny, młodszy.

– Jak mogłeś go widzieć, jeśli jesteś ślepy?

– W zwykłym rozumieniu jestem ślepy, tak. – Gospodarz dotknął okularów dwoma palcami. – Ale nie absolutnie. Po tym, co się stało, widzę aurę. Energię, wibracje, promieniowanie. Obrazy, cienie, czasem wspomnienia. I coś jeszcze, ale to trudno opisać słowami. Jestem pewien, że dziś rano czułem kogoś innego, to nie byłeś ty. Jego... jego myśli pachniały inaczej. Nie tak surowo i ostro, bardziej wiatrem.

– Garsteczka – powiedział Kruk. – Żołnierz, dezertor z Kompleksu. Przyszedłem tu z nim i dwoma podróżnikami, ludźmi z byłego klanu Wiedźmaka, i z naukowcem. Tego ostatniego Wiedźmak przeniósł w ciało mutanta z bagien.

– Hipera – stwierdził Północnik bez szczególnego zdziwienia.

– Wybraliśmy się tutaj, bo słyszeliśmy, że potrafisz powiedzieć, dokąd ruszył Wiedźmak.

– Gdzie są teraz twoi przyjaciele?

– Nie są moimi przyjaciółmi – zaprzeczył Kruk. – Najpewniej zabrało ich stado. Powiedz mi, skąd był ten transporter?

– Jak już mówiłem, z miejsca, gdzie dziesięć lat temu Borys Wiedźmakow odnalazł wraz ze swoją ekspedycją Latarnię.

Potem, już w czasach Sektora, zdołali tam się przedostać ludzie, zbudowali placówkę badawczą. Nie, ja sam nigdy tam nie byłem, po prostu słyszałem. Wiele podróżowałem, niemało słyszałem i niejednego znam.

– Czyli ten transporter dojechał do Polesia z bazy naukowej schowanej gdzieś w Sektorze? No dobrze, więc jak tam trafić?

– Po co?

Kruk zamilkł, myśląc nad odpowiedzią.

– Chcę śmierci człowieka, który zamordował moich towarzyszy i moją kobietę. Wojskowego. Od roku go śledzę, a on idzie z Wiedźmakiem.

– Zemsta? – Wydawało się, że Północnik był zawiedziony. – Tylko zemsta? Oczekiwałem więcej od kogoś, kto kilkakrotnie pojawiał się w moich wizjach.

Rozmowa trwała już, jak na gust Kruka, nazbyt długo, więc oparł się łokciami o stół i wbił wzrok prosto w czarne okulary, w których widać było tylko jego odbicia. Zapytał z naciskiem: – Znasz drogę do miejsca, do którego ruszył ze swoimi ludźmi Wiedźmak?

– Tak – odpowiedział Północnik. – Oczywiście. Właśnie dlatego tu zamieszkałem, że tędy prowadzi droga, a ja jestem swego rodzaju strażnikiem.

– Więc pokaż mi którąś, a ja ruszę.

– A co z tymi, którzy przybyli tu wraz z tobą? Sekta Mentora ich zabije. Najpewniej jeszcze tej nocy złoży w ofierze.

– Pomóż im zatem. Masz swojego psa...

– Czerwony Kruku, nie. Nie mieszamy się do cudzych spraw. Obydwa ślizgamy się po rzeczywistości, ale unikamy tak brutalnej w nią ingerencji. Po prostu... nie jesteśmy w stanie. Ale ty, ty możesz interweniować, bo jesteś w pełni materialny. Ty możesz wpłynąć na łańcuch przyczynowo– skutkowy.

Kruk odchylił się na krześle, złożył ręce na piersi i wbił w Północnika ponure spojrzenie. Ile jeszcze

czasu będzie musiał tu zmitrężyć? Dlaczego po raz kolejny i jeszcze jeden miałby zboczyć z obranej drogi w imię kogoś lub czegoś innego, zupełnie nieważnego?

Gospodarz wysunął szufladę, wyciągnął fajkę, pudełko zapalek sztormówek i żelazną szkatułkę, która przypomniała Krukowi o jego własnej, leżącej nadal w kieszeni płaszcza. Nie miał już wątpliwości, że płomieniówka po prostu nie była mu potrzebna. „Krwawokwiat” zarazem leczył go... i zabijał. Ile czasu minie, zanim znów poczuje głód?

– Machorka się kończy – poskarżył się Północnik, nabił i zapalił fajkę. – Kiedyś przyszedłem tutaj z dużym pudłem, a teraz... Niestety, tytoniu ci od Mentora nie przynoszą.

Można by go związać, pomyślał Kruk. Najpierw wyszarpnąć pistolet i dać ognia do psa, zastrzelić. Przecież kule powinny go wziąć, w końcu ta z karabinu zostawiła bliźnę. Najpierw pies, potem jego wyłączyć i skępować. Zmusić, żeby powiedział. Północnik zdradzi drogę, a wtedy można go ogłuszyć, zostawić tutaj i iść.

Zacisnął pięści. Nigdy nie był świętym, ale to, jaki stawał się teraz... Jak to możliwe, że Marina go pokochała? I nagle niemalże zobaczył wagę: potężną, ciężką, czarną, o dwóch szalkach. Jego postępkę, wszystko to, co zrobił po śmierci Mariny i przyjaciół, na jednej szali, opadającej nisko w dół. Cisnącej mu na kark, przygniatającej do ziemi wagą wszystkiego, czego się dopuścił, wszystkich grzechów. I co miałby zmienić jeszcze ten jeden? Nic. I tak zabił już tylu ludzi...

Zabił, tak. Ale nigdy nie zdradził. Nie wbił noża w plecy z zaskoczenia, przenigdy.

Ale czy na pewno będzie to zdrada? Przecież po prostu sobie pójdzie, zostawi Garsteczkę i tamtych. Nie jest im nic winien, przecież to nie on rzucił ich na pastwę dzikiego stada. Nie jego wina, że czterech silnych, doświadczonych ludzi dało się podejść jak dzieci. O wiele ważniejsze jest to, że on przeżyje, bo musi zemścić się...

Musi?

Ważniejsze?

Czy to naprawdę było w ogóle ważne?

Serce na chwilę zgubiło rytm, na czole zaperlił się zimny pot – do Kruka dotarło, że przez ostatnich kilka godzin zemsta przestała być dla niego tak wszechogarniającym celem życia jak wcześniej. Z przerażającą jasnością zrozumiał, że może i odzyskał lewą rękę, ale stracił swój wewnętrzny ogień. Śmierć Roberta Titomira nie była już dla niego celem.



Jak gdyby ktoś wyciągnął mu z kręgosłupa stalowy pręt. Kruk zgarbił się, opuścił ramiona i wbił wzrok w podłogę. Życie straciło sens. Nagle czuł tylko pustkę i chłód, jak z rozkopanego grobu. Był wypalony, jak łuska bez pocisku. I co dalej, w imię czego? Po prostu żyć? Przecież miał „krwawokwiat”. Jedyne, co go oczekiwało, to łańcuszek coraz częstszych zabójstw!

Nie. Jeśli coś mu pozostało, to może przynajmniej zacząć od uratowania kilku żywotów.

– Co się dzieje? – Północnik dmuchnął dymem, wziął kubek z resztką wody i podsunął bliżej Krukowi. – Jak gdybyś się zrobił przezroczysty, a potem zniknąłeś... Ej, nie znikaj! Słyszysz? Przestaję cię czuć!

Nie próbując wnikać w sens tych słów, Kruk ścisnął dłonią szklankę, odchylił głowę i zacisnął powieki. Zapadła cisza.

Siedział tak kilka minut, aż wreszcie otworzył oczy i wychrypiał: – Masz ostry nóż? Przydałby się jeszcze papier ścierny, ale można i bez niego. I do tego taśma klejąca, albo izolacyjna.

Teraz, już.

Miało się ku wieczorowi. Prorok siedział w rogu klatki, złożywszy nogi po turecku i z dłońmi na potężnych kolanach. Nie ruszał się tak już długą chwilę, tylko broda powiewała na wietrze.

Tosza początkowo klócił się o coś z Chemikiem, ale potem znudziło im się. Chemik skulił się na dnie

klatki i drzemał, a chłopak pokręcił się jeszcze trochę i w końcu też usiadł w rogu.

W skrajnej klatce cicho mamrotały młode hipery.

Tylko Garsteczka nie mógł znaleźć sobie miejsca. Łaził, macał dno, szarpał za pręty. Nawet wspiał się po nich na górę i zaczął trząść dachem. Dopiero wtedy krzyknął na niego jeden z dzikich, którzy nieśli go na kiju, a teraz trzymali wartę.

„Kiwaczek”, jak go ochrzcił w myślach Paweł z powodu wielkich, odstających uszu. Strażnik przez większość czasu siedział na pniaku pomiędzy dwoma kioskami, patrząc obojętnie na jeńców; dopiero teraz podszedł, załomotał pałką o pręty.

– Człowiecze, zejdź – odezwał się Prorok, uchylając jedno oko. – Zejdź stamtąd, nie denerwuj innych.

Garsteczka zeskoczył, spróbował złapać za pałkę między prętami, ale Kiwaczek nie dał się tak łatwo – odskoczył, pogroził, splunął i wrócił na swój pieniek.

– A ty jak myślisz, księżulu? – zwrócił się do brodacza. – Co, będziesz tak siedzieć, aż cię zabiją? Ciemno zaraz będzie.

Słyszałeś, co Mentor powiedział Robinowi? Zresztą, he, he... firma ochroniarska i pomocnik Batmana... ale nie o tym chciałem mówić! Słyszałeś, że o północy mają mieć dużą ofiarę? No. A która teraz jest?

– Zegarki nie działają we Wstędze – odpowiedział Prorok. – A czasami idą wstecz. Ale tuszę, że teraz...

– Dochodzi szósta – odezwał się z sąsiedniej klatki Chemik, przekręcił się na drugi bok i naciągnął na głowę kurtkę.

– Szósta wieczorem! – powiedział głośniejsze Garsteczka. – Czyli co, za sześć godzin nas wykończą, a wy tu siedzicie w klatkach jak barany i robicie pod siebie?

– Nie obrażaj ojczulka! – rzucił się Tosza.

– A, zamknij się, gówniarzu! – Garsteczka machnęła ręką i odszedł w drugi koniec klatki. Złapał się za pręty, przytknął czoło do zimnego żelaza.

Rozumiał, że miota się bez sensu – i tak nie ucieknie. Do zamka by jeszcze sięgnął, może nawet dałby radę otworzyć albo wyłamać zapadki – ale na pierwsze potrzebny jest czas i sprzęt, na drugie siła i sprzęt. I spokój. A tutaj wszyscy się gapią. Wioska niby się uspokoiła, ale i tak co chwilę ktoś podejdzie, zajrzy, zainteresuje się. No i ten cholerny uszatek pilnuje.

A mimo to nie był w stanie usiąść i czekać. No nie mógł! Nie mógł, wiedząc, że zaraz za tym gównianym płotkiem rozciągnęła się anomalia tak zabójcza i paskudna, że aż strach pomyśleć! I to w tę gnojówkę mają jego, Garsteczkę, przedwcześnie ciepnąć, żeby zdechł. I co, koniec? Nigdy więcej śpiewu słowików nocą i łapania dziewczyn za tyłek?!

Niczym wilk w klatce zaczął chodzić w tę i z powrotem. W końcu zasapał, położył się i zaczął robić pompki na kostkach.

Prorok znów otworzył jedno oko, popatrzył na niego i zamknął.

Garsteczka wypompał tyle, że ręce aż zaczęły palić ogniem, a kostki dłoni boleć nie do zniesienia. Ciężko dysząc, podniósł się na kolana – i zobaczył tuż za kratami sympatyczną mordkę i szopę włosów koloru słomy.

– Koleżanko sympatyczna! – ucieszył się, wycierając pot z czoła. – No siema, jak tam leci? Paweł jestem, miło mi poznać, zakładam, że tobie nawzajem, nie? Mnie to wszyscy lubią... A ty jesteś Lita, tak?

Młode stworzonko popatrzyło na niego ponuro i zawarczało: – Który zabił Mari?

– Mari? A... a kto to?

– Moja siostra! – Dziewczyna obejrzała się na Kiwaczka i ściszyła głos. – Tylko że nieprawdziwa.

– E... czyli jaka?

– No, nie rodzona. Opiekowała się mną. A wy ją zabiliście, dusze plugawe!

Wsunęła rękę do klatki, złapała go za poję koszuli i spróbowała przyciągnąć do siebie. Garsteczka w pierwszej chwili chciał się wyrwać, bo dziewczyna miała w drugiej ręce nóż, ale potem zdecydował się nie opierać. Pozwolił, żeby docisnęła go twarzą do klatki.

– Posłuchaj, koleżanko sympatyczna. Tak się złożyło, że nie my twoją siostrzyczkę zabiliśmy – powiedział, patrząc jej głęboko w oczy. – Nawet jej nie widzieliśmy nigdy, dopiero tutaj, kiedy już... teges.

– A kto? Kto jeszcze był z wami?!

– Ano, wiesz... był jeden taki człowiek. Ale tylko przypadkiem go spotkaliśmy, nie jest naszym przyjacielem. I teraz od nas sobie poszedł.

Ślepka w sympatycznej, dziecinnej buźce błysnęły, nosek zmarszczył się groźnie.

– Gdzie poszedł? Gdzie jest, jak go znaleźć?

– Ty pewnie bardzo swoją Mari kochałaś, tak widzę... prawda?

– Kochałam? Ale to jak, co? Ja... – Zamyśliła się, przygryzła wargę. Garsteczka patrzył na nią z zaciekawieniem. – Nie wiem. Ona mnie... Ona nigdy... Ja chcę zabić tego, kto ją zabił! Jak go znaleźć?!

Powoli, żeby nie spłoszyć dziewczynki, ujął nadgarstki jak patyki, odsunął od siebie, patrząc Licie prosto w oczy z bezbrzeżnym smutkiem.

– Słuchaj, ja bym ci chętnie pomógł. Pomógł ci znaleźć zabójcę Mari, wiesz? Ale jestem tu zamknięty. Szkoda.

– Powiedz, gdzie on jest!

– Nie wiem dokładnie. Ale mam... kilka pomysłów.

– Jakich?

– Hola, hola, koleżanko. Chcesz znaleźć zabójcę, proszę bardzo, chętnie ci pokażę, gdzie się może ta swolocz chować. Na pewno jest gdzieś tutaj, w parku. Na razie. Ale sama wiesz, tylko patrzeć, jak się stąd wyniesie...

– Pokaż teraz!

– Ech... – Garsteczka puścił dziewczynę, odsunął się i popukał palcem w klatkę. – Mówiłem ci, z wielką chęcią, tylko co z tego? Zamknęli mnie. Nie wiem nawet po co, pewnie dla żartów. No tak! Właśnie tak. I dla żartów mi klucz zabrali.

Dokładnie tak.

Patrzyła się na niego, zdziwiona, a Garsteczka tylko rozłożył ręce: no zabrali! Obejrzał się przez ramię. Prorok znów uchylił powieki i patrzył. W sąsiedniej klatce Tosza, wczepiwszy się w pręty, słuchał uważnie. Leżący na boku Chemik uniósł głowę. O, proszę, jak się towarzystwo zainteresowało! Oni się objijają, a on tu pracuje za wszystkich, kombinuje.

Dlatego cały czas głodny chodzi. I dobrze, zaraz tę nieodrośniętą od ziemi gówniarę omota, okręci, zawinie wokół palca i...

I wtedy dziewczyna odwróciła się na pięcie i bez słowa ruszyła w kierunku osady. Przeszła pomiędzy kioskami, wyminęła strażnika i zniknęła mu z oczu.

Oho, tak omotał, że się sam zamotał. Ech! – machnął ręką. Nadzieja była marna i słaba, ale warto było spróbować... No cóż, trzeba szukać innej drogi ratunku. Tylko gdzie, jakiej, jak?

Prorok znów zamknął oczy, Chemik opuścił głowę. Tosza odezwał się jakimś takim dziwnym głosem: – Śliczna dziewczyna.

– Że niby ta laseczka? – Garsteczka popatrzył w kierunku kiosków. – Może i miła, ale bez przesady. Poza tym i tak nieletnia... no, relatywnie. Dla ciebie jak znalazł.

– Nie mam pojęcia, co sugerujesz – zachnął się chłopak. – Mówię tylko, że...

Umilkł, odwrócił się. Garsteczka drgnął. Chemik i Prorok znów wybudzili się z letargu. Skądś z boku rozległy się głosy, pomiędzy drzewami ukazała się nieduża grupka: dwóch dzikusów z maczugami, z tyłu Bo niosący włócznię. Pomiedzy nimi szedł mężczyzna w podkoszulku i spodniach zrolowanych do kolan, na bosaka i mocno utykający – lewa noga prawie się nie zginała, lewe ramię wystawało mocno ku górze. Ręce miał związane za plecami.

– Włóczęga? – szepnął Tosza. – To przecież...

– To Czerwony Kruk – potwierdził Garsteczka. – Noo, nie powiem, konus mnie rozczarował teraz srodze. Żeby on się tak dał... Chemik, weź no popatrz, jak go znów zgięło jak spinacz biurowy. Ledwo lezie.

Chemik zapytał trzeźwo: – Dlaczego w samej koszulce i spodniach?

Nikt nie odpowiedział. Kruka podprowadzili do otwartej klatki, gdzie wcześniej siedział stary hiper, a z okrągłego domku wyszli Mentor i Robin ze swoim tukiem. Bo coś wybełkotał, ale jeniec nawet nie czekał, żeby go wepchnęli – sam usiadł na skraju klatki, podkulił nogi i wtoczył się do środka. Dzicy zamknęli za

nim drzwiczki, potem wszyscy rozeszli się w swoich sprawach.

– Kruk, ej! – zawołał Garsteczka. Robiło się już ciemnowo, słabo widział najemnika przez dwie dzielące ich klatki. – Jak cię dorwali?

Ale tamten nie zareagował, jak zresztą można było się po nim spodziewać. Popatrzył obojętnie na resztę jeńców, odczołgał się w róg klatki, ułożył na plecach i zamarł w bezruchu z podkurczonymi nogami.

Większość ognisk w osadzie przygasała, jasno płonęło tylko jedno, w samym centrum. Na jego tle widać było kilka postaci, z kiosków– chatek niosły się przytłumione głosy. Nikt nie spieszył się, żeby zmienić stojącego na warcie Kiwaczka, a sam strażnik chyba przysnął, bo głowa opadła mu na piersi. Wyglądało na to, że większość dzikich układała się do snu, żeby potem być odpowiednio wyspanymi na czas ofiary.

Robiło się coraz ciemniej, więc godzina śmierci zbliżała się nieubłaganie.



Rozdział 10

Garsteczka przysnęła, zbudziło go światło. On to w ogóle mógłby spać nawet w samo południe na pustyni, jak go najdzie, ale to światło było dziwne. Fale blasku prześlizgiwały się po twarzy, wciskając się pod powieki.

Usiadł, przeciągnął się. Prorok spał, pochrapując, Tosza drzemał, Chemik – nie wiadomo. Leżał na boku, kurtkę zwinął na podobieństwo poduszki. Może kimał, a może też filował, co się dzieje dokoła.

No dobra, a skąd to światło? Aha, zza plecionej ścianki. Ciemnoczerwony blask to nabierał siły, to znów opadał – pewnie „gnojówka” tak lśniła, bo niby co jeszcze?

Przypomniawszy sobie brązową skórę na powierzchni anomalii. Im jej więcej, tym słabiej świeci, ale jeśli nocą znika w ogóle, z zimna czy dłaczego tam jeszcze... Może mieć swój rytm dzienny i nocny, jak pływy morza. I dlatego ich nie wrzucili od razu, tylko czekali, aż „gnojówka” nabierze mocy.

Z punktu widzenia ofiary różnica żadna. Może tylko efekty wizualne dla obserwatorów lepsze.

W wiosce wszyscy już spali. Ogniska zamieniły się w plamy żaru, Kiwaczek zawiązał się w płaszcz i chrapał. Prorok sapał i dyszał przez sen... Garsteczka aż się zeźlił. Znów tylko on nie śpi, zamartwia się za wszystkich! Może obudzić Wasilija, niech i on się podenerwuje trochę? I pozostałych też, razem nawet bać się śmierci różnie.

Podszedł do brodacza, gotów bezceremonialnie kopnąć go w kałdun, gdy usłyszał ciche skrzypnięcie. Odwrócił się – dźwięk dobiegał z najdalszej klatki, nawet nie tej, gdzie kisili się Tosza i Chemik.

Garsteczka zmrużył oczy. W płynącym, na zmianę narastającym i słabnącym blasku anomalii zobaczył, jak powoli uchylają się drzwi do klatki. Ziemi dotknęła bosa stopa, potem druga, a potem wyszedł cały Kruk.

– Jechana w anomalną dupę kontinuum... – sapnął niedowierzająco Paweł.

W sąsiedniej klatce usiadł Chemik. Czyli hiper nie spał, bo coś za szybko usiadł, jak gdyby już od dawna obserwował najemnika, który nie wie, jakim cudem, pomalutku, po cichutku otwierał zamek. I czym, jak? Przecież dzikusy go na pewno obszukały!

Parka hiperów spała jak gdyby nigdy nic, podobnie zresztą jak podróżnicy. Kruk podszedł do klatki Toszy i Chemika, stanął przy drzwiach. Zgrzytnął i chrobotnął metal, Prorok przekręcił się na drugi bok, zamamrotał. Garsteczka zerknął ku wiosce. Nachylił się nad Prorokiem. W samą porę, bo tamten szarpnął się, nabrał tchu i pewnie byłby krzyknął, gdyby Pasza nie zasłonił mu ust dłonią.

– Cicho! Najemnik się wydostał, nie hałasuj!

Prorok zatrzepotał powiekami, potem pokiwał głową. Garsteczka zabrał rękę.

Kruk w końcu otworzył zamek, uchylił drzwiczki.

– Toszę obudźcie ostrożnie – szepnął Garsteczka. – Kruk, weź no, jak ty... aha, jasne!

– Cicho tam – rzucił Kruk, podchodząc do ich klatki.

– No już, przecież cicho jestem, nie? Ale wiem, wiem!

Zauważył, że najemnik przestał utykać. W ogóle. I chodził zupełnie prosto. A potem, widząc w

dłoniach Kruka jego nóż, zrozumiał resztę. Taka prosta sztuczka, ale na dzikusów w pełni wystarczyła i pozwoliła przemycić szydło. Jeśli ostrze jest wymoczone w „syropie”, to nie dziwota, że z łatwością można nim rozbabrać przerdzewiały zamek.

Chemik obudził Toszę, szeptem wyjaśnił, co i jak, po czym jako pierwszy wysliznął się na wolność. Kruk otworzył trzecią klatkę. Garsteczka siadł na skraju, szykując się, żeby wyskoczyć, za nim przykucnął w gotowości Prorok.

Od strony wioski rozległy się szybkie, drobne kroki. Kruk przykucnął, odsunął się w bok – pomiędzy domkami pojawiła się Lita, zatrzymała się przy gabinecie luster i zerknęła w stronę płotu. Wszyscy, co do jednego, wstrzymali oddech. Mieli szczęście, bo blask „gnojówki” akurat przygasł, dziewczyna nic nie zauważyła. Uchyliła drzwi i wśliznęła się do kwatery Mentora.

– Po co ona tam poszła? – zapytał Tosza, zaciskając wargi.

– Dobrze, że tam, nie tutaj – prychnął Garsteczka.

– Ale po co? Ja myślałem, że to porządna dziewczyna, po prostu otumaniona herezją...

– Uciekamy – przerwał mu Kruk. – Do tamtych drzew, już.

Garsteczka i po nim Prorok zeskoczyli na ziemię.

– Plecak mój trzeba... – powiedział Prorok.

Kruk już skradał się wzdłuż płotu, ale wtedy z najdalszej klatki rozległo się żałosne pojękiwanie i ciche, proszące syczenie.

– Cicho tam, mały durne! – Garsteczka zamachał rękami. – Chemik, weź coś swoim powiedz!

– Jak? – zdziwił się Andrzej.

– Przecież jesteś no, ten... ich krewny! Niech zawrą ryje!

Wszyscy stanęli w pół kroku, gdy młody hiper zapiszczał głośno, szarpiąc za pręty klatki.

– Ich też trzeba wypuścić. – Chemik wzruszył ramionami.

– Po co? Chociaż... no tak, bo pobudzą wszystkich! – zgodził się Paweł. – No i ten, szkoda zwierzaków jednak.

Kruk biegiem cofnął się do klatki z hiperami. Pozostali przykucnęli, kuląc się, zaczęli przesuwając wzdłuż płotu... ale nagle Prorok zamruczał coś, poderwał się i pobiegł ku wiosce.

– Brodaty, pogięło cię?! – jęknął Garsteczka.

Prorok dokłusował do okrągłego domku, przemieszczając się zaskakująco na swe gabaryty cicho. Wyciągnął ze zrzuconych na stertę rzeczy swój plecak, po czym popędził z powrotem, przyciskając pakunek do piersi.

– Takiś sobek... – mruknął Garsteczka, kiedy brodacz zrównał się z nim. – A naszej broni nie łaska było wziąć?

– Nie było jej tam – sapnął Prorok, skradając się dalej razem ze wszystkimi. Pokazał palcem za plecy i dodał: – W jaki sposób włóczęga się wydostał?

– No przecież nóż sobie do stopy przykleił. Spoko pomysł, co? Pewnie drewno z chwytu albo zdjął, albo na płask spiłował, położył ostrze tak, żeby na pięcie leżało, a podgiętymi palcami trzymał z drugiej strony. Dlatego kulał.

– Czyli specjalnie się dzikim wystawił – szepnął idący przodem Chemik. – Rozebrał się wcześniej, buty zdjął, żeby było widać, że niby nie ma broni. Obszukali go pobieżnie, ale nóg przecież nie kazali zadzierać.

– Czyli... włóczęga przyszedł tylko po to, żeby nam pomóc? – zapytał Tosza.

– Tak. Zaryzykował, i to po całości.

Skrzypnęły drzwi do klatki, hiper wyskoczył na zewnątrz. Odwrócił się, złapał samiczkę i postawił na ziemi. Zawahał się, a potem ni to puknął, ni to pogładził Kruka po ramieniu pięścią – jak gdyby w nieumiejętny sposób wyrażając wdzięczność. Potem parka skoczyła w ciemność i znikła.

Kroki, które rozległy się od strony osady, zaskoczyły wszystkich. Lita bezszelestnie zamknęła drzwi do gabinetu luster, a potem potruchtała ku klatkom, pobrzękując niegłośno czymś niesionym w dłoni.

Garsteczka aż wstrzymał oddech. „Gnojówka” jak na złość rozpałała się szkarłatem. Dziewczyna zatrzymała się, popatrzyła na puste klatki, na zastygłych w pół kroku uciekinierów. Westchnęła, nabrała tchu...

Nawet Kruk nie zdążył nic zrobić, gdy Garsteczka zerwał się, jelenim skokiem dopadł do dziewczyny i trzasnął w głowę pięścią. Jak młotkiem przy wbijaniu gwoźdźcia! Gdyby uderzył mocniej, byłby dziewczynie chyba przetrzącił kark.

– Co ty wyprawiasz?! – pisnął Tosza.

Pod Litą ugięły się nogi, dziewczyna poleciała na ziemię– ale przedtem machnęła jeszcze bezwładną ręką, klucze wysunęły się z jej dłoni i poleciały łukiem prosto w klatkę. Zabrzęczały, dźwięknęły głośno o pręty, huknęły, ciężko upadając na żelazne dno.

Dźwięk poniósł się nad obozem i zamarł w dzwoniącej ciszy. Strażnik burknął, wymamrotał coś, otrząsnął się i obudził.

Usiadł, rozejrzał się. Przetarł oczy. Poderwał na nogi, złapał za swoją maczugę...

Z ciemności wyleciał kamień i trzasnął go między oczy. Nieszczęsny wartownik zamachał rękami i znów upadł, upuścił broń. Tam, skąd przyleciał kamień, rozległo się zadowolone sapanie hipera, a potem zaszeleściła trawa pod nogami uciekających.

– Chodu! Dopóki się nie ogarną! – zakomenderował Garsteczka.

Tosza rzucił się jednak do nieprzytomnej Lity, zaczął podnosić i próbował wziąć na ręce.

– Ostaw córę wraź! – warknął na niego Prorok.

– Nie, ojczu, nie zostawię jej! – Chłopak potrząsnął głową, a potem w końcu podniósł dziewczynę i popędził za resztą oddziału. – Zabijcie choćby, ale nie zostawie!

Kiwaczek zajęczał, poruszył się w wysokiej trawie.

– Debilu bezwasy! – sarknął Garsteczka. – Babę zobaczyłeś, siurkiem od razu myślisz?

– To nie żadna baba! Ona jest... oмотana herezją! A ja ją uratuję, albo tu zostanę!

Pobiegli pomiędzy drzewami, potykając się w ciemności. W wiosce panowała jeszcze cisza, ale wiedzieli, że to kwestia czasu. Chemik zamykał pochód, Kruk prowadził, zaraz za nim pędził zgarbiony Garsteczka, co rusz dostając w twarz jakąś gałęzią. Tosza sapał, Prorok dudnił swoimi buciorami.

Nagle Chemik wysforował się na czoło – pewnie wrzucił swój hiperski napęd na cztery łapy. Po prostu kilkoma długimi susami wyskoczył przed Garsteczkę, wyprzedził nawet Kruka.

Żaden z nich nie słyszał, co dzieje się w obozie, ale nie mieli wątpliwości: na pewno już się tam działo. Ile czasu potrzeba dzikim, żeby zorganizować pogon? Kilka minut, kwadrans? Mentor już się pewnie obudził, tylko patrzeć, jak wyskoczą Robin i Bo, wezmą wartownika na spytaki...

Jedna rzecz działała na korzyść uciekinierów. Dzikusy będą chciały wziąć ich żywcem, żeby potem wrzucić w anomalie.

Jeśli załuką zwyczajnie, to przecież w myśl ich idiotycznej doktryny nic to nie da, bo zabici powrócą w jeszcze gorszej formie... Taką miał przynajmniej nadzieję Garsteczka.

Drzew było mniej, teraz przez migające gałęzie przebijało się światło. Zielonkawoniebieskie, migoczące halo kręgu z rozmytymi, bladymi wypukłościami to przecież diabelski młyn, tylko że koło się świeciło! W blasku „gnojówki" nie było tego widać, a teraz wyraźnie odcinał się na tle ciemnego nieba.

Garsteczka aż splunął w biegu. Świeci sobie! No i po cholere, pytam się? Co on, latarka, albo pożar? Co to za wymysły, żeby karuzela miała świecić sama z siebie. Kontinuum by wzięło i zabrało w cholere te wszystkie wynaturzenia, naprawdę, bo on miał już tego dość! I zarazem... nie mógł się nimi nacieszyć. Bo fajne to w sumie. I życie takie bardziej kolorowe od razu, pełne. Nic, tylko na urlop do pracy na kasę w markecie pójść, żeby odpocząć.

Dobiegli właśnie do niedużej polany, kiedy z tyłu rozległ się głos Chemika: – Tutaj w bok! Za najemnikiem!

Garsteczka skorygował kurs, machnął ręką we właściwym kierunku, gdzie pomiędzy zielenią widać było jakiś budynek.

Za nim popędzili pozostali, ale Tosza od razu potknął się o jakiś korzeń i rymsnął na ziemię.

– Zostaw tę pannę! – zawył Garsteczka, zwracając w miejscu. – Brodaty, pruj dalej, ja go tu zaraz...!

Szarpnięciem postawił Toszę na nogi. Leżąca na ziemi Lita jęknęła, nawet nie otwierając oczu... A od strony obozu już słyhać było nawoływania.

– Biegnij!

– Nie! – Tosza wyrwał mu się. – Nie zostawię, to grzech! Nie wolno tak, to nie po ludzku, nie...

– Nożeż, kurwa mać, zamknij się już!

Garsteczce w końcu puściły nerwy i zasadził chłopakowi siarczystego kopa w dupę. Tosza poleciał na glebę i zarył twarzą w mech, Garsteczka znów go podniósł, pokręcił z dezaprobatą głową. Zarzucił sobie nieprzytomną dziewczynę na ramię, pociągnął chłopaka za rękaw i pobiegł, klnąc przez zaciśnięte zęby.

Odruchowo złapał dziewczynę za nogi, więc na wysokości twarzy miał akurat jej tyłek. W skórzanych spodniach. Chudy, owszem, ale bez grama tłuszczu, apetyczny i... i cholera jasna no! Wysiłkiem woli odwrócił wzrok, koncentrując się na biegu. Tosza gdzie? Ano jest, nawet daje radę.

Dziewczyna znów poruszyła się, jęknęła. Nieźle jej przysolił, może trochę za mocno.

– A, o! Patrz! Czekaj, wypadło! Pa, co zza pazuchy wypadło! – Tosza na chwilę zatrzymał się, potem dogonił Garsteczkę biegiem. W rękę ścisnął „asur”. – Zobacz!

– Kurde, musiała to zwędzić Mentorowi razem z kluczami... – zrozumiał Garsteczka. – Chemiś, ej! „Asura” twojego mamy! Słyszysz, włochatku?!

Gęstwina drzew otwarła się, wybiegli na placyk przed budynkiem z wytłuczonymi oknami i wyrwanymi drzwiami. Kruka i Proroka nie było już widać, za to zza rogu wyskoczył Chemik, podbiegł do nich. Paweł rzucił mu rękawicę, ten złapał broń w locie i naciągnął, biegnąc z powrotem.

– Tam jest dom strachów, już niedaleko! – rzucił przez ramię. – Najemnik nas prowadzi!

– Północnik...! – sapnął tylko Garsteczka, przypomniawszy sobie siwowłosego dziwaka, którego widział przez lornetkę.

Niebawem ujrzeni dom z pyskiem kłowna na dachu. Z ust figury sączyło się przygaszone światło, a nad torami paliła się samotna żarówka. Minęli ogrodzenie z patyków i czaszek, przeszli na szybki marsz. Przed nimi widać było sylwetki Proroka, Toszy i skaczącego Chemika, nad drzewami wciąż powoli kręciło się lśniąco koło diabelskiego młyna.

Na jednej z żerdzi palisady wisiał płaszcz i szelki z dwiema kaburami. Kruk wziął je po drodze, zapiął, naciągnął swój płaszcz. W jego rękę pojawił się ponadto prymitywny trójząb– maczuga z zespanych prętów.

Niemalże jednocześnie weszli wszyscy na podest przy budynku, a z korytarza, w którym zniknęły tory, wyłonił się człowiek. Garsteczka poznał go od razu, bez cienia wątpliwości, jak tylko tamten zapalił trzymaną w rękę latarnię. Aż prawie wypuścił z wrażenia dziewczynę, gdy przy nodze Północnika przesunęła się ciemna sylwetka – przecież to ten stwór! Ten, co biegł za drezyną, a Kruk go odstrzelił!

– Cień piekielny! – sapnął Prorok.



Chemik zrobił krok w tył, wyciągając przed siebie łapy z rozpostartymi palcami. Tosza szepnął: – Ojciec mój, co to?

– To tylko pies. Nie róbcie gwałtownych ruchów – powiedział Kruk spokojnie, dopinając kaburę na kostce.

Północnik wyszedł im naprzeciw, jego pies został przy wagonikach. Usiadł, jak zwykły pies. Kiedy jego pan z lampą odszedł nieco dalej, niemalże zniknął w otaczającej go ciemności.

Gospodarz podniósł latarnię wyżej, popatrzył na gości. Dwa ogniki zatańczyły w jego ogromnych okularach.

Przecież noc jest, pomyślał Garsteczka, co on może przez te bryle widzieć? Ułożył Litę na ziemi, a Tosza od razu nachylił się nad nią. Chyba powoli odzyskiwała przytomność.

– Dziadku, pamiętasz mnie? – zapytał Garsteczka. – Widzieliśmy się chyba, ja na autodromie byłem, a ty z tego pajaca wyjrzałeś...

– Jest ślepy – wtrącił Kruk.

– Że co? Aaa... sorry, nie wiedziałem. Słuchaj, ale to jak ty te bohomyzy malujesz po omacku? Czy to tak od niedawna?

– Garsteczka, dość – uciął Chemik. – Zaraz tu będą dzikusy, trzeba szybko decydować, co i jak. Panie Północnik, pomoże nam pan?

– Chcecie trafić tam, dokąd poszedł Borys? – spytał tamten. Głos gospodarza domu strachów był cichy, spokojny i trochę jakby nie z tego świata.

– Borys, Borys...? A, że Wiedźmak? – znów wtrącił się Garsteczka. Prorok i pochylony nad dziewczyną Tosza milczeli, patrząc na Północnika nieufnie. – Ano, chciałoby się. A co, wiesz, co i jak?

– Pokaże nam drogę – powiedział Kruk z pewnością w głosie. – Północniku, dokąd mamy iść?

– Za mną. – Siwy zaczął wchodzić z powrotem po schodkach.

– Ała! – krzyknął Tosza. – Ale za co...?

Klapnął na tyłek, trzymając się za nos. Lita poprawiła mu pięścią w brzuch, zerwała się i pobiegła, ale Garsteczka złapał ją wpół.

– Koleżanko miła, spokojnie, bez nerw!

Północnik nagle stanął tuż obok niego, a następnie stało się coś dziwnego. Położył dziewczynie dłoń na głowie, obrócił ku sobie, zsunął okulary na czoło i zajrzał jej w oczy. Garsteczka aż puścił Litę, odsunął się – ta szarpnęła się, zadrżała, westchnęła i zmiękła.

– Coś ty jej zrobił?! – Tosza rzucił się na siwego, trzymając za rozbity po raz drugi w niedługim czasie nos.

Północnik ostrożnie ułożył Litę na ziemi i od razu poprawił okulary. Tylko stojący najbliżej niego Garsteczka zauważył, że zamiast źrenic ma w oczach białe plamy, i wzdrygnął się.

– Co uczyniłeś z dziewczką, człowiecze? – zadudnił ponuro Prorok.

– Zasnęła po prostu. Po jakimś kwadransie się zbudzi. – Północnik wziął lampę i jak gdyby nigdy nic zaczął wspinać się po schodkach. Skręcił w korytarz, idąc wzdłuż torów. Dymny pies chyba zniknął, rozwiął w przestrzeni. – Chodźcie za mną.

Jest kłapa, tam musicie zejść.

– Kolejny tunel. – Chemik pokręcił głową, patrząc na ściany z surowego betonu. – Dopiero co z Polesia przez kanały wyłaziłem. Znów pod ziemią...

– A myśmy dopiero co, z Krukiem znaczy, pod Lotniskiem biegali jak głupi – rzucił idący zaraz za nim Garsteczka.

– Nic dziwnego. Tak duża budowla, jak lotnisko wojskowe albo park rozrywki tej skali musi posiadać swoją infrastrukturę podziemną.

Szli szybkim krokiem, rozchlapując stojące na posadzce kałuże. Prowadził Północnik ze swoją lampą, w której, jak się okazało, tkwił świecący artefakt. Na szarym końcu sapał Tosza, znów niosący Litę.

– Już niedaleko. – Głos siwowłosego przewodnika odbijał się echem. – Na górę wyjdziemy niedaleko punktu, który pozwoli wam ruszyć za Borysem.

Tunel był relatywnie krótki, kończył się półotwartymi drzwiami, za którymi była drabinka na górę. Garsteczka już łapał za szczebel, gdy obejrzał się, słysząc ciężkie sapanie – Tosza ledwo już szedł, mocno obejmując dziewczynę.

– Daj, poniosę – pożałował go Paweł.

– Nie... – zachrypiął tamten. – Teraz ja sam... każdy swój krzyż targa...

– Jaki znowu, do cholery, krzyż. Ledwo sam leziesz... A zresztą, jak chcesz.

Nad nimi skrzypnął metal, zapachniało chłodnym leśnym powietrzem. Schody kończyły się w niedużym domku z zardzewiałą konsolą sterowania i wybitym okienkiem, przez które widać było diabelski młyn.

Nad podestem z desek właśnie przejechała, niemalże szorując dnem, gondola, zaraz za nią płynęła kolejna. Wszystko to świeciło się mdłym blaskiem, jak pokryte farbą fosforyzującą... Kabiny bezgłośnie wynurzały się z opalizującej mgiełki, pełzły ku lewej i wspiwały coraz wyżej i wyżej w niekończącym się kołowrocie.

Wszyscy stłoczyli się przy okienku, patrząc. Tylko Tosza oparł się o ścianę i dyszał, zmęczony – ale

dziewczyny nie puścił.

Garsteczka cofnął się, popchnął drzwi na zewnątrz, popatrzył na zarośla i zrzucone na kupę drewniane ławeczki.

– Ależ to płonie... – szepnął zachwyconym głosem Chemik. Garsteczka aż podszedł do niego, wychylił się nad ramieniem.

– Co, gdzie?

– Nie widzisz? Przecież... – zapytał Chemik, potem przypomniał sobie. – Ach, tak. Już nie widzisz. No więc prawa część młyna zanurzona jest w płonącym blasku.

– O czym mówisz, człowiecze– zwierzu? – podejrzliwie zapytał Prorok.

– Wasilij, niech się pan tak nie unosi od razu. Wzrok hipera różni się od ludzkiego, ale nie czyni mnie to wysłannikiem diabła. Widzę po prawej stronie plamy światła w odcieniach szmaragdu i turkus, opalizujące i przelewające się warstwami. Od czasu do czasu przesuwają się przez nie rodzaj zaburzenia. Potem migoczą tam jak gdyby iskry, pojawiają się wiry i... Nie znajduję słów, żeby to opisać. Ale jest to piękne. Piękne i bardzo tajemnicze.

– E, a to kto? – Garsteczka wepchnął się pomiędzy dwóch niedoszłych uczestników kłótni, wychylił przez okienko i pokazał na jedną z gondoli. – Tam ktoś siedzi!

Faktycznie, w łódeczce siedział pasażer. Widać było ramiona i zwróconą w kierunku domku głowę. Odblaski tańczyły po wykrzywionej przerażeniem twarzy, wydawało się, że nieznajomy żyje, ale nie jest w stanie się poruszyć. Jak gdyby zajrzał za spowijający świat całun i zobaczył tam coś, czego nie powinien... Nagle sylwetka zamigotała, na ułamek sekundy stała się półprzezroczysta, potem znów odzyskała ostrość.

– Siły niebieskie! – sapnął Prorok. – Co za lichy?!

– Stalker – odpowiedział Północnik. – Zwyczajny stalker. Pojawił się tutaj jakiś rok temu, zwał się Czekistą. Przypadkiem się spotkaliśmy, on chciał uniknąć ludzi Mentora i doszedł tutaj. Zachwycił się młynem, chciał pojeździć. Próbowałem go przekonać, że nie należy, a nawet jeśli, to nie więcej niż jedno okrażenie. Nawet jeśli trafisz gdzie indziej, trzeba od razu zsiadać! Nie posłuchał, myślał, że wie lepiej. I tak już został.

Tosza ostrożnie posadził wciąż śpiącą Litę na panelu, przełknął ślinę. Popatrzył na koło, na Północnika.

– Ale jak to... – zaczął.

– W takim razie ten Czekistą jest martwy? – przerwał mu Chemik. – Wydawało mi się, że żyje.

– Najprawdopodobniej żyje, jeśli można tak to nazwać. Siedzi tak już kilkanaście miesięcy.

Gondola ze stalkerem minęła podest i powoli popęzła ku górze. Pasażer znów zbladł, na kilka sekund niemalże zniknął, potem pojawił się na chwilę, żeby potem pokryć się drobną kaszką. Kabina odjeżdżała coraz wyżej, nieszczęsny Czekistą prawie zniknął...

– Północnik, coś ty tam mówił... – podejrzliwie zaczął Garsteczka. – Że jak się gdzie indziej trafi czy coś... Co to miało być?

Siwy westchnął, poprawił okulary. Oparł się o pulpit i zwrócił twarz ku ciemnemu niebu.

– Diabelski młyn to koło – zaczął. – Ogromne, niezrozumiałe, bez początku i końca. Jedyna tej wielkości i kształtu budowla w okolicy. Teraz spina różne wymiary, a gondole przenikają przez barierę. Czekistą... Co mógł tam zobaczyć?

Powinien był się posłuchać, wyjść po pierwszym okrażeniu, przecież mu mówiłem! Nie posłuchał, został. I teraz boję się, że będzie tak krążyć bez końca, coraz głębiej pograżając się w otchłań przestrzeni.

– Otchłań przestrzeni, aha... – powtórzył Garsteczka w zapadłej ciszy. – Raczej w jelito grube kontinuum.

– Już wiem – odezwał się nagle Chemik. – Wiem. Chce pan, żebyśmy wsiedli na diabelski młyn.

– Eeee... – Tosza nie podzielił entuzjazmu. – Ale czy nie przeniesie nas tak samo...

– Musicie zatoczyć jeden pełny krąg – powiedział Północnik. – Tylko jeden. Na dole zejść. Traficie tam, dokąd wyruszył Borys. Ale jeśli pojedziecie dalej, zaginiecie pomiędzy warstwami rzeczywistości.

– Anomalne czary– mary – warknął Kruk. – Dobrze, co to za miejsce? Gdzie jest?

– Słyszałem, że mówią o nim Ślepa Plama.

– Plama szatańska! – Prorok przeżegnał się, Tosza powtórzył gest po nim.

– Ślepa Plama, oczywiście – mruknął Chemik, zbity z tropu. – Powinienem był się domyśleć wcześniej.
– Ej no, panowie! – zaniepokoił się Garsteczka. – Się coś pogubiłem z deka. Co za plama? Słyszałem, że w Sektorze jest jakieś takie, nie wiem, miejsce czy punkt, ale to tylko mimochodem. I książkę taką kiedyś widziałem, jak ostatni raz w księgarni byłem. Jeszcze w szkole.

– O tak zwanej Ślepej Plamie nic więcej nie wiadomo – pospieszył z odpowiedzią Chemik. – Jest odcięta od reszty rzeczywistości jeszcze bardziej niż Wstęga. O ile ta ostatnia to rodzaj, hm, anomalii okrężnej, węzła kontinuum, to Plama jest jak dziura. Panie Północnik, jest pan pewien, że to jedyna droga? I skąd wie pan, że Wiedźmak jest właśnie w Plamie?

Ale ten nie zdążył nic powiedzieć – Garsteczka akurat odwrócił się ku drzwiom i zobaczył, jak zza sterty ławek wyskoczył Bo. Pomocnik Mentora zamachnął się i cisnął w ich kierunku dziuryt.

– Uwaga!

Krzywy kij z ostrym prętem na końcu niemalże trafił Północnika, ale Kruk skoczył, złapał pocisk w locie. Okręcił się wokół własnej osi tak, że grot świsnął przed samą twarzą Północnika, i odrzucił z powrotem, łopocząc połami płaszcza.

Zza sterty wyłonili się Mentor i Robin, zbrojny samostrzałem. Bo odepchnął ich długą, małą łapą, sam uchylił się – włócznia przeleciała między nimi i utkwiała w piersi jednego z dzikusów, wysypujących się z krzaków.

Garsteczka aż usta otworzył, oszołomiony prędkością i zwinnością najemnika. Ten niemalże zmienił się w coś innego, w drapieżnego stwora z czerwono– czarnymi skrzydłami... Ale po chwili wrażenie minęło.

Mentor coś krzyknął, jego podopieczni rzucili się hurmem ku domkowi. Północnik chwycił swój gwizdek, świsnął – nie było nic słychać, ale w uszach aż przeskoczyło.

Kruk jako pierwszy zanurkował przez okno, wychodzące na przeciwną stronę niż drzwi. Zaraz za nim władował się w otwór Prorok, zaczepiając plecakiem o ramę.

– Do młyna! – Garsteczka popchnął za nimi Toszę.

– Ale Lita...! – zajęczał chłopak.

– Pomogę, ty przodem!

Chłopak przetoczył się przez parapet, upadł, zerwał się, odwrócił i wyciągnął ręce. Garsteczka złapał dziewczynę, przekazał mu, widząc, jak najemnik, brodac i siwy pędzą ku diabelskiemu młynowi. Nie mieli prawa zdążyć, bo dzikie stado deptało im po piętach, poza tym trzeba jeszcze wsiąść do gondoli, która musi zdążyć się unieść...

– Chemik, gdzie jesteś?! – wrzasnął, nie widząc nigdzie hipera. Okazało się, że ten wyleciał przez drzwi, prosto na biegnących dzikich, więc Garsteczka zawył, nie wiedząc, co robić. – Włochaty, gdzie?!

Chemik machnął ręką, która zapłonęła światłem. W ciemności Garsteczka nie widział bata, ale rezultat był aż nadto widoczny: biegnący ku nim wrzasnęli i polecili na ziemię, jak skoszony łan zboża. Hiper skoczył i zniknął, widać było tylko, jak część prześladowców rzuca się i wiję na trawie, inni próbują odczołgiwać się na bok. Tylko nieliczni kuśtykali ku domkowi.

Garsteczka też się cofnął, wskoczył na pulpit i wytoczył przez okno. Od razu popędził ku młynowi, widząc, jak Kruk właśnie wskakuje do powoli płynącej w lewo gondolki. Za nim biegli dwaj podróżnicy, każdy ze swoim bagażem – Tosza z dziewczyną, Prorok z plecakiem. Nim Garsteczka zrównał się z nimi, z boku wyprzedził go Chemik, wskoczył do środka.

Paweł był już przy łódeczce, gdy nagle usłyszał krzyk. Obejrzał się, już wsiadając – Tosza potknął się na stopniach, upadł i wypuścił Litę.

– Zostaw niewierną! – ryknął Prorok.

– Ojczy, nie!!!

Wasilij uderzył pięścią w metal, zawrócił. Złapał dziewczynę, zarzucił sobie na ramię, niczym worek kartofli.

Gondola dojechała do skraju podestu, z lśniącej mgły wychynęła kolejna, do której wgramolili się podróżnicy. Ta, w której siedzieli Garsteczka, Kruk i Chemik, zaczynała już powoli się podnosić.

Z jednej strony ku młynowi biegli dzicy, poganiani przez Mentora i Robina. Z drugiej, w krzakach, stał Północnik, obiema rękami ściskający swój gwizdek.

– E, e, e! Dawaj tutaj! – wrzasnął Garsteczka. – Do tamtych do kabiny włącz!
Północnik milczał, zwróciwszy do nich twarz schowaną za czarnymi okularami.

– Zabiją cię te posrańce!

– Nie. – Północnik zgarbił się, odwrócił i powoli schował w krzakach. Po raz ostatni mignęły jego siwe włosy, a potem zniknął.

W owalnej kabinie były dwie wygięte ławeczki, wysokie burty i przerdzewiała podłoga. Kruk i Chemik stali w przedniej części, Garsteczka oparł się o siedzenie kolanem i pilnował tyłów.

Nad podestem przesunęła się kolejna gondola, podróżnicy ułożyli w niej dziewczynę i też stanęli w gotowości, aby odpierać ataki zbliżających się dzikich. Brodacz i chłopak nie mieli szans – zaraz ich dopędzą i czapkami nakryją! Chyba że Kruk i jego pistolety...

Paweł już nabierał tchu, żeby krzyknąć na najemnika, ale wtedy usłyszał warknięcie: „Na bok!”. Chemik odsunął go, wskoczył na ławkę i machnął dłonią w rękawicy.

Tym razem wyraźnie było widać pasmo migoczącego powietrza. „Asur” chlasnął, a na dole, wzdłuż burty gondoli, deski eksplodowały niczym lód pod dziobem prącego pełną naprzód lodołamacza. Ktoś wrzasnął, zaskowyczał z bólu, dwóch dzikusów odrzuciło w tył, prosto na wchodzących po schodkach Robina i Mentora. Jednego cisnęło pod łódkę, dwóch prosto na nią, ale tam już czekali z pięściami Tosza i Prorok.

– Dobry strzał, Chemisiu! – ucieszył się Garsteczka.

Owalny kamień na rękawicy zgasł, Chemik odsunął się od burty. Gondola podróżników też dopełzła do końca podestu, zaczęła się podnosić... Otaczający ich blask narastał, wydawało się, że samo powietrze świeci.

Garsteczka zorientował się, że zrobiło się jakoś cicho, więc zawołał: – Chemik!

Jego własny głos zabrzmiał niczym spod ziemi. Hiper odwrócił się do niego, a Pasza rozłożył ręce.

– Ty, no co jest? Też to słyszysz?

Dźwięki grzęzły niczym w wacie. Chemik coś mruknął, podłubał w uchu.

Gondola wznosiła się coraz wyżej w lśniącym obłoku, Cudopark uciekał w dół. Kruk przysiadł na dziobie, wbił wzrok przed siebie. Pod nimi było jezioro ciemności i tylko dwie jaśniejsze wysepki: duża, ciemnoczerwona plama tam, gdzie jarzyła się „gnojówka”, i zbiorowisko żarzących się ogników w kierunku Polesia.

– Co się tam świeci? – zapytał Garsteczka.

Zagubione Miasto pełgało bladym różem, jak gdyby tysiące świetlików płynęły pomiędzy czarnymi sześcianami bloków.

– Chemik, ej. A ty co widzisz swoimi ślepiami? – zapytał szeptem, ale zrozumiał, że hiper nawet go nie słyszy.

Odchrząknął, powtórzył głośnie: – Te, weź popatrz tam! Widzisz, te ludziki tam, takie małe? No, stąd małe... To pewnie mieszkańcy, nie? Wiem, że idiotyzm, ale kto jeszcze?

– ...rsteczka! – napłynęło w odpowiedzi. Obejrzał się.

Okazało się, że Chemik stał przy rufie i machał ręką, wołając go. Musiał tak wołać już któryś raz, ale naprawdę nic nie było słyhać.

Paweł podszedł, wyjrzał. Ich kabina szła już praktycznie pionowo w górę, a następna jeszcze trochę po skosie – i tylko dlatego zobaczyli Bo, wiszącego pod dnem i bujającego się miarowo w tę i we w tę.

– O, czort! – zaklął Garsteczka. – Przyczaił się pod podestem, a potem się złapał. Tylko czego się trzyma?... Ty, ale oni go nie widzą przecież!

Tosza zajęty był Litą, Prorok siedział na dziobie, patrząc na okolicę.

– Ostrzec ich trzeba. – Garsteczka zamachał rękami. – E, chłopaki! Pasażera na gapę macie! Brodaty, halo! Uwaga, macie ogon!

Nie mogli go słyszeć, sam siebie ledwo słyszał. Im wyżej unosiła się gondola, im bliżej był szczyt koła, tym bardziej cisza cisnęła na uszy. Garsteczka klasnął w dłonie, ledwo usłyszał dalekie echo. Przechylili się wraz z Chemikiem przez burtę, patrząc w dół.

Druga gondola była dokładnie pod nimi, nawet nie byłoby jak strzelić. Przestrzeń wokół zdawała się

zaginać, odległości nie trzymały się kupy. Jakby ktoś zmiął kontinuum w kulkę i wyrzucił do kosza, a potem zmienił zdanie, wyjął i rozprostował – ale mimo wszystko zostały zagięcia i plamy.

W okolicach dziobu dolnej kabiny pojawiła się najpierw ręka, potem głowa – to Bo mozolnie piął się na burzę.

Garsteczka znów zamachał rękami jak wiatrak, ale jasne było, że i tak nikt go nie widzi.

Łódka zaczęła poruszać się coraz bardziej poziomo, aż w końcu osiągnęła maksymalną wysokość i powoli, płynnie, niespiesznie popęzła w dół. Co się działo u sąsiadów? Nawet nie było już widać, od blasku bolały i szczypały oczy. Chemik przysiadł w kucki, mrugał i tarł powieki. Kruk zgarbił się i skulił, opierając twarz na dłoniach. Nie wiedzieć czemu zaczął się trząść, głowa mu podskakiwała... Czasami opuszczał rękę, wsuwał pod płaszcz i dotykał czegoś na lewym boku.

Może i źle się czuł, ale Garsteczka nie był typem pocieszacza. Tym bardziej że wokół za dużo się działo – świat trzepotał i falował jak płótno na wietrze, gondola sunęła przez chaos światła i cieni. Tak musi wyglądać od środka zorza polarna, pomyślał Paweł.

Zniknęła góra i dół, nie wiedział, czy się wznoszą, czy może opadają... A może stoją w miejscu? Potem pojawił się leżący warstwami dym, a łódeczka sunęła przez niego jak przez ocean – coraz gęstszy, cięższy.

W głowie szumiało, została tylko jedna myśl: wyjść. Musiał wyjść, jak tylko zjadą na dół, koniecznie wyjść, bo jak nie, to i on tu zostanie na zawsze z twarzą wykrzywioną przerażeniem, bez końca zataczając kręgi w tym mglistym cholera wie czym.

A może to już? Może już są na dole? Jak sprawdzić? Ile czasu minęło?... Stop, stop! Przecież kabina płynie wzdłuż warstw dymu, jeszcze jedna jest nad nimi, więc poruszają się w poziomie! Już, teraz!

Wstał, ledwo poruszając nogami. Dopiero teraz zauważył, że Chemik też się wyprostował, a Kruk próbuje przetoczyć się przez burzę. Gondola poruszała się nad czymś... nad ziemią, albo deskami, albo czymkolwiek innym skrytym we mgle.

Kruk wypadł z łódki i zniknął. Garsteczka pochylił się, chcąc ruszyć za nim.

Nie było tak łatwo po prostu wyjść – musiał się dosłownie przeciągnąć siłą, jak worek z kartoflami. Jak baron Munchhausen, samego siebie za włosy.

Upadł na czworaki, wstał, rozkładając szeroko ręce i próbując złapać równowagę. Zrobił krok, potem drugi, jak pijany.

W głowie przewalały się tabunami absurdalne myśli: Kim jest? Dlaczego, po co? Gdzie, i co to wokół...? Skąd ta słabość, czemu tak cicho?

Szedł, powoli odzyskując władzę nad ciałem. Nogi już nie drżały, ręce zaczynały się go słuchać. Robiło się jaśniej, mgła stopniowo rzedła, widać było światło... Zwyczajne światło dnia, ha! Będzie lepiej, może nawet będzie dobrze.

Niebo. Nad nim było niebo, z tyłu kuśtykali Chemik i obok niego Kruk na czterech. No dobra, główna część ekipy w komplecie.

Zatrzymał się. Mgła zniknęła, pod nogami miał kamienistą ziemię porośniętą rzadką trawą.

Przed nim, dosłownie kilka kroków dalej, zaczynała się skarpa prowadząca w połowicznie zalane wyrobisko. Stojąca w nim woda była czerwona, a pośrodku zalewu wznosiło się coś... coś...

Coś czarnego, co poza tym wymykało się opisowi.



Rozdział 11

to jest ta... baza, tak? – Garsteczka pokazał ręką. – Ano, baza.

Chemik i Kruk stanęli obok. Skarpa biegła w lewo i prawo płynnym łukiem, drugi brzeg leżał het, daleko przed nimi.

Zbocza niemalże pionowo opadały w wodę, pokrytą połyskującą purpurową błoną, po której sunęły blad różowe odbicia chmur. Tylko w jednym miejscu brzeg był nieco łagodniejszy, tam też stało kilka budynków, pomiędzy którymi zaparkowane były maszyny budowlane i sprzęt wojskowy.

Tak, miało to sens, pomyślał szeregowy Paweł Nowickij. Tam były koszary dla drużyny, może dwóch. Dalej sztab, albo administracja, zależy od szczybla obiektu i statusu, cywilny czy wojskowy. A ta kopuła, niczym radar na lotnisku...

laboratorium? Wszystko z kawałków, modułowe, czyli można rozmontować i przewieźć. Widać też przystań z pontonowym moło, biegnącym ku temu... czemuś pośrodku jeziora.

I gdzieś tam siedzi jego senior asystent brader Wil Kyss. Chyba.

– Panowie, a gdzie reszta? – zapytał. – Widzieliście naszych braci w wierze?

– Ja nie – wycharczał Chemik. Jego wzrok był wbity w to coś, sterczące z centrum jeziora, i zdawał się poza tym świata nie widzieć.

– Ty, co jest? – zapytał Garsteczka.

– Ja... no nie mów, że nie widzicie?

– Czerwoną wodę widzę. Jakby ktoś wysypał dno mieloną cegłą, albo spuścił ścieki z ubojni. Choć nie, krew raczej nie.

I takie chujwico, sterczące z wody pośrodku.

– A pod tym?

– Gdzie, znaczy że w wodzie?

– Uch... – Chemik powoli pokiwał głową. – Tam jest jakaś kolosalna struktura. Świeci się. Schodzi coraz niżej i niżej, rozszerza. Nad wodą jest tylko sam czubek.

– „Kolosalna”? W sensie, że naprawdę w pytę duża?

– Nawet nie podejmuję się oceniać rozmiaru. Kilometry, dziesiątki kilometrów!

– Nie no, weź ochłoń trochę. – Garsteczka popatrzył na przyjaciela z troską. – Jakie znów kilometry? To jezioro jest takie głębokie?

– Nie wiem, jakie jest głębokie! Może i niezbyt, ale ta budowla schodzi o wiele, wiele głębiej. Widzę, jak daleko pod nami przepływają po niej takie lśniące plamy, krzyżują się linie... Jakbym stał nad otchłanią. Jest o wiele, wiele głębiej niż dno jeziora. Może w skale macierzystej?

– Jest i wasz transporter – odezwał się Kruk, który przysiadł na kamieniu i wciąż się trząsł.

Garsteczka z trudem oderwał wzrok od budowli.

– Gdzie?... A, faktycznie, wystaje kawałek spod tej wiaty. Niby podobny, ale nie wiem, czy właśnie ten.

Trzeba zejść na dół, wtedy się okaże. Jeśli ten, to co, znaczy, że Wiedźmak tam jest?

– Ludzi nie widać – mruknął Kruk.

– Ale jeśli nas twój siwy dziadek nie oszukał, to łysol gdzieś tutaj musi być. Założymy się? Oszukał nas Północnik?

Najemnik wzruszył ramionami, hiper powiedział: – Myślę, że mówił prawdę.

– No to trzeba odszukać podróżników. Wiedźmak ma przy sobie kupę luda, pomoc nie zawadzi.

Rozejrzeli się. Nigdzie nie było widać diabelskiego młyna, w ogóle mało co było. Zalew otaczało pasmo ziemi, może pięćdziesięciometrowej szerokości, a dalej wisiała mgła. Gęsta, ciemna, lepka.

– Kruk, ty mówiłeś o tym czymś, jak poszedłeś za wargami – przypomniał sobie Garsteczka. – Nie że portal, ale fałda, pliska czy inna zaszewka... I tam też była mgła, tak?

– Podobna – odpowiedział najemnik, wstając ciężko. – Szara, raczej sucha. Jak w zimnej saunie. Tutaj jest inaczej.

– Słuchaj, weź pożycz pistolet. Ten tutaj ma swojego asurka, żeby się nim bawić i bić ludzi po twarzach, ty dwie klamki i swoją pałkę od dzikich, a ja tak z gołymi rękami. Patrz, nawet kabura pusta, aż się prosi, żeby coś w nią włożyć. No już, nie bądź żyła.

Kruk odczepił od paska i podał mu trójząb.

– To sobie wsadź.

– Słusznie, że oddajesz – zgodził się Paweł. – Przecież masz jeszcze swój kozik. Ale to w kwestii broni białej, a my o palnej mówimy. No weź, gościu, podziel się z kolegą w potrzebie...

Kruk wyciągnął spod płaszcza pistolet.

– Masz pięć nabojów – uprzedził, przekładając drugi pistolet do kabury na pasie.

– He, zawsze coś – ucieszył się Garsteczka, odbierając pistolet i maczugę. – No to teraz, panowie moi, wy sobie tu posiedźcie, popatrzcie i pomyślcie. Może wykombinujecie, dlaczego woda jest czerwona. Chemik, co ty na to? Taki jesteś naukowiec, to popracuj główką. A ja nóżkami popracuję, wrócę się kawałek w to białe paskudztwo, poszukam naszych.

Może się tam pogubili i płaczą.

– Sam się nie zgub – ostrzegł go Chemik. – To w końcu fałda czasoprzestrzenna, najlepiej w ogóle tam nie chodzić. Ach, no i uważaj! Tam był Bo, nie wiadomo, co im mógł zrobić.

– Wystarczyło, że nie dał im zejść po pierwszym kółku – skrzywił się Garsteczka. – Ale sprawdzić wypada. Stójcie tutaj, nigdzie beze mnie nie łażcie, a ja rachuciachu sprawdzę i wrócę. A nuż znajdę?

– Jeszcze coś jest. Zwrócił któryś z was uwagę na porę dnia? Przecież była noc, i to raczej wczesna.

Garsteczka, szczerze mówiąc, zwrócił od razu. Tylko że nic nie powiedział, bo co tu mówić? No była noc, wsiedli na karuzelę, a teraz jest dzień. Jest, to jest. Dziwne, pewnie, ale przecież chyba nie będą z tego powodu płakać. Sektor w końcu.

Natomiast czerwone jezioro i to coś na nim – o, to było coś fajnego, intrygującego.

Wzruszył ramionami, splunął i poszedł w kierunku mgły.

Mgła, szczerze mówiąc, wcale nie wyglądała jak mgła. Zbyt jasna, zbyt... czysta była. I ciepłutka, miękka, jak kołderka.

Do tego jeszcze płynęła, cały czas zawijała się w jedną stronę, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Zupełnie jak diabelski młyn, kręciła się w kółko.

Machając przed sobą pałką, Garsteczka wszedł jeszcze kilka kroków głębiej, stanął i rozejrzał. Widział, siłą rzeczy, mgłę.

Białą, identyczną ze wszystkich stron. I nic, nikogo poza tym. Zero ruchu.

– Ej! Heeej! – krzyknął.

Dźwięk niknął tak samo jak wcześniej na diabelskim młynie. Cisza. Zupełna cisza, ale nie grobowa ani dzwoniąca, a raczej miękka, głęboka. Stoisz sobie w chmurze waty. Nic nie słyhać, nic się nie dzieje. Tylko gęsta, biała wata sobie płynie z lewej na prawo, wirując bez końca wokół tego zagubionego w czasie i przestrzeni zalewu pełnego czerwonej wody. Co to było? Ha, pytanie za milion.

Wróc: za pięć milionów, i to dolców. O których Pasza zdążył już zapomnieć, które go teraz ani grzały, ani ziębiły. Zostały daleko za nim, tak że dwie rzeczywistości temu. I dobrze. O wiele bardziej interesowali

go ludzie, którzy mogli mieszkać w tej bazie. I co to za konstrukcja, podobna do czubka piramidy? Dlaczego woda ma taki kolor?

I o co w tym wszystkim w ogóle chodzi?

Odchrząknął, wzruszył ramionami. Zgubili się chyba podróżnicy, no i trudno. Nie ma co ich szukać po omacku, równie dobrze może ich tu wcale nie być, bo zginęli na młynie. Proroka– dziwaka miał, delikatnie mówiąc, w dupie, ale Toszy trochę szkoda. Chociaż, sam sobie gnojek winien. Nie można pozwolić, żeby ktokolwiek, ojciec czy ojczulek, albo i sam Ojciec Święty czy nawet Putin, miał człowieka prowadzić przez życie na smyczy.

Gotów był już wracać, gdy zauważył, że po lewej coś jest. Kanciaste, duże... Kamień. W pierwszej chwili wyglądał na nagrobek, i aż się Garsteczka zrobiło nieswojo. Ale potem okazało się, że to tylko głaz.

A na głazie widać było napis: *Dnia 16 kwietnia roku nie wiadomo którego nasza ekspedycja wkroczyła w tę mgłę.*

Coś w niej jest. Należy to wyjaśnić.

Andriucha Grudinin Żeka Muchin Rodan Sycz Alosza Ipatów Saszka „ Myśliwy” Daniłów Ankar Czerednikow i dowódca Igor „Czołgista” Macyganow Wrócimy! Czekajcie na nas.

O, takie buty... Co to za ekspedycja, skąd się ci ludzie wzięli, gdzie przepadli? No, to jest „gdzie” akurat wiadomo, bo we mgłę. Ale jak daleko mogą być? A może wezmą zaraz i wymaszerują z mgły, wszyscy... ilu ich tam? No, siedmiu chłopca, całych i zdrowych. A może i nie. Wyjdą z takimi minami jak ten nieszczęśnik na diabelskim młynie, przejdą obok, noga w nogę i nawet go nie zauważą...

Garsteczka otrząsnął się, odwrócił i poszedł z powrotem. Mleczna zasłona zaczęła rzędnąć, pojawiły się w niej leżące na ziemi kamienie, nieduże krzaki. I hiper na brzegu.

Ale gdzie najemnik? Przecież mówił im: nie ruszać się!

I dlaczego hiper leży?

Garsteczka puścił się biegiem. Chemik musiał go usłyszeć, bo zerwał się i odwrócił, wystawił przed sobą ręce z rozczapierzonymi palcami. Zasyczał.

– Paweł! – syk przeszedł w słowa. – Gdzie ty byłeś?! Idioto skończony!



– Gdzie byłem? – zdziwił się Garsteczka. – Ty no, o czym ty gadasz? Co to za wyzwiska w ogóle, no... Kruk gdzie już polazł?

– Człowieku, przecież myśmy tutaj na ciebie czekali! W końcu Kruk poszedł na zwiady. Tam po lewej jest łagodniejsze zejście nad wodę. Położyłem się, żeby go obserwować, i mnie zmorzyło.

– „Czekaliście”? „Zmorzyło cię”? Pojebało was obu?! Kurwa, jak dzieci! Na dwie minuty sobie poszedłem, wracam– jeden zasnął, a drugi gdzieś polazł!

– Paweł... nie było cię ponad półtorej godziny.

– Co?! – Garsteczka popatrzył na niego zdumiony. Podniósł trójząb, podrapał się ostrym końcem po potylicy. Pokręcił głową. – Nie no, chłopaki... nie no, no nie, job waszu mać! No tego się...!

– Fałda – powiedział Chemik.

– Że co?

– Fałda wokół tego zalewu. Okrężna fałda czasoprzestrzenna.

– Okrężna fałda, hy, hy...

– Garsteczka, to nie pora na podśmiejuchki. Właśnie dlatego ten fragment czasoprzestrzeni jest Ślepą Plamą, bo wszystko w nim jakby zniknęło. Do tej pory widzieliśmy tylko anomalie przestrzenne, a ta... jest również czasowa?

Możliwe. Czas i przestrzeń są nierozzerwalnie dla nas, ludzi, związane, ale to kwestia postrzegania wykształconego w trakcie ewolucji. Myślimy o czasie i przestrzeni jako jednym, ale tak naprawdę są

zupełnie osobne.

– No jak nie, jak tak? – zgodził się Garsteczka, patrząc ze skarpy w dół. – Po przestrzeni chodzisz, od czasu się starzejesz.

Jaki z tego morał, panie profesorze włochatku?

– Chcę powiedzieć, że...

– Dobra, nie teraz! – Garsteczka pokazał swoim trójzębem w dół. – Co to tam... Znowu! Widziałem już takie coś wcześniej, koło transportera, jak chodziłem się odlać! Jeśli tam jest Kruk, to trzeba mu pomóc!

Na brzegu jeziora rozbłyskiwały blade plamki, rozjarzały się i gasły, a w nich coś się poruszało. Cała ich fala przelewała się poprzez bazę i w kierunku ich skarpy.

Czerwony Kruk szybko schodził na dół. Ich teleportacja na diabelskim młynie musiała wpłynąć na „krwawokwiat”, bo teraz symbiont to boleśnie pulsował w takt trzepoczącego serca, to znów zamierał, a wtedy ono ledwo, ledwo pukało, czasami chyba w ogóle zamierając.

Kiedy Garsteczka nie wracał, stało się jasne, że ugrzązł we mgle. Wtedy Kruk czuł się dobrze – słabość minęła, a energia życiowa człowieka z kolejki górskiej jeszcze wystarczała. Poruszał się szybko i sprawnie, lewa ręka słuchała go nie gorzej od prawej.

Powiedział, że pójdzie na zwiady, i ruszył, nie słuchając wątpliwości Chemika. Chodziło nie tylko o zbadanie terenu: potrzebował samotności, żeby przemyśleć sytuację.

Zszedł na dół, pomiędzy porzucone tu samochody i sprzęt. Pod wiatą faktycznie stał transporter gąsienicowy. Obok wojskowa ciężarówka, dwie terenówki. Wszystkie stojące na sflaczałych oponach, w ciężarówce już felgi wychodziły przez sparciałą gumę. Musiały tak stać beczynn timer już od dawna, co najmniej kilka lat.

A transporter? Czy to ten, którym przybył tutaj Wiedźmak?

Kruk już wcześniej przemieszczał się ostrożnie, ale teraz ruszył ukradkiem. Wgramolił się na transporter, rozejrzał – nie, to jednak nie ten, chociaż podobny. Z tyłu nie było sztycy, o której mówił Garsteczka.

Nie znaczyło to, oczywiście, że nie było tu Wiedźmaka. Niewykluczone, że ich transporter stoi gdzie indziej, albo że w ogóle teleportowało ich prosto w jezioro, a oni zdążyli się wydostać... albo i nie. Kto wie, jakie właściwości ma ta czerwona ciecz?

Blżej brzegu stały trzy domy: po lewej podłużny budynek, wyglądający na koszary, po prawej administracja, pomiędzy nimi okrągłe, żelazne coś.

Kruk obejrzał się, wypatrzył na brzegu Chemika. Machnął mu, pokazując, że wszystko w porządku, i poszedł dalej.

Koszary były średnio ciekawe – długie pomieszczenie z łózkami piętrowymi, umywalnia, żelazne szafki z mundurami albo odzieżą wojskową. Żadnych znaków rozpoznawczych, ale to żadnych. Nawet metek od środka, nic. I broni też brak.

Administrację na razie Kruk postanowił odpuścić, zajrzał tylko przez zakurzone okna, popatrzył na otwarte na oścież sejfy i powywracane skrzynki z papierami.

Dalej było molo: ubita ziemia, podest z desek. Ani łódek, ani kutra, nawet głupiej szalupy nie ma. Następnie most pontonowy z trapów na żelaznych beczkach prowadzący prosto do centrum jeziora, tam, gdzie w wody wystawał wierzchołek czarnej piramidy. Z tej odległości ciężko było ocenić rozmiary, ale Kruk założył, że musi mieć jakieś trzy metry wysokości, przy czym sam czubek był jakby ścięty na płask.

Przykucnął, patrząc na wodę. Od razu czuł, że jest ciepła, niemalże gorąca. Pokrywała ją bladioróżowa błona, pomarszczona i popękana; w tych miejscach, gdzie jej nie było, płyn miał kolor nasyconego różu. Wymalowane czarną emalią beczki zdawały się tkwić w niej, niczym w zastygłej farbie olejnej.

Kruk podniósł kamień, rzucił – ten z łatwością przerwał kożuch i poszedł na dno, po powierzchni rozeszły się kręgi. Czyli jednak woda, ale jakby zabarwiona. I co to za paskudztwo na wierzchu? I zapach... Wciągnął powietrze nosem. Chlor, wapno? Coś w ten deseń.

Powoli wyprostował się. Cisza była absolutna, jedyne dźwięki wytwarzał on sam. Słońca nie było widać, nad głową wisiała szarobiała mgiełka. I zero ruchu. Ani odrobiny wiatru, powierzchnia wody jak czerwone zwierciadło. Aż kusi, żeby na nią wejść...

Kruk obejrzał jeszcze pomost i ruszył ku zostawionemu na deser półkolistemu budynkowi, wyglądającemu jak wielkie, wyłupione oko z folii aluminiowej. Tak, musiał to być jakiś rodzaj lekkiego metalu, całość składała się z segmentów, które można było rozmontować.

Wszedł do środka przez uchylone drzwi hermetyczne, minął krótki korytarz i kolejne drzwi.

Przed nim leżała okrągła sala, zastawiona stołami i żelaznymi szafami. Na niektórych blatach stały monitory, na innych znajdowały się przyrządy i narzędzia, wszelkiego rodzaju kolby i retorty. Centrum zajmowała okrągła platforma z filarami, a na niej... nim Kruk zdążył przeanalizować to, co widzi, pistolet sam wskoczył mu do ręki, palec ściągnął spust, a broń bluznęła ogniem.

Istota na platformie szarpnęła się, zakoczyła na dwóch elastycznych rurkach i zamarła.

Kruk ostrożnie, małymi krokami podszedł bliżej, gotów strzelać. Stojące na platformie coś wyglądało jak ogromny insekt, chodzący na dwóch nogach i wysokości dorosłego mężczyzny. Ze sklepienia ponad nim wystawała ażurowa belka z jakimiś mechanizmami, zakończonymi dwiema rurami, na których podwieszono było to coś.

Na platformę prowadziły krótkie schodki, ale Kruk nie skorzystał z nich, woląc najpierw obejść podest dookoła.



Chitynowa, humanoidalna istota z podłużnym pyskiem i ciemnymi oczami nie poruszała się. Było w niej coś owadziego, drapieżnego i nieprzyjemnego. Każda dłoń kończyła się czterema palcami, podobnymi może raczej do macek. Kanciaste łączenia stawów, głowa z czułkami... a może raczej hełm z antenami, albo czujnikami?

Istota – mechanizm przypominała powłokę z szorstkiego, matowego materiału. Od dwóch zgrubień – zaworów na ramionach ciągnęły się ku górze elastyczne rury, niczym pepowiny z silikonu. Na chitynowym pancerzu nie było nie tylko dziury, ale nawet śladu po wystrzale. Stał na palcach: na posadzce platformy leżał spłaszczony grzybek kuli.

Obszedł podwyższenie do połowy, opuścił pistolet. W plecach istoty widać było długą, pionową szczelinę, pomiędzy jej ściankami ciągnęły się białe włókna, jak wyschnięte pozostałości czegoś lepkiego. Środek był pusty.

Pancerz, powłoka, skafander? Biomaszyna, pomyślał Kruk. Jak dotrze tu Chemik, to niech wymyśli lepszą nazwę. Nie pchał się już bliżej ku nieznanemu, ominął podest i znów wyszedł na zewnątrz przez podwójne drzwi.

Stał, zastanawiając się. Stąd nie widział Chemika na skarpie, ale czuł, że powinien wrócić i opowiedzieć, co znalazł, a potem podjąć decyzję, co i jak. Pozostawała jeszcze czarna piramida pośrodku jeziora.

Wiedźmaka nie było widać, śladów też nie. Kruk wręcz czuł, że jest nad jeziorem sam. Czyżby Północnik ich jednak oszukał? Ale po co?

Odwrócił się znów do laboratorium, bo nagle poczuł, że ktoś na niego patrzy. Na wysokości piersi błysnęło, kawałek przestrzeni wygiął się i zapadł w siebie – jak gdyby w dziurę. W jamie pokazał się okrągły pysk, okolony wianuszkami białych kłów.

Uratowała go wyłącznie szybkość reakcji i pistolet w rękę. Z pyska wystrzeliła, niczym pneumatyczna dźwignia, kończyzna o dwóch stawach zwieńczona chitynowym kolcem – pazurem, który dźgnął już skaczącego w tył najemnika prosto w pierś. Kruk poleciał na plecy, dał ognia dwa razy, ładując obie kule prosto w jamę.

Bryznęła białą posoką, stwór rzucił się z powrotem, dziura zaś zwinęła się i zniknęła.

Kruk siadł, szarpnął płaszcz. Mało brakowało, uderzenie było mocne, ale nie przebiło skóry, jednak zostawiło na nim mokry ślad. Toksyna? Nie miał wątpliwości, że gdyby nie odskoczył, to miałby teraz w

mostku dziurę na dwa palce, a w niej... jak u pająka, substancję trawiącą?

Zerwał się i cofnął, gdy kolejna jama otworzyła się w powietrzu. Okrągła paszczęka zaczęła się otwierać, gdy lewa ręka Kruka wystrzeliła naprzód.

Spilowana, niemalże płaska rękojeść noża nie dawała dobrego chwytu, ale najemnik nadrabiał czystą siłą i chirurgiczną precyzją. Zahartowana w „syropie” stal weszła w sam środek dziury, uwięzła w czymś miękkim. Wyszarpnął rękę, nim pełna kłów paszcza zamknęła się spazmatycznie.

Wydało mu się, że słyszał odgłos noża tnącego tkankę i wysoki, na granicy słyszalności wizz.

Jama w przestrzeni zniknęła, ale wokół niej pojawiły się kolejne, jeszcze jedna zaraz przed nim... Poczł na twarzy tchnienie gorącego, zatęchłego powietrza, a potem odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Już na samym dole skarpy Garsteczka, który chwilę wcześniej zdołał wyprzedzić hipera, potknął się i upadł. Cholerne kamienie! Przetoczył się, zerwał na nogi i dokładnie przed sobą zobaczył Kruka, wypadającego zza stojących na skraju bazy maszyn.

Odruchowo wycelowali jeden do drugiego, ale od razu opuścili broń. Hiper dopadł do nich ułamek sekundy później.

Nagle Kruk obrócił się, skulił, znów uniósł broń i rzucił: – Celuj w środek.

– He... w środek czego, brachu? Może lepiej się wycofać?

– Podejście strome, niewygodnie. Czekamy tutaj.

Hiper wsunął się między nich, szykując już rękę z „asurem”, i zapytał: – Kogo się spodziewamy?

– Stwory. Zębate – odpowiedział Kruk lakonicznie.

Czekali. Przed nimi widać było kilka wojskowych wozów i trzy budynki. Za nimi szkarłatne jezioro. Po bokach skarpa, nad głowami mgła.

Pełny bezruch.

– Hm, świat jest pełen zębatach stworów– zauważył Garsteczka. – Kruk, a bardziej precyzyjnie? Przed czym uciekałeś?

Ten wzruszył ramionami, minimalnie opuścił pistolet.

– Te są inne. Przemieszczają się nie powietrzem i nie ziemią, ale... jest takie słowo, zapomniałem. Jak przestrzeń, tylko że...

– Hiperprzestrzeń? Podprzestrzeń? – podpowiedział Chemik.

– Coś takiego, przez nią. Nagle w powietrzu pojawia się jama, albo nora, a w niej ryj.

– »Ryj"? – Garsteczka uniósł brwi.

– Paszcza pełna zębów. Okrągła. I ma taki... nie wiem, wysięgnik. Odnóże. I tym strzela.

– Chelicery, szczękoczułki? – doprecyzował Chemik.

– Niewykluczone. Na końcu ma długi kolec, albo narośl.

– Szczękoczułki są typowe dla wszelkich stawonogów, pajaków i innych kleszczy, ale nie mają na końcu nic takiego. Jeśli mówisz, że tak to wyglądało, to...

– Nieważne – przerwał mu Garsteczka. – Ty lepiej powiedz. Kruk, co było dalej?

– Próbowało mnie tym pazurem dźgnąć. Wydaje mi się, że ma tam kolec jadowy. Mocno walnęło, szybko.

– No, ale żyjesz, nie? Jesteś spoko ziomek przecież, żadnych szczękoczułek się nie boisz, prędzej własnymi zębami odgryziesz.

– Odskokczyłem, strzeliłem. Dostało i się schowało. Miałem jeszcze wrażenie, że słyszę... – Kruk pstryknął palcami lewej ręki, popatrzył na nią, uśmiechnął się kwaśno – jakby odległy krzyk. No i zniknęło, ale zaczęły leżć kolejne. Pobiegłem, one za mną.

– Czekaj, jak to za tobą? – Chemik opuścił rękę. – Czyli wyszły ze swoich nor podprzestrzennych?

– E, słuszne pytanie – przyłączył się Garsteczka.

– Nie, nie. Tylko wysuwały pyski, strzelały za mną tymi odnóżami i się chowały. A potem pojawiały się znowu, dalej, bliżej skarpy.

– Ale w takim razie ty biegłeś, a one nie mogły cię dogonić? – zaciekał się Chemik. – Bardzo ciekawe. To znaczy, że te istoty nie potrafią przemieszczać się w dowolne punkty. Ryją nory, jak krety...

– Kosmiczne krety. – Garsteczka splunął na ziemię.

– ...I periodycznie wyglądają w nasz świat, żeby się zorientować.
– I wciągnąć kogoś za sobą. No co, co się tak gapicie? Widziałem ślady ich ataku w obozie hiperów na bagnach. Nie tylko tam wszystkich pozabijały, ale prawie że na moich oczach ciała zaczęły znikać. Jedno, potem drugie, jakby w powietrzu się rozplynęły. Innej opcji nie ma, drapieżne krety z kosmosu ukradły.
– Nie „krety”, błagam. „Robale”. – Chemik złożył ręce.
– Niech będzie, kwiożercze robale z innego wymiaru.
Wokół panował bezruch i cisza. Żadnych nor w powietrzu, nic. Wszyscy opuścili broń, zaczęli ostrożnie rozglądać się na boki.
– Dlaczego robale?
– Bo tak mówił Wil Kyss, ten człowiek, z którym rozmawialiśmy przez radio. Po angielsku.
– Ano, faktycznie! Jak z nim gadałem, też coś o robalach wspominał! – przytaknął Garsteczka, mimo że słowa „robak”
po angielsku w życiu nie słyszał. – I były jeszcze, no... teribly monsters! I jakieś „pyramid lordz”, to pewnie to coś czarne na jeziorze.
– „Red water” już jest – zgodził się Chemik. – Czyli i sam Wil Kyss musi gdzieś tutaj być.
– Baza jest pusta – powiedział Kruk.
Postał tak jeszcze kilka chwil, wpatrując się w samochody. Potem wzruszył ramionami i poszedł w lewo.
– Nie widać ich. Chodźmy na pomost, stamtąd można przejść do piramidy. Bazę obejdziemy bokiem.
Kiedy sprzęt jeżdżący był po prawej od nich, najemnik pokazał ręką na transporter, mruknął: „Nie ten” i więcej nic nie wyjaśniał. Garsteczka westchnął.
– Wiesz co, Kruk, ciebie to kiedyś zgubi gadulstwo. Doprecyzuję: to nie ten, na którym uciekł z Polesia pan Wielki Czarownik? Skąd wiesz?
– Nie ten. Anteny brak.
Jezioro było coraz bliżej – różowo– szkarłatne lustro, bez najmniejszej nawet zmarszczki. Powietrze zrobiło się cieplejsze, aż nawet Paweł trochę się zgrzał.
– A co w bazie ciekawego? – zapytał Chemik, idący razem z Garsteczką.
– Nic.
– Zupełnie nic? Widziałem z góry, jak chodziłeś tu i tam. Tak nic, nic, pusto i nudno?
– W tym okrągłym domku jest chitynowy pancerz.
– Co, co? – Wymienili się spojrzeniami. Chemik dodał: – Jak to, chitynowy?
Kruk zatrzymał się, machnął pistoletem w kierunku wielościennego budynku.
– Zwyczajnie. Tak mi się przynajmniej wydało. Najpierw patrzę, coś żywego, ale potem: nie, maszyna.
Od tyłca się wsuwasz.
– Zaraz, powoli. O czym mówimy? – Garsteczka pogubił się we własnych myślach.
– Ma rozcięcie na plecach, zamykane na jakieś rzepy czy klej. Wysoki taki, jak pancerz z chityny wygląda. Pusty, od tyłu wchodzisz. Dobra, dość tego gadania.
– Nie, nie, zaraz! – zaprotestował Chemik. – Muszę to zobaczyć. Z twoich słów wynika, że to jakiś skomplikowany przykład obcej technologii. Ja tam idę.
– Może być niebezpiecznie. – Kruk wzruszył ramionami i poszedł dalej ku jezioru. – Ja nie idę.
– Paweł?
– Wiesz co, brachu... nie. Słyszę „pancerz z chityny” i wcale mnie to nie jara.
– Ale to przecież niezmiernie ciekawe!
– No właśnie nieszczerólnie. Znaczą, ciekawe, na pewno. Ale nie bardziej niż cała reszta. A mnie się teraz chce na jezioro popatrzeć.
– No to pójdę sam...
– Ot, głupi. Filmów nie oglądasz? Tam zawsze ktoś tak mówi, a potem ginie. Murzyna nie ma, beze mnie się fabuła sypnie, a kaleka musi przeżyć. Nie ma rady, jesteś pierwszy do odstrzału. Nie idź.
– Słuchaj, jestem przecież hiperem. Szybkim, silnym, zwinnym. Mam „asura”.
– Ja takich jak ty, silnych i zwinnych, cały obóz znalazłem. Też mieli swoje kopie, proce, włócznie, też

byli tacy mądrzy.

I właśnie „byli”.

– Ale tego nie mieli. – Chemik uniósł dłoń w rękawicy, zacisnął pięść. Kamień błysnął. – Czekajcie na brzegu, biegiem polecę i wrócę.

– Jak ci nauka we krwi zabuzuje, to gotów będziesz tam zamieszkać. – Garsteczka pokręcił głową i poszedł za Krukiem.

Najemnik stał przy brzegu, przy wejściu na most pontonowy.

– Pan jajogłowy poszedł twoje chityny oglądać – burknął Garsteczka, mimo że Kruk nawet na niego nie spojrział. – Czekać mamy.

Rzucił na kamienie swój trójząb, przysiadł w kucki, zajął do wody. Dotykać oczywiście nie zamierzał. Pachnie amoniakiem trochę... I czymś jeszcze. Mocny zapach, nie tyle ostry, co gęsty raczej, aż w nosie kręci i kasłać się chce.

A woda zupełnie spokojna jest, jakby zamrożona. Ale ciepła.

Odsunął się kilka kroków, wsparł dłonie na ziemi i zrobił trzydzieści pompek. Znow przysiadł, i wtedy zauważył, że Kruk patrzył na niego, a potem szybko się odwrócił. Błyskawicznie, ale w jego wzroku mignęło coś... no, coś bardzo nieprzyjemnego. Żarłocznego. Co jest, co się z Krukiem dzieje? Dziwnie się zmienia jakoś.

Wstał, popatrzył na wystającą daleko przed nimi z wody piramidę i biegnącą do niej prościutką nitkę pomostu.

Przeciągnął dłonią po czole, starł pot i zapytał: – Słuchaj, jak ty myślisz, co to jest? Masz jakieś teorie?

– Nie wiem.

– Och, nie no, super, z tobą porozmawiać to jak zwykle czysta radość. A przecież wtedy, obok „kieszonki”, żeś przede mną duszę na oścież otworzył. Jak to Titomir twoich chłopaków posiekał, jak ciebie okaleczył, dziewczynę zabił i w ogóle.

Czyli nie jest tak, że nie umiesz. Pewnie się cieszysz, co? Tylko patrzeć i go dorwiesz.

– Nie cieszę się.

– Eee... no coś ty? Odpuściłeś mu? Nie żartuj!

– To już nieistotne.

Stwierdzenie było co najmniej zaskakujące. Garsteczka zajął Krukowi w oczy.

– Hejże, słuchaj, dwa słowa wyjaśnienia, bo coś mi umknęło chyba. Przecież dla tej zemsty to byś niedawno świat podpalił, a teraz co? Znudziło ci się?

Kruk wbił wzrok w okrągły hangar z metalu, potem znow spojrział na piramidę. Westchnął i odezwał się: – Teraz zemsta straciła sens. Kiedy sobie wyobrażam, że on zdycha, a ja patrzę... – Uderzył się ręką w piersi. – Nie ma tego, co było wczoraj. Nie ma ognia w sercu.

– Bo co? Bo major jest w innym ciebie?

– Możliwe. Chemik rozmawiał z nim przy Fabryce, potem mi opowiedział. Zrozumiałem, że Titomir zmieszał się z tym wargiem, to już ktoś inny. Nie człowiek, a inny... inna...

– Inna osobowość, jasne. Możesz zabić, ale to nie będzie to. No dobra, chyba łapię. Niby logiczne... Ale ja bym na twoim miejscu i tak go stuknął. Profilaktycznie.

– Zabiję, jeśli tylko spotkam. Ale ognia nie ma.

Garsteczka podniósł swój trójząb, machnął nim raz i drugi.

– Nie no, rozumiem. Serio. Jak się czymś nie jarasz tak naprawdę, jak nie ma w tym ognia, to się faktycznie nie chce.

Okej, ale to po co tam leżysz? W sensie, jakie masz plany, co chcesz robić?

– Przeżyć. – Kruk zacisnął usta.

– No dobra, ale to środek chyba, nie cel życia?

– Dla mnie tak.

– Hm, hm... No to w takim razie, jakie kroki zamierzasz przedsięwziąć celem osiągnięcia tegoż celu, kolego?

– Zatrzymać Wiedźmaka. On chce zniszczyć świat, tak?

– A cholera go tam wie. Tak niby Chemik twierdzi, a jemu wypada wierzyć. To co, przerzuciłeś się z Titomira na łysego?

Taka zmiana tarczy strzeleckiej?

Kruk odwrócił się do niego, spojrzał prosto w oczy – i znów coś przemknęło po jego twarzy, jakiś głód i nienasycone pragnienie. Garsteczka odruchowo zacisnął dłoń na swojej maczudze. Miał wrażenie, że najemnik zaraz się na niego rzuci.

Należało teraz, już, sieknąć go żelastwem w skroń, obalić i od razu poprawić kulą w łeb... ale Kruk zgarbił się, skulił.

Odsunął o krok, wypuścił z ręki pistolet i zakrył twarz dłońmi.

– Potrzebny sojusznik – wymamrotał, kręcąc głową. – Muszę kogoś mieć. Żeby wiedział, żeby zatrzywał, kiedy...

– Ty się dobrze czujesz?

– Ja... mam... Paweł, spójrz.

Najemnik rzadko kiedy zwracał się do kogokolwiek inaczej jak bezosobowo, a po imieniu to już w ogóle. Garsteczka ze zdziwieniem patrzył, jak konus ściąga płaszcz, następnie znalazł w Cudoparku fufajkę, koszulkę... Tej już nie zdjął, zamiast tego uniósł lewą rękę i założył za kark – bez najmniejszego problemu, w pełni sprawną.

Garsteczka zaklął paskudnie. Nieco pod pachą, na wysokości żeber wisiał przezroczysty glut, w którym pulsowały czerwienią kłębiące się i wijące nici żył.

– Kruk... – szepnął ochryłym głosem – Kruk, Kruczek, przyjacielu... ki diabeł?

– „Krwawokwiat”.

– Aleś nazwę wymyślił... W życiu nie słyszałem. Jak ślimak jakiś, albo pijawka. Ale paskudztwo, brrrr! I co, zerwać ci go, odciąć? Cygarem przypalić?

– Jeśli spróbuję zdjąć, zabije mnie. Od razu. – Kruk zaczął się ubierać, podniósł pistolet. – Cały czas mnie czymś szprycuje, lecz po trochu, ale może i zabić. Rękę wyleczył, widzisz? I nie tylko. Nawet płomieniówki już nie biorę.

– Tyyy, ale to wypas! A nie masz dla mnie drugiego?

– „Krwawokwiat” zmusza do zabijania ludzi.

– Ups. Czyli co, szepcze ci lubieżnie na uszko: „Ziutek, kropnij kogoś... no weź, co się cykasz...”?

– Jeśli ty nie zabijasz, on zabija ciebie. A jeśli zabijesz... dzieje się coś dziwnego. „Krwawokwiat” wyciąga coś z ofiary. Ty wyciągasz, wysysasz. Zabierasz w siebie, wtedy on się uspokaja, a ty rośniesz w siłę.

– O kurde. – Garsteczka stuknęła maczugą o udo. – To wtedy, w Cudoparku... jak na zwiad tak nagle poszedłeś...

– Właśnie dlatego – odparł Kruk. – Nie mogłem już wytrzymać. Dorwałem jednego i wyssałem. Wtedy dużo sił nabrałem, jeszcze wystarcza. Ale nie wiem, na jak długo.

– Ożeż ty... No, powiem ci, że życie cię nie rozpieszca. A to Titomir cię ze swoimi przydupasami w „gnojówkę” ciepnie, to znów jakieś kwiaty na tobie rosną... „Krwawokwiat”, mówisz? Aż ciarki od samej nazwy przechodzą. Farciarz jesteś, normalnie jedno wielkie pasmo szczęścia. Ale szanuję jak porąbany, że wszystko powiedziałeś. Serio.

– Cznięm na twój szacunek. Sojusznik mi potrzebny. Was nie chcę zabijać.

– No, z wzajemnością.

– Ale jeśli mnie „krwawokwiat” zmusi, to zabiję. Kiedy przychodzi prawdziwy głód... Nie, nie chcesz wiedzieć. Ja jeszcze się trzymam, ale gnę strasznie. Więc jeśli mamy podróżować razem, to ja będę od czasu do czasu musiał iść swoją drogą.

Rozumiesz? I ty będziesz wiedział dlaczego. Ale gdyby coś...

– Kruk, nie kracz.

– Daj dokończyć. Gdyby coś, powstrzymaj mnie zawczasu. Ogłusz, zwiąż, zostaw gdzieś daleko, żebym dał radę się w końcu wyzwolić. A jeśli to nie pomoże, to strzel pierwszy. Bez wyrzutów sumienia, pamiętaj. Na moją własną prośbę.

– Kruk...

– Powiedziałem. Ja rozmawiam z tobą teraz. Potem to może być „krwawokwiat”. Zrób, o co proszę.

– Słuchaj, a zwierzęta? Przecież chyba byś mógł, nie? Z drugiej strony, tutaj pusto zupełnie, trzeba by wyjść z tej Ślepej Plamy i czegoś poszukać.

Kruk niepewnie pokiwał głową.

– „Krwawokwiat” to rzadkość, ale się zdarza, każdy przypadek jest głośny. Oddzielna legenda w Sektorze. Z jakiegoś powodu ampiry atakują tylko ludzi. Może zwierzęta im nie pasują, albo mają za mało energii.

– Że kto atakuje? Czekaj, mówimy o stylu w architekturze czy jednostce natężenia prądu?

– Ampiry. Ludzie pod kontrolą symbiontów.

– Aaa, że niby „anomalny wampir”? Ktoś się popisał nazwą. A mutanty? Nie wiem, rozumne, półrozumne? Możesz się nimi nasycić?

– Nie wiem. Wątpię.

– Aha. No i jak się te legendy kończą, te z ampirami? Żyli długo i szczęśliwie?

– Każdego w końcu zabili. Przeważnie w finale była wielka obława, szczucie na cały Sektor. Duże straty, czasami bardzo duże. Ale zawsze zabijali.

– No dobra, rozumiem. Czyli co, będziesz chciał się tego paskudztwa pozbyć?

Kruk pokręcił głową.

– Nikomu się nie udało.

– Tak nikomu, nikomu, w ogóle, nigdy? Nie da się? Na pewno?

– Nie słyszałem, żeby chociaż jeden nosiciel dał radę. Podobno się nie da, ale... – Kruk spojrzał na Garsteczkę niemalże błagalnie. – Jak myślisz? Da się?

– Jasna sprawa, bracie ampirze! Wszystko się da, jak nie, jak tak! Więc wiesz, dziób w górę, dobrze będzie. Skoro nikomu się nigdy jeszcze nie udało, to trzymajmy się tego, że „jeszcze”. Fortuna sprzyja odważnym.

– Odważnym... – powtórzył Kruk. Niczym echo dla jego słów gdzieś w bazie trzasnął i jęknął rozzwierany metal.

Odwrócili się obaj. Okrągły budynek laboratorium osiadł na jeden bok, a przez rozbitą metalową ściankę wytoczył się właśnie hiper, niczym kula armatnia. Poderwał się, rozejrzał i puścił biegiem.

– Wiedziałem! – zawołał Garsteczka, wyszarpując pistolet z kabury. – „Sam pójdę, zaraz wrócę, będzie dobrze!”... I masz babo, zaczyna się rzeź!



Rozdział 12

Wycofujemy się, wycofujemy! – Chemik dobiegł do pomostu, odwrócił się przodem do laboratorium i dalej Wszedł tyłem, spychając towarzyszy.

– Ty, ale dlaczego? Przecież nikogo nie ma. – Garsteczka wyjrzał mu przez ramię.

– Były tam, Paweł. Nie spowalnij, idziemy.

– Słyszałem. Kruk, nie spowalnij, idziemy.

– Przecież idę – warknął Kruk, nawet się nie oglądając. Jako jedyny z trójki szedł normalnie, twarzą ku piramidzie.

– Chemik, co tam się w ogóle stało? Weź powiedz coś, wyjaśnij!

Hiper zrobił jeszcze kilka kroków, potem przystanął i wyciągnął szyję, wpatrując się w bazę.

– Pojawiły się, kiedy byłem obok biopancerza. Te robaki. Od razu trzy, dwa przede mną, jeden z boku. Od razu dwa zaatakowały, więc odskoczyłem, spadłem z platformy. Odruchowo zadziałałem, odpaliłem „asura” i...

– I jak dmuchnąłeś, to zdmuchnąłeś od razu cały domek anomalnej świnki, jasne – stwierdził Garsteczka. – Jak to nazwałeś, mówisz? Biopancerz?

– Nie zdmuchnąłem, tylko naruszyłem konstrukcję. Tak, właśnie tak. Niezmiernie interesująca maszyna, o ile można tak to określić. Nie zdążyłem obejrzeć dokładnie, a szkoda. Chyba nas nie gonią... – Chemik nadal wpatrywał się w brzeg. – Chyba nie. Chociaż kiedy wyskoczyłem na dwór, to jeszcze kilka nor się otworzyło. Jakoś tak beładnie działają.

– Jakbyś widział obóz hiperów, tobyś zmienił zdanie – przypomniał mu Garsteczka. – Tam trupy jedne na drugich leżały.

Jeden przebity na wylot, inny z głową ściętą jak jajko na twardo.

– Chyba że zrobił to ktoś inny.

– Gdzie tam, na pewno te glizdy. Coś mi tam mignęło wtedy, takie białawe, teraz tak myślę, że to ta nora się otwierała.

One są niebezpieczne, to my na razie mamy farta.

– A dlaczego w takim razie nie rozpełzły się po całym Sektorze? – zapytał Kruk.

Chemik z Garsteczką szli za nim, często gęsto oglądając się na brzeg. Centrum jeziora ze sterczącą nęł piramidą było coraz bliżej.

– Myślałem o tym – powiedział Chemik. – Istnieje możliwość, że robaki nie potrafią przebić się poza Ślepą Plamę...

inaczej tego nie widzę.

– Aha, nie mogą. A bagno przy Polesiu? – zaoponował Garsteczka. – Przecież mówię, że twoich ziomków włochatych porznęły, jak kaszanekę. Ich nory widziałem potem, ale już nie atakowały. Może się nażarty, nie wiem.

– Nieduża grupa, mogły wysliznąć się stąd razem z transporterem. Po jego śladzie, rozumiesz? Ale w

rezultacie znów trafiły do klatki, ale tym razem większej, bo we Wstęgę.

– Ano, i tam się kisiły. – Garsteczka kiwnął głową. – Łaziły, nudziły się, powoli wylapywały i żarły hipery. Logiczne. Czyli że ludziom się zwyczajnie poszczęściło. Wyobraź sobie, jakby to paskudztwo się po Sektorze rozpełzło? A potem dalej, poza Kordon. Nawet by go nie zauważyły.

Piramida była coraz bliżej. Czarna, szeroka, o ściętym wierzchołku. Otaczał ją kwadrat pomostu.

– Ten płyn to chyba jakiś silny roztwór zasadowy – powiedział Chemik, zerkając po raz kolejny w dół. W różowawej błonce odbijały się przęsła pontonów i trzy idące po nich odwrócone postacie. – Jest takie jezioro, bodajże w Afryce, jakoś tak się nazywa... Nitrat, Natron? Chyba tak. Tutaj może być podobnie, woda przesycona solami, węglanami sodu.

– Czyli co, zęby wybieli?

– Może nie poparzy jak kwas, ale zdrowa raczej nie będzie. Najpierw rozpuści, a co zostanie, to zmineralizuje.

W miarę jak zbliżali się do centrum, stało się jasne, że jezioro wcale nie jest tak ogromne; jak na dłoni widać było wszystkie jego brzegi, wspinające się w górę stromymi skarpami.

Od zewnętrznej strony kwadratowy pomost ogradała barierka, a po wewnętrznej od pochyłych ścian piramidy dzieliło go może pół metra wody. Materiał był podobny do tego, z którego zrobiono „oko zła” – tak się przynajmniej zdawało Garsteczce.

Pochylił się naprzód, przyłożył dłoń do czarnej powierzchni. Uniósł brwi: ani śliska, ani szorstka. Ba, nawet nie mógł określić, czy była ciepła, czy zimna! Odchylił się w tył, pomachał ręką. Zdrętwiała! Przyłożył drugą – to samo. Jakby dotknięcie piramidy odcinało zupełnie sensorykę.

Kruk poszedł gdzieś za róg. Chemik stał obok, mrużąc oczy i wpatrując się w dół. Jego twarz miała równie cieleco– zachwycony wyraz, jak wtedy na skarpie.

– Co, znów się pod ziemię gapisz? – parsknął Paweł.

– Tak... I ta struktura jest niesamowita! Teraz mam ją jak na dłoni, świeci się cała i ucieka daleko, prawie że niknie z oczu. Jakbyśmy byli trzema mrówkami na szczycie piramidy egipskiej!

– A to przed nami, ten wierzchołek? Jak go widzisz?

– No... jak pochyloną, czarną powierzchnię.

– Och, dziękuję ci. Bardzo pouczające.

– Poczekaj, to nie koniec. Wewnątrz niej płyną plamy światła. Rozlewają się, nikną. I widzę jeszcze równe, świecące linie, część tej... struktury. Na przykład popatrz, opierasz się teraz ręką o sam środek trójkąta. Linie są w środku, jak szczeliny, czy pęknięcia. Nie wiem, jak inaczej to opisać. A w samym środku piramidy jest kanał światła, biegnący od góry aż do dołu. I wrażenie, że... że na samym szczycie czegoś brakuje.

Garsteczka cofnął się o krok, uniósł głowę. Co tam było, na górze? Stąd nie widać, a jakby się wspiąć?

Skrzypienie desek pod nogami Kruka donosiło się z drugiej strony pomostu.

– Słuchaj, chodź ja ciebie podsadzę, ty mnie potem rękę podasz i... – zaczął Paweł, kiedy w powietrzu nagle pojawiła się nora przestrzenna.

Reakcja hipera była błyskawiczna – ruch ręki, buczenie i strzał „asura”. Nora zwężyła się i znikła, ale Chemik wrzasnął: – Złapało mnie, aaa!

– Jak, gdzie?! – Garsteczka chwycił go za ramiona, szarpnął. Zaskrzypiały deski, Kruk spieszył na pomoc. – Ale przecież rękę masz... A, łapie!

Dopiero teraz dostrzegł, że od rękawicy ciągnął się wąski, rozmyty strumyk światła, niknący w ledwo widocznym punkciku światła, pozostałym po niedomkniętej norze. Wlewający się w nią strumień energii pulsował, wzmagał się i opadał. Za każdym razem kamień na „asurze” jarzył się i migotał, a hipera szarpało w kierunku dziury w przestrzeni.

– Co się dzieje? – pojawił się Kruk.

– Chemika wciąga! Złapało za bicz!

Najemnik zahamował, zaczął precysyjnie przyciskać się pomiędzy plecami Garsteczki a barierką. Chemika szarpnęło jeszcze mocniej, niemalże wciągając nadgarstek w dziurę. Hiper zasyczał, rzucił się i wyszczerzył wściekle zęby – a jego „asur”

bluznął światłem.

Strumień energii zgęstniał i chlusnął w norę szerokim strumieniem. Ta zadrżała i błyskawicznie zamknęła się do końca, bicz zgasł, a Chemik poleciał w tył, na Garsteczkę, który przygniół całą swoją masą Kruka do bariery. Jakby wszyscy trzej przeciągali linę, a ta nagle pękła.

– Uwaga! – zachrypiał Chemik, odskakując w panice na bok. – Jakbym... jakbym prąd do mrowiska wpuścił! Zaraz się coś stanie!

– Co, co się stanie? – rozejrzył się Garsteczka.

Chociaż sam nie widział już anomalii, to niemalże poczuł teraz napięcie. Świat jakby wstrzymał oddech... i wtedy nad jeziorem, wysoko i nisko, jak tylko okiem sięgnąć, nagle zalśniła blada pajęczyna przejść. Najwięcej było ich w okolicach laboratorium, relatywnie mało wokół piramidy.

Sieć podprzestrzenna pojawiła się, zapulsowała i od razu znikła. W kilku miejscach nad wodą zaczęły otwierać się jamy, z których wypęły zwijające się, białe, miękkie kształty, niczym wielkie bezokie robale z okrągłymi paszczami.

Ledwo słyszalny, ultradźwiękowy wizg poniósł się ponad okolicą; czerwie wypadały z jam prosto w wodę, przerywały błonę, rzucały się i tonęły w czerwonej głębinie. Co poniektóre zdążyły otwierać pod sobą nowe jamy i nurkować w nie, ale na oczach Garsteczki jeden się zaklinował. Wypadł z pustki na wysokości kilku metrów, nad samą wodą otworzył nowe przejście, ale zawisł w nim, schowany do połowy. Odwłok rzucał się i miotał, zwijał, próbując wepchnąć głębiej, ale bez skutku.

Garsteczka tak się na to zapatrzył, że nie zauważył otwierającej się pod samymi nogami dziury. Uratowało go tylko to, że Chemik popchnął go mocno w plecy, a chitynowy pazur zamiast w jego podbrzusze trafił w łydkę hipera. Paweł odwrócił się, trzasnął z zamachu trójzębem; odnóże chrupnęło i złożyło się w trzecim miejscu zgięcia, szarpnęło w tył, nora zamknęła się. Chemik upadł z krzykiem.

– Pali!

– Truczna przecież! – Garsteczka złapał go, pomógł wstać.

Nie widział Kruka, który znów skoczył za róg piramidy i teraz strzelał w coś z pistoletu. Pod Chemikiem ugięły się nogi, wywrócił oczami i zaczął mięknąć Garsteczce w rękach.

Robale już nie atakowały, ucichły też plusk i mlaskanie; po jeziorze wciąż rozchodziły się fale, widać było powoli tonące w czerwonej głębi blade kształty.

– Chemiś! – Garsteczka potrząsnął przyjacielem. Głowa hipera bujała się bezwładnie z boku na bok. – Kruk, dawaj tutaj!

Dziabnęli włochatego!

– Jestem – rozległo się zza pleców.

Garsteczka obejrzał się, przyciskając do siebie nieprzytomnego Chemika. Najemnik stał przodem do piramidy z dymiącym pistoletem w jednej, a nożem w drugiej ręce, patrząc wnikliwie na niesamowitą budowlę.

– I na co się tak... – zaczął Garsteczka.

Na powierzchni piramidy wyraźnie pokazały się świecące kontury trójkąta. Ze dwa metry wysokości, dolna krawędź na poziomie pomostu... Podmuch wiatru poruszył włosami, a trójkątny segment ściany zjechał w dół, odsłaniając wejście do niedużego pomieszczenia.



W środku stał człowiek. Czarna, kędzierzawa broda, gęste rozkudłane włosy, smągła skóra i młoda twarz. Na policzku spory pieprzyk. Może nie wyglądał aż tak bardzo niepoważnie, jak Tosza – gdziekolwiek tamten był – ale czuło się, że nie jest jakimś mistrzem życia praktycznego. Tak przynajmniej się Garsteczce na pierwszy rzut oka zdało.

– Brader Wil, to ty? – sapnął Paweł.

– *Here, now!*[8] – rzucił krótko tamten. – *While the worms not attacked again!*[9]

– Kruk, za mną! – Garsteczka zarzucił sobie Chemika na ramię, przeskoczył z pomostu do piramidy.

Wil Kyss odsunął się, Kruk skoczył drugi. Wnosząc z rozbłyków światła, nad taflą wody znów pojawiały się kolejne nory.

Zanim Garsteczka zdążył się odwrócić, trójkątna śluza zamknęła się, odcinając ich od świata zewnętrznego.

Wil dotknął ściany dłonią, a podłoga pod nogami uciekła w dół.

Pokój nie mógł być zbyt głęboko we wnętrzu piramidy... chyba. W każdym razie winda nie jechała długo. W pewnej chwili śliznęła się płynnie w bok, wszystkimi bujnęło, a potem stanęła. Nawet nie musieli nigdzie wchodzić– stanęli, ściana się odsunęła, a kabina stała się częścią sporego, trójkątnego pomieszczenia.

– *Put it here.*[10] – Wil Kyss pokazał palcem na łóżko pod ścianą. Zwykle, proste, rozkładane łóżko połowę, a obok najzwyczajniejszy stolik turystyczny i żelazna apteczka.

Garsteczka ułożył rannego hipera, a sam gospodarz podskoczył do niego, złapał za ramiona i omiół od stóp do głów absolutnie radosnym spojrzeniem, nawet poklepał po policzku z wyraźnym rozczuleniem.

– No, no, bez spoufalania się. – Garsteczka delikatnie, ale stanowczo odsunął jego rękę. – Ja wiem, że ty dawno ludzi nie widziałeś... żywych, w sensie. Ale lepiej pomóż naszemu włośchatkowi.

Wil skinął Krukowi, który wzruszył ramionami i odwrócił się. Otworzył apteczkę, wyciągnął z niej fiolkę, popatrzył pod światło. Obejrzał drugą, wyjął strzykawkę i wbił igłę przez gumowe wieczko, naciągnął trochę płynu. Pochylił nad Chemikiem.

– E, e, e! – Garsteczka złapał go za ramię. – Co ty mu wkłuwać będziesz, ha?

– *Is the medicine. Antidote. The venom these worms, deadly. Ifnot in time to enter the antidote*[11]

Aha, że niby lekarstwa jakieś. Paweł popatrzył na Chemika: oczy półotwarte, wywrócone, źrenice uciekły pod powieki.

Lewa noga, w którą trafił pazur, drży. Hiper dyszał szybko i ciężko, jak astmatyk.

– Dobra, dziabaj go. – Machnął ręką.

Kruk stał nieco z boku, rozglądając się. Pomieszczenie było duże, z nachylonymi ścianami; w centrum strop podpierała gruba, czarna kolumna. Czyżby to była ta „oś”, świecący się rdzeń, o którym mówił Chemik?

Garsteczka też zerknął w tamtą stronę, bo aż czuł pulsującą w kolumnie energię. Solidna rzecz, jakby kręgosłup całej tej gigantycznej budowli.

Na ścianach widniały trzy owalne ekrany, przypominające lekko wypukłe pęcherze z przezroczystej żywicy– ani to szkło, ani plastik... Widać było na nich jezioro i okolicę, zupełnie nieruchome, a więc nie do odróżnienia, czy to stopklatka, czy obraz w czasie rzeczywistym. Martwy, zastygły pejzaż.

Na suficie płonęły światłem trzy lampy– krople, zwisające na krótkich przewodach, albo czym tam one były. Garsteczka przyjrzał się najbliższej. Włókno optyczne? Przy czym to świecące zgrubienie było integralną częścią całości, a nie nakładką.

Ekrany, lampy, piramidy... obca technologia, tfu! Niech sobie to naukowcy badają, a on się czym innym zajmie.

Pod drugą ścianką stało jeszcze kilka złożonych łóżek, szafki, parę stołów i krzesła. Jeden kąt odgrodzony białym, plastikowym parawanem. Meble w większości z giętych rurek, lekkie, rozkładane. Czyli co, Wil śpi na tym łóżku, gdzie teraz leży Chemik? Tak sam, tylko jeden w tej piramidzie mieszka?

Potem uwagę Garsteczki przyciągnęła otwarta racja żywnościowa, identyczna z tymi, które znalazł w transporterze.

Likieru co prawda nie było, ale za to ciasto z wiśniami rozpoznał z daleka. Odłożył na stół trójząb, usiadł i po prostu zaczął jeść.

Kruk odezwał się zza kolumny: – Popatrz.

Wstał i podszedł, nie przestając przeżuwać. Za kolumną leżał zwinięty namiot, do połowy sflaczały gumowy ponton i pompka pedałowca... a z samej kolumny wystawał skośny występ, niczym geometryczna narośl, pokryta świecącymi panelami – trójkątnymi, kwadratowymi, najprzeróżniejszymi. Z boku

powierzchnia była pęknięta, jej kawałek, podobny do odłupanej z drzewa kory, leżał na podłodze. Wewnątrz występu było coś porowatego i włóknistego, złożonego z setek malutkich komórek, do czego podłączona była do bólu ziemskimi kablami ewidentnie ziemską aparaturą.

– Jak myślisz, to coś jak rozdzielnia? Albo system sterowania? – zapytał Garsteczka. – Czyli jesteśmy, nie wiem, w...

w czymś ważnym. Lepiej nie dotykać. Tutaj się pewnie kumple Wiła próbowali wpiąć na krótko. Chyba.

– Możliwe. Ale co to za miejsce?

– Pojęcia nie mam. Bradera Williego się spytam, już z Chemikiem kończy. Tak go nazywam, nie? Brader. To ten, co z nim gadaliśmy przez radio. Głos poznałem. On Węgrem jest, wiesz?

– Nie wiem. Nie rozumiem, co mówi.

– Ech ty, włóczęgo nieokrzesany. To przecież angielski, język międzynarodowego kontaktu, biznesu i w ogóle... Ale nie przejmuj się, ja też ni w ząb. Trudno, damy radę.

Wil Kyss rzeczywiście już skończył. Nie tylko zrobił Chemikowi zastrzyk, ale też przemył czymś i opatrzył ranę.

– Nie padł na wznak... żyć będzie? – zapytał Garsteczka.

Kyss spojrział na niego bez zrozumienia. Potem pstryknął palcami, uśmiechnął się. Podszedł do jednego ze stolików, wyciągnął spod niego plecak, z którego z kolei wydobył pudełko, podobne do telefonu komórkowego starej daty. Wsunął sobie go do przedniej kieszeni kurtki, zwisający z niego przewód z końcówką – przysawką przykleił do kości policzkowej, drugi ze słuchawką włożył w ucho.

Wyszeptał parę słów, a pudełko odezwało się czystym, lekko metalicznym, kobiecym głosem: – Przywitania dwojga gości.

Garsteczka aż zakrztusił się ostatnim kawałkiem ciasta.

– E, brachu Willie! – Zamachał rękami. – Weź zmień program, przecież masz babski głos!

Wil Kyss pokręcił gałką, odezwał się – kobiecy głos popłynął modulacją, nabrał basów, wkrótce przypominając oryginalny głos użytkownika.

– Twój przyjaciół włos żyć.

– Czeka... jaki znów włos z rzyci?

Kruk puknął go w ramię, pokazał na leżącego Chemika.

– On o nim. „Włos”, że niby włochaty. Jako imię.

– Aaa, że włochaty przyjaciel, tak? Jasne, straty na tłumaczeniu... Dałeś mu jakieś przeciwciała?

– Przeciwnie ciało – zgodził się Kyss.

– He, czyli wreszcie mnie rozumiesz. I co, on ci jakoś po naszemu gada?

Will posłuchał szeptu automatycznego tłumacza, zmarszczył się: najwyraźniej urządzenie nie radziło sobie ze sformułowaniami Garsteczki. W końcu pokiwał, uśmiechnął się.

– Rozumieć.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał rzeczowo Kruk.

– Piramida.

– Nie, ale serio? Łaa! – nie uwierzył Garsteczka. – Ty, a ja myślałem, że to taki sześcian, tylko że trójkątny, albo kula zaostzona. Ot, żeś wyjaśnił. To powiedz, co to za piramida?

– Arka Świątów.

– Aha. Czyli konkretnie co? – Paweł przysiadł na krzeselku, zaczął odpakowywać keks.

Kruk wyjaśnił: – Arka, taka łódź wielka. Noe podobno taką ratował ludzi i zwierzęta podczas potopu biblijnego.

– E, no dajesz! Odpowiedz jak na egzaminie przed pierwszą komunią. Długo się uczyłeś, konspekty pisałeś pewnie?

Kruk popatrzył na niego ponuro.

– Mówię, jak umiem. Gdyby był tutaj brodacze ze swoim sztucerem, ładniej by to wyłożył.

– A, to bez dwóch zdań. Już tamci dwaj by nam tutaj całe kazanie sieknęli. Ech, ciekawe, gdzie ich też wyrzuciło? No dobra, Arka niech będzie. I co, brachu Willie, od czego się tutaj ratowałeś? I kogo masz do

parki?

Ten znów skupił się na zacinającym się głosie z translatora, w końcu pokręcił głową: nie dotarło.

– Wasze imię? – Głośnik znów zadźwięczał jego słowami. – Twoja nazywać? Jego nazywać? Imię?

– No ja przecież Paweł jestem, chyba mówiłem. Garsteczka, no. Nie pamiętasz? Przez radio.

– Radio? – Wil Kyss znów zmarszczył brwi, dociskając palcem słuchawkę w uchu. W końcu pokiwał, uśmiechnął się i machnął ręką w lewo.

Garsteczka już wcześniej zwrócił uwagę na ten odgradzony zakątek. Co prawda stawał raczej na kącik medyczny, ale teraz Kyss odsunął zasłonkę na bok i okazało się, że stała za nią radiostacja.

– To jest radio. Radio stacjonar. Stacja.

– Nie no, brawo. A jak żeście antenę... a, już widzę, w ścianę wczepiliście. I co, działa? No popatrz... Zgadza się, to jest radiostacja. Najpierw ze mną, a potem z Chemikiem przez nią mówiłeś. No coś ty, nie poznałeś mnie po głosie?

– Poznałeś głosie...? – powtórzył Kyss.

– Wypadałoby, co nie? Przecież raptem wczoraj gadaliśmy.

Brader Willie rozłożył ręce, potrząsnął głową. Nie miał pojęcia o jakimkolwiek rozmawianiu.

– No nie wygłupiaj się przecież! Jesteś Wil Kyss, tak?

– Ja jestem Wil Kyss – potwierdził tamten.

– No normalnie „jam jest car i Bóg”. No to przecież rozmawialiśmy wczoraj!

– Nie rozmawiać. Ja nie być mówić. Próbować radio. Często próbować, dawno. Teraz rzadko. Brak odpowiedź. Dużo latów brak odpowiedź.

– Zaraz, czekaj! – Garsteczka stuknęła pięścią w stolik. – No co ty wygadujesz? Przecież chyba wiem, kogo słyszałem! I ja, i Chemik... Skoro ty jesteś Wil Kyss, to... No jak to, nie rozmawiałeś?!

W tej chwili twarz Kruka wykrzywił grymas, najemnik zachwiał się, zrobił krok w tył. Potem zgarbił się i schował za kolumnę. Wil Kyss popatrzył na niego z niezrozumieniem, Garsteczka zaś powiedział tylko: – Nie zwracaj uwagi. Kolega ma gorszy dzień, ale mu minie.

– Leczyć potrzeba?

– Nie potrzeba. Nie teraz w każdym razie. Ty mi powiedz lepiej, kiedy się Chemik ocknie? Chemik, mówię, ten włochaty, na łóżku co leży. Andrzej ma na imię, żeby ci jeszcze trudniej było wymówić. No więc, kiedy się obudzi?

Kyss posłuchał tłumacza, kiwnął.

– Dziewięćdziesiąt, sto dwadzieścia minut leży. Nie rusza. Potem chodzi, mówi.

– Czyli co, półtorej godziny, dwie? Dobra, poczekamy.

– Jak wy trafić tutaj?

– A tam, przez diabelski młyn. – Garsteczka machnął ręką.

– Jak? – uniósł brwi Kyss.

– Nieważne. W każdym razie przez tego tłumacza twojego i tak nie zrozumiesz. Co na dole jest? – Paweł tupnął nogą o podłogę. – Na dole, mówię, co jest? Pod nami?

– Szara strefa, czarna strefa. Zwierzęcy poziom. Sploty, potwory.

– Jakie strefy, jakie sploty zwierzęce? Wiesz co, powiem ci coś, ale się nie obraż. Nie wiem, kto ci to pudełko zmajstrował, ale w dupę je sobie powinien wsadzić. Potwory... Cholera, gdzie się nie obrócisz, to potwory, już rzygać się chce. Brader Willie, a te glizdy białe do was nie przychodzą? Do piramidy, czy tam do Arki, jak ty mówisz?

– Robactwo, tak! – Wil zareagował żywo. – Na zewnątrz niebezpiecznie! Tutaj nie bywać, prawie nie.

– Prawie, powiadasz. No dobra, brachu, a kto tutaj z tobą być... tfu! To znaczy, jest. Kto jeszcze, poza nami?

Kyss przysiadł na brzegu łóżka, mruknął ponuro: – Nikt nie być. Jeden, sam.

– Zginęli wszyscy? Oho, to smutek. Jak długo tu siedzisz?

– Pięć lata całość. Dwa lata jeden, sam.

– Dwa lata sam tu kiśniesz?! – Garsteczka złapał się za głowę. – Bez wódki, bez baby? Przecież to się pierdolnąć można!

– Siepierdolnąć?
– No, zwariować. Z żalu odpiąć. Dekiel się odkleja. Ty, a twoją ekipę zabiły robale czy te kolejne potwory, co są na dole?
– Człowieka robactwo zabić, część.
– Nie wszystkich, tak? A reszta?
– Reszta zrobić potwór. Człowieka jak potwór, dziki. Mózg przemiana. – Wil pokazał palcem na głowę.
– Wściekły robić, jak małpa. Krew lubić.
– To małpy lubią krew? Coś kręcisz, kolego. Pewnie resztę twoich kumpli przesmażyło i zrobiło z nich przemienionych...

No dobra, wiesz co, posiedź tu chwilę. Posiedź, mówię! Popatrz na Chemika, popilnuj go, a ja zobaczę, co z Krukiem.

Wyjrzał ostrożnie zza kolumny, trzymając rękę na pistolecie. Kruk siedział w kucki pod ścianą, ściskając głowę rękami.

Na chwilę Paweł poczuł, jak zdejmuje go irracjonalny strach. To nie człowiek, a żarłoczna istota, czekająca tylko, żeby rzucić mu się do gardła... Potrząsnął głową: nie, to tylko stary znajomy, konus–najemnik. Do niedawna kaleka, teraz ampir.

– Ej, jak tam?

Kruk podniósł głowę. Twarz miała kolor popiołu, pod oczami rysowały się sine wory. Spojrzenie zimne, niczym lód.

– Co, gniew cię? Niam, niam, papu chcesz?

– Spływaj.

– Na pewno? Bo wiesz, mogę ci teraz dać w łeb i związać. Tak wiesz, profilaktycznie.

– Odejść. Dam radę sam.

– No to dawaj, bo gospodarza jeszcze wystraszysz.

Wrócił do Kyssa, zapytał: – Słuchaj, brader Willie, a ja mam takie ważne pytanie. Niejedno, tak prawdę mówiąc, ale przez twojego nedorobionego tłumacza nie idzie się domówić przecież. Ale spróbuję. Kto tę Arkę zmaistrował?

Wil Kyss popatrzył na niego pytająco.

– Co, nie dało rady? Ech. No prościej się nie da przecież. Dobra, to po chłopsku. Kto–zrobił– Arkę?

– Inni. Obcy.

– E, brachu, ja też te filmy oglądałem, nie ma się co chwalić. A tak konkretnie?

– Alfarzy. Poprzedni. Starzy. Dawny lud.

– Dawny lud, jasne. Wujek Noe i synkowie, tak? Czy w ogóle nasi przodkowie prehistoryczni? Daj spokój, tamte małpy z zaostrozonymi kijkami by nawet dołka równego nie umiały wykopać. Alfarzy... jacy alfarzy znów?

Kyss rozłożył ręce.

– Aha, nie wiesz. Siedzisz dwa lata sam, to mogłeś chociaż sprawdzić, zbadać wszystko. Zresztą tak patrzę, masz wzrok lekko ociupiały, to z tej samotności. I co, siedzisz tak tyle czasu i nie możesz wyjść? W sensie, z tej Ślepej Plamy?

Will wysłuchał tłumaczenia. Chwilę pomilczał, odpowiedział pytaniem: – Chcę wiedzieć. Jak ty przychodzić tu? Wy trzy, jak goście przyszedł do Arka?

– Że niby jak trafiliśmy do Ślepej Plamy? Przez fałdę czasoprzestrzenną, a jak niby. Kurde no! Jak ci zacznę tłumaczyć o diabelskim młynie, to się w ogóle pogubisz, mówiłem przecież!

Kyss zamyślił się, słuchając. W końcu kiwnął, prawie że uśmiechnął – ale w końcu potrząsnął głową: nic z tego. Zanim zdążył znów o coś zapytać, Garsteczka uprzedził go: – Ty, a kto bazę na brzegu postawił? Twój w ogóle skąd byli?

Chemik poruszył się na łóżku, więc popatrzyli na niego obaj.

– Chyba powoli się budzi – zauważył Paweł. – Powtarzam pytanie: skąd przyjechaliście z tą ekspedycją? Skąd? Jaki kraj?

Organizacja która? No przecież nie ONZ...

– Junajted nejszyn, nie.

– No to kto?

– Nie móc powiedzieć. Tajemniczość.

– Jaka jeszcze, kurwa, tajemniczość?! – Garsteczka wyjął pistolet, pomachał gospodarzowi przed twarzą.

Wil Kyss drgnął, zerknął w bok, gdzie pod ścianą stał karabinek. Garsteczka widział go już wcześniej, ale nie uznał za istotny – z tym chudzielcem, typem inteligencika, poradziłyby sobie jednym palcem, broń nic nie zmieniała.

– Słuchaj, brader Willie – Paweł westchnął, schował pistolet – ja tu nie chcę z tobą na udry iść. Mamy ten sam problem, więc lepiej go ogarnąć wspólnie. Stoimy, rozumiesz, w jakiejś sajens fikszyn spierdolinie, wokół nas czerwona woda z kwasem czy inną zasadą, w powietrzu glizdy. Ty tu siedzisz jak Robinson Crusoe drugi rok sam... i co, nadal tajemnicą wojskową się zasłaniasz? Człowieku, to głupota przecież. Ja z Kordonu jestem na przykład, z Kompleksu. Żołnierzem jestem, albo raczej byłem. A ty?

Kiedy on już umilkł, autotłumacz jeszcze dłuższą chwilę szeptał coś Kyssowi na ucho. Ten zastygł bez ruchu, słuchając z coraz bardziej zdumioną miną.

– Udry... spierdolinie? Dlaczego glizdy...? Okej, my przyszedli z dino– korpus.

– Co?! Jaka znów armia dinozaurów, no ja nie mogę... Aaa, czekaj! – Garsteczka plasnął się w czoło, popatrzył na radiostację, na karabinek. – DynCorp! Jasne, spoko... Ale czekaj, czekaj. Z ciebie to żaden najemnik, ty jajogłowy jesteś.

– ...?

– No, uczony. Reprezentant szerokiego, kolba twoja mać, środowiska naukowego.

Kyss uśmiechnął się, poklepał po zapadniętym obojczyku.

– Tak, naukowiec być. Młodszy. Biopharm korporacja.

– Oho, ziomuś, to ty jesteś korporacyjny kozak. I rozumiem, że DynCorp wynajęliście, żeby was osłaniali tutaj, w Sektorze? Przerzucili was, bazę ogarnęli... A potem co, żarło, żarło i zdechło? Na zewnątrz już nie wychodziliście, pewnie tylko transporter pojechał i przepadł. Zgadza się? No, tak czułem, że tak było. Słuchaj, Willie, ja tak patrzę, że Chemik się budzi, więc jednak go nie zabiłeś swoją strzykawką. Ale zanim on odzyska sprawność bojową, to my musimy zrobić zwiad. Dyslokację zobaczyć, kierunki natarcia i odejścia wytyczyć.

– Co mówić?...

– Ech, cywile. Ja żołnierz jestem. Żołnierz! – Pasza klepnął się ręką w klatę. – Muszę wiedzieć, czego się spodziewać na nieznanym terytorium. Masz broń, amunicję? Kopsnij coś poważniejszego niż klamka, chcę się przejść po okolicy.

– Broń, broń nie ma. Broń do baza, brzeg. Tam wszystko, tutaj mało. Ja broń nie, pacyfista. Rozum głównie, siła nie.

Karabin leży stół, jeden kaseta nabój. Paweł Garsteczken chce dół? – Kyss zastanowił się. – Dół można chodzić. Niedużo.

Głęboko nie, groźny. Szara strefa patrzeć, poziom odzwierzęcość.

Zaprowadził Garsteczkę w róg pomieszczenia, będący zarazem windą, pokazał na ścianę. Tam migotało kilka figur geometrycznych, podobnych do paneli sensorycznych na konsoli przy filarze, tylko że nieco mniejszych i jakoś bardziej uporządkowanych.

Wil Kyss puknął w jeden z nich, a Garsteczka aż odskoczył, kiedy część podłogi odjechała w bok, odsłaniając zejście w dół. Potem przykucnął, patrząc na schody. Znów ten czarny materiał, nie wiadomo, kamień czy plastik. Chyba cała piramida była z tego zbudowana.

– Ty, a jak wrócić dam radę? Nie zamykaj.

– Na górę dać radę. Zejść poziom jeden, zwierzęta poziom. Dalej nie.

– Jasne, jeden poziom. Ja tam nigdzie głęboko nie będę się pchać, jeszcze mnie nie porąbało do końca, żeby bez miotacza płomieni się pchać w jakieś piramidy obcych.

– Garsteczka! – rozległo się zza kolumny.

Kruk zgarbił się, założył ręce za plecami i spacerował w tę i we w tę: trzy kroki, zwrot na pięcie, trzy

kroki z powrotem, znów zwrot. Jak zwierzę w klatce. Spojrzenie utkwione gdzieś w przestrzeń, twarz zupełnie bez wyrazu.

– Gnie cię, kolego? – zapytał Paweł współczująco.

– Pójdę z tobą. – Najemnik stanął do niego bokiem, wbił wzrok w ścianę.

– Ja na dół idę, ale niedaleko i nie na długo. Tam ma być jakiś zwierzęcy poziom, jeśli dobrze rozumiem. A ty po co?

– Słyszałem waszą rozmowę. Tam ktoś jest, albo coś?

Garsteczka nachylił się konfidencjonalnie: – A co, chcesz kogoś na szybko ten teges?

– Muszę. Nawet nie ja, ale symbiont.

– Podobno są tam przemienieni. Część ludków z ekspedycji, z którą tu przyszedł nasz madziarski kolega, się przemieniła.

Nie wiem, Fala ich tu nakryła czy coś. I jakieś podobno potwory jeszcze. Ja rozumiem, że one tobie po nic, ale tamci to prawie jak ludzie, nie...?

– Idziemy razem – powtórzył Kruk, wymijając kolumnę. Starannie przy tym nie patrzył na Garsteczkę, zapewne nie chcąc prowokować sam siebie.

Paweł po prostu poszedł za nim, już schodząc po schodach, odezwał się:

– No więc, brachu Willie, nie zamykaj piwnicy, bo zaraz wrócimy. A ty pilnuj tymczasem Andrzeja Włochatkowicza Chemika. Jak się obudzi, powiedz mu, co i jak. On angielski zna, dogadacie się jak nic. Zresztą wiesz... chociaż czekaj, dopiero co mówiłeś, że nie wiesz, bo to nie ty z nami rozmawiałeś. Nieważne. Jak wrócimy, znajdziemy flaszkę i spróbujemy sobie przypomnieć.

Kruk zszedł z ostatniego stopnia, rozejrzał się.

Stali w niedużym pomieszczeniu, pełnym grubych, czarnych kolumn. Przyłożył do najbliższej rękę, wsłuchał się. Słyszać było tylko cichutkie buczenie. Przy samym szczycie, zaraz pod sufitem, filar okalał pierścień światła.

– Patrz, baterijki. – Garsteczka puknął w kolumnę czubkiem buta. – Duracell normalnie. Albo tam akumulatory siedzą, albo rdzenie, jak w reaktorze. Pomyśl sam, ile trzeba energii, żeby takie wielkie coś działało!

Kruk nie odezwał się. Starał się nie patrzeć na towarzysza, w ogóle nie zauważać, że tamten istnieje. Odsunął się kilka kroków, obrócił wokół własnej osi. Pomieszczenie musiało być duże, chociaż jego skrajne ściany ginęły gdzieś, niewidoczne. Do czarnego sufitu brakowało jakieś trzy metry, podłoga zaś była perforowana. Garsteczka przykucnął, popatrzył w dół, przez jeden z idealnie symetrycznych, kwadratowych otworów. Kruk też przykucnął.

– Te, najmus... Widzisz to? Tam rośliny jakieś są.

– Jakby powój – zgodził się Kruk. – Albo liany.

– Czekaj, coś o tym Willie mówił, o jakichś splotach. Czyli to będzie pewnie poziom na całą szerokość piramidy, na górze sterówka, tutaj nie wiem, przejście techniczne, niżej ogródek, a potem ta szara strefa i zwierzaki w dżungli poniżej. A to co jest, tam po lewej?

Kruk jako pierwszy podszedł do otwartego wjazdu z urwaną pokrywą. Popatrzył dziwnie na zbliżającego się Garsteczkę, uniósł rękę.

– Nie podchodź.

– A co, widzisz coś?

– Po prostu nie podchodź. Nie teraz.

– A, ty w sensie, że tak powiem, kulinarnym. No dobra, nie to nie. I co tam widzisz?

– Drabinka żelazna, ułamana. Brakuje do podłogi kilka metrów, z dołu nie doskoczysz.

Położył się na brzuchu, zwiesił głowę i zmrużył oczy. Świat w dole był przyćmiony, rozmyty, pełen cieni i ruchu, szmerów i szelestów. Do posadzki było co najmniej pięć–siedem metrów.

– No? – huknął Garsteczka. – Co tam widzisz? Kurde, mów, bo ty już wiesz, a ja się niecierpliwię!

– Las – powiedział Kruk.

– Ha! Wiedziałem, dzięki dżungle Wietnamu. Drabinka uwalona, powiadasz? Pewnie ją chłopcy z

Biopharmu udziabali, żeby nic im z dołu nie przyłazło...

Zaszeleściły i zatrzeszczały gałęzie, rozległo się dalekie, stłumione wycie. Nie wilcze, ale jakiegoś nieznanego zwierza.

Coś przemknęło pomiędzy drzewami.

Kruk wciągnął powietrze nosem. Gdy nachodził na niego głód, zupełnie zmieniał się odbiór otaczającej rzeczywistości, wszystkie zmysły wyostrzały się. Czuł zapach wilgotnej ziemi, sączącej się przez korę żywicy, gnijących liści, mokrej sierści... i nie tylko. Ludzkiej skóry też. Nie takiej, jak u Garsteczki i młodego zagubionego technika, Wiła Kyssa. Bardziej kwaśny, z domieszką słodkiego aromatu rozkładu. Jak u przemienionych.

Podniósł się, zrzucił płaszcz. Stojąc po przeciwległej stronie otwartego wjazdu, w końcu odważył się spojrzeć Garsteczce w oczy.

– Idę na dół.

– Zabijesz sobie kogoś?

– Na dole są przemienieni, czuję ich. Zabiję, potem wyszę. Wrócę niedługo, poczekasz?

Garsteczka chciał odpowiedzieć, ale najpierw ziewnął.

– Kimnę się z pół godzinki, bo mi się oczka kleją. Ty, a jak potem wrócisz?

– Płaszcz do drabinki dowiążę, żeby zwisał.

– Aha, a zanim ty wrócisz, to przemienieni tu wyleżą. Za głupi są, żeby sobie coś podstawić i skoczyć, ale z gotowego chętnie skorzystają.

– Dlatego lepiej tutaj czuwać, zamiast spać.

– Ech... No dobra, tutaj się położę, z głową przy dziurze. Nawet jak mi się oko zamknie, to i tak usłyszę, że coś lezie. Jak ty, wpuszczę. Jak nie, kula w łeb albo... – Pomachał wymownie trójzębem.

– Tylko nie spadnij przez sen – mruknął Kruk, schodząc.

Drabinka od dołu była stopiona. Najemnik przywiązał rękaw płaszcza do pokrzywionego, skręconego szczebla, zwiesił się na rękach i złapał go nogami. Zsunął się, w końcu zeskoczył na porośniętą trawą ziemię.

Otrzeptał ręce, rozejrzał się. Po raz kolejny wciągnął haust powietrza.

Jego mózg aż kipiał od otaczających go obcych zapachów. Drzewa były dziwne, przynajmniej on nigdy takich nie widział.

Grube pnie gięły się i falowały, miękką, zieloną korę pokrywały narośle i guzy. Uście były duże i mięsiste, najwyższe gałęzie sięgały aż do perforowanego sklepienia, pod którym podwieszona była kratownica.

Hm, czyli w zasadzie można było wejść na górę po drzewie, złapać się kraty i po niej dotrzeć do drabiny, a nawet samego wjazdu. Więc przemienieni byli naprawdę głupi, skoro na to nie wpadli – albo nawet nie myśleli o dostaniu się na wyższy poziom.

Trawa też była nietypowa, żdźbła szerokie i twarde, niczym wystające z ziemi pręty. Kruk cofnął się, czując, jak łodygi drapią i kłują go przez spodnie. Zadarł głowę, popatrzył na zagląającego we wjazd Garsteczkę.

– Ty, a co to tam świeci? – zapytał Paweł. – Ja stąd widzę jakieś takie, nie wiem, kolumny światła za drzewami. O, o tam! Pochylone takie.

Kruk odszedł kawałek, wrócił i zawołał: – Lampy na suficie, podobne jak w sterówce, ale płaskie. Błękitnawe światło dają, ciepłe.

– Ultrafiolet jakiś pewnie. Dziwne te rośliny, tak patrzę, więc i światła pewnie potrzebują innego.

– Tam dalej jest woda. Najpierw wilgotna ziemia, potem jakby staw, a z niego kawałek rury wystaje. Woda z niej ciurka.

– Ano, widzę chyba stąd. Czyli co, system nawadniający?

– Pewnie tak. Nie wiem. – Kruk ledwie już się trzymał, zapach zdobyczy wiercił w nozdrzach. – Idę. Ty pilnuj.

– Eeej, ty tam na siebie uważaj, wampirku! – krzyknął za nim Garsteczka.

Kruk nawet już go nie słuchał. Schylił się, skulił i pobiegł pomiędzy drzewami, dysząc ciężko. Głód

pałi i gnał go naprzód.



8 Tutaj, teraz! (ang.)

9 Dopóki robaki nie atakował znów! (ang.)

10 Połóż tu. (ang.)

11 To lekarstwo. Antidotum. Jad tych robaków, zabójczy. Jeśli nie na czas wejść antidotum, (ang.)



Rozdział 13

Paweł wiedział, że zaśnie w okamgnieniu – ostatni dzień był zbyt męczący, mózg potrzebował zresetowania. Ale Pczuł też, że obudzi się, jak tylko z dołu rozlegnie się jakikolwiek podejrzany dźwięk.

Zbudziło go jednak coś innego. Leżał akurat na boku, podłożywszy rękę pod głowę, kiedy w uchu rozległ się głos Chemika: „Paweł, gdzie jesteś? Tutaj!”. We śnie wydało mu się, że znów są połączeni „partnerami”, już chciał coś powiedzieć – i wtedy się obudził. Zamrugał, podniósł się na łokciu. I usłyszał: – No gdzie wy jesteście?!

Głos donosił się z tyłu, zza kolumn, od strony schodów. Paweł obrócił się i rzucił przez ramię: – Tu jestem! Co się stało?

– Tutaj, szybko!

– To ty, Chemik? Wstałeś?

– Tak, tak! Mówię, tutaj dawaj!

– Nie mogę! Kruk na dole jest, na tym... zwierzęcym poziomie, a ja tu na warcie stoję... no, powiedzmy, że stoję.

– Paweł, dawaj tutaj, ale już! To ważne!

– Już, już, zaraz...

Dało się słyszeć kroki. Chemik musiał stać już na jednym z dolnych stopni, a teraz zaczął wracać na górę. Paweł przekręcił się na brzuch, złapał ręką za dolną krawędź otworu, wyciągnął się, chciał zawołać... I skoczył w górę, jak korek od szampana. Poraziło go prądem!

– Twoja mać! – wrzasnął, trzęsąc rękoma. – Ale jak, co?! Przecież ten dopiero co... czort!

Uspokoił się, znów zwiesił w otwór nogi, puknął drabinkę: nic, spokój, podeszwy gumowe. Delikatnie trącił jeden szczebel – też nic. Przyjrzał się, zauważył, że metal sklepienia i drabinka są innego odcienia, jakby z różnych stopów. Ha, takie buty – więc sufit pod napięciem tu mają.

Zgiął się wpół, żeby złapać od razu za niższe szczebelki. Dotknął wierzchem dłoni – nic, nie razi. Zszedł kawałek niżej, niemalże do wysokości przywiązanego płaszczka. Rozejrzał się po dolnym poziomie: las jak się patrzy!

Albo raczej džungla, jak z filmu o niebieskich kosmitach. Krzywe pnie, dziwaczne narośla, szara trawa. Niektóre drzewa podobne do różowawego bambusa, są i włochate liany, obsypane drobnymi kwiatami, niczym kroplami krwi. Słychać szum wody, w nosie wierci cierpki zapach, niesiony z boku przez strumień ciepłego powietrza. Wentylatory muszą jakieś chodzić pewnie, nawet słychać charakterystyczny szum. Mechanika, elektronika, flora i fauna.

No i te słupy światła za drzewami, które pokazał Krukowi. A gdzie sam najemnik?

– Kruk, hej! – zawołał Paweł. – Kici, kici, ampirku! Taś, taś...!

Cisza. Tylko płaszcz poskrzypywał, bujając się w podmuchach powietrza.

– Kruk, cho no tu!

Spomiędzy drzew doniósł się szelest i trzask gałęzi, coraz wyraźniejszy i głośniejszy, jakby ktoś biegł w tę stronę.

Odgłosy przybliżały się, ale potem nagle skrzyły w bok. Z daleka rozległ się krzyk. Człowiek? Zwierzę? Coś smyrnęło poprzez trawę w kierunku stawku, błyszczącego pomiędzy drzewami.

Garsteczka zszedł jeszcze niżej, wyciągnął szyję. Z trawy wyjrzała istota, podobna do dużego jaszczura, albo węża z nóżkami. Płaski łeb powoli obrócił się, lustrując okolicę, a potem stwór pochylił się nad wodą i zaczął pić. Paskudne toto, taki boa–stonoga.

– Kruk! Kruk, siedź tam na dole i czekaj, ja wrócę! – krzyknął Garsteczka. Odwiązał jedną ręką płaszcz, żeby mimo wszystko nic się po nim nie wspięło, zarzucił sobie na ramię i zaczął wspinać się na górę. – Sam sobie jesteś winien, pajacu, że nie odpowiadasz. A ja tam muszę, do Chemika... Siedź tam, Kruk, ja wrócę!

Wygramolił się, ruszył truchtem do schodów. Kiedy wybiegł na górę, zaszumiało – to podłoga zasunęła się z powrotem.

A jak Kruk wyjdzie, da radę otworzyć? Trzeba braderowi Wilowi powiedzieć, żeby otworzył.

Ale tutaj usłyszał przytłumiony głos Chemika, niosący się przez szумы i trzaski zakłóceń: *Where are you, mister Veel?*

Speak louder, I carit hear almost anything![12] Wskoczył do sterówki, wyjrzał zza kolumny i zobaczył, że Wil siedzi przy radiostacji i bełkocze coś po angielsku, a za jego plecami zamarł w bezruchu Chemik.

– Chłopaki, co jest grane? – zapytał Paweł. – Chemik, co się stało, że mnie wołasz?

Chemik aż podskoczył z zaskoczenia. Zachwiał się, ciężko usiadł na krzeselku, żeby nie upaść.

– Jeszcze w głowie mi się kręci – poskarżył się. – I boli, jak jest za głośno. Nie krzycz.

Kyss chyba wyłączył swojego autotłumacza, bo popatrzył na Garsteczkę i zabelkotał coś po swojemu. Potem odwrócił się do radiostacji, zaczął kręcić gałkami i pstrykać przełącznikami.

– Czekaj, zaraz. – Garsteczka zmarszczył brwi, czując, że coś jest nie tak. – Dopiero co słyszałem, jak z nim po angielsku mówiłeś.

– Tak, rozmawialiśmy.

– Ale przecież... przecież przed chwilą słyszałem cię z radia! To znaczy, eee... rozumiesz, prawda?

– Tak. To znaczy, nie. – Nawet przez filtr ograniczonej mimiki hipera było widać, że Chemik nie ma pojęcia, co się dzieje.

– Patrz, jak się Wil zaciekawił. Mówi, że po raz pierwszy od lat usłyszał głos w eterze.

– No nie, nie. My z nim rozmawialiśmy.

– Właśnie nie.

– Hejże, bratku, ty naprawdę w słabej formie jesteś. Musiała cię ta toksyna nieźle w łeb trzepnąć. Chodź, ja ci się pomogę położyć...

– Paweł, nie pieprz głupot!

– Hola, hola! Kto tu pieprzy od rzeczy?! – zaperzył się Garsteczka.

– Wyłącznie ty. A z Wil'em przez radio rozmawiamy dopiero teraz. Rozumiesz? To znaczy, rozmawialiśmy, bo teraz się urwało. Sam słyszałem swój głos! Leżałem jeszcze na łóżku, patrzę, on siedzi przy radiostacji. Tak jak mówił sam, z nudów czasami ją włącza. I tu nagle słyhać: „Halo, jest tam kto? Garsteczka tutaj!” i potem jeszcze, że szeregowy Paweł Nowickij i czy ktoś słyszy. Kyss prawie ze stołka spadł, złapał za nadajnik, zaczął regulować i... i rozmawiał... z tobą. „Tu szeregowy Paweł Nowickij, odbiór! Czy ktoś mnie słyszy? Halo, odbiór!”

– Zaraz, zaraz, kurna mać! Przecież ty nie wiesz, co ja mu wtedy powiedziałem, jeszcze w transporterze! Nie mówiłem ci słowo w słowo!

– Paweł. Błagam cię. To nie było „wtedy”, tylko „teraz”. Potem ja się odezwałem, rozumiesz? Ja! Słyszałem sam, jak Wil Kyss rozmawia ze mną! Pobiegłem na dół, żeby cię zawołać, zdążyłeś na samą końcówkę rozmowy. Łapiesz?

– Nie – przyznał się Garsteczka.

– Czas i przestrzeń, Paweł. Mówiłem ci o tym już, próbowałem w każdym razie.

– Pierdzielone mobiusy i inne dziady! – Garsteczka plasnęła dłonią o udo. – Zaburzenia nie tylko

przestrzeni, ale czasu, tak?! Więc w takim razie... W takim razie jesteśmy w przeszłości?

Wil Kyss odwrócił się od radiostacji i włączył tłumacza, pewnie chcąc zrozumieć, o czym rozmawiają dwaj przyjaciele.

– Paweł, myślę, że każde takie przesunięcie przez anomalię jest przesunięciem i w przestrzeni, i w czasie. Kilka sekund, może minuta– dwie, parę minut... Nie zauważamy, ale nawet „port” przesuwa cię też w czasie...

– ...Czyli mogę spotkać samego siebie?!

– Błagam cię, nie przerywaj. Ja tu próbuję myśleć.

– ...Dać samemu sobie w ryj?! Napić się ze sobą wódki?

– Paweł! Jesteśmy w Ślepej Plamie, która jest anomalią sferyczną, albo przynajmniej okrężną. Podobnie jak diabelski młyn w Polesiu, w pewnym sensie. Te dwie są ze sobą powiązane, stąd ten nieszczęśnik w gondoli...

Wil Kyss pokiwał entuzjastycznie, zaszwargotał po swojemu, a tłumacz usłużnie przełożył to na język Puszkina głosem młodej damy. Technik zaczął regulować maszynkę, Chemik odpowiedział mu łamaną angielszczyzną, pomagając sobie rękoma. Garsteczka rozumiał co piąte słowo, ale potem pojawiły się najróżniejsze „tempy”, „kronosy”, „tajmlajny”

i „plejny”. Dotrwał bohatersko do „kurwatur”, po czym dał sobie spokój i machnął ręką.

– *But what about the cosmic arrow of time?!* [13] – zapytał Kyss podniośle, replikując tak na tyradę Chemika. Obydwaj pokiwali poważnie głowami. Kyss podrapał się w zadumie po pieprzyku. Chemik zaczął zębami iskać futro na przedramieniu.

Garsteczka patrzył na nich obu, próbując zrozumieć, na jaki to problem się nagle natknęli. Pewnie na jakiś ważny. Może wyjaśnili, gdzie się podział jego transporter. W końcu dał radę nadać swojej niezgrabnej myśli kształt, klepnął obydwu mądrali po ramionach.

– E, panowie, słuchajta! Chemik, te twoje przesunięcia, jak się wchodzi w Ślepej Plamę... Jak myślisz, każde będzie takie samo, czy każde inne?

– Zbyt wiele zmiennych, za dużo niewiadomych. – Naukowiec rozłożył ręce. – Ale statystycznie jest większe prawdopodobieństwo, że będą różne. Zarówno w przesunięciu czasowym, jak i w wektorze ruchu.

– No, o tym mówię. Różnej długości, tak? To już wiemy, gdzie jest transporter. Albo gdzie go nie ma, bo jego JESZCZE nie ma!

Popatrzyli na niego obydwaj, zaskoczeni.

– No już wam mówię... – Paweł oblizał usta. – Różna długość, tak? Czyli my wchodzimy, hyc, i wychodzimy, pach. Takiej, powiedzmy, długości czas. A oni wchodzi wcześniej i co? I nic! Mogą trafić tutaj grubo po nas, choćby i tydzień wcześniej wjechali w swój przenośny teleport! Czaisz bazę, włochatku?

Chemik zmarszczył czoło tak, że krzaczaste brwi niemalże zakryły mu oczy. Odezwał się do Kyssa, zapewne tłumacząc na angielski i w nieco bardziej cywilizowanych słowach to, co powiedział Paweł. Z początku niepewnie, ale potem sam jakby przekonując się do myśli... Tak, to mogło być to!

Garsteczka jednak nie cieszył się długo swym tryumfem, bo ponad głowami dwóch mądrali patrzył w jeden z ekranów.

Na powierzchni owalu widać było obraz brzegu i bazy, oraz czegoś jeszcze. Coś się tam działo. Powoli rozjarzała się i gasła plama bladego światła, a za każdym razem w jego epicentrum coraz wyraźniej pojawiał się masywny kształt...

– Ejże, panowie! – Paweł przerwał uczoną dyskusję, bo Kyss i Chemik już nawet nie rozmawiali, a przerculali się krótkimi replikami, jak serie z karabinów. – Hola! Dosyć waszych kronosów i kurwatur, tam się popatrzcie!

Na ekranie światło zamigotało po raz ostatni, a potem na placu pomiędzy koszarami a laboratorium pojawił się znajomy już transporter.

– *What... What is this?* [14] – zdziwił się Kyss.

– *All-terrain vehicle* [15] – wyjaśnił Chemik. – *Our. It arrived here Witch– man and his party.* [16]

Kyss chciał jeszcze o coś zapytać, ale nie zdążył. Chemik zerwał się ze stołeczka, padł na czworaka i

wrzasnął: – Padnij!

Ekran monitora zafalował i pokrył się kaszką zakłóceń, a cała Arka drgnęła. Will krzyknął i rzucił się na podłogę, pod nimi zadudniło głucho, jakby coś wielkiego urwało się i upadło na żelazną podłogę. Garsteczka tylko złapał się krzesła i rozstawił szeroko nogi, próbując nie spaść.

Po jeziorze wokół piramidy przebiegły fale, otulająca wyrobisko mgła drgnęła. Podłoga przechyliła się, a Paweł poleciał na bok razem z krzesłem, trzasnął bokiem o posadzkę, zaklął, poderwał na kolana. Podłoże częściowo wróciło do poziomu, ale i tak była lekko przechylona.

Wszystko zamarło, huk przebrzmiał i ścichł.

– Co to, cholera, było?! – zachrypiął Garsteczka, wstając. – Jak trzasnęło, to myślałem, że mi zwieracz puści! Chemik, ty coś widziałeś wcześniej?

– Błyskawicę – sapnął hiper.

Garsteczka podszedł do spanikowanego, bełkocącego coś Kyssa, złapał za kołnierz, podniósł i posadził na krześle przy radiostacji. Ręce technika trzęsły się, jak w febrze, w oczach miał czyste przerażenie.

– Jaką błyskawicę?

– Przeskoczyła pomiędzy transporterem a szczytem piramidy. Jakby wyładowanie energetyczne. A to co znowu?

Pisk usłyszeli wszyscy – wysoki, modulowany. Kyss jęknął, sapnął i rzucił się ku kolumnie.

– Słuchaj, ja tak myślę, że on to taki uczony jest jak i ja – skonstatował Paweł, idąc z Chemikiem śladem Węgra. – Laborant zwykły, ot kto. Jedyny, który przeżył, i zwykły laborancina!

Kyss stał przy aparaturze, podpiętej do kolumny. Jedną ręką kręcił gałką potencjometru, palce drugiej tańczyły po przyciskach. Na malusieńkim, zielonym monitoru zygzakował biały punkcik; amplituda, jak zdawało się Garsteczce, ledwo zauważalnie rosła. Aparat piszczał do wtóru, a sąsiedni trząsał i zgrzytał, wypluwając z siebie upstrzoną znaczkami papierową wstęgę.

Nagle po elektronice przebiegła fala migotania, jak gdyby rozchodząca się chmura przepłynęła z lewej na prawą.

Klawisze zamigotały nerwowo i zgasły. Chemik i Will zaczęli trajkotać po angielsku, hiper złapał wydruk, zaczął oglądać tak i siak.

Paweł zerknął na owalny ekran na ścianie. Przez otwarty właz transportera, stojącego pośrodku bazy, wychodził właśnie Rob, za nim dwaj wargowie i Wiedźmak. Rob– Titomir podszedł do laboratorium, zajrzał przez dziurę w ścianie. Odwrócił się do Wiedźmaka, o coś zapytał, a szaman pokazał kosturem w kierunku piramidy.

– Oho, idą goście. Trzeba ich przyjąć jak należy.

– Nieistotne – warknął Chemik. Popatrzył na ekran, wypuścił z rąk wydruk. – To jest istotne, i to mocno, ale tutaj mamy... Wil twierdzi, że wie, czym jest „oko zła”.

– No i? Niech powie!



– Węzeł energetyczny latarni nawigacyjnej, z pomocą której Arka przemieszcza się pomiędzy poszczególnymi liniami kontinuum. Jakby skacząc z gałęzi na gałąź drzewa Everetta. Wiedźmak podczas którejś ekspedycji dokopał się do czubka zakopanej w ziemi Arki, zobaczył tam Latarnię i zdjął ją. Wtedy całość znajdowała się w stanie równowagi energetycznej, ale teraz, kiedy Wiedźmak połączył „oko” i Latarnię, a potem przywłókł je tutaj... Arka musiała to wyczuć i coś się popsulo. Przesunęło.

– Co się popsulo? Mów, nie strasz!

– Jeszcze nie mamy pewności. Posłuchaj, Arka, jak by to ująć... promieniuje. Na poziomie kwantowym, a to oddziałuje na określone właściwości środowiska.

– No mówże do rzeczy, bez tych szczegółów!

– Ale jak bez szczegółów? Pokróćcie mówiąc, promieniowanie właśnie się zmieniło. I teraz wzrasta. Będzie źle, jeśli przekroczy określoną amplitudę graniczną.

– Czyli co się stanie? – zapytał Garsteczka, nie wiedząc czemu szeptem.

– Będzie źle.

– Czyli?

– Mówię ci, że nie wiemy! I to nie wszystko. Wil mówi, chociaż trudno mi w to uwierzyć, ale twierdzi, że kiedyś to właśnie Arka stworzyła to kontinuum!

Garsteczka przyłożył palec do czoła, skrzywił się. Pomyślał chwilę, potem zerknął na ekran i potrząsnął głową.

– Dobra, to, co ty mówisz, to jakies zupełnie brednie są. Nie wiem, nie rozumiem, nie mam ochoty teraz o tym myśleć.

Widzę tylko, że tamci pajace wyciągają już swoją Latarnię z transportera, więc tylko patrzeć, jak tu przyleżą i będą próbowali z powrotem ją wetknąć na sam czubek tej jebanej piramidy. Przecież o to Wiedźmakowi chodziło od samego początku, nie? A gdzieś tam Kruk jeszcze został. Wy róbcie, co chcecie, a ja po najemnika schodzę. Przyda nam się niedługo ktoś, kto umie strzelać.

Spanikowany Wil Kyss pokazał, jak odsunąć wejście na klatkę schodową, a Garsteczka zbiegła na dół. Pistolet w kaburze, trójzab trzymał przed sobą jak kij baseballowy, gotów rozkwasić na miazgę każdego, kto tylko stanie na drodze. Nawet i Kruka, gdyby ten miał stracić nad sobą kontrolę. A przede wszystkim przemienionych, jeśli tamci dali radę wyleźć. Albo dowolnego zwierzaka. Albo i potwora.

Ale na dole było pusto. Pomieszczenie wydawało się większe, więc i bardziej czuło się przechył podłogi; część światła wokół kolumn zgasła, inne migotały nierówno. Buczenie filarów zmieniło się, teraz było wyższe, bardziej niepokojące.

Odszedłszy od schodów, zobaczył pęknięcie: szeroki zygzak, jak błyskawica, zaczynał się od włazu i chował za kolumnami. Paweł sprawdził, czy kogoś tu jednak nie ma, rozejrzał się.

Dziwne to. Jeśli ta piramida taka wielka, to jak się mogła przechylić? Chemik mówił, że nie wiadomo nawet, jak głęboko toto sięga... żeby potrząsnąć czymś takim, to strach myśleć, co by się musiało stać!

Ha, no i co się w ogóle stało po tym, jak rzekomo strzeliła błyskawica między Latarnią a Arką? Co się dzieje w normalnym świecie, co wydarzyło się przez tych kilka dni? Zero łączności, wiadomości brak. Może nawet teraz ogromna Fala toczy się od centrum Sektora, łamie drzewa jak zapałki, zmiata z powierzchni ziemi domy, wysmaża ludziom mózgi jak boczek na patelni...

Garsteczkę aż dreszcz przeszedł od tej wizji. Odchrząknął, warknął sam na siebie:

– Tylko spokojnie!

Przykucnął nad włazem, zajrzał. Gwizdnął przez zęby. Położył się na brzuchu, oparł o najwyższy szczebel łokciami.

Sapnął, patrząc na pandemonium chaosu.

Po lewej kołysała się zwisająca z sufitu lampa, kolejne dwie były pęknięte i nie działały. Podłogę pod nim wybiło do góry jak krę na rzece i teraz cały wielki fragment posadzki uniósł się w górę razem z ziemią i drzewami. Część roślin poprzewracała się, inne leżały oparte o siebie nawzajem. Kłębki posplatanych, połamanych gałęzi wisiały tu i ówdzie na pajęczynie lian, jak porozrzucone przez wiatr szmatki. Kilka schowanych w ziemi rur pękło, jedna z nich rzygała obłokami pary i potokami wrzątku.

Jedynym słyszalnym dźwiękiem był miarowy, niski huk, niosący się skądś z wnętrza Arki.

– Kruk! – zawołał Garsteczka. – Ej, chodź tutaj! Żyjesz tam w ogóle, najmus?!

Przyjrzał się jeszcze raz wyłomowi w kratownicy. Wyraźnie widział stąd oplecioną korzeniami i lianami ogromną belkę, która niczym taran przebiła się tu od dołu, z dolnych poziomów Arki. Więc niższy poziom musiał być jeszcze większy i wyższy, skoro to piramida...

Paweł widział tylko niedużą część tego, co było pod nim, a mimo to miał wrażenie, że zawisł nad przeogromnym, piętrowym kompleksem pieczar, porośniętych obcą, nieznaną roślinnością. W mrokach podziemi coś się poruszało, powoli przemieszczało i kręciło, słychać było dziwne dźwięki, migotały rozbłyskujące ogniki.

– Kruuuk! – krzyknął, ale nie było nawet echa. Głos ginął bez śladu pośród bezmiaru lasu. – Kruk, nie mamy czasu!

Wiedźmak ze swoimi się zjawił, zaraz tu będą! Kruk! Jeśli żyjesz, pedału na górę!

– Skąd wzięło się jezioro? – zapytał Chemik po angielsku.

Siedział okrakiem na krześle, patrząc na ekran z kawałkiem brzegu i bazą. Oddział Wiedźmaka wyszedł już z transportera i teraz jego przybocznicy rozglądali się po okolicy. Część wargów z Rysiem na czele ruszyła ku koszarom, reszta prowadzona przez Roba skryła się w laboratorium. Czterech szaroskórych, Rob, Rysiu i Wiedźmak. Siedmiu na czterech... w zasadzie dwóch i dwie połówki, bo Kruk gdzieś zniknął, a z Kyssa żołnierz taki, że nawet nie nosił przy sobie pistoletu.

Chemik patrzył, jak młody technik grzebie w aparaturze. Nie unosząc nawet głowy, Kyss odpowiedział: – Myślimy, że zapadlisko pojawiło się podczas pierwszej Fali, gdy „oko zła” odłączono od Latarni. Musiało dojść do tąpnięcia.

– A skąd taka woda? To zasada?

– Tak, roztwór przesycony. Coś musi wyciekać z Arki tam, na dole. Powierzchnia Arki w ogóle jest nietypowa, ma strukturę częściowo metaliczną, ale porowatą, jak skóra. Niewykluczone, że swoista osmoza prowadzi do nasycenia wody nitratami, jak również do jej podgrzewania. Proszę... – uśmiechnął się dumnie – proszę tylko popatrzeć, co nauczyłem się robić z pomocą mojego sprzętu!

Coś przekręcił, a jeden z owalnych ekranów zaczął puchnąć. Obraz powiększył się, niczym pod ogromną lupą. Baza, budynki, pojazdy – wszystko to urosło, nie tracąc nic z ostrości.

Wkrótce ekran przybrał rozmiar docelowy, wyglądając teraz jak przyklejony do ściany ogromny pęcherz. Kyss znów przekręcił gałkę, monitor zmniejszył się, wracając do poprzedniego rozmiaru.

– Hm, interesujące... – zgodził się Chemik. – Czyli jest pan zdolny wpływać na pracę systemów wewnętrznych Arki.

– Potrafimy zmieniać jej zamiary – przytaknął Kyss nie do końca zrozumiale.

– To znaczy? A może jesteście w stanie ją uruchomić? Chociaż pewnie nie.

– Nie da się, nie bez Latarni.

– A jeśli znów ją zamontować?

– W tym wypadku... – Kyss popatrzył na urządzenia, potarł pieprzyk. – Rzecz jasna, myśleliśmy nad tym bardzo długo.

Próbowaliśmy, eksperymentowaliśmy. Ani mój zwierzchnik, ani ktokolwiek inny nie potrafił rozwiązać tego problemu. Ale przez ostatnie dwa lata... Cóż, i tak nie miałem co robić, więc pracowałem. Teraz mam wrażenie, że tak, potrafiłbym wygenerować zestaw sygnałów, które... – Pstryknął palcami. – To trudno wyjaśnić po angielsku. Impuls, który zainicjuje w Arce tryb uruchomienia.

– Panie Kyss, obawiam się, że nie do końca rozumiem – przyznał się Chemik. – Ale rozumiem, że to znaczy „tak”. Co ze stwórcami Arki? Wiecie, kim są lub byli? Coś na pewno odkryliście.

– Niewiele – westchnął Wil. – Jakkolwiek coś już wiemy. Nazwaliśmy ich alfarami.

– Hm. Dlaczego właśnie tak?

– Fanaberia szefa. – Kyss mówił po angielsku powoli, bardzo wyraźnie i z namysłem, próbując budować zdania z przesadną poprawnością i nieco archaicznie. – Alfarzy, bo „alfa”, czyli pierwsi. Zna pan koncepcję Everetta?

– Niemalże półwieczną już. Tak, naturalnie. Pański szef, że tak zapytam, był kim? Naukowcem?

– Zawiadujący wydziałem naukowym Biopharmu. Więc, wracając do pytania...?

– Tak. Kwantowe światy równoległe – potwierdził Chemik. – Myśli pan, że jesteśmy w miejscu styku dwóch gałęzi?

– Dokładnie. Mój szef twierdził, że alfarzy zamieszkiwali część główną Pnia... Tego, od którego pochodzą wszystkie gałęzie. Można mówić o tym i mówić... lepiej przeczytać.

Znów zerknął na ekran. Wiedźmak stał na brzegu, patrząc na pomost. Chemik zapytał: – Co takiego przeczytać?

Kyss przywołał go ruchem ręki, powiedział: – Elektronika statku pokrywa całą jego powierzchnię, a w każdym razie większość. To naprawdę niezwykle, nawet po takim czasie! Uważamy, że podstawą jest

zasada monopola magnetycznego. Czyli że to... – wskazał migoczącą strukturę wewnątrz pulpitu – to nie elektronika, a...

– Magnetrónica – szepnęła Chemik, patrząc na pulpit z zachwytem, niczym na przenaświadczonej ikonę, która nagle mrugnęła do niego okiem. – Prąd magnetyczny. I cała ta struktura, ta Arka to komputer?

– Można tak powiedzieć, ale nie cała. Górna część na pewno ma wewnątrz magnetroniczne, w którym ciągle przemieszczają się zagęszczenia sygnałów. Takie chmury, lub strumienie pobudzenia. Arka to mózg. Ogromny, pozbawiony osobowości, sztuczny mózg.

Chemik pokiwał głową, przeciągnął po ścianie dłonią w rękawicy.

– Na pewno bezosobowy?

– Wnosząc z rezultatów obserwacji, a miałem na to naprawdę aż nadto czasu, tak. Arka nie posiada samoświadomości.

Ale zawiera w sobie mnóstwo błędnej informacji, niekiedy obszary pobudzenia trzeba liczyć w setkach metrów sześciennych. Rozjarzają się i gasną, czasami zlewają się i potem dzielą, albo tworzą kanały. Przemieszczają się, spływają gdzieś głębiej, odbijają i rezonują, i wracają, po drodze transformując. To wszystko jest jak ogromna chmura nieliniowych, rozproszonych obliczeń.

Chemik zamyślił się, próbując zrozumieć, na ile poprawnie zrozumiał Kyssa, używającego języka, który dla żadnego z nich nie był ojczystym. Serwery w chmurze? Wyliczenia różnicowe?

– Co jeszcze odkryliście? Albo nie, niech pan poczeka, spróbuję inaczej... Obydwoj wychodzimy z założenia, że multiwersum posiada jedenaście wymiarów: dziewięć przestrzennych, dwa czasowe. W tej superprzestrzeni unoszą się pomniejsze, prostsze przestrzenie.

– Brany – odezwał się Kyss. – W naszej branie mamy trzy wymiary fizyczne i jeden czasowy.

– Tak, nasz wszechświat jest jedną z takich bran, ale tutaj pojawia się bardzo ważna kwestia: świat-brana jest zwinięta, czyli zamknięta. Jak struna, zwinięta w koło. Rozumiem, że to bardzo prymitywna analogia, ale w ten sposób nic nie może z niego wyjść. Nic, poza pewnymi innymi strunami, cząsteczkami, jak na przykład grawitony albo kwanty pola przyciągania.

– Tak samo Arka, która przemieszcza się na promieniowaniu grawitonowym. Mój nieodżałowanej pamięci szef wysunął ideę, że Arka posiada napęd grawitonowy. Oczywiście, nie udowodniliśmy tego, ale też nie obaliliśmy tezy.

– Dobrze, przyjmijmy takie założenie. Jakkolwiek to znaczy, że ten napęd powinien prowadzić do obszarowych zmian grawitacji, ale... – Chemik zamyślił się na chwilę. – Przecież przyciąganie jest zakrzywieniem czasoprzestrzeni, więc czy można tak wyjaśnić fenomen Ślepej Plamy? Przyjmijmy, że ten silnik grawitonowy działa cały czas, na jałowym biegu.

Przyjmuję to, co pan mówi, że piramida może przemieszczać się pomiędzy branami, ale że Arka stworzyła nasze kontinuum? W to trudno mi uwierzyć.

Wil Kyss rozłożył ręce, jakby sam był głównym winnym tego kosmicznego nieporozumienia.

– Wyciągnęła je z innej brany... wydmuchnęła, jak bańkę. Albo, jeśli przyjąć metaforę drzewa, odszczyliła od innej, już istniejącej gałęzi. Określiliśmy szereg parametrów sygnałów, które regularnie pojawiają się w mózgu magnetycznym. – Wil pokazał na jedno z urządzeń, wysoką skrzynkę z jasnego plastiku z panelem pełnym klawiszy i zielonym ekranikiem. – Część nawet zdołaliśmy odszyfrować. Proszę, niech pan spojrzy.

Włączony aparat zahuczał, potem odgłos wzmógł się, gdy Kyss nacisnął kilka klawiszy. Ekran zapalił się, przeleciał po nim ciąg liter. Chemik nachylił się, poruszając ustami.

– To po angielsku – powiedział. – Bardzo... pan wybacz, ale prymitywnie.

– Tak, nasze tłumaczenie to tylko czasowniki i rzeczowniki. Proszę czytać. Uważam, że to odpowiednik pamięci, coś jakby wspomnienia Arki. To jest, ułamek jej całej wiedzy.

Chemik go nie słuchał, bo już czytał. Wil Kyss odszedł do pozostałej aparatury, zaczął sprawdzać dane. Najwyraźniej część wskazań go zaciekała, bo pstryknął kilkoma przełącznikami, przesunął suwak magnetometru. Zmarszczył brwi, przesunął krzesło do innego urządzenia. Popatrzył chwilę na odczyty. Uniósł zaciśniętą pięść i ugryzł ją z całej siły.

Zamamrotał coś po swojemu, poderwał się, skoczył do pierwszej maszyny, wyciągnął na ekran cyfry

timer: 11.50/12.10

Kyss sapnął. Chemik przechylił mu się przez ramię, śledząc wzrokiem pełznącego po monitorze pasek. Tekst był bardzo prymitywny, często trzeba było się cofać i jeszcze raz rozgryźć sens, więc po trochu zaczął nie nadążać – słowa uciekały za monitor, zanim zdążył je przeczytać.

– Czyli to te robaki doprowadziły do awarii Arki? – zapytał z niedowierzaniem. – Z ich powodu musiała lądować awaryjnie, co doprowadziło do eksplozji wykładniczej i wydmuchnięcia... to jakaś bzdura, ale tak tu jest napisane... nowej przestrzeni kontinuum. Ale tekst sugeruje, że te robaki zostały przez kogoś... wysłane?

– Biobroń – wyjaśnił Kyss bez szczególnego przekonania. – Taki był też nasz wniosek. Robaki to biobroń niegdysiejszych wrogów alfarów. Chciałem jednak zwrócić pana uwagę na nietypowe i gwałtowne zmiany...

– Chwilę, bo znów zgubię myśl. Wrogowie, dobrze. O nich mowa w waszym tłumaczeniu, jakkolwiek to mocne słowo, „tłumaczenie”. Biologiczna broń o mentalności roju, posiadająca intelekt zbiorowy... Świat alfarów zniszczono, więc wysłali Arkę, aby zasiedlić inne światy – brany organizmami ze swojego kontinuum... – Chemik westchnął spazmatycznie, próbując trzymać emocje w ryzach. – Kolonizacja. Próba zarażenia nowych gałęzi Drzewa zarodnikami ze swojej macierzystej. Wielka ekspansja. Panspermia kontinuum!

– Można i tak powiedzieć. A mimo to, gdyby był pan łaskaw spojrzeć na te cyfry...

– Już, chwilę. Robaki zakłóciły działanie węzłów Arki, która wylądowała w losowym świecie – szeptał Chemik. – Na kontinuum opisanym tu jako Terrana. Więc nasza Ziemia to coś jakby antyświat Terrany, stworzony przez zakłócenie spowodowane przez Arkę. Niewiarygodne. Nie do objęcia. To stawia na głowie całą teorię powstania Ziemi! Zarówno ona, jak i cały wszechświat, o nas nie mówiąc, jesteśmy – jesteśmy dziełem nie to, że przypadku, a nieporozumienia!

Przypadkowym pęcherzykiem, który zostaje na kałuży po przejeździe ciężarówki. Zaledwie pochodną, stworzoną przez odłamek obcej wojny... Muszę, muszę to przemyśleć, niech to diabli, przemyśleć na poważnie!

Ale nie zdążył przemyśleć niczego, bo zauważył kątem oka ruch na ekranie. Przyjrzał się, mruknął: – Są już na moście! – I ruszył wokół kolumny.

– Bioskaf! – zdziwił się Kyss, wpatrując w ekran. – Kto zdołał go założyć? Nikt z naszej ekspedycji nie dał rady sterować...

– Któryś z wargów chyba. – Chemik wziął karabin ze stołu. Wargowie i ludzie powoli szli po pontonowym pomoście, ostatni nieśli brezentowy pakunek. – Wydaje mi się, że to Rob. Ich wódz i zarazem pomocnik Wiedźmaka. To ten łysy z kosturem, mówiłem panu.

– Warg – powtórzył Wil niepewnie.

– Szarokóry człowiek. Albo nie do końca człowiek. Przybysze spoza naszego kontinuum, teraz jestem pewien.

– Ach, tak, aborygeni Arki. Zamieszkiwali jeden z dolnych poziomów, tak przynajmniej przypuszczam. Jest też wersja, że wciągnęło ich tutaj z Terrany, gdy powstał Sektor.

– Dobrze, ale w jaki sposób steruje pancierzem?

– Bioskaf jest wyposażony w czujniki organiczne, przez które łączy się z mózgiem operatora. Na poziomie centralnego ośrodka nerwowego pojawia się, albo powinno pojawić, coś na kształt interfejsu. Reaguje bezpośrednio na sygnały, biegnące do układu mięśniowego.

Chemik popatrzył na karabin. Broń nagle wydała mu się jakaś taka niepoważna. Wypiął magazynek, zobaczył, czy coś w nim w ogóle jest.

– Panie Wil, a co ze strzelbami elektromagnetycznymi? To wasz wyrób?

– Nie, nie! Kilka z nich znaleźliśmy w Arce. Ja mam tutaj tylko... o...

Chemik odwrócił się. Kyss niepewnie trzymał w rękach strzelbę pulsacyjną, bliźniaczo podobną do tej, którą miał Garsteczka, ale bez górnej pokrywy. W środku widać było tkwiący w okrągłym gnieździe „pustak”, lecz zupełnie martwy.

Wzrok hipera wychwyciłby najłżejsze drgnięcie energii, a tu nie było nic.

– Nie działa, jak rozumiem? Tak czy inaczej, nie wolno dopuścić ich do Arki, więc będziemy musieli wyjść.

Przeszli w róg pomieszczenia, Kyss dotknął świecącego panelu na ścianie. Czarna przegródka zasunęła się bezszelestnie, pojechali na górę.

Chemik wsunął pulsar pod pachę i uniósł rękę, oglądając swoją rękawicę. Po tym, gdy plazmowy bicz uwiązał w sieci nor podprzestrzennych, niemalże nie czuł już „asura” i nawet nie wiedział, czy da radę nim sterować. Przymocowany z tyłu rękawicy kamień lśnił ledwo, ledwo, nawet nie reagując na sygnały.

– Skąd wzięła się rękawica? – zapytał.

– Myślę, że obok strzelby pulsacyjnej to jeden z nielicznych przykładów technologii alfarów. Tylko że na nią akurat trafili wargowie.

– Hm. A co z egzozskieletem w bazie?

– Bioskaf, tak? Na dole jest całe pomieszczenie, stoi ich tam kilkanaście. Zapewne używano ich do schodzenia na najniższe poziomy Arki. Niestety, poza tym jednym wszystkie są albo w formie zarodków, albo już umarły.

– To znaczy... To żywa istota?

– Quasi-żywa, posiada dość ciekawy procesor biologiczny. Ten na brzegu jest jedynym osobnikiem dorosłym, który przeżył awarię Arki. Zdołaliśmy wyekstrahować go z gniazda macicy, nie uszkodzając. Co ciekawe, fragment macicy był celowo uszkodzony. Zupełnie jakby ktoś już kiedyś włamał się tam, żeby kilka z nich zabrać.

– Dobrze, więc co zrobiliście dalej z tym egzemplarzem, który widziałem?

– Wyleczyliśmy go. Tak, proszę się nie dziwić. Był chory, pancerz pokrywał czerwony osad, zapewne rodzaj grzyba. I była jeszcze narośl na głowie, to jest, na hełmie. Odratowaliśmy go, wyleczyliśmy. Próbowaliśmy używać, ale wcześniej odrzucał wszystkich testerów.

Trójkątny segment ściany zjechał w dół. Przed nimi otworzył się widok na pomost, jezioro i brzeg. Baza była po prawej, za rogiem piramidy; Chemik wyskoczył na zewnątrz jako pierwszy i od razu pobiegł w tamtym kierunku.

Jezioro nie było już nieruchome, woda płynęła spiralą wokół Arki.

Po moście pontonowym szło w ich stronę kilka postaci. Na przedzie, stukając kosturem i sadząc sążniste kroki, szedł Wiedźmak, za nim wargowie, niosący obciążoną płachtę brezentu. Chemikowi aż zakręciło się w głowie na widok zaginającego wokół siebie przestrzeń wiru, huczącego wokół pakunku. Latarnia dosłownie wciągała w siebie świat, zaginała jego materię, jak położny na płótnie obrazu ciężarek. Z każdym krokiem tragarzy rzeczywistość drgała i falowała, na zmianę nabierając ostrości i rozmywając się...

Aż strach pomyśleć, co się stanie, gdy Latarnia zetknie się ze ścianą Arki.

– Czyli nie muszą nawet wchodzić do środka – szepnął sam do siebie. – Wystarczy, że postawią Latarnię na szczycie i...

no właśnie, i co?

Zatrzymał się, uniósł karabin. Miał ich przed sobą jak na dłoni; nie mieli dokąd uciec, chyba że któryś skoczycy w czerwoną wodę. Amunicji mało, ale jedną serią skosi wszystkich.

Wysoka, szara postać insekta z długimi kończynami i wyciągniętą, obłą głową odepchnęła Wiedźmaka, wyskoczyła przed niego. Obtoczony w bioskafander Rob rozłożył szeroko ręce i powoli ruszył dalej, zakrywając sobą pozostałych. Nogi sprężynowały w stawach, zbroja kiwała się, przechylała to w przód, to w tył.

– Zwykła broń nic nie da – szepnął Kyss, podchodząc bliżej.

– Dupa, dupa i kontinuum kupa! – warknął Chemik, przyciskając kolbę do ramienia. – Bliżej ich podpuścić? Strzelać... czy nie? Nie znam się na akcjach z bronią, nawet nie wiem, co robić! Gdzie się Garsteczka podziewa, kiedy raz w życiu by się przydał?!

12 Gdzie pan jest, panie Veel? Proszę głośniej, nie słyszę prawie nic! (ang.)

13 Ale co z kosmiczną strzałą czasu? (ang.)

14 Co... co to jest? (ang.)

15 Pojazd terenowy, (ang.)

16 Nasz. On przyjechał tutaj Wiedźma– człowiek i jego banda, (ang.)



Rozdział 14

Garsteczka postanowił, że nie będzie schodził na dół. Zarośnięte toto, nic nie widać, zwierzęta dziwne słychać...

Polazł tam Kruk, no polazł. I co? I nic. Ani mu Kruk brat, ani swat. Niech sobie radzi.

Poza tym najemnik na pewno zrobiłby dla niego to samo. To znaczy, nie zrobił. Po co w ogóle z nimi szedł w tę Ślepą Plamę? Siedziałby w Sektorze, myślał, jak „krwawokwiat” zdjąć.

Z drugiej strony, nie o niego chodziło, a o jego umiejętności bojowe.

– Kruk, ostatni dzwonek! – krzyknął. Niemalże czuł przez skórę, jak gdzieś nad nim, na brzegu jeziora, ekipa Wiedźmaka rozgląda się i powoli ogarnia sytuację, a potem rusza w kierunku pomostu. I idzie do piramidy, zbliża się krok za krokiem, maszeruje złowieszczo, skrzypi deskami, jeży się lufami karabinów i ostrzami wszelkiej broni... I niesie ze sobą Latarnię, coraz bliżej i bliżej. – Ty se tam baluj, a ja idę!

Już, już zbierał się, żeby odejść, kiedy zauważył na dole ruch.

To znaczy ruchu we wszelkich odmianach to było pod dostatkiem i wcześniej, ale nie widział w tym żadnej regularności.

A teraz coś poruszyło się, skrzypnęło, puknęło zupełnie blisko. Tak... logicznie, czy coś. Prześliznął się cień, a potem Paweł zobaczył istotę pełznącą po nachylonej belce, która przebiła posadzkę poziomu pod nim.

Kilka sekund nie był w stanie zrozumieć, co to jest. Na pewno zwierzę, przebijające szybko łapami, ale jakie? A potem w głowie coś przeskoczyło i zrozumiał: nie zwierzę. Człowiek.

Czerwony Kruk spieszył się, ile tylko miał sił, łapiąc za wystające segmenty konstrukcji i prześlizgując się pomiędzy lianami i pniami drzew. Odsunął ręką zwisające korzenie, zanim bujnęły się z powrotem, przepelzł przez dziurę, wstał, w biegu wycierając pot z czoła rękawem.

Co tam miał ciemnego na brodzie? Krew? Chyba tak... Wampir, jako żywo! Garsteczka aż sięgnął po pistolet, ale opamiętał się. Bzdura, niemożliwe! Co, zastrzelić go? Na wampira przecież potrzebne są srebrne kule i kołek, ale nie wiedział nigdy, czy osinowy, czy osikowy... Albo czosnek. Albo święcona woda, albo coś innego równie niedostępnego.

Myśli miotają mu się panicznie w głowie, jak przerażone kanarki widzące kota. Tymczasem Kruk wpełzł jeszcze wyżej, unióśł głowę i wbił wzrok w otwór.

Wcale nie krew, a brudny był po prostu. Włosy też całe w błocie. I plecy.

Serce Garsteczki, dotychczas łomoczące jak głupie, zaczęło się uspokajać. Paweł schował pistolet i zawołał: – No, aleś się utył! Wszystko gra?

– Płaszcz gdzie? – zapytał Kruk, stając w końcu prosto i balansując rękoma.

– Wiedźmak ze swoimi przylazł, musiałem odejść na chwilę. To znaczy, odszedłem wcześniej, a oni... Nieważne. Płaszcz zabrałem, żeby nic nie wlaźło na górę.

– Po drzewie można. Albo po lianach.

– To włącz, jakżeś taki mądry. Nie da się, tutaj od dołu ten sufit jest pod prądem, sprawdziłem. Ty miałeś

szczęście, że nie dotknąłeś. Skacz prosto na drabinę.

– Wiedźmak jest tutaj? Dlaczego ich wcześniej nie widzieliśmy?

– Bo dopiero co się zjawili.

– Jakto?

– Nie wiem. To znaczy, wiem, ale nie potrafię wytłumaczyć. Krótko mówiąc, nas ten diabelski młyn rzucił w przeszłość.

Niedaleką, tak może jeden dzień, albo coś. Chemik tak przynajmniej twierdzi, ja się nie znam, ale dość, że my byliśmy wcześniej, a oni są teraz. Łapiesz?

Kruk przykucnął, odepchnął się nogami i skoczył. Paweł po raz kolejny zdziwił się: najemnik poruszał się z zaskakującą chyżością. Zdawać by się mogło, taki sobie konusik, gdyby mieli przeciwko sobie stanąć, to jak muszka– owocówka przeciwko wilkowi... ale teraz Garsteczka czuł, że to tylko pozory. Wcześniej Kruk był na wpół inwalidą, pokręconym jak paragraf – a teraz same mięśnie i ścięgna. Maszyna do zabijania.

Ciało ampira wyciągnęło się w powietrzu, dłonie samymi palcami sięgnęły do najniższego szczebla, zacisnęły się żelaznym chwytem. Kruk buchnął się, podkurczył nogi, wciągnął się wyżej, zaczął wspinać na górę po drabinie... Dopóki nie natknął się czołem na lufę pistoletu.

Najemnik zamarł. Spojrzał na Pawła. Zapytał: – No?

– Najadłeś się? – zapytał Garsteczka grzecznie. Niewygodnie mu było w takiej pozycji, wisiał głową w dół, jedną ręką trzymając się drabinki. Kolana opierały się o górną krawędź wjazdu, pięty sterczały wysoko w powietrzu.

Najemnik milczał. Garsteczka zadał pytanie pomocnicze: – Pytam, czy się nasyciłeś energią życiową? Najadłeś, napiłeś? Syty? Czy jeszcze byś coś na deserek wrzucił?

– Zabiłem dwóch przemienionych – odpowiedział Kruk spokojnie. – Na dole jest cała sfera, ponad tuzin. Jednego tutaj, drugi spadł w dziurę na poziom niżej. Wystarczy na jakiś czas.

– Na pewno? – Garsteczka zajrzał mu w oczy. – No dobra, może i tak. To chodź na górę, migiem.

Cofnął się, dając Krukowi wyjść. Ten wystawił już z wjazdu głowę, gdy po piramidzie poniósł się głuchy huk, słyszalny nawet przez szum niosący się z dolnych poziomów Arki. Garsteczka aż podskoczył.

– Strzelają! Jak mamę kocham, seria z karabinu. Za mną, biegiem!

Dobiegli do windy, Paweł na wszelki wypadek wcisnął wszystkie świecące się panele – o dziwo, kabina zareagowała i ruszyła na górę. Kruk wyjął z kabury na kostce pistolet, sprawdził magazynek.

– Cztery sztuki.

– Ha, ja pięć mam. Strzelają faktycznie, słyszysz? Zaraz i my sobie poszalejemy.

Garsteczkę aż język świerzbiał, żeby zapytać, co też Kruk widział na dole, co takiego dudni i szumi w głębinie Arki, jakie stwory zamieszkują szarą strefę – ale nie chciał robić tego po łebkach. Potrzeba było czasu, a ten był towarem deficytowym.

Trójkątny segment ściany zjechał w dół. Wskoczyli na zewnątrz, prosto w terkot karabinów.

Strzały niosły się echem od strony mostu pontonowego, ogień błyskał zza biegnącej po pomoście kreatury, przypominającej ogromnego konika polnego. Oddział Wiedźmaka był już bardzo blisko, jego ludzie parli naprzód – sam szaman zaś stał nieco z tyłu, oparty o swój kostur, i czekał.

Przy wejściu na sam pomost leżał Chemik, próbujący schować się za barierką i udawać, że umie strzelać. Karabin latał w nieprzywykłych do broni rękach, jak kot nafaszerowany tabletkami na przeczyszczenie, mimo że siła hipera przynajmniej częściowo rekompensowała brak praktyki. Wokół pluskała woda, płynąca już w całym jeziorze po spirali i wyraźnie opadająca coraz niżej.

Wiła Kyssa nie było nigdzie widać, ale niewiele on teraz Garsteczkę obchodził. Kule rykoszetowały od czarnej ściany, brzdękały o barierki i rwały deski poszycia.

Dali ognia jednocześnie, on i Kruk. Pierwsze kule ścięły z nóg jednego z wargów, który wrzasnął urywanie, przeleciał przez barierkę i plusnął w wodę. Kolejna trafiła Rysia, który padł, ale zaraz zaczął się odczołgiwać.

Szare monstrum nadal parło naprzód, tylko przyspieszając. Garsteczka strzelił w nie dwukrotnie, Kruk poprawił jeszcze jednym, ale efektu nie było.

Istota była tuż– tuż, gdy Chemik zerwał się i machnął ręką niczym kowboj rozkręcający lasso. Zabelkotał coś, próbując wykrztusić z gardła zalegającą tam kulę, zachrypiał – a rękawica nagle błysnęła, jak miniaturowe słońce. Z „asura”

wystrzelił wibrujący, migocący strumień energii, doskonale widoczny nawet gołym okiem.

Chemik wrzasnął, a bicz energetyczny wygiął się w łuk i trzasnął w poprzek pomostu.

Wrażenie było takie, jakby hiper dał radę wycisnąć z bicza wszystko, całą resztkę energii, jaka jeszcze w nim pozostawała. Taki ostatni, spektakularny błysk, po którym w normalnej elektronice zwęglają się styki i smażą podzespoły.

Pomost przełamał się wpół, jak zapalka. Deski wystrzeliły fontanną szczap, zajęczały zgrzytem przerywane beczki, woda zagotowała się i bluznęła parą. Część konstrukcji zapadła się w wodę, pociągając za sobą szare monstrum. Stwór rzucił się, chciał złapać czegoś, zamłócił cienkimi łapami, a potem zniknął w czerwonych odmętach.

Wciąż trzymający się na nogach dwaj wargowie i Ryś cofali się, zasłaniając przed ogniem zawiniętym w brezent pakunkiem.

– Nie strzelać! – Chemik jęczał, zrywając z siebie dymiącą rękawicę. – Nie wiadomo, co się zdarzy, jeśli traficie Latarnię!

– *Do not shoot! Do not damage the Beacon!* [17] – zawył Wil Kyss, wyskakując zza węgła piramidy, gdzie schował się przed strzelaniną.

– I tak pusty magazynek– warknął Kruk, opuszczając pistolet.

– Ja mam ostatni nabój. – Garsteczka zerknął w kierunku brzegu, czy aby ktoś nie chce mu posłać kuli z zaskoczki, potem przechylił się przez barierkę i spojrzał w mętną wodę. – Kurde, ten szary robił poszedł na dno, jak kamień. Co to było w ogóle?

– Rob – powiedział najemnik.

– E! Skąd wiesz niby?

– Nie było go na pomoście.

– No patrzcie, jaki Szerlok normalnie. Czyli co, wlaż w to paskudztwo, które stało w bazie? Bo to było właśnie to, nie?

– *Biological warfare lining*[18] – odezwał się Kyss. – *Biosuit*. [19]

Chemik przetłumaczył: – Powłoka bojowa, czyli bioskaf. Patrzcie, na brzeg się wycofali... Szkoda, że się „asur” spalił. – Wrzucił pozostałości rękawicy do wody. – I jeszcze mnie poparzyło. Ale chyba warto, zamiast siedmiu jest pięciu. Co do Roba, nie wiem...

możliwe, że po prostu wziął i się utopił?

– No przecież chyba nie widzisz, żeby pływał – parsknął Paweł, wpatrujący się w otaczającą wyrobisko mgłę. – Słuchaj, ciemno się robi czy mnie się wydaje? Bo już myślałem, że tutaj się pora dnia nie zmienia.

Niedobitki oddziału Wiedźmaka schowały się pomiędzy budynkami. On sam jeszcze odwrócił się na ostatek, popatrzył na stojących obok piramidy, uniósł i groźnie potrząsnął kosturem. Garsteczka, niewiele myśląc, pokazał mu w rewanżu wała.



Chemik zapytał o coś Kyssa, posłuchał odpowiedzi i przetłumaczył: – Mówi, że słońca tu nie widać, ale jest zmiana dnia i nocy. Mgła robi się szara, potem czarna, i tyle. Nocą jest jak podczas pełni księżyca, czyli jasno. Słuchaj, a widziałeś, co się z wodą dzieje?

– No, płynie...

– Nie tylko, również opada.

– Możliwe. Powolutku.

Wil Kyss zatrajkotał po angielsku, Chemik wsłuchał się w słowa. Ciężko było w to uwierzyć, ale

Garsteczce wydało się, że szarawa, włochata skóra na pysku hipera zbladła. To, że w ciemnych, półzwierzęcych oczach błysnął strach, było oczywiste.

– *You sure?*[20] – zapytał Chemik, ale Kyss tylko rozłożył ręce. – Twierdzi, że zanim pojawił się Wiedźmak, odebrał jakieś nowe dane na swoim sprzęcie, ale nie zdążył mi powiedzieć. Przesunął się timing... Mówiłem już, że Arka promieniuje i coś się zmieniło. Jak gdyby bliskość Latarni dodatkowo zaburzyła jej równowagę energetyczną.

– Kurwa... Jak nie rozumiałem wtedy, tak i teraz nie łapię. – Garsteczka splunął ze złością.

– Nie pieklij się, tylko słuchaj. Kyss twierdzi, że praca zespołu napędowego, jeśli Arka w ogóle takowy posiada, oparta jest na promieniowaniu grawitonowym. To zapewne w ogóle nie agregat, a raczej „stranglet”, czyli obiekt złożony z „dziwnej materii”. Grawitony natomiast to cząsteczki, będące nośnikami grawitacji właśnie... No już, nie krzyw mi się!

Intensywność strumieni grawitonowych z głębi Arki zaczęła wzrastać. Wil mówi, że po około dwunastu godzinach amplituda osiągnie taką wartość, że...

– Że co? No tylko nie udawaj, że masz chociażby mgliste pojęcie. Ani ty, ani on nawet nie jesteście w stanie przypuszczać.

– Paweł, mózg mi się gotuje. – Chemik złapał się za głowę, podrapał po ciemieniu, szarpnął za szczecinę na uszach. – Naprawdę mi ciężko poradzić sobie z taką ilością zmiennych.

– Ogarnij się, włochaty – poradził mu Garsteczka, przestępując z nogi na nogę. – Brader Wil może i się na czymś zna, ale raczej na zasadzie przynieś– podaj. Jeśli ktoś to rozkmini, to tylko ty. Słuchaj, a tak na szybko? Może by się z Krukiem przeprowadzić na brzeg, zabrać im Latarnię i utopić w jeziorze? Chociaż, zaraz i jeziora nie będzie.

– Nie, nie... – Chemik potarł twarz. – Dobra, słuchać mnie! Na razie wracamy do sterówki. Tam są ekrany, i tak będzie widać, jeśli spróbują znów podejść. Muszę spojrzeć na te odczyty. Niewykluczone, że mamy raptem kilka godzin, żeby znaleźć rozwiązanie dla tej zagadki, bo...

– Bo dupa. Dupa kontinuum rozwiera się i tchnie na nas plugawym oddechem – dokończył Garsteczka.

W sterówce Wil od razu podszedł do swojego łóżka i wyciągnął spod niego potężny plecak. Z niego wyjął błotnistozieloną koszulkę wojskowego kroju, zrzucił tę, którą miał na sobie, przepoconą i brudną, i naciągnął nową.

– Kruk, pilnuj, co się na monitorach dzieje – zakomenderował Garsteczka.

– Ciemno się robi – warknął najemnik.

– To widzę sam. Tym bardziej pilnuj. Chemik, weź się braciaka Wilusia spytaj, czy nie ma czegoś do żarcia. Ta racja, co na stole była, się skończyła jakoś po drodze.

Chemik przetłumaczył, wysłuchał odpowiedzi, powiedział: – Za radiostacją jest przenośna lodówka.

– Ha! Dla ciebie coś brać?

Ale hiper już nie słyszał, wpatrując się chciwie w odczyty maszyn. Garsteczka odwrócił się do drugiego towarzysza.

– Kruk?

– Nie pogardzę.

– Się robi.

Faktycznie, za radiem stała sobie nieduża lodóweczka, a w niej woda, wędzone mięso i warzywa w puszkach. Na górze paczka sucharów, konserwowa ryba, paszтет i mielonka. Paweł wziął kilka butelek wody i dwie puszki z doklejonymi plastikowymi widelczykami. Wrócił za kolumnę, połowę przekazał Krukowi. Siadł na podłodze, rozstawił szeroko nogi i wziął się do jedzenia.

Ekrany, faktycznie, ściemniały, ale prawdziwą nocą nie dało się tego nazwać. Mgła wokół wyrobiska zdawała się lśnić, w jej głębinie przesuwały się cienie.

– Co się stanie, jeśli postawią Latarnię na piramidzie? – zapytał Kruk, przeżuując suchary i zerkając na ekran, pokazujący zniszczony most i bazę w tle. Ludzi Wiedźmaka nie było widać, musieli schować się w koszarach.

– Wil uważa, że wtedy Arka zostanie wyrwana z tej czasoprzestrzeni – powiedział Chemik. – A w rezultacie kontinuum ulegnie zniszczeniu. Świat–brana po prostu się rozpadnie.

– Arka? – Kruk uniósł brwi.

– Aha, bo tobie ta część umknęła... – Pasza przełknął kawałek pasztetu. – Panie doktorze, proszę zabawić plebs swoją uczoną gadką.

– Ech... Niewykluczone, że znajdujemy się wewnątrz Arki, stworzonej przez nieznaną, pradawną rasę. Albo raczej typ istot rozumnych. Udało się odczytać część informacji z pamięci Arki, w zasadzie najpierw odszyfrować, potem przetłumaczyć... Nieistotne. Dość, że to wszystko tylko interpretacja, zarówno moja, jak i pracowników Biopharmu. To trudno zrozumieć, bo przypomina opowiadanie o niezmiernie skomplikowanym, niemalże niezrozumiałym procesie w prostych słowach. Jak gdyby opisując tylko powierzchniową warstwę wydarzeń, co...

– No mówże do rzeczy! – wtrącił się Garsteczka, z hałasem odstawiając pustą puszkę. Chemik przełączył coś na aparaturze, przekręcił ostrożnie potencjometr.

– Arkę zaatakowały robaki, czyli biobroń, wysłana jej śladem przez wrogów alfarów. Uszkodzona Arka wylądowała w świecie Terrany, podczas lądowania doprowadzając do wyodrębnienia nowej rzeczywistości, nowego świata. Albo Antyświata.

Kruk spojrzał pytająco na Garsteczkę, ten pokręcił tylko głową z dezaprobatą.

– Chujnia pełna, ostrzegałem.

Chemik prychnął, odwrócił się do nich tyłem. Pochylili się we dwóch z Wilem nad aparaturą. Garsteczka wrócił do gryzienia sucharów z mielonką. Kruk stał pod ścianą z rękoma założonymi na piersi. W końcu powiedział: – Dokończ.

Chemik popatrzył przez ramię, pokręcił głową.

– Po co? Przecież to bzdury.

– Albo i nie. – Kruk wzruszył ramionami. – Nie robi najlepszego wrażenia, ale i tak dokończ.

– To wcale nie tak łatwo dokończyć. – Chemik westchnął. – Najkrócej ujmując: wszechświat, w którym znajduje się nasza planeta, jest zwinięty w sferę. Kiedy Arka wystartuje, naciśnięcie grawitonów doprowadzi do jej rozwinięcia, a w konsekwencji... No dobrze, widzę po pańskiej twarzy, że muszę przejść na prostszą metaforę. Proszę wyobrazić sobie Terranę i nasz wszechświat jako dwa balony, połączone... agrafką.

– To niemożliwe – wtrącił się Garsteczka. Chemik zamrugnął, zbity z tropu.

– Jak... jak to?

– Normalnie. Nie da się połączyć balonów agrafką.

– Paweł, błagam cię... Ale wyobraź sobie, że są. Agrafka jest jedna, balony są dwa. Część agrafki jest w jednym, część w drugim balonie.

– Czyli... czekaj. Arka to agrafka, a jej dolna część jest wbita w inne kontinuum?

– Tak. Zapewne. Albo nie... ale na pewno jesteśmy w punkcie styku dwóch rzeczywistości. Kyss uważa, że wstawienie na miejsce Latarni doprowadzi do startu Arki, a więc wyrwania jej z naszego kontinuum.

– Czyli że wystartuje z tej dziury?

– Nie, z całego wszechświata. Och, panie Kruk, zapomniałem – Arka doprowadziła do powstania Ziemi i naszego świata.

Lądując w Terranie, wypchnęła z niej nasze kontinuum, zmieniając bieg czasu i przestrzeni. Lądowanie Arki na Ziemi było swoistym potopem, startem nowego świata. O tym właśnie mówi Biblia, bo przed potopem nie było świata takiego, jak go znamy...

– Nie no, hola, hola, zły człowieku! – powiedział Garsteczka. – To już jakiś kera... krema... krea... No, te brednie naszych ministrów, że dinozaurów nie było, a kości w ziemi podrzucają geje i europejscy ateści, żeby oszukać prawdziwych patriotów. A co z danymi geologicznymi, co z badaniami?! Ty chcesz, żebyśmy wbrew dowodom naukowym uwierzyli w jakąś katastrofę?

– ...czego dowodzi promieniowanie kosmiczne – powiedział Chemik. – Słusznie mówisz, gdybyśmy mówili o zwykłym, prymitywnym kreacjonizmie. Historię liczymy, bez dwóch zdań, w miliardach lat, a nie w tysiącach od mitycznego potopu.

Tyle tylko, że cała ta historia była historią innego świata, czyli właśnie Terrany. Po prostu.

– Nie rozumiem – powiedział Kruk. – I ty myślisz, że to jest „po prostu”?

– Czekaj, do mnie dotarło – ożywił się Paweł. – Oni tu wcześniej o Drzewie Światów gadali, więc jeśli nie ogarniasz baloników i branów, to wyobraź se drzewo. Jedna gałąź to jeden świat. I w tę gałąź, pierdut!, wbija się podłużnie Arka, jak siekiera. I dzieli ją na dwie, takie równoległe. I masz dwie, Terranę i Ziemię, trochę mniejszą. Dopóki siekiery nie ruszysz, to się trzyma, ale jak szarpniesz i wyjmiesz, to się ta mała urwie.

– Dokładnie tak. Lądowanie Arki było początkiem Ziemi, a jej start będzie końcem – podsumował Chemik.

Kruk przytknął lewe oko, podrapał się po powiece, ale nie skomentował. Natomiast Garsteczka, patrząc się w przestrzeń przed sobą, odezwał się powoli: – No to wyjaśnijmy raz na zawsze. Mamy dwa zagrożenia. Po pierwsze, Wiedźmak stawia Latarnię na piramidzie i mamy pełny piździec. My może przeżyjemy, jeśli w niej będziemy siedzieć, ale to też dyskusyjne, w końcu jest powypadkowa, a likwidator szkód się nie spieszy. Tak? No tak. – Zagiął jeden palec. – Sprzeciwu nie widzę. Zagrożenie numer dwa: Arka zaczęła przeciekać, czytam promieniować, i raczej lepiej nie będzie. Grawitony, чује– мује, dzięki węże. Amplituda rośnie, rośnie...

– To wynikowa intensywności powstawania par cząsteczek wirtualnych w próżni – wtrącił Chemik.

– Dobrze, brawo, nic nie zrozumiałem. O czym innym mówię. Rośnie ci ta amplituda, aż w końcu co się stanie?

Zgiął drugi palec, popatrzył pytająco na towarzyszy. Chemik westchnął – zdarzało mu się to w ostatnim czasie coraz częściej – i powiedział: – Wil ma dość odważną propozycję.

– O proszę, ochotnik! No już, niech mówi, nie ma co oszczędzać słuchaczy.



– Arka działa na zasadzie magnetroniki, monopol magnetronicznych... Nawet nie będę próbował wyjaśnić. Ale Wil twierdzi, że w pewnej chwili piramida zacznie katalizować rozpad protonów. Eksponencjalnie.

– ...?

– Wykładniczo.

– ...???

– Potęgi! Dwa, cztery, szesnaście...

– Okej, jasne. Możesz lecieć dalej.

– Protony zaczną rozpadać się na pozytrony i piony, wydzielając ogromną ilość energii. Anihilacja bez udziału antymaterii. A to znaczy, znaczy, eee...

Urwał. Paweł uniósł brwi, usłużnie podsunął: – Dupa?

– Wszchedupa, Paweł. Zapaść magnetyczna. Może nie zniszczenie kontinuum, ale... Cała Arka w końcu zamieni się w jedną ogromną bombę. Nawet nie odważę się szacować jej mocy.

– I to zaczęło się, bo Latarnia z „okiem zła” trafiła do Ślepej Plamy? – doprecyzował Kruk.

– Tak uważamy, owszem.

– A jeśli wyciągnąć z niej „oko”, a potem jedno i drugie stąd wynieść? – Odwrócił się, popatrzył na leżący pod ścianą ponton. – Ta woda go nie rozpuści?

– Czytałem oznaczenia, został specjalnie przygotowany. Ekspedycja używała go przed zbudowaniem pomostu.

– *Six hours*[21] – odezwał się nagle Kyss. – *Probably*.\[22]

Chemik drgnął, niemalże podskoczył, jak spłoszone zwierzę. Zasyczał, zaczął nerwowo drapać się po głowie. W końcu uspokoił się nieco i powiedział: – Wnosząc z tego, że impulsy grawitonowe przyrastają wykładniczo, to musieliśmy się pomylić w ocenach. Do anihilacji Arki zostało sześć godzin... na tę chwilę.

Przewidziane korekty, i to w dół.

Garsteczka i Kruk wymienili się spojrzeniami. Paweł wstał, przeciągnął się, strzelił wykręcanymi palcami. Kruk odepchnął się od ściany i podszedł ku pontonowi.

– A wy dwaj dokąd? – zapytał Chemik.

– Idziemy zająć tych popierdoleńców na brzegu. – Garsteczka wzruszył ramionami, podnosząc przenośny kompresor.

– A potem zabierzemy transporter i wywieziemy stąd Latarnię.

W pierwszej chwili Rob wystraszył się bioskafandra – oczywiście na tyle, na ile barbarzyński umysł warga i zimny rozum Titomira razem były w stanie w ogóle się bać. Ale jego Pan nakazał mu wejść do środka dziwnej rzeczy, więc Rob zrobił to, co mu polecono... i szybko zaczęło mu się podobać.

Pancerz dawał siłę, a nawet jeszcze więcej siły. Sprawność. Energję.

Z początku nie było tak różowo. Skafander przeszkadzał i zawadzał, niczym trzecia noga. Słabo reagował na sygnały, Rob potykał się, machał niezgrabnie kończynami. Próbując przywyknąć, uderzeniem pięści wyrwał drzwiczki jednego z porzuconych samochodów... Ale dezorientacja nie trwała długo, z minuty na minutę coraz lepiej dawał sobie radę.

Nosiciel i jego egzozskielet przystosowywali się do siebie nawzajem, a wkrótce niemalże doskonale się dopasowali.

Mimo że Rob z początku denerwował się, widząc w głowie monitor taktyczny pancerza, to orientacja w danych i wskazaniach przyszła niemalże odruchowo. Na pierwszy rzut oka piktogramy i znaki były zupełnie niezrozumiałe, ale technologia alfarów wkrótce dopasowała się do postrzegania warga– człowieka.

A potem znów wszystko się popsło, wszystko wysliznęło się spod kontroli. Punktowo, w jednej chwili – gdy bicz plazmowy przerwał na pół pomost pod jego nogami.

Szkarłatno– różowa woda zakłapała, Rob rzucił się panicznie, próbując utrzymać na powierzchni. Pomiedzy palcami odnóży błyskawicznie wyrosła cienka błona, ale to nie wystarczyło. Skafander pomagał biegać, skakać, umożliwiał podnoszenie ciężarów i był zabójczy w walce, ale nie zaprojektowano go do pływania w tak rzadkich cieczach. Pancerz ważył jednak niemało i ciągnął w dół, niczym kotwica.

Rob, jeszcze przed chwilą czujący się niemalże niepokonany, poszedł na dno jak kamień.

Tonął, przekręcając się bezwładnie, aż uderzył o pochyłą ścianę piramidy, uciekającą w mroczną toń poniżej. Obrócił się, przylgnął do powierzchni, zaczął się ześlizgiwać. W hełmie rozległo się echo, gdy chityna pancerza zazgrzytała o ścianę Arki, w głośnikach bulgotała i szumiała woda.

Rob spróbował złapać się czegoś, zahamować, ale nie pomogły nawet przyssawki na palcach. Przekręcił się na plecy.

Zrobiło się zupełnie ciemno, monitor wyświetlił powiadomienie: włączono rezerwowy system orientacji.

Na podłużnym, chitynowym hełmie zapaliły się dwie wąskie szczeliny oczu. Dokoła widać było matową, zielono– szkarłatną zasłonę gęstej cieczy, u góry uciekała coraz węższa ściana Arki, a do niej biegła wąziutka, urwana przy samym końcu kreseczka pomostu.

Zaryzykował spojrzenie w dół. Dno schodziło dość płynnie, a potem nagle urywało się gwałtownym spadkiem, tam, gdzie wbijała się w nie ściana Arki.

Już wcześniej czujniki pokazywały mu, że w otoczeniu da się wyczuć wyraźny ruch otaczającej go substancji. Teraz sam Rob był pewien, że w dół ciągnęła go nie tylko grawitacja, ale też prąd wody. Już stąd widział wyraźnie, jak w jednym miejscu mętna woda jest wysana w dziurę pomiędzy burtą Arki a kamienistym dnem.

Wyciągnął ręce wysoko nad głowę, podkurczył nogi, wciągnął głowę w ramiona; wystająca naprzód część hełmu docisnęła się mocno do przednich płyt pancerza.

Wpadł w otwór niczym torpeda, poleciał dalej, przyspieszając coraz bardziej w mętym tornado. Jezioro zniknęło, wokół była tylko bulgocząca czerń, a Rob zapadał się coraz głębiej i głębiej.

Zewnętrzne czujniki dały znać: w jednolitej powierzchni piramidy pod nim znajduje się otwór. Z drugiej strony wyświetlacza pojawiły się od razu informacje o samej Arce, lista zamieszkujących ją istot, wymiary... Czyżby skafander już teraz przewidywał, że ciągnęło go w kierunku wnętrza piramidy?

Najwyraźniej! Dziura musiała powstać albo jako uszkodzenie, albo też awaria systemów doprowadziła do otwarcia któregoś z wejść na niższych poziomach... Albo też żrący płyn był potrzebny maszynie do jakiegoś procesu naprawczego? Ta i podobne myśli migwały w części umysłu wciąż kontrolowanej przez majora Titomira; Arhar tylko szykował się do walki.

Rob słyszał przybliżający się szum – woda musiała wpadać z impetem w otwór. Tak, widział już, że w ścianie Arki ziało wejście, obramowane czarnym wyłędciem, niczym zwiniętym fałdem skóry.

Pęd wody wzmógł się, w głowie zadudniło i razem ze strumieniem wody wpadł do wnętrza piramidy. Zarzuciło nim, uderzył o coś głową, potem ramieniem, monitory błysnęły i zamigotały, popłynęły po nich słupki pomarańczowych i czerwonych znaków, kilka oznaczeń systemów skafandra zamigotało panicznym szkarłatem.

System wspomagania wizji wyłączył się, Roba otuliła ciemność. Przeturlał się, uderzył o coś twardego, szarpnęło nim w bok, rzuciło w dół, a potem poleciał bezwładnie i plasnął ciężko w płytką rzeczkę.

Od wstrząsów i przewrotów Robowi zakręciło się w głowie, ale szybko doszedł do siebie. Bioskaf płynął i dryfował, uderzał o kamienie i przekręcał się w strumieniu gęstej, brudnoczerwonej wody. Obok niego przepłynął pień, przed samym hełmem prześliznęło się stado żmijoryb z prymitywnymi, szczątkowymi łapami.

Zaczął przebierać rękoma, słysząc narastający huk. Złapał się czegoś, czując, jak wzmaga się prąd. Zobaczył leżące pod wodą drzewo, resztką korzeni trzymające się dna i wystające nad wodę. Czyli ta rzeka pojawiła się niedawno, dopiero wyrzynała sobie koryto? Skąd zatem te dziwne ryby?

Nieważne. Złapał się pnia, wbił wysunięte usznięcie przez pancerz pazury. Dał radę dotrzeć do miejsca, gdzie drzewo wychodziło ponad powierzchnię wzburzonej rzeki. Błony pławne schowały się w dłonie, hełm wypuścił bokiem nagromadzoną w pancerzu wodę. Skafander zatrzęsł się i prychnął, niczym żywa istota.

Ostrożnie, żeby nie ześliznąć się z powrotem, przeczłogał się dalej, niemalże ku wystającej nad urwiskiem wodospadu koronie. Wstał na czworaki, potem ukląkł i rozejrzał się.

Oświetlenie było skąpe, ale doskonale widział walącą w dół wodę, rozsiewającą różowawy obłok żrących kropli.

Wodospad musiał powstać dopiero co, gdy przez otwór w burcie piramidy do środka wdarła się woda z jeziora. W dole rozłożyła się szeroka dolina, upstrzona zielonymi od mchu i porostów skałami, dalej rozciągał się las, w którym lśniły plamki jezior. Krajobraz niemalże naturalny.

Tyle tylko, że linia sztucznego horyzontu, wytyczona przez pochyłą ścianę i posadzkę, była wyraźnie odchylona od pionu. W centrum tego landszaftu wznosiła się czarna wieża– kolumna, otoczona belkami potężnych kratownic.

U podstawy okalał ją wał ziemi i głazów, u góry zaś jarzył się pierścień ogromnych lamp. Z takiej odległości były nieledwie podłużnymi plamkami światła, niczym płatki rozwijającego się kwiatostanu.

Ogromna sala pełna była ruchu cieni, szelestów, trzasku gałęzi, ćwierkania i pohukiwania. Szumiała głośno woda, piszczały i nawoływały się ptaki, coś wyło i ujadło. Na skraju lasu przesunęło się coś ogromnego, ale niewysokiego, niemalże płaskiego. A tam, z boku, za skałami – istota z plamiastym grzbietem, jeszcze chwilę wcześniej wyglądającym jak część okolicy, poruszyła się i pomaszerowała ku jezioru. Poderwało się stado ni to ptaków, ni to nietoperzy o ciemnoczerwonych skrzydłach.

Wzrok sam z siebie wrócił do centralnej kolumny. Kratownica rusztowań wokół niej... w zasadzie dałoby się po niej wspiąć. Na pewno będzie jakieś przejście na poziom wyżej, a potem jeszcze. Pytanie tylko, jak wysoko było do szczytu Arki?

Rob wsłuchał się w swoje odczucia. Czy potrzebował odpoczynku? Nie, nie czuł zmęczenia. Nie czuł nic – ani wahania, ani strachu, ani ciekawości. Tylko zdecydowanie. Nawet zanim plazmowy bat rozciął pomost, jego Pan zdążył wydać rozkaz: „Zatrzymaj ich!”.

Dość szeroka komenda, ale Rob miał zamiar ją wypełnić.

Nie mógł inaczej.



17 Nie strzelać! Nie uszkódźcie Latarni! (ang.)

18 Powłoka wojny biologicznej, (ang.)

19 Bioskafander. (ang.)

20 Na pewno? (ang.)

21 Sześć godzin, (ang.)

22 Prawdopodobnie, (ang.)



Ty, na pewno nie przeżre? – Garsteczka przykucnął na skraju pomostu, ostrożnie puknął nogą kołyszący się na wodzie ponton.

– Przecież pływali nim tutaj, zanim zbudowali sobie pomost. – Chemik jako pierwszy wskoczył do środka. Kruk trzymał cumę, patrząc z niepokojem na wzburzoną wodę. – Wil mówił, że guma jest czymś lakierowana.

Otulająca wyrobisko mgła lśniła jasnym blaskiem, więc panował półmrok. Garsteczka, szczerze mówiąc, wolałby ciemną noc, żeby łatwiej podkraść się pod bazę – albo żeby był normalny, słoneczny dzień. A teraz wszystko zdawało się falować, w głębinie mlecznego tumanu przepływały jakieś jaśniejsze plamy, jakby ktoś tam z latarką chodził.

– Wsiadaj już! – burknął najemnik. – Czas ucieka.

Paweł pokiwał głową, zsunął się na dno pontonu. Przysiadł na ławeczce, próbując oprzeć się nogami o nie do końca twarde dno, wziął wiosło. Kruk bezszelestnie przesunął się obok, umościł na dziobie. Aż dziwnie wyglądał, tak bez płaszcza... jak oskubany z piór.

Ponton kiwnął się, gdy najemnik odepchnął ich od pomostu wiosłem. Złapali z Garsteczką wspólny rytm, popłynęli.

Z bronią było marnie: pistolet z ostatnią kulą, szydło Kruka, maczuga z prętów, nóż stołowy Chemika i rezerwowy scyzoryk Pawła. Tymczasem przeciwnicy mieli, wedle wszelkich prognoz, aż nadto zarówno amunicji, jak i broni do jej wystrzeliwania.

Jedyna nadzieja w zaskoczeniu, doświadczeniu Garsteczki i talentach Kruka.

– Włochaty, niepotrzebnie z nami się pchasz – szepnął Pasza, wiosłując w skupieniu. – Został tam brader Wil sam jak palec. A on nam ani brat, ani swat, tylko ideologiczny wróg i zgniły sługus kapitalistycznego Zachodu. Przecież wiesz, co o jego firmie mówią? Podobno w Afryce kiedyś się dogadali z jakimś lokalnym kacykiem i jak zaczęli swoje próby nowych domieszek do żywności, to ludzie grobów nie nadążali kopać.

– A mnie się pan Kyss wydaje być bardzo porządnym człowiekiem – nie zgodził się Chemik. – Weź pod uwagę, że jest sam, a nawet samotny, i to od długiego czasu. Ma powody, żeby się bać. Jest zagubiony, nie wie, co dalej. Jest po naszej stronie, Paweł! Co z niego za kapitalista? Młody naukowiec na kontrakcie, Węgier.

– Dobra, dobra. Przecież widzę, że się już zwąchaliście.

– Co z robakami? – odezwał się Kruk. – Jeżeli zaatakują?

Chemik odpowiedział: – Rozmawiałem o tym z Willem. Twierdził, że trzy lata temu, gdy bronili się przed ich kolejnym napadem, jeden z żołnierzy dał radę strzelić ze strzelby magnetycznej dokładnie w otwartą norę. Rzekomo broń wcześniej ładowała się dobrych kilkanaście sekund.

– No i? – zainteresował się Paweł, przypominając sobie rozmaślonego zombasa na Kordonie. – No

mów, czego milczysz?

– Poczekaj, próbuję poukładać sobie jego słowa w normalnym języku. Najogólniej mówił, że wydarzyło się coś podobnego, jak po moim uderzeniu biczem, a potem robaki zniknęły i dłuższy czas się nie pokazywały. Już myśleli, że ich nie ma, ale potem zaczęły się znów stopniowo pojawiać, ale trwało to jakiś czas.

– Czyli że co, dziś nie wyleżą?

Kruk uniósł ostrzegawczo rękę, więc zamilkli od razu. Garsteczka wyciągnął swoje wiosło z wody, ponton sunął dalej siłą inercji.

– Co jest? – Paweł nie wytrzymał jako pierwszy.

Kruk jeszcze kilka sekund trwał w bezruchu, potem przysiadł, obejrzał się.

– Wydawało mi się, że widziałem ruch na brzegu.

– E, nic nie widać...

– Możliwe. Ale wydawało się.

– Myślicie, że wystawili wartę? – zapytał Chemik.

– Też o tym myślałem. – Paweł odłożył wiosło, widząc, że ponton skręcił i dopływają do pomostu. Złapał ręką za żelazny wspornik i przesunął ich kawałek dalej. – Trzech wargów tam mają, rannego Rysia, jeśli żyje, no i Wiedźmaka. Coś tak czuję, że też się nie spodziewają, że przypłyniemy w gości. Pomost przecież urąbało po całości, a że mamy ponton, to wiedzieć nie mogli. Jeśli pilnują, to raczej od strony brzegu, że może tam jakoś byśmy... O ile w ogóle.

– Dobrze, ale na co mieliby tam czekać? – zapytał Chemik. – Zasiedli w bazie i siedzą. Po co? Dłaczego? Przecież mamy pewność, że Wiedźmak o niczym innym nie marzy, tylko jak się dostać do Arki. Chce zamontować Latarnię i zapewne skoczyć w czasoprzestrzeni na pokładzie Arki... niszcząc przy okazji nasze kontinuum.

– Kurna, no o czym taki myśli?! – zdenerwował się Garsteczka po raz kolejny. – W dupie ma miliardy ludzi, zwierzątka, cyncate baby i dobre żarcie... Byle własną dupę uratować, tfu!

– Nie „o czym”, Paweł, a „w jaki sposób”. To już kwestia zmian w psychice, zapewne nieodwracalnych. Nie mamy nawet pojęcia, jak może wnioskować taki socjopata, czym się kieruje ani czego chce.

Garsteczka przypomniał sobie kulawego, łysego olbrzymia z artefaktem zamiast oka. Spojrzenie, sposób wysławiania się, ciężkie stukanie kostura. Otrząsnął się.

– Fakt, nie mamy – mruknął.

– Ale nie o tym mówię. Na co tamci czekają, jeśli jeszcze sami nie przystąpili do ataku?

– Pewnie rany liżą i się szykują. No dobra, panowie, jesteśmy na miejscu.

Gumowe dno zaszurało o kamienie, Kruk jako pierwszy wyskoczył, szybko złapał za cumę i wyciągnął ponton dalej na brzeg. Kiedy Garsteczka i Chemik dołączyli do niego, pokazał ręką w kierunku bazy: – Stukają.

Garsteczka wyjął zza pasa swoją maczugę, odwinął z brezentu, chroniącego ponton od przekłucia. Faktycznie, gdzieś zza koszar niósł się stukot i jakiś zgrzyt. I głosy. Miał nadzieję, że wrogowie mogą spać w którymś z domków, w najgorszym razie wystawiwszy uprzednio wartownika... A tymczasem coś się działo. Niedobrze.

Z drugiej strony, nie było wartownika, więc chyba nikt ich nie zauważył. Mogłoby być gorzej.

Wsunęli ponton pod pomost, po czym pobiegli w kierunku bazy. Niebawem stali już pod ścianą laboratorium, gdzie hałas i rozmowy było słychać wyraźniej. Światło z mgły płynęło po bazie, to wyrysowując maszyny i budynki ostrzej, to znów pozwalając im ześliznąć się w półmrok.



– To nie z koszar – powiedział Chemik. – Z tyłu skądś raczej. Co oni tam robią?

– He, a ja chyba wiem – mruknął Garsteczka.

Chemik i Kruk spojrzeli na niego pytająco, on się uśmiechnął.

– Co, nie łapiecie jeszcze? No dobra, zaraz się okaże, czy mam rację. Lada chwila zacznie się jazda, więc żebyśmy mogli, jako zwycięzcy, napisać historię, to musicie mnie teraz posłuchać. Po pierwsze primo: Wiedźmaka wyłączyć. Środki na ten cel: jedna kula i szpilorek Kruka. Kruk, słyszysz? Ja trzymam broń w gotowości i przy pierwszej szansie posyłam łysemu kulkę. Ty, jeśli się nadarzy, poprawiasz mu kosą w bebecz. Albo odwrotnie, jak wyjdzie. Niech się cały artefaktami naszpikuje, a z ołowiem we łbie i stałą w brzuchu długo nie pociągnie, he, he. O czym to ja... aha. Dalej. Rysio ranny, i to poważnie. Jeśli jeszcze żyje, to trzeba...

– Żyje – wtrącił Chemik. – Poznałem jego głos.

– Kurde, jaki ty jesteś normalnie sokole ucho, wiesz? No dobra, żyje. Ale pewnie leży gdzieś i ledwo zipie.

– A jeśli nie? Mówić może.

– Jeśli nie, to... To trudno. I tak trzeba działać na spontanie. Na dachach nikogo nie widać, więc teraz idziemy do koszar, po drodze się rozdzielamy. Tam w ścianie jest okno, ty Kruk zasuwasz na wprost do niego, jak szczała z uku. Chemik, ty na prawy winklel, patrzysz, czy nie ma nikogo od strony jeziora. Niby nikogo nie widziałem, ale kto wie. Jeśli ktoś będzie, to go likwidujesz, jak nie, patrzysz, co Kruk robi. A ty przez okno filujesz do środka. Jak kogoś widzisz, pokazujesz Chemisiowi, ilu i gdzie. Wtedy włochatek wbija do środka i załatwia temat. Ja ogarniam drugi róg budynku i lukam, co się tam dzieje, od strony urwiska. No bo stamtąd ten hałas, co nie?

– Tak – potwierdził Chemik. – Ja też się już domyślałam, co tam robią.

– Mhm... – mruknął Kruk.

– O widzicie, jacy wszyscy jesteście wybitni? Ale i tak ja pierwszy byłem. Pytania? Nie widzę. No to co, cała naprzód, w dupę kontinuum!

Ruszyli, rozbiegając się na boki, w kierunku podłużnego budynku koszar – i dokładnie wtedy stukanie ucichło.

Rob znajdował się na półpoziomie technicznym – bo nie miał pojęcia, jak inaczej można nazwać ogromną płaszczyznę pomieszczenia, pełnego rur, dudniących czarnych kolumn, drabinek, szybów wentylacyjnych, kratownic, przejść i belek.

Jedynymi źródłami światła były fosforyzujące plamy i oznakowania... Które jednak powoli przesuwały się w pozornie losowych kierunkach.

Zdołał się tu dostać wyłącznie dlatego, że czujniki Arki reagowały na jego pancerz i otwierały przynajmniej część drzwi i śluz. Gdyby nie to, już dawno zabrnąłby w ślepy zaułek któregoś z dolnych poziomów. Przeszkód po drodze nie brakowało, a te istoty, które widział... niczego podobnego nie było w pamięci ani Roberta Titomira, ani nawet szaroskórego wargę Arhara.

Wdrapał się na metalową półkę, biegnącą wzdłuż łukowatej ściany, i zaczął krok po kroku przesuwać się naprzód. Od pewnego czasu szukał przejścia wyżej, ale na razie bezskutecznie. Sufit był niczym monolit, pokryty płataniną rur i kratownic.

Wkrótce zaczął mijać jedną po drugiej wąskie belki, ciągnące się od półki ku przeciwległej ścianie – błyszczące wilgocią, jakby wysmarowane przezroczywą, oleistą substancją. Nawet w pancerzu nie zaryzykowałby próby przejścia po nich.



Na ścianie, wzdłuż której się przemieszczał, dało się dostrzec dużą, lśniąca plamę, powoli zmieniającą formę i dryfującą po metalu, niczym przedziwna ameba. Rob wyminął ją, próbując nie dotknąć plecami.

Dalej ściana skręcała pod kątem prostym, więc ominął róg – i przystanął, widząc, że na belce przed nim ktoś siedzi!

Człowiek? Warg? Trudno powiedzieć, bo nieznanego skrywał podobny jak u Roba pancerz, tyle że mniejszy i w kilku miejscach uszkodzony.

Obcy siedział na belce w kucki, na lewej skroni chitynowego hełmu znajdowało się pęknięcie, częściowo zasnutę lepkiemi niciami, niczym pajęczyną. Lewa wizura była pęknięta, za nią widać było ciemną źrenicę. Dół pancerza był niemalże nietknięty, góra zaś w kilku miejscach potrzaskana i połamana. Przez pęknięcia widać było korpus w wytartych łachmanach, przewiązany brudnymi bandażami. Krawędzie dziury okalała piana, a wypukłe płyty napierśnika przecinała rysa, wokół której rozsypały się czerwonawe punkty wżerów w chitynie.

Źrenica w pękniętej wizurze przesunęła się, a potem człowiek obrócił głowę. Pancerz nie miał już kończyn górnych, a z dziur po stawach wystawały chude ręce tego, kto operował bioskafandrem... Jego bladą skórę pokrywały wzory tatuaży, wąskie nadgarstki i dłonie okręcone były porwanymi szmatami.

Człowiek wydał z siebie dźwięk, coś pośredniego pomiędzy krakaniem i piskiem, po czym machnął ręką. Rob odruchowo zrobił unik, a zaostzony kawałek metalu przeleciał obok jego głowy i brzęknął głośno o ścianę. Na cienkiej, śliskiej belce nawet utrzymanie równowagi graniczyło z cudem, a mimo to nieznanomy błyskawicznym ruchem przekreślił się na brzuch, rozpląszczył i zaczął odpełzać, niczym robak.

Rob skoczył za nim. Był to raczej odruch, a wręcz instynkt, niż konieczność. Uderzył stopami o belkę, odepchnął się i przesadził długim susem dzielącą go od przeciwległej płyty pustkę.

Nad płytą czerniała jednak dziura szczeliny, a uciekinier, który też dotarł już do końca belki, z zaskakującą chyżością dał nura w zbawienną czernią. Rob padł na ziemię, wyciągnął rękę, chcąc złapać nieznanego – nie zdążył. Usłyszał tylko oddalający się zgrzyt i stukanie, które potem ucichły. W ciemności zamigotał i zapalił się podłużny, zielonkawy punkcik jednego okularu hełmu.

Rob miał kłopoty z formułowaniem swoich własnych myśli, ale doszedł do wniosku, że pancerz posiada swoją własną, jakkolwiek prostą, świadomość sprzężoną z umysłem nosiciela. Jeśli bioskafander jest ranny, chory albo wręcz umierający, to jak wpływa to na psychikę jego użytkownika?

Zaszyty w norze uciekinier znów zaskowyczał i zacharczał przeciągle. Odpowiedział mu podobny okrzyk, niosący się echem gdzieś z boku. I jeszcze jeden, kolejny... Rob rozejrzał się, cofnął o krok. W stalowym, chłodnym mroku poziomu technicznego zapaliło się kilka par ogników, następnie kilkanaście, wyżej i niżej, pod nim...

Zaczęły się zbliżać, a ciemność wypełniły szmery i nierówne stukanie. Rob cofnął się jeszcze o krok, gdy z góry przyleciał zwinięty w spiralę długi, ostry płaskownik i uderzył go w opancerzone ramię. Kiwnął się w tył, skoczył na belkę i od razu dalej, ku ścianie, skąd od razu zsunął się na kratownicę, schodzącą w mroczne głębiny poziomu.

Gdyby ścigali go zwykli ludzie, wargowie albo cokolwiek innego, podjąłby walkę, zwyciężył i radował się swym tryumfem. Ale sfora nosicieli biopancerzy... Tacy przeciwnicy mogli okazać się niebezpieczni nawet dla niego, a Rob nie mógł wystawiać się na niepotrzebne ryzyko. Przede wszystkim musiał przecieżyć wykonać wolę swego Pana.

Gdzieś nad nim było przejście wyżej. Pobiegł po kratownicy, kalkulując już kolejny skok, aby jak najszybciej dotrzeć do górnej granicy poziomu.

Kiedy Garsteczka dobiegł do koszar, Chemik już wychylał się zza przeciwległego rogu. Kruk nieco się spóźnił, bo musiał biec skulony, żeby nikt go przypadkiem nie zauważył przez wybite okno.

Paweł stanął plecami do ściany, zmusił się do równego oddechu. Pistolet, maczuga... Znów słyhać było stukanie, tym razem zupełnie blisko, za rogiem. Stukanie młotka o żelazo.

Chemik tymczasem odwrócił się do niego, potrząsnął głową: nikogo nie ma.

Kruk podkradł się do okna, wyprostował i zajrzał. Pokazał ruchami: widzę jednego, śpi. Jeszcze kilka gestów... ach, kolor skóry i uszy, więc warg.

Po strzelaniu na pomoście szaroskórych zostało trzech. Jeden w środku, więc za rogiem, zza którego Garsteczka nie odważył się wyjrzeć, mogło być dwóch.

I jeszcze Rysio.

No i sam Wiedźmak.

Co prawda artefakt na kosturze tego ostatniego powinien pobłyskiwać i rzucać cienie, a nic takiego nie było widać. No właśnie, a gdzie jest Latarnia, przez którą rozpętała się ta cała kosmiczna zawierucha?

Paweł pokazał Chemikowi: wbijaj do środka, bierz śpiącego. Ten skinął i prześliznął się za róg. Szkoda, że nie będzie widać, jak sobie hiper poradzi.

Kruk za to widział. Zajrzał znów przez okno, a Garsteczka tylko z niewiele mówiącej mimiki twarzy najemnika mógł wywnioskować, co się działo. Kruk ledwie zauważalnie skrzywił się, pokręcił głową z dezaprobatą. Zmarszczył brwi, poruszył ustami. Co też tam Chemik wyrabia?

Nie wytrzymał, zatruchtał wzdłuż ściany – a wtedy Kruk splunął z pogardą, wyciągnął swój nóż, podciągnął się na rękach i przetoczył przez parapet.

Garsteczka podskoczył bliżej w samą porę, żeby zobaczyć, jak najemnik pochyla się nad wargiem, leżącym na jednym z piętrowych łóżek stojących przy ścianie. Dłoń Kruka zacisnęła się na ustach śpiącego, nóż szybkim ruchem schował się pod brodą. Ciało rzuciło się, obwisło. Kruk wyciągnął ostrze i wytarł je o prześcieradło, odwrócił się.

Stojący niedaleko Chemik patrzył na niego. Patrzył jak zaczarowany, niczym zahipnotyzowany. Dopiero kiedy najemnik wziął z szafki karabinek i ruszył ku oknu, hiper otrząsnął się i poszedł za nim.

Wygramolili się na zewnątrz. Garsteczka złapał Chemika za ramiona, syknął: – Zdumiałeś? Miałeś go załatwić od razu, przecież mógł się obudzić! Żeby konus musiał za ciebie robotę odwalać...!

– Nie zabiłem, bo nie! – Chemik odepchnął go. – Nie mogłem.

– Co to znaczy, nie mogłem?!

– To istota rozumna. Zabicie we śnie to...

– To najlepsza opcja, bo jak istota rozumna śpi, to masz gwarancję, że nie będzie walczyć! Kurwa mać no! To był zaszany warg, dzikus, jebany barbarzyńca! A ty się w humanistę bawisz! Pacyfista włochaty się znalazł!

– Pierdol się, Paweł.

– Ja?! Za to ty się...

– Morda w kubeł, obydwaj – rzucił stojący obok Kruk. – Zrobimy co trzeba, potem będziecie się żreć. Latarnię któryś widział?

– Nie.

– Ani ja – mruknął hiper.

– Czyli mogli z powrotem do transportera zanieść. Chemik, obejdz budynek z tamtej strony i sprawdź, czy ktoś stoi przy drugiej ścianie. Wiedźmaka też nie widać.

Gdy hiper odszedł, Paweł przysunął się do Kruka i szepnął, pokazując na karabinek: – Ile masz pestek?

– Nie ma jak sprawdzić – odparł najemnik. – Szczęknię magazynkiem, usłyszają.

– No to czekaj, pomyślny... Leżał pod ręką, więc raczej załadowany, co nie?

Kruk zważył broń w ręku.

– Pusty nie jest. Ale ile w środku przecież nie sprawdzisz.

Stukanie młotka znów ucichło, zza rogu rozległ się słaby głos: – Dość już tego walenia, aż uszy bołą. Te końce, o, liną zwiąż. Czego nie rozumiesz? Ty tępą, szara Świnio... O, tak zwiąż!

Mówił Rysio. Młotek nie odezwał się ponownie, a szkoda, bo doskonale zagłuszał inne dźwięki. Zza dalszego rogu pojawił się Chemik, przebiegł wzdłuż ściany, zahamował i nachylił do Garsteczki.

– Za koszarami nikogo nie ma.

– No to... – zaczął Garsteczka.

– Ej, a gdzie szef się zgubił? – odezwał się Rysiu. – Cholera, boli mnie... No dobra, ja go znajdę, bo przepadł normalnie, a ty dalej gwoździe bij.

Skrzypnęło, puknęło, potem bliżej... Szedł w ich stronę!

– Kurde, na nas idzie! Ja go zdejmę, Kruk, ty bierz szarych! – Czas na zastanawianie się minął, Garsteczka skoczył za róg.

Wyleciał prosto na Rysia, kuśtykającego o samorobnej kuli, poskrzypującej i stukającej przy każdym kroku. Uniósł wzrok, odruchowo przycisnął rękę do zabandażowanej piersi... w którą, niemalże z

przyłożenia, dał ognia Garsteczka. Kula rzuciła go w tył. Rysio poleciał na ziemię.

Wysoki, muskularny warg, w pocie czoła zbijający bierwiona, deski i blachę, uniósł głowę. Widać było, że nie umiał pracować młotkiem, ale rezultatu jego trudu zapewne wystarczyło, by kilku ludzi mogło przeprowić się przez żrące jezioro do piramidy. Dokładnie tak myślał Paweł: robią sobie tratwę! Musieli przecież jakoś dostać się do Arki, więc zdecydowali, że zamiast próbować przez na pewno strzeżony pomost, obejdą ją od drugiej strony i po cichu zdesantują przez wodę.

Ryzykowny wariant, nawet desperacki, ale Wiedźmak nie miał wyboru.

Warg wyprostował się, porwał z ziemi pistolet maszynowy – ale wtedy biegnący za Garsteczką Kruk odepchnął go ramieniem i puścił krótką serię ze swojego karabinka. Szarym miotnęło, niczym szmacianą lalką, padł na ziemię, rzucił się konwulsyjnie i zmarł.

A gdzie ten trzeci?! Garsteczka rozejrzał się. Nad nim coś skrzypnęło, Paweł odskoczył od koszar, przykucnął. Sukinsyny, jednak wystawili wartownika! Budynek miał nieduże poddasze z okienkiem, w którym pojawiła się barczysta postać.

Chemik i najemnik stali pod samą ścianą, Pasza nieco dalej, więc też w niego dał ognia warg. Kula świsnęła nad głową, niemalże muskając włosy – a on wyprostował się, zamachnął, sapnął i miotnął trójzębem.

Nigdy wcześniej nie miał okazji ćwiczyć rzutu trójzębem, dwuzębem, rohatyną ani innym dziwadłem. Ale przyznać trzeba, pierwszy raz wyszedł mu tak, że aż się sam sobą zachwycił – podobnie jak i jego poprzednie pierwsze razy.

Samorobna broń zafurkotała w powietrzu, pomknęła ku wargowi i wbiła mu się jednym z ostrych pazurów prosto w bebech. Wartownik zawył rozdzierająco i złożył się wpół.

W końcu przypomniał o sobie też Chemik – podskoczył jak sprężyna, jedną ręką złapał za parapet, a drugą chwycił wargę za włosy i wyciągnął na zewnątrz. Szaroskóry poleciał na ziemię, jak worek kartofli, przekreślił się na bok, krwawiąc z brzucha... Kruk, nie czekając ani chwili, rozniósł mu głowę dwoma strzałami.

Koniec. Nikogo więcej nie widać. Jeden w środku na łóżku, drugi z kulą w piersiach, trzeci załatwiony wysiłkiem kolektywnym. Aż jakoś się niemiło Pawłowi zrobiło, jakby cień padł na sumienie. A może ma rację włochaty, że nie powinno się tak po prostu ludzi zabijać? Czy to szarych, czy białych, albo i czarnych nawet?

Z drugiej strony, tamci pewnie też najpierw by ich pozabijali, a potem bawili się w wyrzuty sumienia. Albo i nie. Nie było też tak, że oni znieścacka napadli kogoś neutralnego, żeby ograbić, albo tak, dla czystego okrucieństwa. Mieli przecież powód: bronili swojego kontinuum. A kontinuum to taka mała... to jest, raczej: duża Ojczyzna. Tak? No chyba tak. Albo i nie.

W dalszych rozmyślaniach filozoficznych przeszkodził mu narastający łoskot. Niby było i wcześniej coś takiego słyhać, ale przy strzelaniu i zamieszaniu Pasza nie zwrócił na to uwagi. Kruk i Chemik też odwrócili się w tamtą stronę – i nagle cały placyk przed koszarami załało oślepiające światło reflektorów.

Prosto na nich pędził transporter! I to ten ich (to znaczy, już nie ich) z anteną teleportera, niemalże bliski, jak rodzony!

Uniesiony dziób przedniego pancerza był tuż– tuż, więc Pasza rzucił się na ziemię, zakrył głowę rękami i zacisnął powieki.

Szum, huk i warkot nakryły go, zrobiło się ciemno, włosy szarpnął podmuch gorącego powietrza z nutką smaru.

Na chwilę zrobiło się jaśniej, a potem załomotało, przeraźliwie jęknął metal i beton... Garsteczka zerwał się, obejrzał.

Transporter wbił się w ścianę koszar. Dach osiadł, ale jakimś cudem nie zawalił, maszyna do połowy schowała się w budynku.

Kruka nie było widać, pewnie go rozjechało na papkę. Hiper leżał z boku... nie, też podniósł się na równe nogi, skoczył ku transporterowi. Obydwaj zobaczyli, jak otwiera się właz za wieżyczką, ale hiper był szybszy – niczym błyskawica wdrapał się na pancerz w tej samej chwili, gdy na zewnątrz wysunął się Wiedźmak.

Oj, lepiej by tego Chemik nie robił. Lepiej poczekałby na Garsteczkę, we dwóch by na łysego skoczyli i raz – dwa załatwili sprawę. Wiedźmak zdążył wyrzucić przed siebie rękę, a hiper wleciał głową prosto na osadzony w kosturze artefakt.

Błysnęło i trzasnęło, półmrok na chwilę zniknął, a mgła wokół wyrobiska załśniła odblaskiem. Chemika jakby taranem ktoś walnął, rzuciło nim w tył, w locie nakrył się nogami i poleciał bezwładnie na plecy, przejechał kawałek po ziemi i zamarł bez ruchu.

Garsteczka był już na pancerzu, więc rzucił się na szamana, strzelił go pięścią prosto między łopatki. Ten odwrócił się, łokciem z zamachu odwdzieczył się ciosem w twarz.

Oj, silny to on był, co tu dużo mówić. Szczeka chrupnęła w zawiasach, ból eksplodował w okolicach uszu. Garsteczka zaskowyczał, bo wrzasnąć nie mógł, do tego musiałby otworzyć usta, a po takim uderzeniu zaczął mieć wątpliwości, czy kiedykolwiek da jeszcze radę zjeść pizzę hawajską inaczej niż przez rurkę.

Artefakt na kosturze znów rozbłysnął, opisując w powietrzu łuk. Gdyby Pasza był minimalnie dalej, to dostałby prosto w skroń – ale tak przyjął uderzenie w bok głowy tylko drewnem.

Tylko, albo i aż. Nogi ugięły się pod nim, przed oczami popłynęły kolorowe plamy... Zleciał z transportera, walnął głową o pozostałości rozjechanej tratwy. Spróbował odczołgać się, nawet częściowo mu się to udało... ale po paru metrach zabrakło sił, zemdlilo go i w ogóle poczuł się tak słabo, że tylko na pogotowie dzwonić.

Obejrzał się przez ramię: bojowy artefakt „udaru” majaczył nad rufą transportera, niczym oko samego diabła. Potem przesunął się rozmazaną kreską – to właściciel kostura zeskoczył na ziemię.

Wiedźmak przekręcił swoją laskę artefaktem w dół i ruszył ku Garsteczce.



Rozdział 16

W głowie dudniło i łomotało, jak w fabryce cynowych wiader. Chemik uniósł się, zajęczał... albo spróbował... nie wiedział nawet, czy faktycznie się poruszył, czy tylko chciał. Jakoś dał radę otworzyć jedno oko. Bładowy blask powoli zalewał bazę, a potem rozwiewał w nicość.

Niedaleko w półmroku świecił jaśniejszy punkcik. Z początku ledwo, ledwo widoczny, potem rozjarzył się mocniej... Chemik zrozumiał, że to artefakt wmontowany w kostur.

Po uderzeniu w głowę nijak nie mógł złapać ostrości widzenia, po kręgosłupie przetaczały się fale bólu, kończyny zdawały się żyć własnym życiem. Nie był w stanie ani przekręcić się na bok, ani tym bardziej wstać. Jedyne, na co mógł się zdobyć, to unieść głowę.

Na rufie białego w ścianę transportera stał Wiedźmak. Obok Garsteczka chrypiało coś, jęczało i próbowało pełznąć przez resztki czegoś... czegoś. Przynajmniej mógł się ruszać.

Wiedźmak obrócił się w kierunku Chemika, jednooka twarz spojrzała na niego bez wyrazu. Pod białą tkaniną opaski pełgał bursztynowy ogienek... Zrobił krok, stuknął kosturem o pancerz, a artefakt w jego kolanie błysnął mocniej. Nawet korpus szamana zdawał się lekko lśnić! Andrzej przypomniał sobie, jak Garsteczka kiedyś krzyknął coś o tym, że Wiedźmak to cyborg – ha, dokładnie tak!

I teraz ten anomalny cyborg miał zamiar dobić Garsteczkę.

Wiedźmak zeskoczył z transportera na ziemię, jego kolano znów rozjarzyło się światłem, układającym się w dwie obręcze niczym łamigłówka z giętego drutu.

Garsteczka zabełkotał coś, przekręcił na brzuch, spróbował wstać. Nie dał rady, upadł, uderzył podbródkiem o bierwiono. Zaczął odpęłzać, a Wiedźmak ruszył za nim, unosząc kostur, na którym płonął niczym pochodnia artefakt.

Chemik zdołał usiąść, ale potem znów osunął się na bok, głowa bezwładnie oparła się o ziemię. Sparaliżowane przez uderzenie anomalnej energii nerwy powoli wracały do normy, mózg odzyskiwał kontrolę nad ciałem... Ale na pełne dojście do siebie potrzebował jeszcze dobrych kilku minut.

Kilku minut, których Chemik nie miał. Wróć: nie miał ich Garsteczka, który czołgał się z uporem, ale nie dość szybko.

Chemik wyciągnął przed siebie bezsilnie rękę, przebierając palcami. Leżał i patrzył, zaciskając tylko zęby.

Garsteczka w końcu przekręcił się na plecy, słysząc coraz bliższe kroki. Kostur wzniósł się w powietrze, niczym szykująca się do ostatecznego uderzenia włócznia.

Chemik patrzył... ale nie tylko. Palce jego wyciągniętej ręki poruszały się, jak gdyby ściągając i przeplatając niewidzialne nitki.

Garsteczka chciał coś powiedzieć, w końcu po prostu splunął w kierunku wiszącego nad nim olbrzyma. Kostur uderzył.



Palce Chemika zacisnęły się z całej siły.

Andrzej nie mógł zapomnieć, że były ochroniarz z Kompleksu nieumiejętnie próbował opowiadać mu, jak manipulował energią anomalii. Kiedy na Stacji zdołał poszczuć na siebie kilka sąsiednich artefaktów, leżących w torbie bandyty. Od tamtej opowieści marzył o tym, żeby kiedyś samemu zrobić coś podobnego.

I właśnie po raz pierwszy spróbował.

Wyszło topornie. Za mało doświadczenia, za mało praktyki. W końcu pierwszy raz. Żadnych subtelnych manipulacji, nic z tego, czego chciałby spróbować. Zwykła, chamska, brutalna interferencja.

Wystarczyło.

Świejące obręcze w stawie kolanowym Wiedźmaka zamigotały i pękły, bryzgając na wszystkie strony ognistymi odłamkami.

Wiedźmak wrzasnął. Chemik po raz pierwszy usłyszał, jak były dyrektor muzeum Borys Grigoriewicz Wiedźmakow, a obecnie obłąkany szaman Wiedźmak, krzyczy z bólu.

Noga wygięła się pod dziwnym kątem, a łysy olbrzym upadł na kolana. Kostur nie dosięgnął do głowy Garsteczki, zarył w ziemię. Błysk światła uderzył gdzieś pomiędzy resztkami tratwy, wznosząc fontannę ziemi i szczap. Ziemia jęknęła i drgnęła tak, że Chemik to poczuł.

A potem Garsteczka jakimś cudem usiadł. Usiadł i popatrzył Wiedźmakowi prosto w twarz.

Kolano szamana płonęło żywym ogniem, trzaskały i zwęglały się resztki anomalnej konstrukcji. Wiedźmak zgrzytnął zębami z bólu, a potem złapał Garsteczkę za gardło.

Pasza wyszczerzył zęby, mimo że na twarzy wystąpiły mu chyba wszystkie żyły. Niespiesznym ruchem przesunął ręką po pasku, sięgnął do kieszeni. Wyjął scyzoryk. Pstryknął ostrzem, po czym wbił je Wiedźmakowi prosto w zasłonięty przepaską oczodół.

Wbił i powoli, z namaszczeniem przekręcił.

Bursztynowy błysk był oślepiający. Na mgnienie oka Chemik ujrzał z pełną wyrazistością kształt czaszki pod ciemną aureolą skóry i żył, chrząstki nosa, dziąsła i zęby – jakby w powietrzu zawisło zdjęcie rentgenowskie. Skruszony ostrzem noża artefakt zalał cały czerep szamana łśnieniem, kula ognia rozrosła się w niej i rozlała w dół po kręgosłupie.

Wiedźmak zakołysał się i upadł w przód, prosto na Garsteczkę. Pasza zdążył wyrwać się z uścisku, przekręcić na plecy i wyszarpnął nogę, którą oparł o pierś wroga, ciężącego nad nim niby potężny, wyrwany z korzeniami dąb. Ręce rannego zadrgały, Wiedźmak zachrypiał, rzucił głową.

Pasza też zachrypiał, nie mogąc utrzymać ciężaru na jednym tylko kolanie – a mimo to zebrał się w sobie, odepchnął Wiedźmaka od siebie, rzucił na ziemię.

Chemik w końcu usiadł.

Z dziury, w której stał transporter, rozległo się skrzypienie i zgrzyt odsuwanych kawałków gruzu, a potem stłumione powarkiwanie Czerwonego Kruka.

Bioskafander znów włączył noktowizję, więc w przygaszonym, zielonkawym poblasku widać było salę pełną stożkowatych wysepek, pomiędzy którymi chlupotała woda. Niewykluczone, że wcześniej stała spokojnie, ale teraz, gdy piramida przechyliła się, pojawił się nurt.

Wygramoliwszy się z włazu na szczycie jednego z takich podwyższeń, Rob zeskoczył w wodę. Ten poziom był już zauważalnie mniejszy od poprzednich, więc wnosząc po nachylonych ścianach, drogi pozostało niedużo. Na górę prowadziło kilka kratownic, oplecionych lianami. Dziwne. Przypominające raczej grube, włochate włosy, bez śladu liści czy gałęzi, sterczały po prostu z dna poziomu. Jedna z belek, pęknięta w połowie, przebiła sklepienie i wybrzuszyła jego segment, tworząc szerokie pęknięcie.

Każdy wystający z wody pagórek zwieńczony był wąskim, świecącym owalem, zrobionym ni to z plastiku, ni to ze szkła...

Brodząc w głębokiej po kolana wodzie, skierował się ku najbliższej wysepce. Wirtualny wyświetlacz pancerza podpowiedział mu, że to odżywczy roztwór organiczny, nasycony całym wachlarzem przydatnych

mikroelementów.

Owale pokryte były plamami szarawego nalotu, pomiędzy którymi widać było tkwiące głęboko w nich zarodki. Jaja! Rob zobaczył zwinięty embrion: podgięty pod brzuch szczątkowy ogon, łapki z pazurkami, długi pyszczek i czarne plamki zawiązków oczu. Pomiędzy łapkami biegła przejrzysta rurka, spirala chowająca się w narośli na dnie sztucznej macicy.

Istotka ledwie widocznie kołysała się w gęstym, opalizującym płynie.

Powierzchnia pagórka była śliska i wilgotna – na pewno nie ziemia, trudno powiedzieć co. Roba otaczało kilkadziesiąt takich lśniących jaj, ale pomiędzy nimi było też kilka zgasłych, rozbitych i pustych.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie rozbić jajka, żeby wyciągnąć zarodek i przyjrzeć mu się bliżej, ale zrezygnował. Jego świadomość była niczym ciemny korytarz, na końcu którego płonęło przyzywająco światło celu wytyczonego przez Pana.

Wszystko inne miało znaczenie tylko o tyle, o ile pomagało bądź przeszkadzało w realizacji jego celu.

Zsunął się w wodę i ruszył ku złamanej belce, w białej w sufit. Zatrzymał się jednak, widząc pod nogami ciało. Zarośnięty, długowłosa mężczyzna w łachmanach unosił się twarzą do góry, ręce i nogi falowały w takt wody. Na wysokości krtani widniała nieduża, równa dziurka – jak po uderzeniu czymś wąskim i ostrym. Celnym, szybkim, zabójczym uderzeniu.

Rob chyba wiedział, komu przypisać takie uderzenie – i jaką bronią zadano cios.

Rozejrzał się. Trup musiał spaść tu przez dziurę w sklepieniu. Z góry rozległo się niewyraźne mamrotanie, potem jakiś odległy hałas i wycie. Nie zwierzęce, ale i nie ludzkie.

Przemienieni.

Słowo wypłynęło z pamięci majora Titomira, bo wargowie używali innego – ludzozwierz. Przez krótką chwilę dwie osobowości walczyły w nim o prymat, a potem znów złąły się w jedno. Ludzozwierz, tak. U jego stóp leżał martwy ludzozwierz. Tam, na górze, byli pozostali. Nieduże stado, wnosząc po odgłosach, około tuzina.

Bez znaczenia, Rob da sobie z nimi radę. Był nawet zadowolony. Kilka żałosnych istot, które zlikwidował po drodze, nawet w części nie uśmierzyło jego żądzy zabijania.

Wskoczył na belkę i zaczął się wspinać, przyspieszając w miarę nabierania wprawy. Bioskafander dawał ogromne możliwości, więc Rob rozpędził się, a potem skoczył, głową przebił warstwę korzeni i darni, wyskakując na kolejny poziom niczym spod ziemi.

W porównaniu do niższych sal tutaj kratowane sklepienie wisiało zupełnie nisko, a ściany wręcz pochylały się nad głową. Poziom oświetlały słupy błękitnawego blasku, w suficie zaś widać było okrągły otwór, przecięty zygzakiem szerokiego pęknięcia. Z dziury wystawał kawałek drabinki.

Rob ruszył dalej po przechylonej belce, ale znów usłyszał mamrotanie. Zamarł, obracając głowę w bok.

Pomiędzy drzewami dostrzegł kilku przemienionych. Zarośnięci, w łachmanach, uzbrojeni w kije i kamienie. Wysoki, brodaty samiec alfa miał karabin, ale trzymał go niczym maczugę, za lufę.

Widząc przyklejonego do belki, podobnego do insekta obcego, przewodnik stada zatrzymał się, zawarczał niepewnie.

Pozostali zasycieli i zahukali. Brodacz uniósł karabin, potrząsnął nim nad głową i zawarczał głośniejsze.



Skryty pod warstwami pancerza Rob instynktownie wyszczerzył zęby. Czy stado stało mu na drodze? W zasadzie tak.

Czy znał pełnię możliwości skafandra? Nie, więc należało przeprowadzić dodatkowe testy bojowe.

Tylko tak wykona w pełni rozkaz Pana... potem.

Skoczył z belki, wysuwając z gniazd na palcach długie i wąskie brzytwy szponów.

– Ciung, ciung swoje! Uważaj, bo za brezent zaczepiasz!

– Garsteczka, on ma wybity bark i najpewniej pęknięte żebro. Nie krzycz na niego.

– Bark wybity miał. Już mu wstawiłem, teraz siedzi jak należy. Włochaty, nie gadaj tyle, tylko łap swój koniec... o tak.

Kruk, a ty teraz w dół, w dół, mówię! Tylko się nie wywal. Kurwa no, nie depcz po brezencie! Przecież widzisz, że się ciągnie po ziemi.

– Zamknij się wreszcie.

– Się zamknę, jak zrobisz, co każę... Jeszcze trochę... Uff, no dobra.

Wyprostował się, otarł pot z czoła. Niedaleko od nich sterczał wetknięty pomiędzy deski kostur, artefakt na szczycie płonął jasnym blaskiem. Z niemalym trudem wyciągnięta z transportera Latarnia leżała obok gąsienicy. Odsunęli się od niej odruchowo wszyscy – wrażenie było takie, jak kiedy stanie się pod linią wysokiego napięcia na pierdylion woltów.

Niby nic konkretnego nie czujesz, a na mózg ciśnie i jakoś człowiek ma ochotę być gdzie indziej.

– Chemik, co ty tam widzisz? – zapytał Pasza.

Hiper oparł się ciężko o burtę. Zdążył już zdjąć kurtkę i zostać tylko w spodniach, po uderzeniu w głowę miał jeszcze kłopoty z koordynacją i równowagą. Kruk od razu usiadł na drewnianej skrzynce, skrzywił się z bólu. W falującym świetle jego twarz była niemalże kredowobiała, ręce drżały. Znow przekośliło go na bok, ale tym razem, zgodnie z diagnozą Chemika, od bólu w pękniętym żebrze.

I tak wykręcił się sianem, bo transporter ledwie go musnął, zamiast rozmasować po ścianie.

– Jakbym stał na skraju otchłani. – Chemik odruchowo odsunął się o krok. – W której huczy obłąkana pustka.

– „Obłąkana pustka”? – powtórzył z niedowierzaniem Garsteczka. – No, toś teraz dojechał trzynastozgłoskowcem, Platonie włochaty.

– Wykształcenie średnie niepełne, tak? Pasza, błagam cię, Platon był filozofem. Puszkina miałeś na myśli?

Garsteczka ostrożnie puknął czubkiem buta coś, co skrywał brezentowy pakunek.

– No to co, obejrzymy sobie zdobycę? Kurde, z jednej strony ciekaw jestem, a z drugiej... Tfu! Jak gównu w sreberku, wcale nie mam ochoty odwijać.

Zza transportera rozległ się jęk. Wymienili się spojrzeniami.

– Oho, łysy się ocknął. No chodźcie, popatrzymy na niego chociaż.

Wiedźmak na wpół leżał, oparty o gąsienicę. Ręce związali mu paskiem i przyczepili do sprężyny amortyzatora. Opaski z głowy nie dali rady ściągnąć, bo materiał zwęglił się i zapiekł, przylepił do oczodołu, zięjącego niczym czarna dziura na pomarszczonej, poparzonej twarzy. Łysy olbrzym wyglądał niczym cień samego siebie, jak wyspany z energii, którą wcześniej aż tryskał. Ciało zdawało się ledwie wisieć na kościach, twarz się zapadła.

Prawa noga była wyprostowana, lewa dziwnie wygięta w bok. Z nogawki na wysokości kolana i samej rzepki nie zostało w zasadzie nic.

Garsteczka przykucnął przed Wiedźmakiem. Prawe oko szamana, pełne bolesnego żalu, spojrzało wprost na niego.

– Co, bydlaku, przyszła i na ciebie grzybnia, co? Ano, przyszła. Wiesz co, tak sobie myślę, czyja ci współczuję... – Oparł się czołem o pięść, przymknął oczy. Potem podniósł się, plasnął dłonią o dłoń i podetknął Wiedźmakowi pod nos figę. – Chuja, a nie współczuję! Boli cię jak stado skurwysynów, nogę ci upitolilo, oko sam wydłubałem, i kiśniesz tutaj, bezsilny, jak gnojek u dyrektorki na dywaniku. Tak? I dobrze ci tak!

Przykucnął znow, pokręcił głową, uśmiechając się szeroko. Widać było, że tyrada zwycięzcy dopiero się zaczynała.

– I pomyśl teraz, wiedźmusi mój ty, w jakiej strasznej, czarnej dupie jesteś! Ha! Co ja mówię, to nie dupa, to już jelito grube! Twoich ludków sprawiliśmy jak się patrzy, a ty sam ledwo zipiesz. Temi rękami, rozumiesz?! No i częściowo Chemisia staraniem, ale to pośrednio, zdalnie. Ujebany, związany. Twoja wielka misja, o której tak radośnie pieprzyłeś, poszła cała w pizdu! Tak? No tak, i bardzo, kurwa, dobrze! – Klepnął Wiedźmaka w policzek, wyprostował się, zatarł ręce.

– Jak to się, kurwa, miło tak czasem na kimś wyżyć. Szczególnie pokonanym, jak już nie może oddać.

– To niskie było – mruknął Chemik.

– Zgadzam się, niskie. Ale jakie, kurwa, przyjemne! Ten palant, wyobraź sobie, mnie też zomibi... zofimbi... no, w zombie mnie zamienił tym artefaktem w oku! Na darmo, swoją drogą. I chciał dyla dać z naszego kontinuum w piramidzie, i w dupie miał, że przy okazji cały świat...

– Nie tego... chciałem...

Głos był cichy, niemalże płaczliwy. Nie było w nim ani grama tej mrożącej serca, huczącej siły.

– E, no zaraz, panie miły. Pan o czym? – potrząsnął głową Garsteczka.

– Chciałem... uratować rzeczywistość – szepnął Wiedźmak.

– Że co?! Patrzcie go, bydlaka! Nad grobem stoi i ma czelność łągać w żywe oczy!

– Musicie postawić Latarnię... – Głos ucichł, pierś Wiedźmaka zadrgała spazmatycznie. Przełknął coś z trudem, odetchnął i ciężko, powoli szeptał dalej: – Latarnię doładowaną „okiem” musicie postawić na szczycie Arki. Teraz, już.

Nieodwołalnie.

– Aha, już, w podskokach. I wystrzelić ją w cholere, a Ziemię i wszechświat zdmuchnąć pierdnięciem, tak samo jak powstała.

– Milcz – rzucił Chemik, nawet na niego nie patrząc. Garsteczce bardzo, ale to bardzo nie spodobał się ton, ani to, jak hiper patrzył na niedawnego wroga. Ścisnęło go w dołku, i to tak nieprzyjemnie. Jak wtedy, kiedy okazało się, że zrobili koledze z podwórka taki kawał, że tamten wylądował w szpitalu. – Panie... panie Wiedźmakow, co pan ma na myśli?

– Dyskutowaliśmy z Arturem. Z Kaufmannem, dawno, dawno temu. On miał swoje odczyty, dane z laboratorium. Arka musi zniknąć z naszej rzeczywistości. To właśnie ona ją niszczy.

– Ej, ej, ej! Hola, to nie tak! Na odwrót! – Garsteczka zamachał rękoma, czując już, że tylko próbuje ratować własne złudzenia.

– Arka przez cały ten czas... tysiąclecia, eony... nadrywa osnowę kontinuum. Impulsy grawitonowe stopniowo przenikają, a teraz zmiany... – Wiedźmak umilkł.

– Polaryzacja próżni – szepnął Chemik. – Nagromadzenie rezonansu fluktuacji kwantowych, rodzących pary cząsteczek i antycząsteczek, a w rezultacie wzajemna anihilacja. O tym pan mówi?

– Nie tylko nagromadzenie. – Wiedźmak musiał na chwilę przerwać, aby odzyskać siły, teraz odezwał się głośnie: – Ważne jest co innego: dysharmonia. Pod wpływem strangletu w rdzeniu Arki ciągle narasta amplituda. Nie wszystkie cząsteczki ulegają wzajemnemu zniszczeniu. Część z nich gromadzi się na marginesach potencjałów.

– Ale to... to przeczy zasadzie zachowania energii!

– Tak. Ale na poziomie pól kwantowych margines nierównowagi wciąż narasta. Dlatego też, gdy przekroczy wartość krytyczną, dojdzie do...

– Kolapsu rzeczywistości. Zapadnięcia się praw rządzących światem.

– ...pęknięcia osnowy. To trwało długo, narastało, a teraz... Zdążyłem, prawie zdążyłem! Niemalże dałem radę.

Wiedziałem, że nie ma czasu, dlatego musiałem iść szybko. Brutalnie, po trupach. Pieniądze od majora... Chciałem zebrać duży oddział, broń, sprzęt. Cel uświęca środki, byleby nie dopuścić do... tego. Miliony, miliardy istnień ludzkich na szali!

Milczeli wszyscy, patrząc w przerażeniu na umierającego szamana. Ten unióśł głowę, potoczył po nich wzrokiem.

– Nie miliardy – powtórzył twardo. – O wiele, wiele więcej. Inne planety, gdzieś tam, daleko, które też... Wszystko, co już znamy i czego nie poznamy nigdy. Widzieliście zakłócenia przez ostatnią dobę, intruzje z innych światów. To tylko jeden z symptomów końca.

– Myśleliśmy, że odpowiada za to „oko”...

– Nie „oko”, a stranglet. Niestabilny rdzeń Arki.

– Ale w takim razie dlaczego zabiłeś Kaufmanna? Ha, mam cię! – Garsteczka spróbował ostatniej, desperackiej linii obrony, a w zasadzie ataku. – Widzicie sami! Kłamie cały czas, przecież...

– Kaufmann... Artur chciał czegoś innego. Po amnezji, po pobycie w Sektorze, zmienił się. Jego psychika... być może podobnie jak Północnik, mój dyrektor artystyczny... To już nie ludzie, na pewno nie na poziomie mentalności. Każdy na swój sposób. Kaufmann tego chciał. Pragnął, by do tego doszło!

– Żeby... żeby Arka tu została i w końcu zniszczyła osnowę rzeczywistości? – doprecyzował Chemik.

– Tak...

– Nie wierzę mu! – krzyknął Garsteczka, uderzając pięścią o pancerz transportera. – Żaden z nich, nikt, kto wtedy tam był, w muzeum, nie pozostał normalny! Tobie też we łbie namieszało, ty pojebańcu łysy! Artefakt sobie „okiem”

ładowałeś, suko, ludziom mózgi prałeś jak leci!

– Wszystko wyłącznie po to, żeby stworzyć oddział. Żeby dotrzeć do Polesia, a potem tutaj. Transporter znalazłem, kiedy jeszcze chodziłem razem z podróżnikami. Jeden z załogi przeżył, przyłączył się do nas. Zginął głupio, przypadkiem...

Stanley Krammer, Kanadyjczyk. To on opowiedział mi o ekspedycji Biopharmu, o DynCorp. Zostawił mi klucz elektroniczny do maszyny. Chciałem dotrzeć do Plamy, zamontować Latarnię i zabrać stąd Arkę. Jeśli tylko stranglet opuści granice świata–brany, to ciśnienie powinno spaść, wskaźniki wrócić do normy. Rzeczywistość z czasem wróci do normy.

– Panowie, panowie! – Garsteczka zaczął się cofać. – Przerwa techniczna, musimy pogadać! Chemik, Kruk, do mnie!

Kiedy podeszli do niego, objął ich za ramiona, pochylił się i zaszeptał: – Kurde, włochatku, bracie miły, weź no powiedz, że to bzdury są! Przecież on nam oczy mydli, opowiada to wszystko, żeby nas przekabacić... No, powiedzże!

– Nie wiem. Nie mam pojęcia – zająknął się Chemik. – Z jednej strony, z punktu widzenia tradycyjnej fizyki to brednie.

Albo pozorne brednie. Ale z drugiej strony, z perspektywy tego, co mówił mi sam Wil... To, co tam widziałem, co czytałem na monitorach...

– Czyli jest taka możliwość – mruknął ponuro Kruk.

– Możliwość, że to właśnie obecność Arki stopniowo prowadzi do degradacji naszego kontinuum, że trzeba ją jak najszybciej stąd... eee...

– Wyprowadzić.

– ...Żeby uratować nasz wszechświat? Tak, do kata, tak! Jest i taka szansa! Ale równie dobrze...

– Równie dobrze jest szansa na cokolwiek! – syknął Garsteczka. – Na przykład, że rację ma brader Willie, a Wiedźmak chce po prostu zagrać nam na nosie, odlatując statkiem kosmicznym! A teraz przez waszą łatwowierność już nawet ja sam nie wiem, kto ma rację, a kto nie! W dodatku i tak mamy tu Latarnię, która do końca zepsuła coś w piramidzie, więc czas, czas, czas ucieka, panowie, co robimy?!

– Czas, obawiam się, już uciekł. – Chemik potrząsnął głową. – Proces może w każdej chwili wejść w fazę przyrostu wykładniczego. Ile nam zostało? Nie wiem. Godzina to chyba maksimum.

Garsteczka ścisnął głowę rękami. Stał tak kilka sekund, potem odwrócił się i podszedł do Wiedźmaka.

– Ej, ty!

Ten powoli uniosł głowę, popatrzył mętным wzrokiem.

– Słuchaj mnie, łysy. Albo chcesz zagrać nowoczesnego Noe–hipstera i samemu spierdzielić na Arce pełnej cudów, albo faktycznie chcesz pobawić się w nowego mesjasza i uratować świat. Nieważne. Robimy tak: podpinamy Latarnię do Arki i każemy Willowi ją uruchomić, bo podobno umie. I sprawdzimy, co się stanie, ale ty, pajacu, zostajesz tutaj. Rozumiesz mnie? Tutaj! Na pomoście leżysz i patrzysz. Więc jeśli nawet nie łzesz, jak Arka odleci, to zostajesz tutaj w nowym, lepszym świecie, a dupa pachnie ci fiołkami. A jeśli kłamiesz, to masz problem, bo wtedy...

– Zostawcie mnie tutaj – przerwał mu Wiedźmak.

– Że co?

– Zostawcie mnie tutaj. Nie na pomoście. I tak jestem już martwy, ale... kiedy Arka faktycznie zniknie z naszej rzeczywistości, przynajmniej zobaczę, jak bardzo miałem rację.

Zamilkli wszyscy. W końcu Czerwony Kruk powiedział: – Nie ma sensu, żebyśmy wszyscy znów tam leżli. Dokąd to w ogóle... polecisz?

– A wuj ją wie. – Garsteczka splunął, czując, że oszukał sam siebie. – Włochatego się pytaj. Jasne, kurde, że nikt nie ma ochoty w tej Arce ani lecieć, ani płynąć, ani siedzieć nawet! Może być i tak, że kontinuum se jakoś przeżyje, a nas zgniecie, jak zbuka w tylnej kieszeni spodni! I co wtedy?! I tak przecież już ledwo się trzyma to badziewie, co nie?! Stało tutaj cholera wie jak długo, rdzewiało i w ogóle, bez dozoru technicznego, bez przeglądów...

– Garsteczka, to nie autobus – jęknął Chemik. – Chociaż masz rację, każdy musi podjąć własną decyzję. Tu i teraz.

– Ja zostaję. – Kruk wzruszył ramionami.

– E, a dlaczego? – zareagował Garsteczka dziwnie żywo. – Nie no, wiesz, nie myśl sobie, że mam coś przeciwko, nie?

Twoja decyzja, jak chcesz, stary. Po prostu ciekaw jestem... Bo powiem wam, że sam ni cholery nie wiem, co zrobić.

Kruk pokazał ręką w kierunku czarnego stożka.

– Co tam będzie? Jeśli nawet gdzieś doleci, to dokąd trafimy?

– Inne kontinuum – powiedział Chemik. – Inne wszechświaty. Przypuszczam, że Arka musi posiadać systemy ochronno– kontrolne. To znaczy, o ile funkcjonuje jeszcze mniej więcej poprawnie, to nie będzie lądować w świecie, który miałyby okazać się dla nas otwarciem zabójczy.

– Światy, planety, komety... – warknął Garsteczka. – No nie mogę, nie mogę sobie tego wyobrazić! Świat... no co to w ogóle jest, taki świat?! No dobra no, planeta, okej, wyobraziłem sobie. Kulka ulepiona z ziemi, polana wodą, w środku lava. Na górze fauna, flora i inne tam atmosfery. Ale świat, ludzie?! Cały wielki, ze wszystkim i w ogóle...?!

– Pasza, co cię trapi? – Chemik położył mu rękę na ramieniu. Garsteczka spojrzał na niego na wpół błagalnie.

– Ja nie wiem, Chemiś, gdzie nas rzuci... Ale niech ta Arka wyląduje, ja ciebie bardzo proszę, tak żeby było powietrze normalne i ciśnienie w normie. Albo lekko niższe, bo sam mam obniżone, to wtedy lepiej, no... sam wiesz. I żeby było co pić, i do żarcia coś. I dziewczyny. Brunetki w miarę możliwości.

– A mnie to po nic – zdecydował Kruk. – Ja chcę z powrotem w Sektor. Jeśli gdziekolwiek, to tylko tam pozbędę się „krwawokwiatu”.

– Krwawo– czego? – zdziwił się Chemik.

– A, to sobie nasz najemnik taki artefakt– symbionta znalazł. Coś jak Venom w „Spider– Manie”, ale gorsza wersja. – Garsteczka machnął ręką. Miał poniekąd rację. W obliczu nadciągającej globalnej chujni tajemnica ampira była sprawą marginalną. Wnosząc po niezmienionej mimice Kruka, ten myślał podobnie.

– W zasadzie to jego to znalazło. Wredne, niebezpieczne, nieprzyjemne ogólnie. Jakoś by wypadało toto zdjąć, ale nikomu się wcześniej nie udało. Słowem, norma, jak dla nas.

– Czy to ta pulsująca plama światła na boku?

Kruk nie odpowiedział nic. Garsteczka potrząsnął głową.

– Panowie, decydujcie, kto, co i jak, a ja jeszcze chwilkę pomyślę i też się ogarnę. Dajemy sobie... no ile, dziesięć minut?

No siedem, niech będzie. Wiedźmak, słyszałeś? Zostajesz tutaj! Jeśli kłamiesz, to dostajesz kwantowego kopa w dupę, jasne?

– Nie kłamię – szepnął szaman ledwo słyszalnie, zamykając jedyne oko.

Co stało się zarazem epitafium dla byłego dyrektora muzeum krajoznawczego, handlarza artefaktami, szamana i wodza Borysa Wiedźmakowa – bo w tej samej chwili huknął sztucer, a jego twarz eksplodowała krwawym bryzgiem.

– Stać, nie ruszać się, włączędzy – zadudnił znajomy głos.



Rozdział 17

No wiesz co... po co go zastrześliłeś? – szczerze zdziwił się Garsteczka, odwracając się wraz z Chemikiem i Krukiem plecami do transportera, pod którym siedział martwy Wiedźmak.

– Odstępcza zasłużył na karę Bożą – zadudnił Wasilij Prorok, podchodząc bliżej z dymiącym sztucerem w rękach.

– Bożą, nie no, spoko. Ale nie ludzką chyba?

– Jestem narzędziem w rękach Pana!

– Aaa, jasne... Ale uważasz się raczej za klucz oczkowy czy coś z rodziny dłut? Czy może na przykład subtelniej, za wziernik?

– Nie bluźnij, człowiecze – powiedział Wasilij spokojnie.

– Nie no, ale ja tak szczerze ciekaw jestem, jak to jest. To co, tak ci kiedyś Pan Bóg na uszko lubieżnie szepnął, że jesteś jego narzędziem? Bo wiesz, że to brzmi, hm, dwuznacznie. Natomiast zupełnie niedwuznacznie trzymasz tę flintę, i to celując prosto w nas. Dlaczego, powiedz? Chyba że nas też już roboczo do grupy „przeklętych odstępców”

zaklasyfikowałeś, jak łysego?

– Panie Prorok, skąd wziął pan swój sztucer? – dodał Chemik. – Przecież broń straciliśmy jeszcze w obozie dzikich.

– Oręż mój miał ten niespełna rozumu, co do naszej łodzi się doczepił – wyjaśnił Prorok. Widać było przy tym, że lufa karabinu ani drgnie, a jego właściciel po prostu zastrzelił każdego, kto tylko się poruszy. – Przemogliśmy go, we mgłę diabelską cisnęli, ale wcześniej broń mu odebrałem. Potem zaś...

– A gdzie Tosza? – Garsteczka się rozejrzył. Odkąd podróżnicy przepadli we mgłę, bardziej i częściej przejmował się losem chłopaczka niż dziwnego brodacza w dżinsach i czarnym płaszczu.

– Żyję – rozległo się z boku.

Od strony koszar szli, trzymając się za ręce, chłopak i Lita. Dziewczyna szła z nim z wolnej, nieprzymuszonej woli, w dodatku spojierając od czasu do czasu cielęcym wzrokiem. Paweł aż sapnął, ot, kobiece serce! Ledwie porzuciła swoje stado i Mentora, już nowych obrońców sobie przygruchała, i to jak skutecznie.

– Siemano, młody – rzucił. – W sumie to fajnie, że żyjesz.

– Niezaprzeczalnie – odpowiedział Tosza, niepewnie zerkając na Proroka. – Też cieszymy... cieszę się, że żyjecie.

– Aha. To może broń opuść z łaski swojej?

Tosza, rzeczywiście, trzymał na pasie nośnym karabinek, a palec miał na spuście. Pewnie znalazł go w koszarach, do których zakradli się po cichu z Litą, podczas gdy oni we trzech bujali się tutaj z wyciąganiem Latarni z transportera. Więc Prorok musiał cały ten czas ich obserwować!

– Może nie zamieniamy konwersacji w wymianę losowych replik – poradził Chemik. – Bo pan Nowickij, to jest Garsteczka, ma po temu wrodzone zdolności.

– Jakie znów zdolności! Żadnych zdolności nie mam, ty już... e...
– Paszka, przyjacielu, milcz. Wasilij, niechże pan opowie, co przydarzyło się wam na diabelskim młynie?

Kruk zajęczał cicho, zakołysał się. Lufa karabinu Toszy przesunęła się na niego, ale sztucer Proroka twardo spoglądał w kierunku Garsteczki, przyciśnięty pewnym chwytem do ramienia właściciela. Płaszcz zwisał nieruchomo, sam przywódca dwuosobowego teraz klanu zdawał się być figurą z wosku.

Kruk wczepił się palcami w ramię Chemika, zwiesił głowę. Stał tak kilka sekund, potem usiadł, wyciągnął nogi i oparł plecami o gąsienicę, zaraz obok martwego Wiedźmaka. Otworzył oczy, zerknął na trupa i znów zamknął.

– Ranny – wyjaśnił Garsteczka.

– Wiem – odparł Prorok. – Słyszałem, widziałem.

– Więc obserwuje nas pan już jakiś czas – skostatował Chemik. – Raz jeszcze powtarzam: wyjaśnijmy sobie wszystko na spokojnie. Zechce pan odpowiedzieć na początek na moje pytanie?

Okazało się, że nie wszystko było tak proste i oczywiste, jak przedstawił to Prorok. Bo na dobry początek tak huknął głową Toszy o burtę, że ten stracił świadomość, a Proroka wyłączył z walki jednym krótkim w splot słoneczny. Obydwaj już w zasadzie pukali do bram raj, kiedy w sprawę wmieszała się Lita.

Sama dziewczyna nie uczestniczyła w opowieści, tylko siedziała z tyłu i błyskała oczkami, niczym małe, złe lisiątko.

Lisiątko, które, jak się okazało, miało przy pasku nożyk, którym chlasnęło Bo od tyłu po ścięgnię pod kolanem.

W rezultacie ten zamiast zastrzelić Proroka, tylko wypalił w pustkę, a sam Wasilij zdążył złapać za sztucer i wyjechać mu z główki prosto w nos. Bo wyleciał we mgłę, winchester został.

Podczas gdy oni szamotali się z przeciwnikiem, ich gondola minęła najniższy punkt i zaczęła się wznosić. Jakkolwiek Prorok uważał słowa Północnika za „szatański bełkot”, a jego samego niejednokrotnie mianował „antychrystem”, to rady i tak się posłuchali, czym prędzej wyskakując za burtę.

Jak się okazało – nie dość szybko. Podróżnicy długo błakali się we mgle, widzieli tam przedziwne rzeczy, duchy i upiory, dziwne pejzaże i kilka rzeczy, których nawet Prorok nie odważył się nazwać. W końcu wyszli na urwisko, niedaleko bazy, jeszcze za dnia. Już, już mieli wejść do sferycznego budynku, kiedy błysnęło i pojawił się transporter.

Schowali się w budynku sztabu, w piwnicy, i zamknęli na cztery spusty, obserwując świat przez małe okienko.

Widzieli, jak Wiedźmak prowadzi szturm na piramidę i wycofuje się w niesławie... A potem zmusza przetrzebionych i rannych żołnierzy, by budowali tratwę. W końcu patrzyli, jak wzdłuż pomostu po cichu płynie łódka z desantem.

Ale wcześniej, jak dało się zrozumieć, pomiędzy Wasilijem a Litą odbyła się rozmowa, w której ten szybko i sprawnie nawrócił dziewczę na swoją drogę myślenia. Chemik burknął coś o wtórnym praniu mózgow i doktrynach bipolarnych, ale umilkł pod piorunującym wzrokiem Proroka. Lita, jak widać było po jej oczach, przyjęła nową doktrynę z gorliwością i bezkrytycznością godną neofitki, wychowanej w jednej jedynej, cokolwiek mrocznej i zdecydowanie niedostosowanej do jej cielecącego wieku i charakteru ideologii Mentora. Nie dziwota, że prosto i jasno wyłożone postrzeganie świata wedle Proroka przypadło jej do gustu: cały świat zły, my dobrzy, tam piekło, tam zbawienie. Broń w dłoń, *Deus vult!*

Lita uwierzyła. Uwierzyła, czemu wydatnie pomogło, jak zauważył to Garsteczka, że zadurzyła się po uszy w młodym pomocniku swojego nowego idola. Mogło się to wydawać dość nieoczekiwanym zwrotem akcji, bo najbardziej męskim atrybutem Toszy był jego nos... W nim, w Paszy, mogłaby się zakochać każda od pierwszego wejrzenia, tak sobie myślał Garsteczka, a Tosza – no cóż, po ponurych, nieszczególnie ogarniętych dzikusach mógł faktycznie wydawać się błyskotliwym, męskim obieżyświatem i lwem salonowym.

Słowem, Lita punktowo odcięła pępowinę łączącą ją z Cudoparkiem, więcej nie mówiła o Otchłani, zrzuciła szaty dzikiej i zamieniła się w pobożną, rozmiłowaną w Panu, wielbiącą Jego Proroka i po uszy

zakochaną w Toszy podróżniczkę, tym samym zwiększając liczebność klanu o całe pięćdziesiąt procent.

– I co dalej? – zapytał Garsteczka.

Znudziło mu się stanie, więc przycupnął obok siedzącego nieruchomo Kruka. Niezadługo i Chemik usiadł po turecku, po drugiej stronie od martwego Wiedźmaka.

– Słyszałem, o czym z Odstępcą mówiliście – zadudnił basem Prorok. – I zdaje mi się, że zamącił wam rozsądek jego podstęp diabelski. Zali myślicie, że Wrota piekieł otwarte zostać winny?

– Panie Wasilij, doprawdy! Jakie Wrota znowu?! – zirytował się Chemik. – Niech wreszcie dopuści pan do siebie myśl, że mowa tutaj o prawach fizyki! Nie ma podstaw, aby mieszać do tego pańskie pseudoreligijne...

– Każde prawo na ziemi od Boga pochodzi – wtrącił się mimochodem Tosza, szepczący o czymś z Litą.

– Ale jaki ma to mieć związek z...

– Twarz ta sama – odezwał się nagle Czerwony Kruk, przenosząc ciężkie spojrzenie z resztek twarzy Wiedźmaka na stojącego nad nim Proroka.

Wszyscy zamilkli, patrząc na najemnika. Garsteczka zapytał ostrożnie: – Kruczek, o czym ty znów gadasz?

– Są identyczni. – Kruk pokazał na Wiedźmaka, potem na Proroka. – Tylko przez brodę nie od razu się zorientowałem.

Lufa sztucera spojrzała Krukowi między oczy, a Garsteczka plasnął się ręką w czoło.

– W mordę i nożem, fakt! Już wcześniej tak myślę, gdzie ja tego gościa widziałem?! Fakt, przez brodę nie widać! To co, wy z tym łysolem braćmi jesteście?

– Byliśmy – odrzekł Prorok. – Ale gdy brat Odstępcą się staje, to potem jak obcy człowiek jest.

– Jeden na księdza poszedł, drugi na dyrektora... To co, brata rodzonego właśnie zastrzeliłeś, jak zwierzę?! – Garsteczka chwycił się za głowę. – Ty... ty pojebie religijny! Wcześniej jeszcze jakiś respekt u mnie miałeś, bo myślałem, że twardy jesteś, ale teraz... ty cwelu! Niech cię diabli, popierdoleńcu!

– Milcz! – ryknął na niego Prorok. W lejącym się z mgły świetle widać było, jak bardzo spąsowiała jego twarz. – Nie wiesz, czego wyrzekłem się w imię ludzi i Pana! Duszę swoją kaleczyłem, grzechy najcięższe na siebie brałem, zabijałem w imię Jego! W imię dobra na Ziemi całej, szczęścia ludzkiego!

– W dupie mam takie szczęście! – zawył Garsteczka, pokazując otwartą ręką na martwego szamana. – Kogo tutaj, kurwa, nie spotkać, każdy o wyższych celach pierdoli! Swojego nosa pilnuj, palancie, innym nie sraj do kaszy, wtedy szczęście będzie! Kutasie ty brodaty, morderco!

Wasilij poruszył ramionami, strząsnął z siebie płaszcz, złapał sztucer jedną, potem drugą ręką, pozwalając materiałowi zsunąć się na ziemię.

– Tosza, pilnuj! – zachrypiał, a chłopaczek wypuścił rękę Lity i uniósł karabinek do oka. Prorok szarpnął za koszulę, poleciały guziki. Zerwał ją z siebie, cisnął na trawę.

Pod spodem miał skórzaną kamizelę, a do niej przymocowane dziesiątki przezroczyстых cylindrów z żelaznymi wieczkami, wypełnionych jakąś gęstą substancją. Widać było biegnące od jednego do drugiego przewody, łączące się w gruby kabel, przyklejony do ramienia i potem nadgarstka ręki taśmą klejącą. Na końcu był plastikowy przycisk, do tej pory schowany pod mankietem rękawa, do którego zapewne Wasilij mógł sięgnąć palcem serdecznym dłoni.

– O kuźwa, to przecież... – jęknął Garsteczka.

– Heksogen – potwierdził Chemik. – Co najmniej dwa kilo... Panie Wasilij, co pan chce zrobić?

– Wysadzić Wrota! – warknął tamten. – I teraz pojąłem, że wraz z wami, heretykami to zrobię. Nie chciałem gubić was, nie chciałem życia pozbawiać, jako że nie występowaliście wcześniej przeciwko woli Pańskiej. Ale przyjęliście słowa Odstępcy, więc innej drogi teraz nie ma. Lita, do mnie!

Dziewczyna podskoczyła, podbiegła. Widać było, że gotowa jest na wszystko, co tylko rozkaże jej nowy przywódca, w jej oczach pełgał zimny, stalowy blask.

– Trzymaj. – Prorok podał jej sztucer, który od razu wycelowała w trójkę towarzyszy przy transporterze. – I pilnuj, córko!

– Będę pilnować, ojczule! – pisnęła.

– Tosza, ty też czujny bądź. Z miejsca im nie pozwólcie się ruszyć. Jeśli który co zamyśli, strzelajcie,

dzieci moje, bez wahania. Ten tutaj, z kolorowymi oczami, to diabeł z nich najgroźniejszy....

– Ej... – rozłożył ręce Garsteczka.

– ...Ale teraz ranny jest. Ten stwór włochaty porusza się szybko, a żołnierz ma swoje sztuczki. Pilnujcie ich! Tosza, bądź mocny i silny! Lita, córko moja... – Wasilij podniósł koszulę, zarzucił na ramiona. – Lita, nasz Tosza to człek prawy i wojownik Pański, ale bywa, że dobre serce do słabości go przywodzi. Gdyby od współczucia miała ręka mu drgnąć, gdyby zawahał się... Ty się nie zawahasz, córko?

– Nie, ojczu. – Neofitka potrząsnęła głową. – Nie zawaham.

– Zuch dziewczę. – Prorok odwrócił się do jeńców. – Wkrótce ruszymy ku Wrotom, aby na wieki je zamknąć. Dopiero wtedy Ziemia bezpieczna będzie od nasienia diabelskiego.

– Stary, ale ta piramida to jest przecież locha jak nie wiadomo co! – parsknął Garsteczka. – Tam jest parę kilosów w dół, a ty chcesz ją na taliba wysadzać? Debil! Może jakbyś się na rowerku rozpędził i w nią wbił z dwoma kanistrami benzyny, to coś byś zdziałał... Albo i nie, ale chętnie bym na to popatrzył.

– Wystarczy mojej ofiary, żeby wysadzić Klucz do Wrót i jego tron plugawy. – Prorok pokazał na czubek Arki i leżącą obok transportera Latarnię. – Ile dla tego zwierza mutanciego moi bracia upolowali, ile skór i wnętrzności sprzedali naukowcom... Wszystko po to! – Położył rękę na piersi. – Każdy grosz w to wkładaliśmy. I nie heksogen to wasz, a specjalny, błogosławiony olej, na moje zamówienie w dalekich krajach wytworzony. Dość, żeby całe miasto z powierzchni Ziemi zmieść! Niemało nas to kosztowało, ale teraz jego siła stanie się mieczem Pańskim! Mieczem, którym uderzę we Wrota piekieł i zamknę je na zawsze!

– Pojebało cię do końca – westchnął Paweł. – Już wcześniej byłeś pogięty, ale teraz po całości ci odbiło.

– Dzieci moje, sprawdzę tratwę. – Prorok zwrócił się do Toszy i Lity. – Jeśli da się, to na niej popłyniemy. Jeśli nie, to pójdę ich łódź odnaleźć. Czekać na mnie, wkrótce powrócę.

Wasilij ruszył ku porzucanym bierwionom, a jak tylko się oddalił, Garsteczka syknął: – Tosza, powiedz mi, on całą drogę to na sobie targał, jak talib jakiś?

– Bomba w plecaku była – mruknął Tosza ponuro. – W piwnicy ojciec się w nią ubrał.

– W piwnicy bombę zakładał. Pięknie. Chłopie, opamiętaj się! Nie widzisz, że mu na mózg padło?

– Nie mów źle o ojczulku! – Tosza przestąpił z nogi na nogę, karabinek w jego rękach zadrżał. – On za nas się ofiaruje, za wszystkich, za cały świat!

– I razem z całym światem – warknął Chemik. – Myśl, Tosza! Nie musisz powtarzać jego słów, myśl sam!

– Milczeć! – krzyknęła Lita. – Tosza, nie słuchaj heretyków! Osłabić cię chcą, jad sączą do ucha! Garsteczka potrząsnęła głową.



– Tosza, ziomek, sam czujesz, że twój stary spadł z rowerka! On jeszcze jest tutaj, ale umysł już, frrrr! Do innego kontinuum poleciał na wakacje.

Stuknęło drewno, rozległy się kroki – Prorok wracał. Minął jeńców, nawet na nich nie patrząc, skinął swoim podopiecznym i poszedł w kierunku jeziora. Pasza odczekał, odezwał się znów: – No dobra, młody, masz mnie na muszce. I co dalej? Zastrzelisz, jak psa? Zabijesz? To powiedz tylko: w brzuch mi strzelisz? W pierś? A może w głowę? Jak teraz wstanę, to strzelisz i zabijesz? – I zaczął powoli się podnosić.

Tosza podskoczył, strzelił raz w bok, raz pod nogi, jeszcze dwie kule poleciały rykoszetem po pancerzu.

– Zabiję! Zabiję, Pasza, jak mi Bóg miły! Grzech na siebie wezmę, ale świat uratujemy! Ojczulek rację ma, zawsze miał!

– Ty grzech weźmiesz?! Przecież ten posraniec chce nas wszystkich pozabijać! Tosza, Toszka, człowieku! Kochasz dziewczynę? No przecież widzę, widzę, że tak! A on ją zabije! Tego chcesz?

– Nie zabije! – krzyknął chłopaczek przez łyży. – On... ty nie wiesz, nie masz pojęcia! Ojczulek

powiedział, że to on Wrota wysadzi! I razem z nimi Klucz, on się poświęci, a nam nic się nie stanie! Wasilij, ojczulek mój... – chlipnął, siąknął nosem – on święty jest, anioł z Nieba. Męczennik Boży, a ty złorzeczysz mu, jak, jak... jak odstępcą! Heretykiem jesteś, Pasza, skoro przeciwko niemu chcesz wystąpić. Wszyscy zginiecie, a my żyć będziemy, ojczulek w Niebie, a my tu, na Ziemi, w szczęściu radosnym...!

Dało się słyszeć chrzęst żwiru – Prorok wracał znad jeziora. Kruk poruszył się, przekręcił, dotknął żeber i warknął: – Wszyscy nienormalni jesteście. Wariatkowo na kółkach.

– Masz rację. Dom wariatów. – Garsteczka nagle poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Zgarbił się, oparł dłońmi o ziemię.

Zerknął spod oka na martwego Wiedźmaka, na patrzącego w pustkę Chemika. Na dziewczynę, trzymającą go na muszce.

Machnął ręką. – No dobra, to sobie pogadaliśmy. I co dalej, powtarzam?

Na pytanie odpowiedział mu Prorok: – Dalej ruszamy ku Wrotom. Wy trzej zanieście Klucz na ponton, a potem poniesiecie go pomostem. Dopiero na końcu spuścicie na wodę, przywiążecie, i nim przeprowimy się na drugą stronę. Tosza, Lita! Odejdźcie teraz, dzieci moje.

Ja odchodzę, aby wysadzić Wrota i odkupić wszystkie grzechy.

Schylony Kruk ciągnął ponton na krótkiej linie, przywiązanej do kółka na dziobie. Najemnik sapał i krzywił się z bólu, pęknięte żebro dawało o sobie znać.

Za nim Chemik i Garsteczka nieśli we dwóch brezentowy pakunek. Hiper szedł tyłem, co rusz oglądając się przez ramię; Paweł szedł drobnymi kroczkami, kłął i pluł w czerwoną wodę. Latarnia była nawet nie tyle ciężka, co po prostu cholernie wielka i niewygodna do niesienia. Weźmiesz z boku, to uderza w łydkę, potykasz się co chwilę. Weźmiesz z tyłu, to znów idziesz okrakiem, jak debil, żeby nie walić kolanami o twarde materiały.

Zaraz potem kroczyli ramię w ramię Tosza i Lita, trzymający naszych bohaterów na muszce – przy czym dziewczyna miała też karabinek, znaleziony przy zabitym wargu. Pochód zamykał Prorok ze swym sztuczerem. Garsteczka raz i drugi niby mimochodem obejrzał się przez ramię, ale widać było, że brodac ani na chwilę nie traci czujności.

Do piramidy było już niedaleko, robiło się jaśniej – nad Ślepą Płamą wstawiała marna imitacja dnia.

Garsteczka zaciskał zęby i myślał sobie, że w podobnych sytuacjach człowiek zawsze ma głupią nadzieję, że ktoś inny coś zrobi. Sam nic nie możesz, wachman dyszy ci w kark, więc patrzysz po kolegach: a nuż ktoś, coś? Jeden przecież hiper, cały czas na sterydach; drugi zabójca, no może i trochę ranny, ale ma tego swojego symbionta, niech coś ogarnie!

Z drugiej strony szeptał inny, ponury głos: dupa, dupa...! Nic nie zrobicie. No co, rzuci się któryś i co? Kulka od razu.

Uciec nie ma gdzie, chyba że w to paskudztwo czerwone skakać. Pomost za wąski, więc przez Latarnię i nad Garsteczką skakać – nie ma szans! Nie trzeba Proroka, wystarczy, że szczył Tosza albo jego nieletnia pańcia spust ściągną i witaj smutku. Na takiej odległości nie da się nie trafić.

Tak myślał, myślał i nie mógł nic wymyśleć. Mimo to nadzieja wciąż się tliła, szykując się, żeby umrzeć jako ostatnia.

Co, swoją drogą, było niebezpiecznie bliskie prawdy.

Minęli już połowę pomostu, kiedy Chemik powiedział: – Tak to jest, panie Wasilij, że religia kwitnie na trupie zdrowego rozsądku.

Deski skrzypiały pod nogami, po jeziorze płynęły fale blasku. Szli dalej w milczeniu, ale Prorok w pewnej chwili odpowiedział: – Wiara to stworzeń wszechświata.

– Sworzniem wszechświata są prawa fizyki – parsknął Chemik. – Wiara trzyma w ryzach tylko jedno – umysły fanatyków!

– Żonglujesz słowami, heretyku. Wiem, że postępuję słusznie. To mi wystarczy.

– Nie wie pan, a wierzy. Dlatego właśnie uważa pan swoją mylną wiarę za ważniejszą niż losy świata. Ba, co ja mówię!

Ważniejszą niż sam Bóg.

– Którego, swoją drogą, nie ma. – Garsteczka sobie nie odpuścił.

Chemik spojrział na niego, potrząsnął głową.

– A może właśnie jest?

– Hę? Brachu, dobrze się czujesz? Do tej pory raczej nie wyglądałeś na pobożnego.

– Pozory potrafią mylić. A przecież nie wiemy, czy Wielki Wybuch, jak umownie nazywany jest początek wszechświata, nie był wynikiem aktu woli istoty nadrzędnej! Ale ważne jest to, że nie ma to znaczenia. Nie jest koniecznym, aby poznawać dzieje stworzenia świata.

– Znów gry w słowa i słówka! – pogardliwie rzucił Prorok. – Łżesz, faryzeuszu, sam przecząc sobie! Wiara i wiedza o tym, że to Bóg stał u prapoczątków wszechrzeczy, jest częścią naszej wiedzy o stworzeniu. Nie wiedząc tego i w to nie wierząc, żadna istota nie może być na tym świecie doskonałą!

– No, tutaj ci przysłał – mruknął Garsteczka.

Ale Chemik nabrał tylko tchu.

– Właśnie o tym mówię, wiedza też, a nie sama wiara! Nauka zatem. W swoim czasie dowiemy się i tego, rzecz jasna.

Nieprędko, ale dowiemy. Natomiast prognozowane, a tym bardziej hipotetyczne fakty z przyszłości nie powinny rzutować na dzisiejsze przekonania. Głupim jest uważać, że istota najwyższa i wszechwiedząca, odpowiadająca za stworzenie i los całego wszechświata, miałaby osobiście interesować się indywidualnym losem jednej istoty, albo grupy wybranego gatunku na jednej z planet gdzieś na obrzeżach jednej z miliardów galaktyk. A mimo to pan, panie Wasilij, modli się do tej istoty, nawet nie mając pojęcia o tym, kim ani czym jest. Wytworzył pan we własnej głowie antropomorficzny wizerunek, w imię którego ofiarowuje pan – to jest, morduje pan – innych ludzi.

– Ojczulek siebie tylko ofiarować chce! – zapiał Tosza. – Co z was za ludzie, egoiści, ateści! On dla innych gotów jest życie oddać!

– Sam dla siebie i głupoty swojej, a nie dla innych – nie wytrzymał w końcu Chemik.

Urwana krawędź pomostu była już blisko, gdy nagle Kruk wypuścił linę i po prostu upadł. Zajęczał, przekreślił się na bok, podkurczył embrionalnie nogi i przycisnął rękami do piersi.

– Co to ma być?! – zahuczał Prorok. – Wstań!

– Przecież widzisz, że gościowi gorzej jest. – Garsteczka splunął, opuścił na ziemię swój koniec pakunku, prostując plecy.

– Mówiłem wam, debile, ranny jest. Nikt nie słuchał, każdy wie lepiej.

– Schyl się! – krzyknęła Lita, dźgając go lufą w plecy. – Odsuń! Nie widzę nic przez ciebie! Pochyl się! I wtedy Chemik skoczył.

Garsteczka na ułamek sekundy przed tym poczuł, że coś się święci. Tak mu się wydawało, że zanim Kruk upadł, wymienili się z włóchatym spojrzeniami, tamten leciutko kiwnął głową. Dogadali się na przedstawienie!

I teraz Chemik skoczył. W bok, przez barierkę. Poruszał się niesamowicie szybko, ale Prorok też – lufa sztucera poderwała się, wykreśliła w powietrzu łuk i bluznęła ogniem, kula świsnęła nad głowami Toszy i Lity.

Nie wiadomo, czy dosięgła swego celu. Hiper zawinął się na barierce, wykreślił całym ciałem i szarpnął w dół, niczym strzała uderzył w powierzchnię czerwonej wody i zniknął w toni.

– Co, co?! – wrzasnął Tosza. – Stać! Nie ruszać się, zastrzele! Ręce do góry! Nie ruszać się, ręce za głowę!

– Stoję przecież, stoję – warknął Garsteczka, splatając dłonie na karku.

– I ty tam, nie ruszaj się! – zawołała Lita wysokim głosem, dźgając Paszę w plecy karabinkiem.

Najemnik leżał tak, jak upadł, ale Garsteczka przeczuwał, że Kruk szykuje się do akcji. Na razie nie robił nic. Czekał.

Prorok strzelił sobie pod nogi, przez deski, kula z trzaskiem odłupała kawałek pomostu i chlupnęła w wodę.

– Ojczy!

– Tosza, stójcie, gdzie stoicie! On pode mną jest! – Prorok cofnął się, wystrzelił drugi i trzeci raz. Woda pod nimi plusnęła, coś przesunęło się w szczelinie pomiędzy beczkami – a potem deski wygięły się z

jękiem w górę, spomiędzy nich wysunęły się poszarpane przez ostre krawędzie, dymiące, włochate ręce. Dwie dłonie o długich palcach zacisnęły się wokół kostek Proroka i szarpnęły. Brodacz ryknął i upadł, wleciał po pas w dziurę, zaparł się łokciami, wypuszczając sztucer. Wasilij rzucił się, wrzasnął dziko, szarpnął z całej siły.

– Ojcie!! – Tosza skoczył na pomoc, ale nie zdążył. Garsteczka obrócił się, wyrwał mu z rąk karabinek i trzasnął kolbą w łeb, drugą ręką wbił Licie łokieć w chudy brzuch, szarpnął za pas nośny broni.

Dziewczyna dała ognia, ale kule pomknęły gdzieś w świecąca mgłę. Tosza rozciągnął się jak długi, Garsteczka skrzywił się, a potem walnął Litę pięścią w twarz... Tfu, żadnej przyjemności! Dziewczyna achnęła, chlipnęła i poleciała w tył, mało brakowało, a wypadłaby przez dziurę pomiędzy dwoma prętami barierki.

Czerwony Kruk przecisnął się obok Garsteczki, złapał karabinek i wycelował w Proroka, ale ten tylko ryknął jeszcze raz, a potem zniknął w dziurze. Słychać było odgłosy szamotaniny, ktoś zachrypiał, a potem głośno plusnęła woda, w górę poleciały różowawe bryzgi.

Z dziury wystrzeliła jedna, potem druga łapa, na pomost wygramolił się Chemik. Z trudem, jakby wlokąc coś za sobą...

Skrzywił się, wyszczerzył, kopnął nogami w tył, w wodę, tam znów zachlupotało, a potem zapadła cisza.

Hiper usiadł na skraju dziury. Popatrzył w dół, pod nogi. Sięgnął po sztucer, niemalże zrzucił go za skraj pomostu, ale złapał. Wycelował w dół i strzelił dwa razy w wodę.

Echo poniosło się pomiędzy stromymi brzegami wyrobiska, potem uwięzło i zamarło w białej mgłę.

Garsteczka podszedł do krawędzi, gotów też dać ognia w dół, ale pod nimi była tylko czerwona woda.

– No i po gościu – mruknął, popatrzył na Chemika i zawył, przerażony: – Chemiś, z ciebie ubranie złazi! Kurde, dymisz się, człowieku, nawet sierść... Kurwa mać, zaraz cię rozpuści!

Hiper zerwał się, jakby dopiero teraz uświadamiając sobie niebezpieczeństwo.

– Woda...! – krzyknął. – Cysterna była na brzegu! Stójcie tutaj!

Odrzucił sztucer i popędził po pomoście, w biegu zdzierając z siebie przesiąknięte żrącym roztworem ciuchy.

Kruk kopnął broń do wody, złapał Litę za fraki i odciągnął od krawędzi. Oczy dziewczyny poruszały się nieskoordynowanie, poruszała bez sensu rękami.

– Co z nim? Gdzie ojciec?! – Tosza poczołgał się, nie unosząc nawet głowy, trąc twarzą o deski. – Zabiliście go?!

– I tak już był martwy w środku – warknął Garsteczka. – Nienawiść go zjadła.

– Zabiliście go... Mordercy! Ojcie! Ojcie, czekaj, ja z tobą...!

Tosza chciał już, już skoczyć w dziurę, ale Garsteczka złapał go, odciągnął, dał raz i drugi w pysk. Chłopak próbował się bronić, powtarzał tylko w kółko: – Zabili męczennika... bez skazy... pomioty piekielne, zgubili człowieka świętego!

Lita zajęczała, powoli dochodząc do siebie. Tosza leżał na wznak; zobaczyła go, krzyknęła słabo i poczołgała się ku chłopakowi. Uniosła głowę, zajrzała w podrapaną twarz.

– Idź sobie! – Odepchnęła Garsteczkę.

Odsunęli się z Krukiem. Najemnik szepnął: – Ledwo się trzymam na nogach.

– Wytrzymaj jeszcze ociupinkę, brachu. Byle do piramidy dotrzeć. Patrz, tylko rękę wyciągnąć, hycniemy przez dziurę, i już.

Kruk oparł się ciężko o barierkę.

– O, biegnie włochatek! – ucieszył się Garsteczka. – Trochę mniej włochaty, co prawda... Chemiś, przyjacielu, przebieraj łapami!

Hiper truchtał ku nim, jeszcze po drodze oblewając się wodą z kanistra. W końcu wylał sobie resztkę na głowę, cisnął pustym baniakiem w jezioro.

– No, brachu, jak tam? Spodnie to masz raczej takie siateczkowe teraz, zresztą i sam...

– Mocna skóra, wytrzymała – uśmiechnął się Chemik. – Chociaż prawda, pachnę teraz jak opalona kaczka.

– Ciesz się, że ci oczu nie wyjarało. Masz takie plamy na całym ciele łyse, jak menel z liszajami. I ślipia czerwone, jakbyś pół nocy wciągał.

– Przejdzie samo.

Tosza nagle odepchnął Litę, podniósł się i chwiejnym krokiem ruszył na Chemika.

– Ty potworze – wyszczał martwym głosem. – Wszyscy potworami jesteście. Pomioty diabelskie. Mnie też zabijcie.

– Tosza! – rozdzierająco krzyknęła Lita, próbując go zatrzymać, ale chłopak znów odepchnął ją w tył.

– Zabijcie. Wy mnie, albo ja was.

Chłopak wyciągnął ręce ku hiperowi, ominął dziurę w pomoście. Chemik popatrzył mu w oczy, powiedział poważnie: – Tosza, to my ratujemy świat. Wasilij był wysłannikiem zła, a ty mu pomagałeś.

Garsteczka aż uniósł brwi, Kruk odwrócił głowę. Chemik mówił w nietypowy dla niego sposób: twardo, rzeczowo, pewnie. Jakby przejął coś od Proroka. Tosza zamarł, nie opuszczając rąk, niczym zombi na stopklatce.

– Ojciec nie był... – zaczął.

– Chciał wysadzić Wrota. Tak? Więc pomyśl sam, chłopcze. Wrota, słyszysz? Co zostanie, jeśli wysadzisz wrota? Jeśli uderzysz w nie mieczem?

Tosza zamrugał. Garsteczka ulitował się, podszepnął: – Dziura.

– Pęknięcie – potwierdził Chemik. – Dziura, przez którą wieje się tutaj dziewięć kręgów piekła. Tylko Wrota trzymają je po tamtej stronie! Nie mogąc otworzyć ich od tamtej strony, zło podszepnęło Wasilijowi zgubną myśl: jego rękoma, w dobrej wierze, otworzyć sobie przejście!

– Ale... to przecież wy chcieliście je otworzyć – sapnął Tosza, opuszczając ręce.

Lita podskoczyła do niego, złapała za ramię. Zaszepnęła coś do ucha, ale on nie słyszał.

– Nie, Tosza, zupełnie na odwrót. – Hiper pokręcił głową. – My chcemy je na zawsze zapieczętować. Nieodwracalnie i na dobre.

– Zamknąć? Ale one już są zamknięte!

– Tak, ale nadal można je wyłamać siłą, jak nieomal uczynił to Prorok. A my zamkniemy Wrota i przeniesiemy je zupełnie gdzie indziej. Wtedy nie zostanie nawet możliwości, aby istoty z piekła kiedykolwiek wtargnęły znów do naszego świata. Dlatego twój ojczulek tak bardzo był nam przeciwny. Wiedźmak też przecież chciał, aby Wrota zniknęły z Ziemi.

Prorok zaś, on chciał je wysadzić, otwierając na szerokość drzwi do piekła na Ziemi!

– Ale skąd mam wiedzieć... Boże mój! – Tosza zacisnął oczy, potrząsnął głową. – Jak zrozumieć, gdzie leży prawda?! Że ojciec... nie, to być nie może, każdy, ale nie on! W nim żył sam Bóg!

– Nie Bóg, a diabeł to był! – Głos Chemika zabrzmiał dźwięcznie, wręcz uroczyście, niczym w cerkwi na kazaniu... Albo w kościele, bo przecież Andrzej chyba katolikiem był. To jest, ateistą. Polakiem, w sensie. – Diabeł opętał Wasilija!

Zrozum, chłopcze nieszczęsny. Cokolwiek by się działo, Bóg, prawdziwy, jedyny Bóg!, nie zmusi brata, by na brata podniósł rękę.

– Kain swojego braciaka zaciukał – znów wtrącił się Garsteczka. – Pamiętasz, co potem z nim się stało?

– Miasto wielkie założył, synów napłodził. A Bóg zakazał komukolwiek go krzywdzić – wymamrotał Tosza. Chemik spiorunował Paszę wzrokiem, dając mu do zrozumienia, żeby lepiej takimi przykładami nie pomagał.

– Miasto doczesne założył, ale Bóg sam go przeklął i wyгнаł! – Chemik uniósł łapy. – Klątwa spocznie na tym, co bratnią krew przelewa. Nie może być taki posłańcem ani narzędziem Bożym!

Tosza zgarbił się, opuścił głowę.

– Tosza, chodźmy! – Lita objęła go wpół. – Chodźmy stąd.

– Dokąd...? – jęknął chłopak.

– W zasadzie możecie z nami... – zaproponował Garsteczka, sam nieszczególnie przekonany. Nie miał ochoty mieć na karku tej parki egzaltowanych szczeniaków, ale zaproponować wypadało.

Tosza zerknął na czarny stożek, wystający z wody. Otrząsnął się.

– Tam? Za nic! Nie wejdę tam!

– No to wracajcie, dzieciaki. Ale jeśli Arką stąd wyjedziemy, czy tam wylecimy, to tutaj cholera wie co się może stać.

W sensie, szlag pewnie to trafi. Woda popłynie, albo wyparuje... Ja bym tu nie zostawał.

– Możecie przenieść się transporterem – zasugerował Chemik. – Spróbuję wam na szybko wyjaśnić, jak włączyć...

– Wrócimy we mgłę – przerwał mu Tosza i ruszył pierwszy z powrotem na brzeg. – Tam, skąd wyszliśmy. Tam takie rzeczy są, widzieliśmy... Różne miejsca. Spokojne, ciche. Tam się przed wszystkimi schowamy. Pójdiesz ze mną, Lita?

– Pójdę – odrzekła. – Ja za tobą wszędzie, Tosza. No już, chodźmy stąd. Byle dalej od tych...

Znów objęła go, przytuliła i pociągnęła w kierunku brzegu.

– Dzieciaku, uważaj tam, nie daj sobą pomiatać! – krzyknął im w ślad Garsteczka, potem obejrzał się i zatarł ręce. – No dobrze, panowie, my tu gadu– gadu, a chyba trochę nam uciekło poczucie...

Wyrobisko drgnęło, ze skarp posypały się kamienie. Pomost zakołysał się na nagle wzburzonej wodzie, która z chlupotem uderzyła o ściany piramidy. Sam czarny stożek rozmył się i rozmazał, tracąc ostrość konturów.

– ...czasu! Cholera, dupa, twoja mać! – zawył Pasza. – Migiem, na drugą stronę, dawajcie Latarnię! Żywo, trzeba to cholerstwo przecież jeszcze na górę wciągnąć! No już, raz!

Na drugą część pomostu przeprawili się w niespełna minutę. Mgła wokół rozbłyskiwała trwożliwymi plamami światła, na tle których Garsteczka zauważył dwie postaci, wspinające się na zbocze przy bazie. Wydało mu się też, że pomimo odległości przy burcie transportera widział samotnego człowieka, siedzącego nieruchomo z opuszczoną na piersi głową.

Woda opadała, a wraz z nią pomost, więc okazało się, że wierzchołek piramidy jest teraz o wiele wyżej. Kwadrat pomostu zaklinował się twardo na pochyłych ścianach, beczki już do połowy wystawały ze wzburzonej czerwieni jeziora.

– No to, panowie, na górę ciągniemy! – Garsteczka chwycił za pakunek, pociągnął po czarnej ścianie. – O, cholera...

Uff... Ciekawe, słuchajcie, czy brader Wil się na nas gapi teraz? Mógłby ruszyć dupę, pomóc... Kruczek, jak się trzymasz?

– Lepiej – sapnął najemnik. – Nie tak mocno boli. „Krwawokwiat” mnie leczy.

– Zajebista sprawa, taki symbiont. Jak sztywne łącze z dopalaczami. Słuchaj, a ty zostajesz, czy włączysz z nami?

– Z wami. Przecież tutaj wszystko szlag trafi.

– No dobra, to ja pierwszy... Pilnujcie, trzymajcie, żeby nie zjechało!

Pasza złapał się za plandekę i zaczął gramolić się na górę. Próbując nie myśleć o tym, że w zasadzie chodzi po anomalnej bombie, wspinał się na szczyt pakunku, rozpląszczył na pochyłej ścianie. Sięgnął rękoma do krawędzi szczytu, złapał się i podciągnął.

Był już za górze, gdy wszystko wokół zadrżało i bujnęło się tak, że omal nie stracił równowagi i nie spadł. Zamachał rękami, ledwo utrzymał się na górze. Przyklęknął, zawołał: – Chemik, dawaj! Potem Kruk, na końcu Latarnia!

Hiper wspinał się na górę i upadł. Po prostu popatrzył w sam środek płaskiego, równego miejsca i plasnął na glebę, jakby mu ktoś sznurki podciął. Garsteczka złapał go, bojąc się, że przyjaciel stoczy się na dół.

– Chemik, co jest?! – Odciągnął hipera dalej od krawędzi. – No dobra, uspokoiło się, chyba przeszedł wstrząs...

Włochaty, halo!

Chemik potrząsnął głową, tyłem odpęzł od środka poziomemu. Zerwał się, podskoczył, padł na czworaka. W oczach miał dziki strach.

– Pasza, uważaj! – zachrypiał. – Nie widzisz tego?

– Czego niby?

Rzeczywiście, pośrodku ściętego wierzchołka piramidy było owalne wgłębienie. Nieszczególnie duże, niezbyt głębokie.

A na dnie miało... nic. Nie to, że dziurę – po prostu nic.

– No dobra, dziwne trochę – zgodził się Garsteczka, zaglądając do środka i zastanawiając się, co w zasadzie widzi. – Ale nie przesadzaj już, nie jest to dziwniejsze od połowy rzeczy, które widzieliśmy przez tych parę dni. No i co to niby jest?

– Gardziel potężnej studni, w której kotłuje się przestrzeń...

– Chemik, nie podoba mi się twoja niedawna skłonność do bycia humanistą. Mów po swojemu, jak zawsze!

– Mówię ci przecież! Jak tam zajrzałem, to czułem, że lada chwila mnie wessie do środka! I jeszcze światło, taki potężny, gruby, zwijający się promień światła. Biegnie w dół, i niżej, niżej, na... na całe kilometry chyba. I wszystko to wiruje, kręci się, jak obłąkane.

– Kurde, co za ekspresja artystyczna. Tak mi nagadałeś, że aż sam coś zaczynam widzieć. O, patrz. Kruk sam wlaźł. No zuch chłopak normalnie.

Czerwony Kruk popatrzył na nich krytycznie, podszedł do środka. Zajrzał w otwór. Wzruszył ramionami.

– O, widzisz, i za to go lubię – pochwalił jego postawę Garsteczka. – Panowie, mnie się widzi, że to się znów zaczyna trząść. I ta mgła tak niefajnie się kłębi... Wciągnijmy to cholerstwo w końcu. Chemik, dawaj! Kruk, ty asekuruj tylko, oszczędzaj siły.

Z trudem wciągnęli piekielnie ciężką Latarnię na górę. Popatrzyli po sobie. Nadeszła pora, żeby w końcu rozciąć liny i rozwinąć pakunek. Garsteczka jako pierwszy wyartykułował problem.

– Aha, już zaraz. Tamte palanty nam noże przecież pozabierały. Zębami nie będziemy przegryzać przecież.

– Mam swoją brzytwę. – Kruk sięgnął do rękawa.

– O ty! A skąd wzięłeś? Przecież ci ją zabrał Prorok?

– Tosza miał w kieszeni, to wzięłem.

– No dobra, to ty tnij, my rozwiązujemy.

W końcu odpakowali Latarnię, odsunęli się o pół kroku. Garsteczka popatrzył na Chemika, wyraźnie rozczarowany: urządzenie wyglądało jak spory młynek do pieprzu, albo obła beczka, zwężająca się na końcach. Z jednej strony widniał na nim występ, pasujący do wgłębienia, z drugiej zaś siedziało „oko zła”.

Pojawiło się już znajome odczucie – czarny pierścień niby tkwił nieruchomo, a jednocześnie zdawał się kręcić, jak gdyby sama jego materia nieustannie wirowała w jakimś dzikim tańcu.

– Czyli to odkopał nasz Wiedźmak, kiedy jeszcze był trochę bardziej normalny. – Garsteczka pokiwał głową. – Myślał, że może jakiś kurhan wygrzebie, kości mamuta, a tu takie coś. Ciekawe, czy się ucieszył?

Chemik przełknął ślinę – Jeszcze zanim powstał Sektor, ta okolica miała złą sławę. Miejscowi opowiadali dziwne historie... – powiedział.

– Nie dziwota. Ja nawet teraz czuję, jak mi włosy dęba stają.

– Działy się dziwne rzeczy, halucynacje i rzekome objawienia. – Chemik rozejrzał się po wyrobisku, Garsteczka odruchowo też popatrzył wokoło. – Czasami ludzie mdleli bez wyraźnej przyczyny, kompasy kręciły się w kółko. Na drodze niedaleko gasły samochody.

– Myślisz, że Arka spod ziemi tak ekranowała?

– Na pewno. Dlatego też Wiedźmak zainteresował się tym miejscem.

– No tak. Pewnie ściągnął georadar, wytyczył i zaczęli kopać. Kopia, kopia, kopia, słońce praży, wszyscy na kacu, nikomu się nie chce, nuda... I jebut! Nagle dokopują się do tego, o. – Garsteczka chciał zwyczajowo puknąć Latarnię butem, potem zmienił zdanie. – Stoi se, rozumiesz, w ziemi taki słup, na nim nasadzony czarny pierścień. Wszyscy się jarają, kopią dalej, żeby do końca odsłonić, a tam – opa! Coś więcej. Najpierw myślą: podstawka. A to nie podstawka, tylko sam czubeczek. Ja pierdziu, że oni się nie bali tego zdejmować! Że też żadnemu ręka nie drgnęła!

– To się nazywa ciekawość naukowa. Pasza.

– Ciekawość, Chemisiu, to pierwszy stopień do piekła. Jak zresztą widać. I powiedz mi, co tu gorsze? Twoja ciekawość czy fanatyzm Proroka?

– Pasza, wybacz, ale gadasz jak najęty, bo się po prostu boisz.

– Wcale nie. No, może troszkę.
– Kontinuum się pruje na szwach, a ty trajkoczesz jak baba na targu.
– No przecież się uspokoiło trochę. Tak sobie gadam, rozumiesz, i jednocześnie myślę. No co? Serio, potrafię tak!

I znowu nie wiem, co zrobić. Bo wiesz, jak postawimy Latarnię na piramidzie, no to... To już nie ma odwrotu i w zasadzie nie wiadomo, co dalej. Myślisz, że skoro Wiedźmak dał radę wtedy Latarnię zdemontować, to my damy radę ją z powrotem wpiąć?

– Pasza! Nie dowiemy się, dopóki nie spróbujemy. – Chemik przerwał ten strumień świadomości. – Tylko błagam was, ostrożnie. Żaden z was nie widzi tego co ja. To będzie jak... jak wstawianie korka w ogromną butlę. Butlę, w której huczy i łomocze pustka...

– Patrzcie go, a ja niby gadam, bo się boję.

– Dość gadania. Do roboty.

Chwycili za Latarnię i od razu mieli ochotę ją puścić. Nie raziła prądem, nie patrzyła gorącem ani nie kąsała chłodem – w ogóle NIE BYŁA. Jakby człowiek dotykał czegoś, co nie powinno istnieć. Tak, jakby złapać ręką za oś obrotu ziemi, która zaraz nawinie cię jak nitkę makaronu na widelec.

Chemik aż podskoczył, Garsteczce błyskawicznie spocły się ręce, Kruk wykrzywił się dziwnym grymasem. Powoli, ostrożnie unieśli, zaczęli stawiać do pionu, przy czym Pasza nieopatrznie przesunął się tak, że to jemu przypadł koniec z nanizanym „okiem zła”. Krok po kroku zaczęli przesuwać...

A potem Latarnia sama z siebie skoczyła w bok, stanęła w pionie, niczym wańka– wstańka. Z cichym kłębnięciem trzpień wsunął się w zagłębienie i dosłownie zatonął w nim, wszedł na dobry metr. Wszyscy odskoczyli na boki.

Woda zachlupotała głośno, piramida drgnęła.

Drgnął świat.

Garsteczka aż się przeżegnał – dałby głowę sobie uciąć, że Latarnia zaczęła się kręcić! Niczym wrzeczono, coraz szybciej i szybciej... Chemik wrzasnął, ścisnął głowę rękami.

– Co jest?! – zaniepokoił się Kruk.

– Światło! I ciemność...! Tam, na dół, pędzą... Spływają przez nią, po całej długości... Nie wiem, co się zaraz stanie!

Zza horyzontu nadpłynęła ciemność. Już to widzieli. Z początku mrok, a potem pojawiające się w nim kształty. Wieże, budowle, wysokie, strzeliste skały.

A potem wszystko to ustąpiło, znów zrobiło się jasno. Mgła wirowała coraz szybciej, rwąc się pasmami, wznosząc się wyżej i wyżej... Wyrobisko zamieniało się w oko cyklonu.

– Do środka! – wrzasnął Chemik. – Musimy schować się do Arki, zaczęło się!

– Że niby co?! – Garszeczka pobiegł za hiperem, który już ześlizgiwał się na tyłku po ścianie piramidy.

– Proces... efekt domina! Wyjeliśmy zawleczkę z mechanizmu!

Jezioro huczało i szumiało, bladuróżowe fale biły o ściany piramidy, żrące bryzgi strzelały pomiędzy desek. Woda, nie wiedzieć czemu, zaczęła znów się podnosić – przed chwilą ledwo sięgała do dna pomostu, teraz już niemalże zakryła beczki pływaków!

Chemik zatrzymał się przed ścianą, gdzie powinna być winda, zaczął płasnąć i podskakiwać, przesuując po niej rękami.

– No otwieraj! – ponaglił go Garsteczka.

– Jak?! Nie umiem przecież, nie mam pojęcia...!

Po raz kolejny nadpłynął mrok, w nim pokazał się obcy świat – i znów zrobiło się jasno.

– Wil, otwieraj! – Pasza załomotał pięścią w czarną ścianę. – Brader, przecież nas widzisz! Otwieraj!

Trójkątny segment ściany zsunął się w dół, odkrywając kabinę z pochyłymi ścianami.

Przed nimi stała postać w biopancerzu, zabryzganym krwią.

Ktokolwiek był nosicielem skafandra, złapał Garsteczkę za ramię i szarpnął do środka. Pasza wrzasnął, huknął o ścianę i zsunął się po niej bezwładnie. W uszach zahuczało, świat zatańczył dzikiego oberka... Odwrócił się plecami do ściany, zaczął chwiejnie podnosić... W rogu kabiny leżał już Kruk, a Chemik wczepił się w bioskafander i próbował gołymi rękami zderzyć z niego hełm.

Rob – bo któż inny miałby to być! – uderzył pięścią, niemalże wyrzucając hipera z powrotem na pomost, ale Chemik plasnął tylko o zamykające się właśnie drzwi. Garsteczka zobaczył jeszcze, jak ryczące wody jeziora pożerają i zalewają pomost, fala przyboju zaś wdziera się na bazę – a potem zapadła zupełna ciemność.

Kolejne uderzenie, łomot upadającego ciała – Chemik padł.

Garsteczka zachwiał się, byłby upadł, gdy kabina ruszyła z miejsca. Żołądek podszedł do gardła, ściana zawibrowała.

W ciemności przed jego twarzą zapaliły się dwie zielone kreski wizjerów hełmu. Pasza aż wstrzymał oddech, zamarł, niczym królik w światłach ciężarówki.

Podłoga bujnęła się, winda dojechała na miejsce. Ściana po lewej opadła, zrobiło się znów jasno – pokazał się znajomy już widok sterówki z trzema ekranami i kolumną pośrodku.

Czerwony Kruk wstawał, ściskając swój nóż; Chemik zerwał się, zatoczył, ale utrzymał w pionie.

A potem Garsteczka zobaczył Roba. Warg siedział na stołku przy lodówce, patrząc w pustkę martwym wzrokiem.

Od tego widoku aż coś mu przeskoczyło w głowie. Pasza zastygł, otwierając usta w pełnym stuporze. Przecież Rob był w pancerzu, tutaj w windzie... ale nie, bo siedział też tam, jak debil. Więc kto, w imię głębokiego kontinuum, siedział w bioskafandrze?

Kruk sapnął, zamarł, wznosząc swoją brzytwę – też to zobaczył. Chemik aż zasyczał.

Ktokolwiek siedział w biopancerzu, odsunął się od nich, wyciągnął przed siebie ręce, jak dziecko, szykujące się, żeby mama zdjęła mu sweterek. Ślepie zgasły, pancerz zadrżał. Zawory przy hełmie trysnęły białawą mazią, potem rozległ się dźwięk, jakby odrywanych rzepów na butach.

Z pleców bioskafandra wyłoniła się noga, potem druga.

– Brader...? – zapytał Garsteczka z niedowierzaniem.

– *Once again, I welcome you aboard, gentlemen!*[23] – Wil Kyss wyskoczył ze skafandra, zamachał rękami. – *Sorry about my English, but we need to start immediately!*[24]

– *Yes, Wil! You're absolutely right!*[25] – zatrajkotał Chemik. – *But how you climbed into this?*[26]

– *There no time to explain! Now I need help, Andrew!*[27] – Wil popędził do swojej aparatury. – / *afraid, otherwise we waitingfor a big fucking !*[28]

– Ej, ziom! A co z nami?! – krzyknął Garsteczka, który dzięki swej edukacji filmowej zrozumiał tylko „start” i „big fucking”.

– Wy... nie wiem, spróbujcie się czegoś trzymać! – rzucił Chemik, biegnący już za młodym technikiem.

– I nie przeszkadzać!

Zniknęli za kolumną, zaczęli przerzucać się replikami po angielsku, potem Chemik odezwał się po rosyjsku: – Pasza, amplituda przekroczyła wartość krytyczną. Jeszcze chwila i kontinuum po prostu pęknie! Skoro uwierzyliśmy Wiedźmakowi i zamontowaliśmy Latarnię, to teraz musimy zabrać stąd Arkę! To doprowadzi, a w każdym razie powinno doprowadzić, do utylizacji nadwyżki cząsteczek. Szykujcie się, startujemy!

– Szykuj się! – wrzasnął Garsteczka, podskakując do Kruka. Najemnik zamarł w stuporze, stojąc tak z wyciągniętym nożem i patrząc na ciało warga, w którym tkwił umysł jego śmiertelnego wroga. – Kurde, ale jak?! Do łóżka się przypiąć pasami, ale łóżko samo jak przyczepić do podłogi?! Chemiiik! Twoja mać, jak się do czegoś takiego przygotować!

Byłby tak darł się jeszcze dłużej, ale zobaczył minę najemnika i zamilkł. Pstryknął Krukowi palcami przed twarzą, pokręcił głową.



– Halo, Ziemia do Kruka! Stary, jesteś tam? Normalnie jak zahipnotyzowany... gościu, ogarnij, bo tu się

grubo robi! Lada chwila rzucamy cumę i cała naprzód!

I w tej chwili wydało mu się na krótką chwilę, że wszystko zniknęło. Nie tylko otaczający go świat, sterówka, ściany piramidy, ale nawet on sam, Paweł Nowickij, po prostu przestał istnieć. Przepadł, zginął.

Tę chwilę pustki Garsteczka zapamiętał na całe życie.

Od razu pojawił się znowu razem z całą resztą rzeczywistości, a przynajmniej z tą jej częścią, którą widział: fragmentem sali, kolumną, ekranem z jakimiś robaczkami napisów... I Krukiem, wciąż ściskającym nóż.

Nóż, który cal po calu zbliżał się do twarzy Roba. Kruk dyszał ciężko, przez zęby, z nienawiścią.

– Chemik! – wydarł się Garsteczka, rozglądając się z przerażeniem. – Chemiś, to już? Lecimy?

– To wyjątkowo nietrafione słowo, Pasza. Już ci to tłumaczyłem – rozległo się zza kolumny.

– Nie no, w sensie, oderwaliśmy się od ziemi? Bo jakoś tak... Chemik, tak mi się nagle pusto zrobiło, bracie! Normalnie jakby wszystko przepadło i nic nie zostało, wiesz? Co to było?

– Oderwaliśmy się, Pasza – westchnął ciężko Chemik. – Ale nie od ziemi, a od Ziemi. Z dużej litery pisanej.

– Hee? I gdzie jesteśmy?

– Ba...

– Zaraz, zaraz! Jak to, „ba”?! – zaniepokoił się Garsteczka. – Kurde, a co z naszą Ziemią, z całym kontinuum? Rozleciało się czy stoi nadal?

– Nie mam pojęcia. – Głos Chemika był pusty, wyprany z emocji. – Wil też rozkłada ręce. W tym sęk, rozumiesz?

– Ale w takim razie...

– A najgorsze, najbardziej krępujące dla mnie, jako naukowca, jest w tej sytuacji to, że nigdy nie będę wiedział tego na pewno.

– Ale chyba damy radę...

Lita ciągnęła go za rękaw, poganiała, popychała. Nawet pokrzykiwała. Jednak Tosza ledwo przestawiał nogi. Potykał się, ślizgał na skarpie.

Było mu wszystko jedno. Bez ojca – co miał teraz robić? Jak, po co żyć dalej?

Tamci zabili jedyne go człowieka, który potrafił powiedzieć Toszy, o co chodziło w jego życiu. Zabili męczennika. Siły zła zatryumfowały.

A może nie? Może to ojciec był wcieleniem zła? Diabeł go opętał, jak Chemik opętał ciało hipera.

Może wszystko, w co do tej pory Tosza wierzył, co robił – było kłamstwem?

Od tych myśli chwycił się za głowę i jęczał. Ból w duszy wzmagął się, serce bolało, miał ochotę umrzeć, przestać być, przepaść i zniknąć. Żeby nie było już niczego, żeby przepaść bez śladu, rozpuścić się... jak jego ojciec w jadowitych wodach piekielnego jeziora.

– Chodźże! – Lita wlokła go na siłę, nie odpuszczała. Wdrapali się na skarpe, ruszyli przed siebie po równym gruncie. – Biegiem! Patrz, patrz, co tam się dzieje!

Tosza znalazł w sobie siłę, obejrzał się. Świat skakał, mrugał i dudnił, niczym diabelski dzwon, szczyt piramidy zamienił się w kosmate kłębowisko ciemności, wciągające w siebie przestrzeń i czas.

– Biegiem! – Lita szarpnęła go za ramię tak, że aż zabołało. – Musimy we mgle się schować!

Mgła...? W końcu zaczął powoli rozumieć, co się dzieje. Mgły już nie było, tylko wyjący, biały huragan. Zniknęła wisząca spokojnie mgiełka, w której błakali się, idąc ku wyrobisku. Wejść w to? Nigdy!

– Stój. – Zatrzymał się, pociągnął ją z powrotem. – Nie pójdziemy tam.

– Ale... gdzie się schowamy?

– Nigdzie.

– Tosza, Toszeńka, ale jak to? – chlipnęła dziewczyna. – To teraz umrzemy?

Popatrzył na kłębek mroku pośrodku jeziora, które było już tylko krwawą plamą pośród dzikiej, białej zamieci. Czerń rosła i kotłowała się, pochłaniając wszystko dokoła.

– Będziemy żyć – powiedział Tosza, po raz pierwszy w życiu czując, że to on odpowiada za kogoś innego. Wcześniej nie czuł nawet wagi swego własnego żywota. – A jeśli umrzemy, to przynajmniej razem.

Objął dziewczynę, przytulił i położył jej rękę na włosach, osłaniając przed tym, co miało nadejść. Lita

wtuliła się w jego ramię. Tosza chciał patrzeć mężnie do samego końca, ale to, co działo się wokół, było zbyt przerażające, zbyt nieludzkie.

Nie dał rady, w ostatniej chwili, gdy włochaty mrok wystrzelił z wierzchołka piramidy, zacisnął oczy, nabrał odruchowo powietrza, gdy coś otoczyło go ze wszystkich stron...

A potem cofnęło się.

Tosza wytrzymał tak długo, na ile starczyło mu pojemności płuc, ostrożnie odetchnął. Otworzył oko, potem drugie. Lita stała nieruchomo, trzęsąc się jak liść osiki.

Przestąpił z nogi na nogę, pod podeszwą zachrzęściła ziemia. Nieśmiało uniósł wzrok, rozejrzał się – i nie wytrzymał, uśmiechnął od ucha do ucha. Poglądził Litę po głowie, delikatnie odsunął od siebie, zrobił krok w przód.

I dopiero wtedy rozejrzał się.

Na miejscu jeziora ziała dziura. Po krwawej wodzie nie było ani śladu. Zniknęła też mgła.

Wokół nich był normalny świat. Widział porośnięte łożyną wzgórze, pomiędzy nimi rzadkie drzewa i zarośla. Po lewej budynki, jakby stary kołchoz... pomiędzy nimi rdzewiał potężny, garbaty kombajn starej daty. Po prawej las, wysokie sosny przetykane brzoźami, obok płynęła rzeczka, trzcina falowała w powiewach zefirku.

– Tosza... – zaczęła Lita.

– Żyjemy.

– Co się stało?

– Chemik miał rację. Wrota zniknęły. Teraz już będzie dobrze.

– Ale to znaczy... że ojciec nas okłamał?

Kilka chwil Tosza patrzył prosto na nią, potem rozłożył bezradnie ręce.

– Nie wiem. Może po prostu nie wiedział wszystkiego? Ale widzisz sama, Lituś, ziemia jest, my jesteśmy. A ojciec... – Westchnął. Nie przypuszczał, że kiedyś coś takiego powie. – Zapomnij o nim. To znaczy, pamiętaj, ale tylko to, co było dobre. Jego już nie ma, ale jesteśmy my. I to się liczy. Zgadza się?

Lita popatrzyła na wyrobisko, na las.

– Najpierw Mentor, potem ojczulek... – szepnęła. – Teraz tylko my? I dokąd pójdziemy?

– A dokąd chcesz?

Dziewczyna zawałała się. Nigdy wcześniej nikt nie interesował się tym, czego ona mogłaby chcieć.

– Myślę... – powiedziała niepewnie – że możemy pójść tam, do bazy. Jeśli coś z niej zostało. Znaleźć broń, coś do jedzenia. Musimy przecież jeść.

– Słusznie – zgodził się chłopak. – Dobrze myślisz.

Uśmiechnęła się nieśmiało. Tosza popatrzył na coś za nią, więc też odwróciła się.

Z lasu wyłonił się nieduży oddział. Młodzi, ale zarośnięci, wychudzeni. W znoszonym kamuflażu. Jeden mężczyzna kulał, innego prowadzili pod ramiona dwaj towarzysze.

– Ojej, dorośli! – zdziwiła się Lita. – Wcześniej prawie nikogo nie widziałam, poza tymi, co wchodzili do parku. Nowi ludzie, prawdziwi!

Tosza przyjrzał się nieznanym. Siedmiu, niemalże bez broni. Tylko idący przodem miał pistolet w kaburze.

Nie znał tych ludzi. Ale z jakiegoś powodu założył, że to nie wrogowie. Że będzie mógł z nimi porozmawiać, dogadać się, i może ruszyć dalej... razem. Dokądś.

I wtedy Tosza, niegdyś uważający się za podróżnika o przezwisku Mściciel, zamienił się z powrotem w zwykłego chłopaka, Toszę Smirnowa. Delikatnie ujął Litę za rękę.

– No chodź, trzeba się przedstawić. – Uśmiechnął się, pokazując ruchem głowy na ludzi.

Ruszyli, mijając wrośnięty w ziemię kamień z wyciętymi na nim imionami i nazwiskami członków ekspedycji, która kiedyś, dawno temu, weszła w okalającą Ślepą Plamę białą mgłą.

24 Przepraszam za mój angielski, ale musimy startować natychmiast! (ang.)

25 Tak, Will! Masz absolutną rację! (ang.)

26 Ale jak wspiąłeś się w to? (ang.)

27 Nie ma czasu wyjaśniać! Teraz ja potrzebuję pomocy, Andrzej! (ang.)

28 Ja boję, inaczej my czekamy na wielkie pierdolę! (ang.)



Rozdział 18

No weź go zabij już! – zirytował się Garsteczka. – Sapiesz tylko, jak stara baba! Rok o tym marzyłeś przecież! Tylko po to żyłeś! No dobra, mówiłeś, że już ci nie zależy, ale trzeba słowa dotrzymywać... On dziewczynę twoją zabił!

Przyjaciół pomordował. Weź go chłaśnij, od razu ci się lepiej zrobi. Ja wiem, że nie w moim stylu gadka, ale się o ciebie martwię, ziomek.

Nozdrza Kruka zadrgały, najemnik uniósł nóż, gotów wbić go w szyję wargą. Rob mrugnął, nagle spojrzął na stojącego przed sobą oprawcę i zapytał: – Kim jesteś?

Kruk zbladł, odskoczył w tył. Nóż wyśliznął mu się z palców, brzęknął o podłogę.

– Ty... nie pamiętasz?! – zachrypiał.

Szaroskóry zmarszczył brwi, popatrzył uważnie na Garsteczkę, znów na Kruka.

– Widziałem was wcześniej.

– No, coś tam kojarzysz – odparł Garsteczka. – My ciebie też, wyobraź sobie.

Rob chwilę pomilczał, potem powiedział martwym głosem: – Mój Pan nie żyje.

– Niby że Wiedźmak? Ano, tak jakoś wyszło. Leży na brzegu tam... to znaczy, gdzieś. A może i nie, bo już tego brzegu nie ma.

Olbrzym nie słuchał go. Przekręcił się na stołku, słabym ruchem pokazał na martwy ekran.

– Tak. Widziałem. Siedzi tam, martwy.

– Nom. I co dalej?

– Dalej nie wiem. Nic nie ma sensu. Pan nie żyje. Co robić?

– Kolego, ale to takie pytanie retoryczne, filozoficzne? Czy serio się pytasz?

Rob spuścił głowę i umilkł. Garsteczka zerknął na Kruka, który sam wyglądał jak śmierć.

– Brachu, coś patrzę, że ty w nie lepszym stanie jesteś. – Podszedł do najemnika, ujął pod ramię, zaprowadził do łóżka i posadził. – To co, jednak go nie stukniesz?

– Nie ma sensu – powtórzył Kruk niczym echo. – Nic nie ma sensu.

– Kurde, już nie udawaj. Ciebie nie przekręcili na zombasa, więc możesz myśleć. Na pewno nie chcesz go załatwić?

Pomogę ci, no chodź. Patrz, ty trzymaj nóż, a ja...

– To nie on. Zajrzałem mu w oczy, a tam... tam nie ma Titomira.

Garsteczka pokręcił głową, wstał. Podszedł do wargi, przykucnął i spojrzął mu w twarz. Oczy były zimne, puste, nieobecne. A jak mu coś odbije? To przecież szaroskóry, potencjalnie wróg. Czego się po nim spodziewać? Teraz siedzi, a potem się zerwie i łeb ukręci bez powodu.

– Te, byku! – zawołał.

Rob spojrzął na niego.

– Weź się i zabij. – Garsteczka wsunął mu w rękę nóż Kruka. – Masz, zabij się i tyle. Chujowo się

czuję, że ci to każe zrobić, ale lepiej niż jakbym miał sam ci gardło poderznąć. No już, tak będzie najprościej dla wszystkich. Zabij się i miejmy to z głowy.

Warg z pewnym zdziwieniem popatrzył na nóż. Wypuścił go na podłogę.

– Po co?

– Bo... bo ja ci tak rozkazuję!

– Nie jesteś moim Panem.

– Aha, no spoko – warknął zawiedziony Garsteczka, kopnął nóż na bok i odszedł, zły sam na siebie. – Chemik! Ej, brader Wil! Co tam robicie? Gdzie w ogóle jesteście?

Na ekranach kłębiło się bezbarwne, chaotyczne nic. Po prostu nic. Niby coś tam było, ale nie do końca, jakby migotało, ale wcale nie. Takie prawdziwe, irytujące nic.

– Chemik! – zawołał Pasza. – Andriucha, Andrzej, twoja mać! Żeście się zagadali!

Rozmowa po angielsku ucichła, zza kolumny wyjrzał hiper. Zerknął na ekran, na Garsteczkę i Kruka. Wzruszył ramionami.

– Zeszliśmy z naszego kontinuum.

– No bosko, czyli jednak lecimy.

– Pasza, nie wolno ci tego tak nazywać. Nawet jak na ciebie to nazbyt prymitywne porównanie.

– Dobra, huk z tym, czy lecimy, czy płyniemy, czy w ogóle skaczemy jak wiewiórka z gałęzi na gałąź tego twojego Drzewa! Pociąg odjechał ze stacji Ziemia, tak? To teraz mi powiedz, jak długo będziemy lecieć? I dokąd dolecimy?

Czerwony Kruk schylił się po swój nóż, znów usiadł na łóżku. Ścisnął dłonie kolanami i zgarbił się, jak dzieciak, który nabroił i czeka na reprimendę. Rob patrzył na niego obojętnym wzrokiem, potem zaplótł ręce na piersiach i znów zamarł w bezruchu.

– No i popatrz na tych dwóch, co? – zirytował się Garsteczka. – Kruk to chociaż coś powie, ale tamten? Ja rozumiem, że mu Pana zabili, ale to nie powód, żeby się tak zachowywać.

– Przypuszczam, że proces zombifikacji dogłębnie wymywa ze świadomości wiele rzeczy – powiedziała Chemik. – Potrzeba czasu, żeby na nowo się napełniła.

– Niby że czym?

– Odczuciami, doświadczeniem, motywacjami, celami. Odpowiadając na poprzednie pytanie: nie wiemy, jak długo Arka będzie znajdować się w obecnym stanie, a tym bardziej, używając twojej wysoce nietrafionej metafory, dokąd dolecimy.

Niewykluczone, że będzie to Terrana, czyli najbliższa naszemu kontinuum gałąź bliźniacza. Jakkolwiek obawiam się, że mówienie o bliskości jest w obecnej sytuacji...

– Okej, już łapię, że nie masz pojęcia. Słuchaj, a Wil ci wyjaśnił, co się tu stało? Skąd w ogóle Rob się wziął, dlaczego on był w skafandrze?

Kruk uniósł głowę, słuchając.

– Tak. Rob dostał się w jakiś sposób do Arki, chyba przez dolne poziomy. Przebił się siłą tutaj, wtargnął do sterówki.

Miał już zabić Wiła, kiedy podobno spojrzął na ekran i jakby... zamarł.

– Aha. Zobaczył martwego Wiedźmaka.

– Zapewne, bo Wil obserwował nasze poczynania. Po prostu jakby się wyłączył, więc pan Kyss uwolnił się z jego chwytu.

Jako że ma podobny do ciebie zwyczaj, że mówi, gdy się boi...

– Ja się nie boję. Tylko rozładowuję napięcie.

– ...to paplał do zamkniętego w skafandrze Roba jak najęty. Ten z początku nie reagował, ale po jakimś czasie pancierz otworzył się, a Rob wyszedł. I tak od tamtej pory siedzi.

Popatrzyli na wargę, potem na stojący nieruchomo pancierz.

– I co, brader Wil wymyślił, że tam wlezie?

– Tak. Mówiłem ci, ciekawość naukowa.

– Zboczeniec. Włazić w takie miękkie, różowe, podłużne...

– Pasza, to niegrzeczne. Pan Kyss uratował nas, więc docień jego starania. Nie mamy pewności,

dlaczego skafander go nie odrzucił, ale robocza hipoteza kolegi Kyssa jest taka, że przyjęcie wargi przez systemy bioskafandra było swego rodzaju interfejsem... półśrodkiem, który pozwolił pancerniowi dostroić się do umysłu człowieka. Postanowił więc, że warto spróbować, bo...

– *Donger! Broke settings!*[29] – rozległ się zza kolumny głos technika. – *I think we have reached a new branch and we canface /t*[30]

– *Wil! But how is it possible – physical confrontation?*[31] – Chemik skoczył ku pulpitem.

Na ekranach zamajaczyło na chwilę coś ciemniejszego. Garsteczka podszedł bliżej, na wszelki wypadek opierając się już ręką o ścianę... Nie pomogło – sterówką nagle zarzuciło, cisnęło nim prosto na łóżko, potem na ścianę. Rob upadł razem ze swoim stołkiem, przewrócił skafander. Załomotał i brzęknął sypiący się w kawałki sprzęt, Wil Kyss zawył z przerażenia.

Nie było się czego złapać! Oryginalne wyposażenie wyrastało płynnie ze ścian, wniesione po prostu stało luźno na podłodze. Nawet kolumna była opływowa!

Na ekranie z zakłóceń wynurzył się step... niewysoka kamienna wieża... Diabli, co to ma być, co to za pejzaż?! Skąd się to wzięło nagle? Pasza nawet nie zdążył się porządnie zdziwić, mignęło niebo, znów wieża, a potem silne uderzenie podrzuciło go w powietrze.

Huknęło, coś posypało się z hukiem, jakby kamienie staczające się po ścianie.

Zamarł, nakrywając głowę rękoma i zaciskając powieki. W piersiach coś dusiło go i cisnęło, żołądek kurczył się spazmami, bolał rosnący na czole guz.

W końcu odważył się unieść głowę i otworzyć oczy. Leżał pod ścianą, rozplaszczony na posadzce jak naleśnik. Podłogę przechylało, obok leżało przewrócone do góry nogami łóżko, spod którego gramolił się Kruk. Nieco dalej siedział Rob, ściskający w rękach kawałki stołka, następnie leżał bioskafander z wbitym w płyty pancerza kawałkiem aparatury pomiarowej.

Porozrzucane urządzenia i sprzęt wały się po całym pomieszczeniu, a na największej ich stercie leżał sam Wil, masujący stłuczone kolano i bełkoczący coś po węgiersku.

– Chemik! – zawołał przyjaciela Garsteczka. Wstał na czworaka, poczołgał się po krzywej podłodze do miejsca, gdzie wcześniej była kabina windy. Sama winda gdzieś zniknęła, teraz było tam widać żółto-błękitne niebo.

– Tu jestem. – Hiper wyjrzał zza kolumny, ruszył w tę samą stronę. – Wszyscy żyją? Obawiam się, że Arka dokonała katapultowania kabiny sterowania.



– Katapultowania? Was by lepiej obydwu katapultowała, pilotów od siedmiu boleści!

– Nas? A co my z tym mamy wspólnego? Może to wynik uszkodzeń, doznanых przez Arkę, albo jeszcze czegoś innego.

Może to robaki zaatakowały w ostatniej chwili?! Nie wiem, co się stało, ale uruchomiono jakąś procedurę ratunkową.

– No super, panie encyklopedia. I gdzie teraz jesteśmy? Widziałeś tę wieżę? Cholera jasna, znowu jakieś dziwy!

– Mówiłem ci, że zapewne na Terranie. Chociaż przyznaję, że teraz nie jestem mądrzejszy od ciebie.

– A nawet głupszy. – Garsteczka zadarł głowę, popatrzył w pusty szyb. Podciągnął się na rękach, wwindował wyżej. – Bo ty, włochatku, nie widzisz tego, co widzę ja. A widzę, powiem ci, niemało! Właście za mną, moi niewydarzeni podróżnicy, nie zaszkoździ, żebyście i wy się rozejrzeli.

Rzeczywiście, stała tam wieża – zbudowana z czaszek. Czaszek!

Garsteczka coś takiego widział do tej pory tylko na plakatach koncertów ostatnich grup rockowych. Na górze czerepy musiały być mniejsze, a te na dole konkretnie duże – ale to była tylko teoria. Na razie nie to było najważniejsze.

Wieża była istotna o tyle, że odstrzelona od Arki sterówka nie tylko zdmuchnęła sam czubek budowli, ale też przechyliła całość, zawalając najwyższe piętro wraz z dachem. Czaszki popękały i potrzaskały, co poniektóre pospadały na dół wraz z fragmentami zielonkawej zaprawy.

Sterówka wbiła się bokiem w ziemię, niczym ogromny, czarny kryształ, opierając się częściowo o wieżę.

Garsteczka zdołał wygramolić się na zewnątrz, stanął na pochyłej powierzchni i rozejrzał się, balansując rękami.

Niebo zasnuwane było żółtawą mgiełką, zza której przeświecała blada plama słońca, podobnego do zaciągniętego bielmem oka. Wokół nich był tylko step: kłujące krzaki, trawa, pagórki i wzgórza, jakieś nory, czy dziury. Delikatny, ciepły wiatr.

Obrócił się. Daleko po lewej widać było pasek lasu, za nim góry, widoczne jako nierówna linia ciemnoszarych trójkątów.

A tam, po prawej? Coś się pali? Ach, to nie dym, tylko deszcz. I to taki konkretny, cała ściana deszczu, pełznąca w kierunku rozbitej sterówki i resztek wieży.

– Obce kontinuum, cholera... – warknął.

– A grawitacja i atmosfera jak swoje – zauważył trzeźwo Chemik. – Mam nawet poczucie, jakbym nieco lżejszy był.

Garsteczka usiadł, czując, jak kręci mu się w głowie. Słabość szybko minęła, ale pierś aż rozpierało od środka, jakby nabierał za dużo powietrza naraz. Kłuło też w palcach.

Chemik zaczął schodzić na dół po sypiących się kawałkami, chrzęszczących czaszkach. Ze sterówki wyjrzał Kruk, rozejrzał się i też zaczął schodzić. W końcu pokazał się Rob, ruszył ich śladem. Tylko Garsteczka patrzył to na wieżę z czaszek, to na pejzaż i nie mógł się nadziwić.

– Przynajmniej wiemy, że ktoś tu mieszka! – skonstatował zadowolony, potem przemyślał i poprawił się: – Mieszkał, w każdym razie.

W końcu z dziury wyjrzał Wil, który rzucił kilkoma frazami po angielsku i zaczął ostrożnie spełzać za nimi.

– Mówi, że skafander jest uszkodzony – przetłumaczył Chemik. – Coś o miękkich tkankach, otaczających ciało pilota.

Zdaje się, że coś je przebiło i uszkodziło. Bioskafander potrafi się regenerować, ale potrwa to długo bez możliwości podłączenia do systemów zasilania Arki.

W końcu Pasza napatrzył się i nadziwował do syta, więc też zaczął schodzić. Kiedy zeskoczył na ziemię, pozostali zadzierali głowy i obracali się we wszystkie strony. Rob jako pierwszy odszedł od pozostałych, założył ręce na piersiach i wbił wzrok w pustkę krajobrazu.

Dolny rząd czaszek rzeczywiście robił wrażenie – co poniektóre sięgały wysokością do kolan, przy czym nie były wyciosane z kamienia, a prawdziwe. W jeden oczodół cała pięść by się zmieściła.

– Panowie uczeni, jakiej wielkości powinna być cała reszta ciała do takiej dyńki? – zapytał Garsteczka.

Najemnik wyciągnął swoją brzytwę, odłupał kawałek kości. Uczeni pomądrzyli się chwilę po angielsku, a Chemik powiedział: – Co najmniej dwa i pół metra wysokości. Ale raczej nie więcej niż trzy.

– No to i tak giganci. A jak się do środka tego dostać? Ani okien, ani drzwi nie ma. Może od drugiej strony? Czekać, pójdę zobaczyć.

Obszedł wieżę, zawołał na nich: – Chłopaki, do mnie, żywo!

Jako pierwszy zjawił się gnany ciekawością Chemik, za nim nadbiegli Kruk i Kyss.

– Obawiam się, że znalazłem właściciela, któremu wbiłszy bez uprzedzenia na chatę. Chyba nie jest z tego powodu szczęśliwy. – Garsteczka pokazał ręką.

Do wnętrza wieży prowadziły potężne drzwi z bierwion, wzmocnione sztabami żelaza. Obok drzwi spomiędzy sterty czaszek, które zwały się z góry wraz z kawałkiem ściany, wystawała ręka. Duża, szara ręka. Bardzo duża, bardzo szara ręka. Nie tyle może gruba, ile raczej długa i masywna; na nadgarstku zamknięta była solidna, żelazna bransoleta, palce wielkości pęt kielbasy, paznokcie jak łyżki.

– Warg – skonstatował Chemik. – Więc to jednak Terrana.

– He, panie kochany. Nawet nasz Robuś, który do ułamków nie należy... przynajmniej fizycznie... nie

ma takiej grabuli.

To co, odkopimy nieszczęśnika?

Poświęcili na to dobrych kilka minut. Kiedy w końcu odsłonili ciało, Wil Kyss zaterkotał coś w mieszanke angielskiego i węgierskiego, a Garsteczka odsunął się i powiedział: – O kurwa, ork.

– Że co? – zapytał Kruk.

– No, ork. Taki, ten... W filmie takim jednym był.

Chemik pokręcił głową.

– Orkowie nie istnieją.

– Jemu to powiedz.

– Podobieństwo przypadkowe. To stochastyczna zbieżność wyglądu tego konkretnego gatunku z naszymi wyobrażeniami na temat istot mitologicznych.

– Sram na twoją stochastykę. Widzę orka, to mówię – ork.

– Hm... Może więc to wiedza rezydualna, która przetrwała w podaniach jeszcze sprzed czasów, gdy Ziemia i Terrana były jednym. Tak, to by tłumaczyło...

Kruk chciał przesunąć ciało, ale zrezygnował, nie dając rady.

– Ciężki jak słoń.

– Bydlę srogie – zgodził się Garsteczka. – Do wargi w sumie też podobny, chociaż ciemniejszy, taki jeszcze bardziej prymitywny. Patrzcie no, ryj ma w ogóle jak pudło po monitorze. Jakby, nie wiem, jeden gatunek, a różne rasy? Jak my i żółtki na przykład.

– Pasza! Azjaci...

– Przecież mówię właśnie. A ja wam powiem jeszcze jedno: ja tego ziomka widziałem. No serio, co się tak patrzycie na mnie? Widziałem. Na rysunku, co go Północnik na swoim strychu miał. I wieża z czaszek była, i ktoś stał na czubku. Taki właśnie, o: wielki, szeroki, łeb jak sklep. Czyli co, jego też Północnik widział?

– Skoro mnie nie widział, a namalował... – Czerwony Kruk wzruszył ramionami.

Leżący przed nimi martwy siłacz z rozkwaszoną przez spadające czaszki głową był wzrostu Roba, ale o wiele potężniejszy. Ubrany w przepaskę biodrową i skórzaną kamizelę, obwieszoną wszelkimi świecidłami i brzękadelkami, na nogach miał skórzane sandały. Kwadratowa morda z małymi ślepiami, spod wargi wystawały spore kły. Nieszczerólnie może długie czy ostre, ale i tak robiące wrażenie.

Obok niego leżała kościana pałka, czy może laska. W rozszczepiony koniec wstawiono świecący kamień.

– Artefakt – powiedział Chemik, ostrożnie podnosząc kostur. – Widzę jego aurę, jak wirujący wokół dym. Czyli może i zmieniliśmy uniwersum, ale tutaj też występują anomalie... Panie Kruk, rozumie pan, co to znaczy?

Kruk kiwnął oszczędnie głową.

– Może jest jeszcze dla ciebie i dla mnie szansa! Ja wydostanę się z tego ciała, ty pozbędziesz się swego kłopotliwego symbionta...

– Chemiś, a dlaczego ty chcesz z niego uciekać? – zdziwił się Pasza.

– Zgłupiałeś? Myślisz, że chcę tak do końca życia wyglądać?

– No co, konkret ciało. Sprawne, silne, sześciopak lepszy niż mój. Tylko golić byś się musiał, albo depilować. Ale laski lubią takich dzikich brutali.

– Pasza, błagam cię. Chcę wrócić do swojego ciała.

– Zły pomysł, chociażby dlatego, że już je pewnie coś tam zjadło. Ale jak chcesz, druhu. Ciekawe, co tam w Kompleksie teraz... Zresztą, co za różnica? Może już dawno wuj bombki strzelił i całej Ziemi nie ma.

– Mam nadzieję, że jednak jest, a my nie zrobiliśmy tego wszystkiego na darmo. No tak, mojego ciała już raczej nie ma.

Ale zawsze mogę mieć nadzieję na nowe, inne, mniej... zwierzęce. Co do tej planety, czy może raczej świata – to chyba właśnie Terrana, czyli Antyświat, protoplasta Ziemi. I jeśli jest tutaj nawet część tego, co widzieliśmy w Sektorze...

– Łapię. Chcesz znaleźć miejscowe odpowiedniki „partnerów” i spróbować znów się z kimś zamienić

miejscami.

Chemik nie odpowiedział. Popatrzył jakoś dziwnie na kostur, cofnął się kilka kroków. Skrzywił się z wysiłkiem, dźgnął laską przed siebie w powietrze – a kamień na szczycie charknął ogniem, który pomknął przez powietrze i z hukiem uderzył w ścianę. Wieża zajęczała, zadudniła echem i przechyliła się, wszyscy odskoczyli od niej w popłochu.

– Chemik, co ty, kurwa, wyrabiasz?! – wrzasnęła na przyjaciela Garsteczka.

– Ćwiczę. Tak mi się wydało, że...

– To nie ćwicz! Nienormalny, no naprawdę. Ajaktak sobie patrzę na tego pięknotka, wiecie... – Pasza nachylił się nad orkiem. – On tak wygląda, i ten kostur... Normalnie pasuje do archetypu szamana, nie? Taki lokalny Wiedźmak, ale mniej tuningowany. Żył se gościu w swojej wieży, szamanił od święta, czaszeczki układał coraz wyżej... Aż tu nagle, jebudu! Na głowę mu zlatuje kilku gości w piramidzie. Jak ta dziunia, jak jej tam... Dorotka z Kansas, co ją huragan razem w domkiem komuś na łeb zrzucił.

– Złej Czarownicy ze Wschodu – podpowiedział Chemik. – Tak się zaczyna „Czarnoksiężnik ze Szmaragdowego Grodu”.

– Jak dla mnie, to może być i „Pinokio”, nieważne. Dobra, a gdzie nasz szaromordy?

Kiedy wrócili do Roba, ten stał w tej samej pozycji, patrząc w siną dal. Obejrzał się na nich, znów wbił wzrok w pustkę i zapytał: – Co mam robić?

Kruk nawet do niego nie podchodził. Wil Kyss wrócił do sterówki po plecak, a Garsteczka i Chemik stanęli po dwóch stronach szaroskórego.

– Co robić? – powtórzył Rob z wyrzutem.

– Żyj se, ciuścoku szary – poradził w zasadzie bez złośliwości Garsteczka.

Warg sposepniał, zastanawiając się nad sensem usłyszanego zdania.

– Żyję.

– Nie przesadzaj, na razie to tylko istniejesz. Ale mówię ci, zacznij żyć.

Rob niepewnie zerknął na niego. Potem wyciągnął rękę, pokazał przed siebie.

– Mogę pójść tam? Ten świat... podoba się? – Nie wiedzieć czy spytał, czy oznajmił.

– Jak się podoba, to pedałuj. Serio – poradził Garsteczka. Szary nie obchodził go szczególnie, ale też nie widział powodu, żeby życzyć mu źle.

– Pedałować?

– Idź – powiedział Chemik. – Idź, dokąd chcesz. Rób, co dusza zapagnie.

– Chcę tam. – Rob pokazał na las. – Tam są drzewa. Jezioro. Podoba mi się.

– Możesz robić, co chcesz – powtórzył Chemik poważnie.

Odsunęli się, gdy Rob ruszył przed siebie. Zatrzymał się, popatrzył pod nogi. Poszedł dalej. Schylił się, podniósł z ziemi solidny konar. Odłamał kilka suchych gałęzi, na próbę machnął tak, że aż świsnęło powietrze. Zrzucił na ramię, przyspieszył kroku.

– No, ten sobie krzywdy nie da zrobić – zauważył Garsteczka sucho. – Łeb komuś rozwali i zeżre, jak nic. Niedobrze, że go Kruk nie wykończył.

– Ja też idę – rozległ się zza nich głos najemnika.

– Kruczek, czekaj, ale dokąd ty się wybierasz?

– W tym samym kierunku. – Kruk wzruszył ramionami. – Ale nie za nim.

– Ty no, ale poczekać to byś mógł. Nie jesteś tu sam – upomniał go Pasza delikatnie. – Jeszcze brader Wil nie wrócił.

– Ja sam.

– Aa, jasne. To przez ten, no? – Pokazał znacząco palcami na zebra.

– Tak, przez „krwawokwiat”. Nie chcę was pozabijać, jak mnie przyszpili. I muszę pobyć sam, na spokojnie. Pomyśleć.

O wszystkim.

Garsteczka zgodził się.

– Myślenie nie boli podobno. Chemik, co prawda, myśleć umiał i lubił, i zobacz, jak skończył – włochaty dzikus. Niezła kariera, taka alternatywna dla habilitacji. Ale chociaż zapasy ze sobą weź jakies.

Najemnik popatrzył na plecak, z którym właśnie schodził z wierzchołka piramidy Kyss. Potrzęsnał głową.

– Zostawcie sobie. Ja mam swoje narzędzie. – Puknął palcem w nadgarstek z nożem.

– Słaba broń do polowania.

– Bo to nie broń, tylko narzędzie. Powiedziałem przecież. Dzięki niemu zrobię sobie jakąś włócznię. Albo toporek kamienny. No więc... – Kruk popatrzył na nich. – Idę. Może jeszcze się spotkamy. Jeśli tak, to postaram się was nie skrzywdzić. Wy dla mnie jesteście... swoi.

– Brachu! Przecież ty dla mnie też jak rodzony! – Garsteczka tak się wzruszył, że aż klepnął Kruka w ramię, ale ostrożnie, bez nadmiernego spoufalania się. – Stary, jakby co, to my tobie też nic złego, okej? Ty, a może się pobratamy, jak prawdziwi faceci, co? Braterstwo krwi, wiesz, ty sobie natniesz palec, ja też... No co, co się tak patrzysz spode łba? Jaja sobie robię, he, he...! Kruk nawet uśmiechnął się kącikiem ust, a potem odwrócił do nich plecami i po prostu poszedł.

– Ej, ej, czekaj! – przypomniał sobie Garsteczka. – A twój płaszcz? Nocą chłodno może się zrobić, a on tam został na górze!

– Nie potrzebuję go już! – zawołał przez ramię Kruk. – To przeszłość.

Masywna postać Roba wciąż odcinała się na tle drzew. Szli we dwóch z najemnikiem, stopniowo coraz dalej i dalej od siebie. Chemik i Garsteczka jakiś czas patrzyli za nimi, potem odwrócili do siedzącego pod ścianą Kyssa. Ten zdawał się być autentycznie zmęczony, często ziewał i wyglądał, jakby nie spał kilka dni.

– No i co, brader Willie, ty też sobie weźmiesz pewnie i gdzieś pójdziesz – powiedział smutno Garsteczka. – Ku zachodzącemu słońcu, jak zagubiony w nieznanym świecie pielgrzym, tup, tup...

– Pasza, twoja zdolność gadania głupot ustępuje wyłącznie twojej skłonności do gwałtownych i nieprzemyślanych postępków – sarknął Chemik.

– Że niby co, moja komunikatywność jest silniejsza nawet od asertywności?

– To nie asertywność, tylko... Tak, panie Kyss, słucham?

Wil, nawet nie wstając, odezwał się po angielsku. Hiper posłuchał, kiwnął i zwrócił się do Garsteczki: – Pan Kyss nigdzie nie idzie, zostaje tutaj. Przynajmniej na jakiś czas.

– No i co, będzie czaszki liczył?

– Chce zbadać zawartość wieży i ciało jej gospodarza. Poza tym twierdzi, że część sprzętu da się odratować i być może ponownie podłączyć do panelu sterowania. Dobrze byłoby dowiedzieć się, gdzie w ogóle jesteśmy. Poza tym mówi, że będzie w stanie uruchomić kompensator grawitacyjny i być może unieść kabinę w powietrze, ale moim zdaniem to płonne nadzieje.

– Że co, latająca piramida? Stary, weź na to popatrz! Odkurzacz twojej starej ma lepszą aerodynamikę. Chce zostać, niech zostaje. Ja idę jeszcze raz na górę, rozejrzę się.

I w tej chwili daleko nad horyzontem błysnęło światło. Nad ziemię wzniosła się kula ognia, niczym kwiat na długiej krzywej łodydze, a potem z jej środka strzeliła błyskawica i uderzyła w ziemię. Coś wybuchło, poleciały kawałki, ogień zgasł, dym rozwiął się.

– Ożeż ty! – Garsteczka przyspieszył wspinaczkę na górę. – Tak czułem, że za długo spokój był!

Stanął na szczycie kabiny sterowania, przysłonił oczy od słońca. Chemik wdrapał się, stanął obok. Poza pustym stepem i krzakami nie było widać nic, ale hiper wkrótce się odezwał: – Miasto... Tam jest miasto!

– No stary, zazdroścę ci tych ślepiów. Jakies konkretne?

– Nazwy ci nie podam. Ale wygląda... No, na pewno nie na współczesne w naszym rozumieniu. Domy niskie, chyba z kamienia, albo z drewna. Kilka wyższych. Pomiędzy nimi jakieś ruiny.

– Okej. A ludzi widzisz?

– Pasza, przeceniasz mój wzrok. Za daleko, nie widać. Chociaż wydaje mi się, że jest puste. Niezamieszkałe, jakby...

porzucone.

– I to tam był ten wybuch?

– Jeśli tak, to musiał być potężny, skoro tak dobrze było widać.



Jeszcze jakiś czas wpatrywali się w dal, ale żadnych więcej ognistych kul, wybuchów, błyskawic ani nowych miast nie wypatrzyli. W końcu Garsteczka znudził się, jako pierwszy zszedł na dół.

Wil Kyss siedział tak, jak usiadł, z głową zwieszoną na piersi, i cicho chrapał.

– Patrz go, jaki kozak! – zdumiał się Pasza, pokazując na młodego technika. – W takiej sytuacji po prostu wziąć i w kimono uderzyć.

– To normalna reakcja w sytuacjach stresowych – zauważył hiper. – Ponadto, jeśli pamiętam, nie spał już prawie dwa dni, zanim my się zjawiliśmy.

Odeszli kawałek od wieży, wymienili się spojrzeniami. Po Robie i Kruku nie było już nawet śladu, zniknęli obydwaj w rozgrzanym powietrzu, wiszącym nad stepem. Było gorąco i sucho, wiatr nadal wiał jednostajnie z tego samego kierunku. Garsteczka odezwał się: – Nudno tutaj przy tej wieży. Najpierw się zdziwiłem, bo kurde, coś nowego, ciekawe, a teraz... Jakoś tak nijako się zrobiło. Jak myślisz, daleko to miasto będzie? Damy radę przed wieczorem dojść?

– Pasza, nawet nie wiemy, jaka jest teraz pora dnia. Albo czy tutaj w ogóle bywa noc.

– No to chodźmy. Przecież i tak obydwaj już o tym myśleliśmy.

Garsteczka wyjął z plecaka paczkę sucharów, kilka konserw i butelkę wody, ułożył obok śpiącego Willa. Zarzucił plecak na ramię.

– Idziemy, dawaj. Mocno jestem ciekaw, co tu się w ogóle dzieje. No już, włochatku, radosnym krokiem w kierunku nowej dupy nowego kontinuum.

Chemik zawahał się, popatrzył na śpiącego Kyssa. Wzruszył ramionami, wydrapał pazurem na ziemi: *I We'll be back. Probably.*[32]

Uśmiechnął się do własnych myśli i ruszył za przyjacielem.

Koniec

ciąg dalszy przygód Chemika i Garsteczki nastąpi...



29 Uwaga! Zepsuty ustawienia! (ang.)

30 Myślę my dotarliśmy do nowej gałęzi i ona zaraz w nas! (ang.)

31 Will! Ale jak możliwe – fizyczna konfrontacja?! (ang.)

32 Wrócimy. Raczej, (ang.)

FABRYCZNA

ZONA



S.T.A.L.K.E.R.

S.T.A.L.K.E.R.



MICHAŁ GOŁKOWSKI



MICHAŁ GOŁKOWSKI



MICHAŁ GOŁKOWSKI



WIKTOR NOCZKIN



WIKTOR NOCZKIN



WIKTOR NOCZKIN



MICHAŁ GOŁKOWSKI



SŁAWOMIR NIESIUR



KRZYSZTOF HALADYN



KRZYSZTOF HALADYN

WWW.FABRYCZNAZONA.PL

FABRYCZNA ZONA



POLSKIE POSTAPO



SURVARIUM



ANTYMR



ROSYJSKIE POSTAPO



W PRZYGOTOWANIU

[WWW.FABRYCZNAZONA.PL](http://www.fabrycznazona.pl)

COPYRIGHT © Andriej Lewicki
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2017

ТУТУЛ ОРЫГІНАЛУ: Сеть Антиміра

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-236-6

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE Ivan Khivrenko

PROJEKT OKŁADKI Dark Crayon, black gear Paweł Zaręba

TEUMACZENIE Michał Gołkowski

REDAKCJA Ewa Białołęcka

KOREKTA Katarzyna Pawlik

SKŁAD ORAZ OPRACOWANIE OKŁADKI „Grafficon” Konrad Kućmiński

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WyDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
instagram.com/fabrykaslow

▶ Wielka, czarna lufa popatrzyła wprost na Garsteczkę, a ten zrozumiał: no, jak zaraz pierdyknie...! I będzie koniec, nieodwołalny koniec byłego narkokuriera i handlarza artefaktami Pawła, zwanego Garsteczką, porządnego i nieco zbyt porywczego ziomka.

Kryształ w otwartym tytanitowym dysku mignął światłem, a sam dysk zawibrował krótko. Jakby przekazał sygnał.

Chociaż, dlaczego „jakby”? Chyba tak właśnie było. Wóz pancerny znów zawarczał i zabuczał, a karabin wjechał z powrotem. Wieżyczka zamknęła się. Zapadła cisza.

– Job waszu mać! – Garsteczka splunął na ziemię. – I co dalej?

Kryształ powolutku przygasał. Garsteczka powoli ruszył ku transporterowi, trzymając kościany sierp pod pachą, a w ręku ściskając pistolet. Jeśli maszyna znów ożyje, to on chyba... Ale nie stało się nic. Najwyraźniej dysk z mikroczipem był czymś na kształt klucza zbliżeniowego. Wymienił się teraz z elektroniką transportera sygnałem „swój-obcy”, po czym Garsteczka został uznany za część załogi, a gąsienicowa pokraka pokochała go całą swą na wpół usmażoną elektroniką, już teraz szykując się na przyjęcie go w swe stalowe objęcia.

„Wojna” – fragment



WOJNA

Już myśleli, że mają
zwycięstwo w zasięgu ręki.

Wiedźmak dostał się do **Zagubionego Miasta**, a oni deptali mu po piętach. Tylko skąd mieli wiedzieć, że miasto jest tylko nieistotnym punktem przelotowym, a szaman wybiera się o wiele, wiele dalej?

„Dalej” – czyli dokąd w ogóle? Czy może być coś jeszcze bardziej **tajemniczego**, zakazanego i nieznanego niż owiane legendami **centrum Sektora**?

Okazuje się, że tak. Były **żołnierz** Garsteczka, **zabójca i najemnik** Czerwony Kruk oraz uwięziony w ciele mutanty **Chemik** już wkrótce też to rozumieją. Rozumieją – ale nie pojmą.

Bo czegoś **TAKIEGO** po prostu nie mogli się spodziewać.

To solidnie napisana książka rozrywkowa, taka, którą się chłonie – jak płuća wytrawnego biegacza – chłoną smogowe opary. Nie ma tu miejsca na niespokojne eksperymenty literackie, jest przyjemność lektury i szybkie przewracanie kartek w poszukiwaniu ulubionego ciągu dalszego.

granice.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

facebook.com/fabryka



Polub
Fabryczną Zonę

Wyłączny
dystrybutor

